

YANNI



MARTEL

AUTOR ŻYCIA PI



WYSOKIE

GÓRY



PORTUGALII



O książce

Czy o sprawach ostatecznych można pisać z poczuciem humoru?

Yann Martel w swojej najnowszej, długo wyczekiwanej książce pokazuje, że można.

To szczególna powieść – trochę współczesna bajka, trochę traktat filozoficzny.

Tryptyk, w którym autor w mistrzowski sposób łączy wątki.

Niezwykłe opowieści o miłości i stracie.

Mówiące wiele o nas, ludziach, i – jak to u Martela – o zwierzętach. Bo „nie jesteśmy upadłymi aniołami, lecz małpami, które się wzniosły”.

YANN
MARTEL
WYSOKIE GÓRY
PORTUGALII

Z angielskiego przełożył
PAWEŁ LIPSZYC



Wydanie elektroniczne

Tego autora

ŻYCIE PI
BEATRYCZE I WERGILI
JA
WYSOKIE GÓRY PORTUGALII

Tytuł oryginału:
THE HIGH MOUNTAINS OF PORTUGAL

Copyright © Yann Martel 2016
All rights reserved
By arrangement with Westwood Creative Artists Ltd.

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2017

Polish translation copyright © Paweł Lipszyc 2017

Redakcja: Anna Walenko

Ilustracje na okładce: Shutterstock

Projekt graficzny okładki: CS Richardson

Opracowanie graficzne okładki polskiej:
Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-372-4

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, 88em.eu

*Dla Alice, Theo, Loli, Felixa i Jaspera:
historia mojego życia*

CZĘŚĆ PIERWSZA
Bezdomny

Tomás postanawia iść piechotą.

Z jego skromnego mieszkania na Rua São Miguel w okrytej złą sławą dzielnicy Alfama do okazałej posiadłości stryja w zamożnej Lapie trzeba przejść prawie całą Lizbonę. Najpewniej zajmie mu to godzinę. Jednak wstał jasny, łagodny poranek i przechadzka pozwoli ukoić nerwy. Wczoraj Sabio, jeden ze służących stryja, przyszedł po jego walizkę oraz drewniany kufer z dokumentami potrzebnymi do misji w Wysokich Górach Portugalii, dlatego Tomás ma do przeniesienia tylko siebie.

Tomás poklepuje kieszeń na piersi kurtki. Dziennik ojca Ulissesa spoczywa tam, owinięty w kawałek materiału. Zabieranie go ze sobą nie jest zbyt rozważne, bo jego zaginięcie byłoby prawdziwą katastrofą. Gdyby Tomás miał choć odrobinę zdrowego rozsądku, zostawiłby dziennik w kufrze. Ale tego ranka potrzebuje dodatkowego wsparcia moralnego, jak podczas każdej wizyty u stryja.

Mimo podniecenia pamięta o tym, by zamiast zwykłej laski zabrać tę, którą dostał od stryja. Rączkę wykonano z kości słoniowej, a samą laskę z afrykańskiego mahoni, choć naprawdę niezwykłą czyni ją okrągłe kieszonkowe lustro, sterczące tuż pod rączką. Z powodu lekkiej wypukłości lusterka odbija się w nim rozszerzony obraz. Co prawda niczemu ono nie służy – to poroniony pomysł – ponieważ laska jest, z natury rzeczy, w ciągłym ruchu, przez co odbicie za bardzo podryguje, jest zbyt niestabilne, by na cokolwiek się zdać. Jednak tę wytworną, wykonaną na zamówienie laskę dostał od stryja i zabiera ją, ilekroć składa mu wizytę.

Tomás rusza w dół Rua São Miguel, do Largo São Miguel, potem idzie Rua de São João de Praça i skręca w Arco de Jesus – lekki spacer po mieście, które zna przez całe życie, po mieście piękna i zgiełku, handlu i kultury, wyzwania i nagród. Na Arco de Jesus osacza go wspomnienie Dory, uśmiechniętej i wyciągającej rękę, by go dotknąć. Teraz laska się przydaje, ponieważ wspomnienia o Dorze zawsze wytrącają go z równowagi.

– Trafił mi się bogaty – powiedziała mu pewnego razu, gdy leżeli w łóżku u niego w mieszkaniu.

– Obawiam się, że nie – odparł. – To mój stryj jest bogaty. Ja jestem tylko biednym synem jego biednego brata. Tacie nie wiodło się w interesach wprost proporcjonalnie do powodzenia stryja Martima.

Nigdy nikomu tego nie powiedział, nigdy tak otwarcie i szczerze nie mówił o burzliwej karierze ojca, o kolejnych planach biorących w łeb, przez co ojciec stawał się coraz bardziej zależny od brata, który za każdym razem ratował go z opresji. Ale Dorze mógł to wyznać.

– Och, tylko tak mówisz, ale bogacze zawsze mają gdzieś ukryte stopy pieniędzy.

– Naprawdę? – Tomás się zaśmiał. – Nigdy nie myślałem o stryju jako o człowieku, który skrywa majątek. Ale jeśli tak jest, jeśli jestem bogaty, czemu za mnie nie wyjdiesz?

Ludzie patrzą na idącego Tomasa. Padają komentarze, czasem żartobliwe, ale większość przyjazna. „Uważaj, bo się potkniesz!” – woła z troską pewna kobieta. Zdążył już przywyknąć do tego zainteresowania. Nie zwraca na ludzi uwagi, ogranicza się do uśmiechu i skinienia głową.

Krok za krokiem zmierza w stronę Lapy; idzie swobodnie, wysoko unosząc nogi i stawiając je z namaszczeniem. Tomás kroczy z gracją.

Nadeptuje na skórkę od pomarańczy, ale się nie ślizga.

Nie zauważa śpiącego psa, ale stawia piętę tuż obok jego ogona.

Schodząc po krętych schodach, potyka się, ale przytrzymuje się poręczy i bez trudu odzyskuje równowagę.

I jeszcze kilka tego rodzaju drobnych niepowodzeń.

Na wzmiankę o małżeństwie uśmiech zniknął z twarzy Dory. Taka już była: w jednej chwili przechodziła od beztroski do głębokiej powagi.

– Nie, twoja rodzina by cię wyklęła. Rodzina jest wszystkim. Nie wolno odwracać się plecami do swoich.

– Ty jesteś moją rodziną – odparł, patrząc na nią.

– Nie, nie jestem. – Dora potrząsnęła głową.

Oczy, zwolnione z obowiązku prowadzenia go, rozluźniają mu się w czaszce jak dwaj pasażerowie siedzący na rufie. Zamiast nieustannie lustrować ziemię, z rozmarzeniem rozglądają się dokoła. Dostrzegają kształty drzew i chmur. Gonią za ptakami. Patrzą na parskającego konia, który ciągnie wóz. Spoczywają na wcześniej niezauważanych detalach architektonicznych. Obserwują zgiełk na Rua Cais de Santarém. W sumie powinna to być rozkoszna poranna przechadzka, w ten dzień pod koniec grudnia 1904 roku.

Dora, śliczna Dora. Pracowała jako służąca u jego stryja. Tomás zauważył ją już podczas swojej pierwszej wizyty tuż po tym, jak stryj ją

zatrudnił. Z trudem odrywał od niej wzrok, nie mógł przestać o niej myśleć. Starał się być wobec niej szczególnie uprzejmy, raz po raz nawiązywał rozmowę o błahostkach. Dzięki temu mógł cieszyć się widokiem kształtnego nosa, roziskrzonych ciemnych oczu, drobnych białych zębów, sposobu poruszania się. Nagle zaczął być częstym gościem u stryja. Dokładnie pamiętał chwilę, gdy Dora uzmysłowiła sobie, że zwraca się do niej nie jak do służącej, ale jak do kobiety. Na krótką chwilę spojrzała mu w oczy, potem się odwróciła, ale wcześniej uniosła kącik ust w uśmiechu cichego porozumienia.

Coś wielkiego doszło w nim wtedy do głosu; bariera klas, pozycji i całkowitej niemożliwości zniknęła. Podczas kolejnej wizyty, gdy podawał jej swój płaszcz, ich dłonie się dotknęły i oboje przedłużali ten dotyk. Potem sprawy potoczyły się szybko. Dotychczasowe doświadczenia seksualne Tomasa sprowadzały się do spotkań z prostytutkami, co najpierw było straszliwie podniecające, potem zaś straszliwie przygnębiało. Za każdym razem czmychał zawstydzony, ślubując sobie nigdy więcej tego nie robić. Z Dorą było to najpierw straszliwie podniecające, a potem straszliwie podniecające. Opierając głowę na ramieniu Tomasa, bawiła się gęstymi włosami na jego piersi. Nie miał ochoty donikąd uciekać.

– Wyjdź za mnie, wyjdź za mnie – błagał. – Będziemy bogactwem sami dla siebie.

– Nie, będziemy biedni i osamotnieni. Nie wiesz, co to znaczy. Ja wiem i nie chcę, żebyś przez to przechodził.

W takim miłosnym martwym punkcie narodził się ich mały Gaspar. Gdyby nie żarliwe prośby Tomasa, Dorę zwolniono by ze służby u stryja, gdy okazało się, że jest w ciąży. Jego jedynym poplecznikiem był ojciec, który radził mu, by nie odrzucał swojej miłości do Dory, w przeciwieństwie do cichego potępienia ze strony stryja. Dorę odesłano do niewidocznych zadań w głębi kuchni. Gaspar, równie niewidoczny, dorastał w domu rodziny Lobo, niewidocznie kochany przez ojca, który niewidocznie kochał jego matkę.

Tomás odwiedzał ich tak często, jak pozwalała przyzwoitość. Dora i Gaspar przychodzili do niego do Alfamy w jej wolne dni. Szli do parku, siadali na ławce, patrzyli, jak Gaspar się bawi. W takie dni niczym nie różnili się od zwykłego małżeństwa. Tomás był zakochany i szczęśliwy.

Gdy mija przystanek tramwajowy, po szynach przetacza się z turkotem tramwaj, nowy, zaledwie trzyletni środek transportu, jaskrawożółty i elektryczny. Pasażerowie spieszą, by wsiąść, inni

z pośpiechem wysiadają. Udaje mu się wyminąć wszystkich prócz jednego, z którym się zderza. Po szybkiej wymianie przeprosin Tomás rusza dalej.

Kilka brukowców sterczy z chodnika, ale bez trudu sunie nad nimi.

Uderza nogą o nogę kawiarnianego krzesła, ale tylko lekko je potrąca.

Śmierć zabrała Dorę i Gaspara kolejno, bezlitośnie. Umiejętności lekarza wzywanego przez stryja na nic się nie zdały. Najpierw kaszel i zmęczenie, potem gorączka, dreszcze, bóle, ból przy przełykaniu, trudności z oddychaniem, konwulsje, szeroko otwarte oczy, utrata przytomności – aż w końcu ulegli. Ich poszarzałe, skręcone ciała, równie nieruchome jak pościel, w której się rzucali. Tomás był przy nich obojgu. Gaspar przeżył pięć lat, Dora dwadzieścia cztery.

Nie był świadkiem śmierci ojca kilka dni później. Oniemiały z żalu, siedział w pokoju muzycznym domu Lobo razem z kuzynką, gdy z posępną miną wszedł stryj. „Tomasie, mam straszne nowiny – powiedział. – Silvestro, twój ojciec, umarł. Straciłem jedyne brata”. Słowa były jedynie dźwiękami, ale Tomás poczuł się fizycznie zmiażdżony, jakby przygniótł go olbrzymi głaz; zatoczył się jak ranne zwierzę. Jego ojciec, ciepły niedźwiedź! Człowiek, który go wychował, który wspierał jego marzenia!

W ciągu jednego tygodnia – Gaspar umarł w poniedziałek, Dora w czwartek, ojciec w niedzielę – serce Tomasa otworzyło się jak pękający kokon. Ale zamiast motyla wyłoniła się z niego szara ćma, która przysiadła na ścianie jego duszy i przestała się ruszać.

Odbyły się dwa pogrzeby: mizerny dla służącej z prowincji i jej nieślubnego synka oraz wystawny dla biednego brata bogacza, a o jego niepowodzeniach finansowych dyskretnie nie wspominało.

Schodząc z krawężnika, Tomás nie zauważył nadjeżdżającego powozu, ale słyszy ostrzegawczy krzyk woźnicy i uskakuje przed koniem. Lekko trąca mężczyznę stojącego plecami do niego. Tomás unosi dłoń i mówi:

– Przepraszam.

Tamten przyjaźnie wzrusza ramionami i odprowadza go wzrokiem.

Krok za krokiem, co kilka chwil odwracając głowę, by zobaczyć przez ramię, co też go czeka, Tomás tyłem idzie do Lapy.

„Dlaczego? Czemu to robisz? Dlaczego nie chodzisz jak normalny człowiek? Skończ z tym nonsensem!”, wołał już wielokrotnie stryj. Tomás przedstawiał silne argumenty na poparcie takiego sposobu

chodzenia. Czy nie jest sensowniej iść naprzeciw żywiołom – wiatrowi, deszczowi, słońcu, atakującym owadom, ponurości obcych, niepewnej przyszłości – z tarczą, jaką jest tył własnej głowy, tył płaszcz, siedzenie spodni? Przecież są one naszą osłoną, naszą zbroją. Służą temu, by znosić przeciwności losu. Kiedy idzie się tyłem, wszelkie delikatne części – twarz, pierś, atrakcyjne elementy ubioru – są chronione przed okrutnym światem i człowiek może je pokazywać tylko wtedy, gdy chce, tylko tym osobom, którym zechce, za pomocą prostego odwrócenia się, odbierającego anonimowość. By nie wspomnieć o argumentach bardziej fizycznej natury. Cóż naturalniejszego niż schodzenie ze wzgórza tyłem? – myśli Tomás. Przody stóp dotykają podłoża zręcznie i lekko, mięśnie łydek mogą precyzyjnie dostosowywać napinanie się i rozluźnianie. Tym samym ruch staje się elastyczny, wolny od napięć. Gdy człowiek się potyka, o ileż bezpieczniej robić to tyłem, gdy miękkie pośladki złagodzą upadek? Lepiej tak, niż łamać przeguby, padając do przodu. Zresztą Tomás nie jest przesadnie uparty. Robi wyjątki, na przykład kiedy wspina się na długie kręte schody Alfamy albo kiedy musi biec.

Wszystkie te uzasadnienia stryj kwituje niecierpliwym machnięciem ręki. Martim Augusto Mendes Lobo jest niecierpliwym człowiekiem sukcesu. Mimo swoich poirytowanych pytań i wymijających wyjaśnień bratanka stryj dobrze wie, czemu Tomás chodzi tyłem. Pewnego razu Tomás podsłuchał, jak stryj rozmawia z gościem. Właśnie dlatego, że ściszył głos, Tomás nadstawił uszu.

„...całkowicie komiczna scena – mówił cicho stryj. – Wyobraź sobie: przed nim, to znaczy za nim, znajduje się latarnia uliczna. Wołam mojego sekretarza, Benita, i obaj patrzymy w milczeniu, zafascynowani, obracając w głowach tylko jedno pytanie: czy mój bratanek zderzy się z latarnią? W tym momencie na drugim końcu ulicy pojawia się drugi przechodzień, który zauważa idącego tyłem Tomasa. Po przekrzywionej głowie nieznanego widzimy, że osobliwy chód mego bratanka przykuł jego uwagę. Z doświadczenia wiem, że dojdzie do szczególnego spotkania – padną komentarze, żarty, przynajmniej zdumione spojrzenie. Zgodnie z przewidywaniami, gdy Tomasa dzieli od latarni kilka kroków, nieznanomy przyspiesza i zatrzymuje go klepieniem w ramię. Tomás się odwraca. Przechodzień wskazuje na latarnię. Tomás uśmiecha się, kiwa głową i w geście wdzięczności kładzie dłoń na piersi. Nieznajomy się uśmiecha. Podają sobie ręce. Machając do siebie, rozchodzą się, każdy w swoją stronę, nieznanomy w dół ulicy, Tomás –

okręcając się i znowu ruszając tyłem – w górę. Bez najmniejszych problemów okrąży latarnię.

Ale czekaj, to jeszcze nie wszystko! Po kilku krokach tamten przechodzień odwraca głowę, by spojrzeć na Tomasa, i z wyraźnym zdziwieniem spostrzega, że mój bratanek wciąż idzie tyłem. Na twarzy nieznanego maluje się troska – ostrożnie, jeśli nie będziesz uważał, czeka cię wypadek! – ale także lekkie zażenowanie, ponieważ Tomás patrzy w jego stronę i zauważył, że tamten się odwrócił i gapi się, a przecież to niegrzeczne. Przechodzień szybko obraca głowę, jest jednak za późno: zderza się z latarnią. Wali w nią jak serce w dzwon. Benito i ja robimy współczujące miny. Zataczając się, nieszczęśnik krzywi się z bólu, przykładając dłoń do twarzy i piersi. Tomás spieszy na pomoc – biegnie przed siebie. Pomyślałbyś, że jego poruszanie się do przodu będzie wyglądać normalnie, ale tak nie jest. Jego ciała brakuje sprężystości. Zbliża się długimi krokami, z tułowiem wyprostowanym jak na pasie transmisyjnym.

Dochodzi do kolejnej wymiany zdań, Tomás wyraża głęboką troskę, tamten macha lekceważąco ręką, drugą przyciska do twarzy. Tomás podnosi z ziemi kapelusz przechodnia. Po kolejnym uścisku dłoni i kolejnym machnięciu biedak się oddala. Tomás, a także Benito i ja odprowadzamy go wzrokiem. Dopiero gdy znika za rogiem, Tomás podejmuje przechadzkę w typowy dla siebie sposób, rakiem. Całe zajście najwyraźniej go zdezorientowało, ponieważ zderza się z latarnią, którą wcześniej tak zgrabnie ominął. Rozcierając tył głowy, mierzy latarnię groźnym wzrokiem. Mimo to, drogi Fausto, nie rezygnuje. Niezależnie od tego, jak często uderza się w głowę, bez względu na to, ile razy pada, idzie tyłem”.

Tomás słyszy, jak stryj wybucha śmiechem, a Fausto mu wtóruje. Po chwili stryj mówi dalej poważnie:

„To się zaczęło w dniu, gdy jego synek, Gaspar, zmarł na dyfteryt. To było nieślubne dziecko mojej służącej, która zmarła na tę samą chorobę. Zrzędzeniem losu kilka dni później umarł mój brat, Silvestro, w środku dnia, w środku zdania. Matka Tomasa zmarła, gdy był mały. Teraz stracił ojca. Żeby kogoś spotkała taka tragedia! Niektórzy nigdy więcej się nie śmieją. Inni zaczynają pić. Mój bratanek zaczął chodzić tyłem. Minął już rok. Jak długo ma jeszcze trwać ta dziwaczna żałoba?”.

Stryj nie pojmuje, że jego chodzenie tyłem, plecami do świata, plecami do Boga, nie jest żałobą. To jest protest. Albowiem kiedy tracisz w życiu wszystko, co kochasz, cóż innego pozostaje ci oprócz protestu?

Tomás wybiera okreśną drogę. Skręca z Rua Nova de São Francisco i zaczyna iść w górę Rua do Sacramento. Jest już prawie u celu. Odwracając głowę, by obejrzeć się przez ramię – pamięta, że stoi tam latarnia – patrzy na tył wspaniałej posiadłości stryja, gdzie widać wyszukane gzymsy, misterną sztukaterię i strzeliste okna. Czując na sobie czyjś wzrok, dostrzega postać w oknie na pierwszym piętrze. Ponieważ jest to gabinet stryja, należy zakładać, że to właśnie on, Martim, dlatego Tomás ponownie odwraca głowę i rusza pewnym krokiem, ostrożnie omijając latarnię. Idąc wzdłuż muru okalającego posiadłość stryja, dociera do bramy. Okręca się, by sięgnąć do dzwonka, ale jego ręka zastyga w powietrzu. Tomás ją cofa. Chociaż wie, że stryj go widział i czeka, ociąga się. Z kieszeni na piersi wyjmuje stary, oprawny w skórę dziennik, wyłuskuje go z materiału, opiera się plecami o mur, po czym siada na chodniku. Spogląda na okładkę.

Ujęte w słowa życie
I wskazówki do daru ojca Ulissesa Manuela Rosario Pinto
Pokornego sługi Bożego

Tomás dobrze zna dziennik ojca Ulissesa. Całych fragmentów nauczył się na pamięć. Otwiera go w przypadkowym miejscu i czyta.

Gdy statki z niewolnikami dopływają do wyspy, aby dostarczyć ładunek, jest mnóstwo pracy związanej z rachunkami i sprzętaniem. Kiedy widać port, wyrzucają ciała za burty po obu stronach, niektóre bezwładne i uległe, inne gestykulujące słabo. To zmarli i ciężko chorzy – pierwszych usuwa się, bo nie są już przydatni, drugich w obawie, że choroba mogłaby się rozprzestrzenić i obniżyć wartość innych. Wiatr przynosi ze statku do moich uszu krzyki żywych niewolników, którzy sprzeciwiają się wyrzucaniu ich z pokładu; przynosi też plusk ciał spadających do wody. Znikają w zatłoczonym Limbo na dnie zatoki Ana Chaves.

Dom stryja też jest Limbo Niedokończonych, Przerwanych Żywotów. Thomás zamyka oczy. Samotność podpełza do niego jak węszący pies. Uporczywie krąży wokół niego. Odgania ją, ale ona nie chce zostawić go w spokoju.

Tomás natrafił na dziennik ojca Ulissesa kilka tygodni po tym, jak życie bezpowrotnie rozsypało mu się w proch. Odkrycie wiązało się z jego pracą w Narodowym Muzeum Sztuki Starożytnej, gdzie jest zatrudniony jako kustosz. Kardynał i patriarcha Lizbony, José Sebastião

de Almeida Neto, ofiarował dla muzeum kościelne i świeckie przedmioty, zebrane przez wieki na obszarze portugalskiego imperium. Muzeum wysłało Tomasa do archiwum episkopalnego na Rua Serpa Pinto, by ustalił dokładne pochodzenie tych pięknych artefaktów, drogę, jaką dany ołtarz, kielich, krucyfiks czy psalterz, obraz lub książka trafiły do rąk diecezji lizbońskiej.

Archiwa, które zobaczył, były dalekie od ideału. Najwyraźniej kolejni sekretarze arcybiskupów Lizbony nie przywiązywali wielkiej wagi do przyziemnego porządkowania tysięcy dokumentów. Na jednej z otwartych półek poświęconych patriarchatowi kardynała José Francisco de Mendonça Valdereisa, patriarchy Lizbony w latach 1788–1808, w części opatrzonej pobieżną nazwą *Miudezas* – Różności – zobaczył ręcznie zszyty tom oprawny w brązową skórę, z odręcznym tytułem, wciąż czytelnym pomimo przebarwień.

Co to było za życie, o jaki dar chodziło? – zastanawiał się Tomás. Czym były wskazówki? Kim był ojciec Ulisses? Kiedy otworzył książkę, grzbiet wydał odgłos łamiących się drobnych kosteczek. Oczom Tomasa ukazało się zaskakująco świeże pismo, czarny inkaust kontrastował z papierem o barwie kości słoniowej. Pochyłe litery, kaligrafowane gęsim piórem, pochodziły z innej epoki. Żółtawe marginesy świadczyły o tym, że te strony widziały bardzo mało światła, odkąd je zapisano. Tomás wątpił, by kardynał Valdereis kiedykolwiek przeczytał dziennik. Biorąc pod uwagę brak notki archiwalnej dołączonej do okładki czy wsuniętej do środka – żadnego numeru katalogowego, daty, komentarza – i brak wzmianki o dzienniku w indeksie, nabrał przekonania, że dziennika nikt nigdy nie czytał.

Przyjrzał się pierwszej stronie, na której odnotowano datę i miejsce: *17 września 1631, Luanda*. Ostrożnie przewracał kartki. Kolejne daty. Ostatni, choć bez dnia i miesiąca, był rok 1635. Zatem dziennik. Gdzieniegdzie natrafiał na odniesienia geograficzne: „góry Bailundu... góry Pungo Ndongo... stary szlak Benguela”, wszystkie z portugalskiej Angoli. Drugiego czerwca 1633 roku pojawiała się nowa lokalizacja: São Tomé, mała kolonia wyspiarska w Zatoce Gwinejskiej. „Płatek łupieżu z głowy Afryki, leżący wiele dni drogi na północ bagnistym wybrzeżem tego zapowietrzonego kontynentu”. Oczy Tomasa padły na zdanie zapisane kilka tygodni później: *Isso é minha casa*. „To jest dom”. Jednak zdania nie napisano tylko raz. Słowa wypełniały całą stronę. Cała stronica gęsto zapisana jednym krótkim zdaniem; powtarzające się

wersy nieco falowały. „To jest dom. To jest dom. To jest dom”. I kolejna strona, i ćwierć następnej: „To jest dom. To jest dom. To jest dom”.

Co to znaczyło? Po co te szaleńcze powtórzenia? Możliwą odpowiedź znalazł w miejscu, gdzie to samo powtarzające się zdanie pokrywało niemal dwie strony, z jedną różnicą: na końcu padała wskazówka świadcząca o tym, że zdanie było elipsą, którą autor za każdym razem dopowiadał w myślach: „To jest dom. To jest dom. To jest dom, w którym umieścił mnie Pan do czasu, gdy przytuli mnie do swej piersi”. Ojca Ulissesa najwyraźniej nękała silna tęsknota za domem.

Na jednej ze stron Tomás znalazł osobliwy szkic twarzy. Rysy nakreślono pospiesznie, ale starannie oddano żalobne oczy. Przyglądał się im wiele minut. Zatopił się w ich smutku. W jego umyśle wirowały wspomnienia o niedawno zmarłym synu. Wychodząc z archiwum, ukrył dziennik pośród mało ważnych papierów w swoim neseserze. Nie okłamywał siebie. To nie była nieformalna pożyczka, to była zwykła kradzież. Episkopalne archiwa Lizbony lekcewały dziennik ojca Ulissesa przez ponad dwieście pięćdziesiąt lat, więc i teraz nie będzie im go brakowało. Tomás chciał go w spokoju zbadać.

Gdy tylko znalazł czas, zaczął go czytać i przepisywać. Pracował powoli. Pismo, niekiedy całkiem czytelne, przechodziło miejscami w splątana kaligrafię; musiał mozolnie oddzielać poszczególne sylaby. Uderzające było, że początkową część dziennika napisano starannie, potem pismo znacznie się pogarszało. Końcowe strony z trudem dawało się odcyfrować. Kilku słów nie odczytał mimo usilnych prób.

Ta część dziennika, którą ojciec Ulisses pisał w Angoli, stanowiła tylko skrupulatną relację, umiarkowanie zajmującą. Autor był jeszcze jednym podwładnym biskupa Luandy, „siedzącego w cieniu na marmurowym tronie”, podczas gdy on uwijał się aż do stanu otępienia, chrzcząc niewolników. Za to na wyspie São Tomé ojcem Ulissesem zawładnęła desperacka siła. Oto rozpoczął pracę nad pewnym przedmiotem, tytułowym darem. Pochłaniała ona jego umysł i całą energię. Pisał o poszukiwaniu „najdoskonalszego drewna” oraz „odpowiednich narzędzi”; wspominał młodzińcze terminowanie w sklepie wuja. Opisywał, jak kilkakrotnie oliwi dar, by go zakonserwować. „Moje błyszczące dłonie są rzemieślnikami pełnej oddania miłości”. Pod koniec dziennika Tomás znalazł dziwne słowa, wychwalające doniosły charakter owego dzieła:

On lśni, krzyczy, szczeka i ryczy. Syn Boży zaprawdę wydaje gromki krzyk, wydaje ostatnie tchnienie, gdy świątynna zasłona rozdziera się z góry na dół. Dokonało się.

Gdzie terminował ojciec Ulisses, co takiego wytwarzał jego wuj? Co oliwił swymi dłońmi? Co lśniło, krzyczało, szczekało i ryczało? W dzienniku ojca Ulissesa Tomás nie mógł znaleźć odpowiedzi, wyławiał jedynie aluzje. Kiedy Syn Boży wydał gromki krzyk i ostatnie tchnienie? Na krzyżu. „Czy wobec tego tajemniczy przedmiot mógł być krucyfiksem?”, zastanawiał się Tomás. Z pewnością była mowa o jakiejś rzeźbie. Ale to nie wszystko. Według ojca Ulissesa chodziło o zupełnie nadzwyczajne dzieło. Ćma w duszy Tomasa drgnęła. Nagle przypomniał sobie ostatnie słowa Dory. Przykuta do łóżka, oburącz ścisnęła krucyfiks; bez względu na to, jak bardzo się rzucała i miotała, niezależnie od tego, jak krzyczała, nie wypuszczała go z rąk. To był tani mosiężny krzyż, nieduży, połyskujący matowo, w rodzaju tych, jakie wieszają się na ścianie. Dora umarła, przyciskając krucyfiks do piersi, w małym gołym pokoju, tylko w obecności Tomasa siedzącego na krześle przy łóżku. Gdy nadeszła ostatnia chwila, co poznał po nagłym urwaniu się jej głośnego, ochryplego oddechu (podczas gdy ich synek odszedł cicho, jak płatki opadające z kwiatu), poczuł, jakby po rzece przeciągnięto taflę lodu.

W następnych godzinach, gdy skończyła się długa noc i zaczął się ciągnąć nowy dzień, Tomás, czekając na grabarza, który wciąż się spóźniał, to uciekał z pokoju Dory, to wracał, odpychany przerażeniem, przyciągany przymusem. „Jak ja sobie bez ciebie poradzę?”, spytał ją raz błagalnie. Jego uwagę przykuł krucyfiks. Do tej pory praktykował religię, ale w głębi serca był wobec niej obojętny. Teraz pojął, że wiarę trzeba albo potraktować z całkowitą powagą, albo z całkowitą powagą ją odrzucić. Oscylując między bezgraniczną wiarą a bezgraniczną niewiarą, wpatrywał się w krucyfiks. Pomyślał, że do czasu podjęcia ostatecznej decyzji zachowa krucyfiks na pamiątkę. Jednak Dora, czy raczej ciało Dory, nie chciała puścić. Z niesłabnącą siłą trzymała krzyż, chociaż praktycznie podniósł ją z łóżka, próbując wyrwać go z jej dłoni. (Dla porównania, Gaspar był po śmierci miękki niczym duża wypchana lalka). Szlochając z wściekłości, skapitulował. W tej właśnie chwili powziął postanowienie, będące właściwie groźbą. Wbijając wzrok w krucyfiks, wysyczał: „Ty! Ty! Jeszcze się z Tobą porachuję, poczekaj tylko!”.

Grabarz przyszedł w końcu i zabrał Dorę z jej przeklętym krucyfiksem.

Jeżeli przedmiot wykonany przez ojca Ulissesa był tym, czego domyślał się Tomás na podstawie szalonej pisaniny księdza, musiał to być niezwykle, zaskakujący artefakt. Wywróciłby do góry nogami całe chrześcijaństwo. Ale czy przetrwał? To pytanie dręczyło Tomasa od chwili, gdy skończył czytać dziennik u siebie w mieszkaniu, po tym, jak wyniósł go ukradkiem z episkopalnego archiwum. W końcu ten przedmiot mógł zostać spalony lub porąbany na kawałki. Jednak w czasach przedindustrialnych, gdy dobra wykonywano pojedynczo i rozprowadzano powoli, jaśniały wartością, która zbladła wraz z nastaniem nowoczesnego przemysłu. Nawet ubrań nie wyrzucano. Skąpym strojem Chrystusa podzielili się rzymscy żołnierze, dla których był tylko nędznym żydowskim wichrzycielem. Skoro zwykłe ubrania przekazywano sobie z rąk do rąk, z pewnością zachowano by sporą rzeźbę, szczególnie jeśli miała charakter sakralny.

A zatem ów przedmiot albo pozostał na São Tomé, albo opuścił wyspę. Ponieważ była biedna i zajmowano się na niej handlem, Tomás przypuszczał, że raczej go wywieziono. Miał nadzieję, że do macierzystej Portugalii, ale mógł też trafić do jednej z licznych faktorii lub miasteczek rozsianych na afrykańskim wybrzeżu. W obu przypadkach przewożono by go drogą morską.

Po śmierci ukochanej i syna Tomás całymi miesiącami szukał śladów wytworu ojca Ulissesa. W archiwach państwowych Torre do Tombo wertował księgi portugalskich statków, pływających wzdłuż zachodniego wybrzeża Afryki w ciągu kilku lat po śmierci ojca Ulissesa. Pracował z założeniem, że przedmiot opuścił wyspę São Tomé na pokładzie portugalskiego statku. Gdyby wywieziono go na statku cudzoziemskim, Bóg jeden wiedział, gdzie mógł trafić.

Wreszcie natknął się na księgę okrętową kapitana Rodolfa Pereiry Pacheco, którego galeon wypłynął z São Tomé czternastego grudnia 1637 roku. Wśród innych towarów znajdowała się „podobizna naszego Pana na Krzyżu, osobliwa i cudowna”. Serce zabiło mu szybciej. To była pierwsza i jedyna, na jaką natrafił, wzmianka o obiekcie sakralnym związanym z tą upodloną kolonią.

Każdy przedmiot odnotowany w księdze okrętowej miał adnotację o porcie docelowym. Wiele towarów wyladowano na Złotym Wybrzeżu i Wybrzeżu Niewolników, gdzie sprzedano je lub wymieniono na inne. Obok krzyża wpisanego do księgi okrętowej kapitana Pacheco widniało: Lizbona. A więc krzyż dotarł do ojczyzny! Tomás wydał triumfalny okrzyk, całkiem niestosowny w czytelni archiwów państwowych.

Przerzucił do góry nogami całe Torre do Tombo, próbując ustalić, dokąd trafił krucyfiks ojca Ulissesa po dotarciu do Lizbony. Odpowiedź znalazł ostatecznie nie w archiwach państwowych, ale w episkopalnych, gdzie zaczynał. Ironia była jeszcze bardziej irytująca. Odpowiedź, w postaci dwóch listów, spoczywała na tej samej półce z archiwaliami kardynała Valdereisa, na której odkrył dziennik, tuż obok miejsca, gdzie leżał, zanim Tomás go zgarnął. Gdyby tylko dziennik przymocowano do listów sznurkiem, oszczędziłoby mu to wiele pracy.

Pierwszy list, z datą dziewiątego kwietnia 1804 roku, pochodził od biskupa Bragançy, António Luísa Cabrala e Câmary, który pytał, czy dobry kardynał Valdereis miałby może jakiś dar dla parafii w Wysokich Górach Portugalii, gdzie w wyniku niedawnego pożaru spłonęło kościelne prezbiterium. Biskup zaznaczał, że chodzi o „światny stary kościół”, ale nie wymieniał jego nazwy ani lokalizacji. W odpowiedzi, której kopię dołączono do korespondencji biskupa Câmary, kardynał Valdereis pisał: „Z przyjemnością ślę Ci obiekt kultu, który znajduje się od pewnego czasu w diecezji lizbońskiej, niezwykle przedstawienie naszego Pana na Krzyżu, pochodzące z kolonii afrykańskich”. Skoro list leżał tuż obok dziennika z kolonii afrykańskich, czy wzmianka mogła dotyczyć czegokolwiek innego niż dzieła ojca Ulissesa? Zdumiewające, że choć kardynał Valdereis miał przedmiot tuż pod nosem, nie potrafił go właściwie ocenić. Jednak duchowny nie wiedział – a więc i nie widział.

Wymiana listów z diecezją w Bragançie ujawniła, że w okresie, gdy był biskupem Câmary, nie zanotowano w ich urzędzie żadnego afrykańskiego przedmiotu. Tomás czuł rosnącą irytację. Dzieło, które było osobliwe i cudowne tam, gdzie powstało, w Lizbonie nabrało wyjątkowości tylko po to, by w rękach prowincjuszy stać się zwyczajne. Albo celowo ukryto jego charakter. Tomás musiał zmienić taktykę. Krucyfiks posłano do kościoła spustoszonego przez pożar. Archiwa mówiły, że między rokiem 1793, gdy Câmara konsekrowano na biskupa Bragançy, a 1804, kiedy napisał do kardynała Valdereisa, w kilku kościołach w Wysokich Górach Portugalii doszło do pożarów o różnym natężeniu. Taką cenę płaciło się za oświetlanie kościołów świecami i pochodniami oraz za palenie kadzideł w święta. Câmara napisał, że krucyfiks miał zostać wysłany do „świątyni starego kościoła”. Który dom boży mógł sobie zaskarbić tak przychylną opinię biskupa? Tomás podejrzewał, że chodziło o kościół gotycki, może romański. Co oznaczało, że zbudowano go w piętnastym wieku lub

wcześniej. Sekretarz diecezji Bragança nie okazał się światłym historykiem Kościoła. Dalsze poszukiwania Tomasa ujawniły, że na pochlebną ocenę biskupa Câmara mogło zasługiwać pięć znacznie oddalonych od siebie kościołów: São Julião de Palácios, Santalha, Mofreita, Guadramil i Espinhosela.

Tomás napisał do księży we wszystkich pięciu kościołach, ale odpowiedzi nie rozstrzygnęły kwestii. Każdy duchowny wychwalał swój kościół, wygłaszał peany na cześć jego wieku i urody. Można by sądzić, że w Wysokich Górach Portugalii wprost roilo się od replik Bazyliki Świętego Piotra. Żaden z księży nie miał jednak do powiedzenia nic szczególnego na temat krucyfiksu przy ołtarzu głównym. Wszyscy pisali, że krzyż jest poruszającym owocem wiary, ale żaden nie wiedział, kiedy i skąd trafił do kościoła. W końcu Tomás uznał, że nie pozostaje mu nic innego, jak udać się tam osobiście i ustalić, czy nie mylił się co do krucyfiksu ojca Ulissesa. To, że musi jechać w Wysokie Góry Portugalii, daleki, odludny zakątek na północnym wschodzie kraju, stanowiło niewielką przeszkodę, Wkrótce będzie miał krucyfix w dłoniach.

Czyjś głos wyrwał go z zamyślenia.

– Dzień dobry, senhor Tomás. Idzie pan do nas, tak?

Stary dozorca Afonso otworzył bramę i z góry spogląda na Tomasa. Jakim cudem otworzył ją tak cicho?

– Tak, Afonso.

– Źle się pan czuje?

– Nic mi nie jest.

Tomás wstaje z ziemi, chowając dziennik do kieszeni. Dozorca pociąga za sznur dzwonka. Gdy dzwonek brzeczy, Tomás czuje zdenerwowanie. Musi wejść do środka. Nie chodzi tylko o ten dom, gdzie zmarli Dora i Gaspar; wszystkie domy tak na niego działają. Miłość jest domem o wielu pokojach. W jednym się ją karmi, w innym bawi, w jeszcze innym myje, w tamtym ubiera, a w tym pozwala się jej odpocząć; każdy z tych pokojów może też służyć do śmiechu, słuchania, zwierzenia się z sekretów, dąsania się, przeprosin, może służyć intymnej bliskości, a są też oczywiście pokoje dla nowych domowników. Miłość jest domem, gdzie rury każdego ranka bulgoczą nowymi emocjami, spuszczana woda przerywa nasze spory, jasne okna otwierają się, by wpuścić świeże powietrze nowej dobrej woli. Miłość jest domem o niewzruszonych fundamentach i niezniszczalnym dachu. Kiedyś Tomás miał taki dom, ale uległ on zburzeniu. Teraz nigdzie nie czuje się jak w domu – jego mieszkanie w Alfamie jest gołe jak mnisia cela –

a przekraczanie każdego progu przypomina mu tylko o bezdomności. Dobrze wie, że właśnie to przyciągnęło go do ojca Ulissesa: wspólna bezdomność. Tomás pamięta słowa napisane przez duchownego po śmierci żony gubernatora São Tomé, jedynej Europejki na wyspie. Druga taka kobieta mieszkała w Lagos, odległym o osiemset kilometrów od morza. Ojciec Ulisses nigdy właściwie nie poznał żony gubernatora. Widział ją tylko kilka razy.

Śmierć białego człowieka wywołuje silniejszy ból na tej zapowietrzanej wyspie niż w Lizbonie. A co dopiero kobiety! Jej odejście jest trudne do zniesienia. Obawiam się, że widok kobiety mojej rasy już nigdy mnie nie pocieszy. Koniec piękna, wytworności, gracji. Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam.

Tomás i Afonso przechodzą przez brukowany dziedziniec; dozorca z szacunkiem trzyma się nieco z przodu. Tomás jak zwykle idzie tyłem, więc ich plecy niemal się stykają. Przy frontowych schodach Afonso z pokłonem usuwa się na bok. Ponieważ stopni jest niewiele, Tomás wchodzi tyłem. Zanim jeszcze dociera do drzwi, otwierają się za nim i wchodzi tyłem do domu. Zerkając przez ramię, widzi oczekującego Damiãna, wieloletniego kamerdynera stryja, który zna Tomasa od dziecka. Uśmiechnięty Damiãno stoi z rozłożonymi rękami. Tomás okręca się twarzą do kamerdynera.

– Witaj, Damiãno.

– Menino Tomás, jak miło pana widzieć. Dobrze się pan czuje?

– Owszem, dziękuję. Jak się miewa moja ciotka Gabriela?

– Znakomicie. Oświeć nas niczym słońce.

Skoro o słońcu mowa, to wpada przez wysokie okna, oświetlając piękne przedmioty w holu. Stryj zbił fortunę na handlu afrykańskimi towarami, głównie drewnem i kością słoniową. Jedną ze ścian zdobią dwa ogromne słoniowe kły, między którymi widnieje przepyszny portret króla Carlosa I. Sam monarcha stał przed tą podobizną, gdy zaszczycił stryja swoją obecnością. Na innych ścianach wiszą skóry zebr i lwów, a nad nimi głowy różnych zwierząt; jest lew i zebra, ale także eland, hipopotam, gnu, żyrafa. Skórami obito też krzesła i kanapę. W niszach i na półkach wystawiono afrykańskie artefakty: naszyjniki, drewniane popiersia wykonane przez wiejskich rzeźbiarzy, talizmany gris-gris, noże, dzidy, barwne tkaniny, bębny i tym podobne. Za scenografię służą obrazy: pejzaże, portrety portugalskich posiadaczy ziemskich i usługujących im tubylców; jest też duża mapa Afryki

z zaznaczonymi dobrami portugalskimi. Po prawej stronie, artystycznie umieszczony w wysokiej trawie, skrada się wypchany lew.

Ten hol to muzealna zbieranina, kulturowy miszmasz; każde dzieło sztuki wyrwano z kontekstu, który nadawał mu sens. Dora jednak podziwiała ten kolonialny róg obfitości. Hol budził w niej dumę z portugalskiego imperium. Dotykała wszystkich przedmiotów, których mogła dosięgnąć, oprócz lwa.

– Cieszę się, że moja ciotka dobrze się czuje. Stryj jest w gabinecie? – pyta Tomás.

– Oczekuje pana na dziedzińcu. Będzie pan łaskaw pójść za mną.

Tomás odwraca się i tyłem rusza za kamerdynerem przez hol, potem przez wyłożony dywanem korytarz z obrazami i dziełami sztuki w gablotach. Idący przed Tomaszem Damião otwiera dwa skrzydła przeszklonych drzwi i usuwa się na bok. Tomás wychodzi na półkolisty podest i słyszy donośny głos stryja.

– Tomás, to nosorożec iberyjski!

Tomás spogląda przez prawe ramię. Idzie trzy stopnie w dół, na spory dziedziniec, szybko podchodzi i odwraca się twarzą do stryja. Podają sobie ręce.

– Stryju Martimie, jak dobrze cię widzieć. Wszystko w porządku?

– Jakże miałoby być inaczej? Cieszę się, że widzę mojego jedyne go bratanka.

Tomás już ma ponownie spytać o ciotkę, ale stryj macha ręką na uprzejmości.

– Dość już, dość. I co sądzisz o moim nosorożcu iberyjskim? – pyta, wskazując dłonią. – To duma mojej menażerii!

Zwierz stoi na środku dziedzińca, nieopodal szczupłego i wysokiego Sabia, który go pilnuje. Tomás patrzy na nosorożca. Chociaż łagodne matowe światło spowija zwierzę atrakcyjną mgiełką, nosorożec jawi się mu jak farsowe monstrum.

– Jest... wspaniały – mówi w końcu.

Mimo topornego wyglądu nosorożca, Tomás zawsze oplakiwał los tego zwierzęcia, które niegdyś wędrowało po wiejskich terenach jego kraju. Czy ostatnim bastionem nosorożca iberyjskiego nie były właśnie Wysokie Góry Portugalii? Jak osobliwie zawładnął on portugalską wyobraźnią. Ludzki postęp przyniósł mu zgubę. W pewnym sensie nosorożca przejechała nowoczesność. Tropiono go, polowano, aż całkiem wyginął, komiczny jak staroświecki pomysł, ale gdy tylko zniknął, zaczęto za nim tęsknić. Teraz stał się pożywką dla *fado*,

nieodłącznym elementem szczególnej portugalskiej melancholii, *saudade*. Myśląc o tym dawno wybitym stworzeniu, Tomás czuje właśnie *saudade*. Jest, jak to się mówi, *tão docemente triste quanto um rinoceronte*, słodko smutny jak nosorożec.

Jego odpowiedź raduje stryja. Tomás przygląda mu się z pewnym niepokojem. Brat jego ojca wypchał swój solidny szkielet bogactwem, szacowną warstwę tłuszczu nosi z żartobliwą dumą. Mieszka w dzielnicy Lapa, pławi się w luksusie. Wydaje astronomiczne sumy na każdą nową błyskotkę. Kilka lat temu spodobał mu się rower, dwukołowy pojazd napędzany przez samego pasażera. Na stromych brukowanych ulicach Lizbony rower jest nie tylko niepraktyczny, ale wręcz niebezpieczny. Bez obaw można na nim jeździć jedynie w parkach; podczas niedzielnych przejażdżek rowerzysta zatacza kółka, denerwując spacerowiczów, strasząc ich dzieci i psy. Stryj zgromadził całą kolekcję francuskich rowerów Peugeot. Potem zaczął nabywać zmotoryzowane rowery, jeżdżące jeszcze szybciej niż zwykle i robiące też większy hałas. Teraz przed Tomaszem stoi najnowsza osobliwość, kupiona całkiem niedawno.

– Ależ stryju – odzywa się niepewnie. – Widzę tylko automobil.

– Mówisz „tylko”? – odpowiada stryj. – Cóż, ten cud techniki jest odwiecznym duchem naszego narodu, wskrzeszonym na nowo. – Stawia nogę na wąskim stopniu biegnącym z boku, od przednich do tylnych kół. – Przyznaję, że się wahałem. Który model ci pożyczyć? Darracq, De Dion-Bouton, Unic, Peugeot, Daimler, może nawet amerykański Oldsmobile? To był trudny wybór. W końcu, ponieważ jesteś moim drogim bratankiem, przez pamięć o moim nieodżałowanym bracie, wybrałem najwspanialszy model ze wszystkich. Oto najnowszy czterocyldrowy renault, arcydzieło sztuki inżynieryjnej. Sam popatrz! To dzieło nie tylko jaśnieje mocą logiki, ale śpiewa uwodzącą poezją. Pozbądźmy się zwierzęcia, które tak zanieczyszcza nasze miasta! Automobil nigdy nie śpi... Czy koń potrafi tego dokonać? Nie sposób też porównywać ich moc. Ocenia się, że ten renault posiada silnik o mocy czternastu koni, ale to zaniżone szacunki. Dysponuje raczej mocą dwudziestu koni. Konie mechaniczne są potężniejsze niż te żywe, więc wyobraź sobie powóz zaprzężony w trzydzieści koni. Widzisz to, trzydzieści koni w dwóch rzędach, uderzają kopytami w ziemię, ocierają się o wędzidło? Nie musisz sobie tego wyobrażać. Stoi tu przed tobą. Trzydzieści koni zamknięto w metalowej skrzynce, którą umieszczono między tymi przednimi

kołami. Cóż za wyczyn! Jakaż oszczędność! Jeszcze nigdy starego dobrego ognia nie użyto w tak genialny sposób. Gdzie tu odchody, które tak rażą u konia? Nie ma ich, zostaje tylko obłoczek dymu, który rozwiewa się w powietrzu. Automobil jest równie niegroźny jak papieros. Zachowaj w pamięci moje słowa, Tomasie. To stulecie zostanie zapamiętane jako stulecie obłoku dymu!

Stryj promienieje, wprost rozsadza go duma i radość z galijskiej błyskotki. Tomás zachowuje powściągliwość. Nie podziela zauroczenia stryja automobilami. W ostatnim czasie kilka tych nowych wynalazków pojawiło się na lizbońskich ulicach. W konnym ruchu miejskim, wcale nie takim głośnym, automobile przejeżdżają z rykiem, niczym wielkie bzyżące insekty, obrażają oczy, powodują ból uszu i drażnią nos. Nie dostrzega w nich piękna. Należący do stryja egzemplarz w kolorze burgunda nie jest wyjątkiem. Brak mu elegancji i symetrii. Kabina wydaje się absurdalnie duża w porównaniu z ciasną stajnią na przodzie, gdzie upchnięto trzydzieści koni. Metal – a jest go wiele – błyszczy rażąco, chciałoby się rzec: nieludzko.

Tomás chętnie wyruszyłby w Wysokie Góry Portugalii na grzbiecie tradycyjnego zwierzęcia, ale jedzie w święta Bożego Narodzenia, kiedy przysługuje mu wolne, a poza tym wziął kilka dni urlopu, które praktycznie na kolanach wybłagał u naczelnego kustosa muzeum. Czyli na całą misję ma zaledwie dziesięć dni. Odległość jest za duża, a czas zbyt ograniczony. Koń na nic by się nie zdał. Tak więc musi skorzystać z uprzejmie zaproponowanego przez stryja, choć szpetnego wynalazku.

Trzaskając drzwiami, Damião wchodzi na podwórze z kawą i ciastkami figowymi na tacy. Stawia ją na stoliku i przysuwa dwa krzesła. Tomás i stryj siadają. Leje się mleko, sypie cukier. Chwila w sam raz odpowiednia na błahą pogawędkę, ale Tomás pyta bez ogródek:

– Więc jak to działa, stryju?

Zadaje to pytanie, ponieważ nie chce myśleć o tym, co znajduje się tuż za automobilem, pod murem okalającym posiadłość stryja, obok ścieżki wiodącej do mieszkań dla służby: o rzędzie drzew pomarańczowych. Właśnie tam zwykł czekać na niego synek, kryjąc się za niezbyt grubym pniem. Gdy tylko ojciec go dostrzegł, Gaspar uciekał z krzykiem. Tomás gonił brzdąca, udając, że stryj i ciotka oraz ich liczni szpiedzy nie zauważają, jak chłopczyk idzie ścieżką, podobnie jak służący udają, że nie widzą, jak wchodzi do ich pomieszczeń. Tak,

zdecydowanie lepiej rozmawiać o samochodach, niż patrzeć na te drzewa.

– O, dobrze, że pytasz! Pozwól, że pokażę ci cud, jaki kryje się w środku – odpowiada stryj, zrywając się z krzesła.

Tomás podchodzi za nim do maszyny, a stryj podnosi metalową maskę i podpira ją na zawiasach. Widać płataninę rur i pękatek fragmentów lśniącego metalu.

– Podziwiaj! – nakazuje stryj. – Czterocyldrowy silnik o pojemności trzech tysięcy pięćdziesięciu czterech centymetrów sześciennych. Piękno i bojaźń. Zwróć uwagę na kolejność: silnik, chłodnica, sprzęgło, przekładnia biegów z ruchomą zębatką, napęd na tylną oś. Oto układ przyszłości. Najpierw jednak objaśnię ci cudowne działanie silnika spalinowego.

Stryj pokazuje palcem, jakby w ten sposób mógł odsłonić magię rozgrywającą się wewnątrz silnika.

– Tutaj karburator wtryskuje motonaftę do komór. Magnes aktywuje świece iskrowe, przez co opary ulegają zapłonowi i wybuchają. Te tłoki cofają się...

Niczego nie rozumiejąc, Tomás patrzy oniemiały. Na koniec triumfalnych objaśnień stryj bierze z fotela kierowcy grubą książkę i podaje ją bratankowi.

– To jest podręcznik obsługi samochodu. Jeśli czegoś nie zrozumiałeś, odpowiedź znajdziesz tutaj.

Tomás zerka na podręcznik.

– Przecież to po francusku, stryju.

– Tak, Renault Frères to francuska firma.

– Ale...

– Do twego wyposażenia dołączyłem słownik francusko-portugalski. Musisz pamiętać o należytych smarowaniu samochodu.

– Smarowaniu? – Równie dobrze stryj mógłby mówić właśnie po francusku.

Lobo ignoruje pytającą minę bratanka.

– Czyż błotniki nie są eleganckie? Wiesz, z czego je wykonane? – pyta stryj, klepiąc jeden z błotników. – Z uszu słonia! Kazałem je na zamówienie zrobić w Angoli. Podobnie obudowa kabiny: najdelikatniejsza skóra słoniowa.

– A to co? – pyta Tomás.

– Klakson. Żeby ostrzegać, uprzedzać, przypominać, wabić, skarżyć się.

Stryj ściska sporą gumową gruszkę znajdującą się po lewej stronie kierownicy. Z trąbki dobywa się wibrujący dźwięk, podobny do tego, jaki wydaje tuba. Jest donośny, zwraca uwagę. Tomás wyobraża sobie konnego jeźdźca, który trzyma pod pachą gęś, niczym kobzę, i ściska ptaka, gdy zbliża się niebezpieczeństwo. Nie potrafi stłumić śmiechu.

– Mogę spróbować?

Kilkakrotnie ściska gruszkę. Za każdym razem, gdy słyszy trąbienie, wybucha śmiechem. Po chwili przestaje, widzi bowiem, że stryja bawi to mniej, i zmusza się do słuchania dalszego motoryzacyjnego bełkotu. Stryj nie tyle objaśnia, ile wygłasza peany. Gdyby ta dość cuchnąca metalowa zabawka mogła okazywać uczucia, z pewnością poczerwieniałyby z zażenowania.

W końcu dochodzą do idealnie okrągłej kierownicy wielkości dużego talerza. Lobo ponownie sięga do kabiny i kładzie rękę na kierownicy.

– Aby skręcić w lewo, obracasz kierownicę w lewo. Jeśli chcesz skręcić w prawo, obracasz ją w prawo. Aby jechać prosto, trzymasz kierownicę prosto. Całkiem logiczne.

Tomás przygląda się uważniej.

– Ale w jaki sposób nieruchome koło może się obracać w lewo lub w prawo?

Stryj wpatruje się w jego twarz i mówi:

– Nie wiem, czy rozumiem to, czego nie da się zrozumieć. Widzisz górną część kierownicy, tuż obok mojej dłoni? Widzisz, tak? Wyobraź sobie, że znajduje się tu punkt, mały biały punkcik. Jeśli przekręcę kierownicę w tę stronę... – Obraca kierownicą. – Widzisz, jak biały punkcik przesuwa się w lewo? Tak? No właśnie, wtedy automobil skręci w lewo. A teraz widzisz, że kiedy przekręcę kierownicę w tę stronę... – robi to – ...biały punkcik przesuwa się w prawo. Czy teraz jest to jasne?

– Ale spójrz... – Tomás z zafrasowaną miną pokazuje palcem – ...na dół kierownicy! Gdyby tutaj znajdował się biały punkcik, przesuwałby się w przeciwnym kierunku. Górę kierownicy mógłbyś przesuwać w prawo, ale jej dół obracałby się w lewo. A co z bokami? Gdy obracasz kierownicę w lewo i w prawo, jeden jej bok przesuwasz też w górę, a drugi w dół. Twoje twierdzenie, że obracasz kierownicę w jednym konkretnym kierunku, przypomina mi jeden z paradoksów wymyślonych przez greckiego filozofa Zenona z Elei.

Lobo z konsternacją patrzy na kierownicę, na jej górę, dół oraz boki. Bierze długi, głęboki wdech.

– Tak czy inaczej, Tomasie, musisz prowadzić ten automobil zgodnie z tym, jak go zaprojektowano. Utrzymuj wzrok na górnej części kierownicy, resztę ignoruj. Możemy kontynuować? Musimy omówić inne szczegóły, takie jak posługiwanie się sprzęgłem i przekładnią biegów...

Swoją przemowę stryj wzbogaca ruchami dłoni i stóp, ale Tomás nic z jego słów nie pojmuje. Na przykład co to jest moment siły, *torque*? Czy Półwysep Iberyjski nie miał już dość *torque* w czasach wielkiego inkwizytora Torquemady? I jaki człowiek przy zdrowych zmysłach zrozumiałby „podwójne sprzęgło”?

– Zaopatrzyłem cię w kilka rzeczy, które mogą się okazać przydatne.

Stryj otwiera drzwi kabiny, umieszczone w jej tylnej części. Tomás pochyła się i zagląda do automobilu. W środku panuje półmrok. Pewne elementy nadają pojazdowi przytulny, domowy charakter: czarna kanapa obita delikatną skórą, ściany i sufit pokryte wypolerowanymi cedrowymi listewkami. Przednia i boczne szyby przypominają okna eleganckiego domu; szkło wysokiej jakości osadzono w lśniących metalowych ramach. Tylna szyba nad kanapą jest tak starannie oprawiona, że mogłaby wisieć na ścianie jako obraz. Ale te rozmiary! Sufit jest tak nisko. Kanapa może pomieścić najwyżej dwie osoby. Każde z bocznych okien jest tak małe, że może przez nie wyglądać tylko jeden człowiek. Gdyby tylna szyba istotnie była obrazem, to tylko miniaturą. Aby dostać się do ciasnego wnętrza, należy się pochylić i wcisnąć w drzwi. Co się stało z przestronną otwartością konnego powozu? Tomás cofa się i zerka na jedno z bocznych lusterek. Pasowałoby do pomywalni. Poza tym czy stryj nie wspominał o ogniu w silniku? Tomás czuje się trochę nieswojo. To małe pomieszczenie na kołach, z elementami salonu, pomywalni oraz kominka, stanowi żałosne przyznanie się, że ludzkie życie nie jest niczym więcej niż właśnie tym: próbą zadomowienia się w pędzie ku nicości.

Tomás dostrzega też w środku całą masę przedmiotów. Oto jego walizka zawierająca niezbędne drobiazgi osobiste. Ważniejszy jest kufer z papierami, pełen ważnych dokumentów: jego korespondencja z sekretarzem biskupa Bragançy oraz z kilkoma księżmi z parafii w Wysokich Górach Portugalii; przepisany dziennik ojca Ulissesa; archiwalne wycinki gazetowe o pożarach wiejskich kościołów w tym samym regionie; wyimki z księgi okrętowej portugalskiego statku wracającego do Lizbony w połowie siedemnastego wieku, a także rozmaite monografie dotyczące historii architektury północnej

Portugali. W tym samym kufrze spoczywałyby bezpiecznie – gdyby nie nosił go w kieszeni, choć to szaleństwo – dziennik ojca Ulissea. Walizka i kufer leżą obok beczulek, skrzynek, puszek i toreb. Wnętrze samochodu to prawdziwa jaskinia pełna skarbów, które zadowolilyby czterdziestu rozbójników.

– Ali Baba, stryju Martimie! Tyle rzeczy? Nie zamierzam wędrować przez Afrykę. Jadę tylko w Wysokie Góry Portugali, kilka dni drogi stąd.

– Jedziesz dalej, niż myślisz – ripostuje stryj. – Zapuścisz się w okolice, gdzie nigdy nie widziano samochodu. Musisz być samowystarczalny. Dlatego zapakowałem porządny brezent przeciwdeszczowy i koce, choć lepiej, jeśli będziesz spał w kabinie. W tamtej skrzynce są wszystkie potrzebne narzędzia. Obok leży oliwiarka. Tu masz dwudziestolitrową beczkę wody do chłodnicy, a w tej jest motonafta, eliksir życiowy pojazdu. Uzupełniaj zapasy tak często, jak możesz, bo w pewnym momencie będziesz zdany wyłącznie na siebie. Po drodze wypatruj aptek, sklepów rowerowych, kuźni, kowali. Mogą mieć paliwo, choć pod innymi nazwami: nafta, olej mineralny lub tym podobne. Zanim kupisz, powąchaj. Zaopatrzyłem cię też w prowiant. Samochód najlepiej prowadzi dobrze odżywiony kierowca. – Z torby leżącej na podłodze kabiny stryj wyciąga parę jasnych skórzanych rękawiczek. – Teraz sprawdź, czy pasują.

Tomás przymierza je, nieco zaskoczony. Pasują jak ulał. Gdy zgina dłoń w pięść, przyjemnie elastyczna skóra skrzypi.

– Dziękuję – mówi niepewnie.

– Dbaj o nie. Też są z Francji.

Następnie stryj wręcza mu duże szkaradne gogle. Tomás ledwie zdążył je założyć, gdy stryj wydobywa beżowy płaszcz z futrzaną podszewką, sięgający daleko za kolana.

– Woskowana bawełna i norki. Najwyższa jakość – mówi.

Tomás wkłada ciężki, obszerny płaszcz. Na koniec Lobo nasadza mu na głowę czapkę wiążaną pod brodą. W rękawiczkach, płaszczu, goglach i czapce Tomás czuje się jak wielki grzyb.

– Stryju, po co ten strój?

– Oczywiście do prowadzenia samochodu. Na kurz i wiatr. Na deszcz i mróz. Jest grudzień. Nie widziałeś, jak wygląda przód pojazdu?

Tomás patrzy. Stryj ma rację. Tył samochodu składa się z zamkniętej kabiny dla pasażerów. Za to przód osłaniają przed żywiołami jedynie dach i przednia szyba. Po bokach nie ma drzwi ani okien. Wiatr, pył i deszcz mogą bez przeszkód wpadać do środka. Tomás zżyma się

w duchu. Gdyby stryj nie wyładował tak kabiny, przez co nie sposób się tam wcisnąć, mógłby się skryć, a za kierownicą posadzić Sabia.

– Dołączyłem najlepsze, jakie istnieją, mapy – ciągnie stryj. – Kiedy nie będą przydatne, polegaj na kompasie. Jedziesz na północ, na północny wschód. Portugalskie drogi są w opłakanym stanie, ale automobil ma znakomite zawieszenie na resorach. Poradzą sobie ze wszystkimi koleinami. Jeśli droga będzie dawać ci się we znaki, pij dużo wina. Zapakowałem ci dwa bukłaki. Unikaj oberży i zajazdów dla woźniców. To nie są twoi przyjaciele. Całkiem zrozumiałe. Należy się spodziewać pewnej wrogości ze strony ludzi, którzy widzą w automobilu zagrożenie dla swego bytu. Co się tyczy reszty zapasów, zorientujesz się co i jak. Powinniśmy ruszać. Sabio, jesteś gotowy?

– Tak, senhor – odpowiada Sabio energicznie jak żołnierz.

– Wezmę kurtkę. Odprowadzę cię do rogatek Lizbony, Tomasie.

Stryj wraca do domu. Tomás zdejmuje komiczny strój kierowcy i odkłada do kabiny. Po chwili stryj wybiega na dziedziniec, w kurtce i rękawiczkach, zarumieniony z podniecenia, emanując niemal przerażającą energią.

– A tak przy okazji, Tomasie! – woła. – Zapomniałem cię spytać. Czemu, na Boga, tak bardzo chcesz jechać w Wysokie Góry Portugalii?

– Szukam czegoś – mówi Tomás.

– Czego?

– Czegoś w kościele – odpowiada po chwili wahania. – Nie wiem tylko w którym, w której wiosce.

Stryj przygląda się mu bacznie. Tomás zastanawia się, czy powinien powiedzieć więcej. Ilekroć stryj przychodzi do Muzeum Sztuki Starożytnej i ogląda eksponaty, ma szklisty wzrok.

– Czy słyszałeś o Karolu Darwinie, stryju? – pyta Tomás.

– Owszem, słyszałem o Darwinie – mówi Lobo. – Co, czyżby pochowano go w kościele w Wysokich Górach Portugalii? – Śmieje się. – Chcesz przywieźć jego ciało i z należyтым szacunkiem umieścić w Muzeum Sztuki Starożytnej?

– Nie. W pracy natrafiłem na dziennik napisany na São Tomé w Zatoce Gwinejskiej. Ta wyspa była od drugiej połowy piętnastego wieku portugalską kolonią.

– Marną kolonią. Zatrzymałem się tam raz w drodze do Angoli. Zastanawiałem się, czy nie zainwestować w tamtejsze plantacje kakao.

– Ta wyspa miała duże znaczenie podczas handlu niewolnikami.

– Cóż, dzisiaj produkuje kiepską czekoladę. Ale plantacje są piękne.

– Bez wątpienia. Dzięki dedukcji na podstawie trzech niepowiązanych elementów, wspomnianego już dziennika, księgi okrętowej statku wracającego do Lizbony oraz pożaru wiejskiego kościoła w Wysokich Górach Portugalii, natrafiłem na niezwykle skarb i mniej więcej ustaliłem jego lokalizację. Jestem u progu wielkiego odkrycia.

– Naprawdę? Co to konkretnie za skarb? – pyta stryj, nie spuszczać wzroku z bratanka.

Tomás czuje silną pokusę. Przez długie miesiące nikomu, zwłaszcza kolegom, nie wspominał o swoim odkryciu ani nawet o badaniach. Wszystko robił prywatnie, poza pracą. Jednak każdy sekret pragnie, by go wyjawiono. Zresztą za kilka dni przedmiot zostanie odnaleziony. Czemu więc nie powiedzieć stryjowi?

– To jest... rzeźba sakralna, sądzę, że krucyfiks – mówi.

– Właśnie tego potrzebuje ten katolicki kraj.

– Nie, nie rozumiesz. To bardzo szczególny krucyfiks. Cudowny.

– Poważnie? A jaki ma związek z Darwinem?

– Zobaczysz. – Tomás rumieni się z przejęcia. – Ten Chrystus na krzyżu ma coś ważnego do powiedzenia. Jestem pewien.

Stryj czeka na dalsze informacje, ale Tomás milczy.

– Cóż, mam nadzieję, że zbijesz dzięki temu majątek. Ruszamy. – Stryj zajmuje miejsce za kierownicą. – Pokażę ci, jak uruchomić silnik. – Klaszcze i woła: – Sabio!

Sabio, z dłońmi w gotowości, podchodzi, wpatrując się w automobil.

– Przed uruchomieniem silnika należy otworzyć zawór motonafty... brawo, Sabio... przepustnicę, tutaj, pod kierownicą, trzeba wysunąć do połowy, o tak, natomiast przekładnię biegów ustawić w ten sposób. Potem przekręcasz włącznik magnetyczny na tablicy rozdzielczej i otwierasz pokrywę na masce... nie trzeba podnosić całej maski, widzisz tę małą pokrywę z przodu? ...po czym raz czy dwa przyciskasz karburator, żeby go zalać. Widzisz, jak Sabio to robi? Następnie zamykasz pokrywę i pozostaje już tylko przekręcić korbę startową. Siadasz za kierownicą, zwalniasz hamulec ręczny, wrzucasz pierwszy bieg i jedziesz. To dziecinnie proste. Jesteś gotów, Sabio?

Sabio staje mocno na rozstawionych nogach, pochyla się nad silnikiem i chwyta korbę, cienki pręt wystający z przodu automobilu. Z napiętymi plecami i rękami nagle pociąga korbę mocno do góry, prostując się, a potem, gdy korba wykonuje półobrót, napiera na nią całym ciałem, pchając w dół, po czym znów ciągnie korbę w górę. Całą

operację powtarza bardzo energicznie, aż nie tylko cały automobil zaczyna się trząść, ale też korba obraca się dwa, może trzy razy. Tomás już ma pochwalić sprawność Sabia, lecz właśnie widzi efekt kręcenia korbą. Automobil ożywa. Głęboko we wnętrzościach pojazdu rozlega się niskie prychnięcie, potem seria ogłuszających wybuchów. Gdy automobil zaczyna dygotać, stryj woła:

– Wskakuj! Pokażę ci, do czego zdolny jest ten niezwykły wynalazek!

Tomás niechętnie, lecz szybko, zajmuje miejsce obok stryja na miękkim siedzeniu biegnącym przez całą szerokość kabiny kierowcy. Stryj porusza dłońmi i stopami, ciągnąc i naciskając. Tomás widzi, jak Sabio wsiada na stojący pod murem motocykl i uruchamia silnik. Dobrze będzie mieć tego chłopaka ze sobą.

Z nagłym szarpnięciem pojazd rusza.

Szybko nabierając prędkości, opuszcza dziedziniec i wyjeżdża przez otwartą bramę posiadłości Lobo na Rua do Pau de Bandeira, gdzie ostro skręca w prawo. Tomás przesuwając się po gładkim skórzanym obiciu i wpada na stryja.

Wprost nie może uwierzyć w przenikające do szpiku kości i przyprawiające o zawrót głowy drganie związane z hałasem, bo takie wstrząsy mogą pochodzić tylko od takiego ryku. Pojazd ani chybi za chwilę rozpadnie się na kawałki. Tomás pojmuje, że opacznie zrozumiał wyjaśnienia stryja co do resorów. Ich celem z pewnością jest ochrona, ale kolein przed automobilem, a nie automobilem przed koleinami.

Jeszcze bardziej niepokoi go niezmiernie szybki, samodzielny ruch pojazdu do przodu. Wychylając się, Tomás patrzy do tyłu i myśli – ma nadzieję – że ujrzy mieszkańców Lobo, oraz wszystkich członków rodziny i całą służbę, pchających automobil i zaśmiewających się z dowcipu, jaki mu zrobili. (Gdyby tak Dora była w grupie pchających!) Nikt jednak nie pcha. Wydaje mu się nierealne, że żadne zwierzę nie pcha ani nie ciągnie pojazdu. Oto ma do czynienia ze skutkiem bez przyczyny, a zatem z czymś zatrważająco nienaturalnym.

Ach, alpejskie szczyty dzielnicy Lapa! Automobil – kaszłąc, prychnając, grzechocząc, stukając, podskakując, parskając, sapiąc, wyjąc, rycząc – mknie w dół Rua do Pau de Bandeira, kocie łby dają o sobie znać nieustannym, gromkim trach-trach, potem gwałtownie skręca w lewo i zdaje się lecieć jak z urwiska, tak stroma jest Rua do Prior. Tomás czuje, jakby wnętrzości wciskano mu w lejek. Gdy automobil zjeżdża na sam dół, Tomás spada na podłogę kabiny. Ledwo pojazd odzyskuje równowagę – a on już wrócił na miejsce, choć nie do siebie – przejeżdża

ostatni odcinek Rua do Prior i skręca w Rua da Santa Trindade, znów ostro biegnącą w dół. Automobil zaczyna radośnie tańczyć na metalowych torach tramwajowych na Santa Trindade, przez co Tomaszem to rzuca w przód i w tył, to ciska go na stryja, który na nic nie zważa; czasem Tomás omal nie wypada na zewnątrz. Na mijanych balkonach dostrzega ludzi, którzy patrzą na nich ponuro.

Z dziką pewnością siebie stryj skręca w prawo, w Rua de São João da Mata. Pędzą ulicą. Tomasa oślepia słońce, ale stryjowi najwyraźniej ono nie przeszkadza. Automobil sunie po Rua de Santos-o-Velho, potem skręca w Calçada Ribeiro Santos. Kiedy zbliżają się do Largo de Santos, Tomás patrzy melancholijnie – i przelotnie – na ludzi, którzy niespiesznie spacerują po malowniczym parku. Stryj okrąża park, po czym ostro skręca w lewo, w szeroką Rua Vinte e Quatro Julho. Po prawej, w rozbłysku światła, ukazują się wody Lapy, zapierający dech w piersiach Tag, ale Tomás nie ma czasu na podziwianie widoków, bo w poszumie wiatru i hałasie pędzą przez gęsto zabudowaną Lizbonę. Tak szybko okrążają ruchliwe rondo Praça do Duque da Terceira, że pojazd wpada na Rua do Arsenal jak wystrzelony z procy. Zgiełk na Praça do Comércio to żadna przeszkoda, a jedynie zabawne wyzwanie. Na środku placu Tomás widzi pomnik króla Józefa I. Och, gdyby tylko doradca króla, markiz de Pombal, wiedział, jakie upiorności będą musiały znosić jego ulice, może wcale by ich nie odbudowywał. Jadą dalej, pośród ryku i kolorowych plam. Obok śmiga ruch uliczny wszelkiego rodzaju – konie, powozy, wozy zwykłe i drabiniaste, tramwaje, hordy ludzi i psów. Lada chwila Tomás spodziewa się zderzenia ze zwierzęciem lub człowiekiem, ale stryj w ostatniej sekundzie ratuje ich od pewnej śmierci nagłym skrętem lub hamowaniem. Kilka razy Tomás ma ochotę krzyczeć, lecz twarz ma zbyt sztywną ze strachu. Z całych sił wciska nogi w podłogę. Chętnie przytrzymałby się stryja, gdyby sądził, że zaakceptuje on rolę koła ratunkowego.

Ilekróć stryj nie obrzuca obelgami obcych, jego zaczerwieniona twarz wprost promienieje z radości i podniecenia; uśmiecha się, oczy mu błyszczą, śmieje się w szalonym zapamiętaniu lub wykrzykuje monolog:

– Niesamowite...! Wspaniałe...! Fantastyczne...! A nie mówiłem...? Oto jak skręca się w lewo...! Nadzwyczajne, absolutnie nadzwyczajne...! Patrz, patrz: musimy jechać z pięćdziesiąt kilometrów na godzinę!

Tymczasem Tag płynie niespiesznie, monotonicznie, niewzruszenie, niczym łagodny potwór obok skandalicznie zachowującej się pchły,

która skacze wzdłuż brzegu.

Na skraju pola, na wiejskiej drodze nieupiększonej brukiem, stryj w końcu zatrzymuje automobil. Za nimi sterczą zabudowania Lizbony podobne do wyrzynających się zębów małego dziecka.

– Widzisz, jak daleko dojechaliliśmy... i jak szybko! – dudni głos stryja w odświeżającej ciszy.

Stryj promienieje jak chłopiec w dniu swoich urodzin.

Tomás wpatruje się w niego przez kilka sekund, oniemiały, potem praktycznie pada na ziemię, wychodząc z kabiny. Zataczając się, podchodzi do najbliższego drzewa i opiera się o pień. Pochyla się, a z jego ust chlustają wymioty.

– Choroba lokomocyjna – stwierdza stryj ze współczuciem i ściąga rękawiczki. – Dziwna sprawa. Niektórzy pasażerowie są na nią podatni, ale kierowca nigdy. To musi mieć związek z prowadzeniem pojazdu, może pozwala to przewidywać zbliżające się wyboje i zakręty. Możliwe też, że wysiłek umysłowy związany z kierowaniem odrywa żołądek od ewentualnych dolegliwości. Kiedy usiądziesz za kierownicą, nic ci nie będzie.

Słowa stryja docierają do Tomasa dopiero po pewnym czasie. Nie wyobraża sobie, by miał ująć lejce tego metalowego rumaka.

– Sabio jedzie ze mną, tak? – dyszy, ocierając usta chusteczką.

– Nie wypożyczam ci go. Kto by się zajął innymi pojazdami? Poza tym renault jest w nienagannym stanie. Nie będziesz potrzebował Sabia.

– Ale Sabio będzie prowadził, stryju.

– Prowadził? A to niby czemu? Kto chciałby przekazać służącemu rozkosz prowadzenia tak zdumiewającego wynalazku? Sabio ma się nie bawić, ale pracować.

Właśnie wtedy pojawia się służący – zręcznie zjeżdża prychającym motocyklem z drogi i parkuje za automobilem. Tomás ponownie zwraca się do stryja. Co za pech mieć krewnego, który jest tak bogaty, że posiada kilka samochodów, a zarazem tak ekscentryczny, że chce własnoręcznie je prowadzić.

– Przecież Sabio cię wozi, stryju.

– Tylko podczas formalnych okazji. Sabio głównie wozi Gabrieleę. Niemądra myszka nie śmie spróbować sama. Jesteś młody i zdolny. Poradzisz sobie. Prawda, Sabio?

Stojący nieopodal służący przytakuje, ale sposób, w jaki patrzy, każe Tomasowi przypuszczać, że nie w pełni podziela ufność chlebobawcy. Tomás czuje w żołądku skurcz niepokoju.

– Stryju Martimie, proszę, nie mam doświadczenia w...

– Spójrz! Startujesz z pozycji neutralnej, z przepustnicą wyciągniętą do połowy. Aby ruszyć, wrzucasz pierwszy bieg, potem powoli zwalniasz sprzęgło, wciskając pedał gazu. Gdy nabierzesz szybkości, wrzucasz drugi bieg, potem trzeci. To proste. Tylko zacznij na płaskim terenie. Złapiesz to, zanim się obejrzysz.

Stryj cofa się i z lubością przygląda się automobilowi. Tomás czeka, mając nadzieję, że dobroć i troska zmiękczą stryjowskie serce, ale Martim wygłasza ostatnią perorę.

– Tomasie, zdajesz sobie chyba sprawę, że oto masz przed oczami świetnie wyszkoloną orkiestrę, zdolną zagrać cudowną symfonię. Tonacja tego utworu jest przyjemnie zmienna, brzmienie mroczne, lecz genialne, prosta melodia szybuje w górę, tempo zaś plasuje się między *vivace* a *presto*, choć *adagio* jest miłe dla ucha. Kiedy dyryguję tą orkiestrą, słyszę wspaniałą muzykę przyszłości. Teraz zajmujesz moje miejsce, a ja przekazuję ci batutę. Stań na wysokości zadania. – Stryj poklepuje miejsce kierowcy i dodaje: – Usiądź tutaj.

Tomasowi nagle brakuje tchu. Stryj daje znak Sabiowi, by uruchomił silnik. Ryk silnika spalinowego ponownie wypełnia okolicę. Tomás nie ma wyboru. Zbyt długo czekał, za późno zrozumiał. Musi usiąść za kierownicą potwora.

Tomás wsiada. Stryj znów pokazuje, wyjaśnia, uśmiecha się, potakuje.

– Dasz sobie radę – zapewnia. – Wszystko się ułoży. Do zobaczenia po twoim powrocie, Tomasie. Powodzenia. Sabio, zostań i mu pomóż.

Podkreślając nieodwracalność chwili, stryj zatrzaskuje drzwi, odwraca się i znika za automobilem. Tomás wychyla się i patrzy za nim, wyciągając szyję.

– Stryju Martimie! – woła.

Motocykl zapala gwałtownie, po czym oddala się z chrzęstem. Na koniec Tomás widzi korpulentną postać siedzącą okrakiem na motorze, który toczy się w dół z nadętym mechanicznym łoskotem.

Tomás odwraca się do Sabia. Zdaje sobie sprawę, że stryj odjechał na motocyklu, a on ma odjechać automobilem. Jak zatem Sabio wróci z północnych rogatek Lizbony do domu chlebobawcy w Lapie?

– Prowadzenie automobilu jest możliwe, senhor – mówi cicho Sabio. – Wystarczy trochę wprawy.

– Ale ja nie mam żadnej! – woła Tomás. – Nie mam wprawy, wiedzy, zainteresowań ani zdolności. Ocal mi życie i pokaż jeszcze raz, jak się

posługiwać tym cholerstwem.

Sabio omawia przerażające szczegóły prowadzenia mechanicznego zwierza. Z nieskończoną cierpliwością wyjaśnia, poświęcając sporo czasu na odpowiednią kolejność naciskania i zwalniania pedałów oraz pociągania i pchania dźwigni. Przypomina Tomasowi o obracaniu kierownicą w lewo i w prawo. Uczy go posługiwać się przepustnicą, potrzebną nie tylko do ruszania, ale i do zatrzymywania pojazdu. Mówi też o sprawach, o których stryj Martim nie wspomniał ani słowem: o różnicy między mocnym a słabym wciskaniem pedału gazu; o posługiwaniu się pedałem hamulca; o ważnym hamulcu ręcznym, który trzeba zaciągać zawsze, kiedy automobil stoi; o korzystaniu z lusterek bocznych. Sabio demonstruje, jak przekręcić korbę startową. Kiedy Tomás próbuje, ma wrażenie, że we wnętrznościach pojazdu obraca się coś ciężkiego, jakby nadziany na rożen dzik obracał się w kadzi z gęstym sosem. Przy trzecim obrocie rożna dzik eksploduje.

Tomás raz po raz gasi silnik. Za każdym razem Sabio dzielnie maszeruje na przód pojazdu, gdzie uruchamia go ponownie. Potem proponuje wrzucić pierwszy bieg. Tomás przesuwają się na miejsce dla pasażera. Sabio wykonuje niezbędne manewry, bieg z westchnieniem wyraża zgodę i pojazd rusza. Sabio pokazuje, gdzie Tomás powinien położyć dłonie, gdzie naciskać stopą. Tomás siada za kierownicą. Sabio staje na stopniu, poważnie kiwa głową i schodzi na ziemię.

Tomás czuje się porzucony, opuszczony.

Droga przed nim biegnie prosto, automobil głośno toczy się na pierwszym biegu. Kierownica jest twardym, nieprzyjaznym przedmiotem. Drży w jego dłoniach. Tomás szarpie nią w jedną stronę. Czy to jest lewo? Czy to prawo? Nie ma pojęcia. Ledwie może nią obracać. Jakim cudem stryj robił to z taką łatwością? Wciskanie pedału gazu męczy; po chwili czuje w stopie skurcz. Na pierwszym zakręcie, łagodnym wirażu w prawo, gdy automobil zaczyna przecinać drogę i zmierzać do rowu, strach każe Tomasowi działać; unosi stopę, po czym wciska losowo pedały. Pojazd prychnie i staje gwałtownie. Brzęczące pandemonium szczęśliwie się uspokaja.

Tomás rozgląda się wokół siebie. Stryj zniknął, Sabio zniknął, nie widać nikogo – ukochana Lizbona także znikła, zmieciona jak resztki posiłku z talerza. W ciszy, która jest raczej próżnią niż spokojem, do umysłu Tomasa wskakuje jego syn. Gaspar często bawił się na podwórzu stryjowskiego domu, zanim jeden ze służących nie przegonił go jak bezdomnego kota. Chłopczyk lubił też kręcić się blisko garażu pełnego

rowerów, motorów i automobili. Stryj Martim znalazłby motoryzacyjną bratnią duszę w Gasparze. Chłopiec chciwie wpatrywał się w automobile. Potem umarł, a na podwórzu został cichy pakunek pustki. Inne części domu stryja w podobny sposób przypominają Tomasowi o braku Dory lub ojca: te drzwi, tamto krzesło, to okno. Czym jesteśmy bez ludzi, których kochamy? Czy kiedykolwiek upora się ze stratą? Kiedy się goli i patrzy w lustrze w swoje oczy, widzi puste pokoje. Żyje z dnia na dzień, jak duch nawiedzający własne życie.

Płacz nie jest dla niego niczym nowym. Odkąd śmierć zadała mu potrójny cios, płakał wiele razy. Wspomnienie Dory, Gaspara i ojca jest często zarówno źródłem, jak i celem żalu, ale bywa też, że zalewa się łzami bez wyraźnego powodu, i jest to równie niespodziewane jak kichnięcie. Obecna sytuacja jest oczywiście zupełnie inna. Jak można porównywać hałaśliwą, niesforną maszynę do trzech trumien? O dziwo jednak, czuje podobne przygnębienie; ogarnia go podobny lęk, poczucie osamotnienia i bezradność. Dlatego łka, z trudem łapiąc oddech; żal idzie o lepsze z narastającą paniką. Wyciąga z kieszeni dziennik i przyciska go do twarzy. Wdycha woń stuleci. Zamyka oczy. Szuka schronienia w Afryce, w wodach przy zachodnim równikowym wybrzeżu, w portugalskiej kolonii na wyspie São Tomé. Żal Tomasa szuka człowieka, który prowadzi go w Wysokie Góry Portugalii.

Próbował wyszperać informacje o ojcu Ulissesie Manuelu Rosario Pinto, ale historia najwyraźniej niemal całkowicie o nim zapomniała. Po duchownym ślad zaginął, jeśli nie liczyć dwóch dat, w niepełny sposób wyznaczających jego życie: według znalezionych w Coimbrze ksiąg parafialnych z São Tiago, urodził się czternastego lipca 1603 roku, został wyświęcony na księdza w tym samym mieście, w katedrze Świętego Krzyża, pierwszego maja 1629 roku. Tomás nie zdołał znaleźć innych danych o jego życiu, nawet daty śmierci. Wszystkim, co pozostało po ojcu Ulissesie, zepchniętym daleko w dół rzeki czasu, był ten unoszący się na powierzchni liść dziennika.

Tomás odsuwa dziennik od twarzy. Łzy poplamiały okładkę, co go nie cieszy. Czuje zawodową irytację. Koszulą wyciera okładkę. Jaki dziwny jest ten zwyczaj płakania. Czy zwierzęta płaczą? Szczerze w to wątpi. Nigdy nie słyszał o płaczącym psie czy kocie albo o płaczącym dzikim zwierzęciu. Wydaje się, że to wyłącznie ludzka cecha, ale nie pojmuje, czemu służy. Płacze rzewnie, wręcz spazmatycznie szlocha, a na koniec co? Bezbrzeżny smutek i zmęczenie. Chustka zbrukana łzami i śluzem. Zacerwienione oczy, które wszyscy widzą. Poza tym płacz jest czymś

niegodnym. Nie mieści się w ramach przyjętej etykiety i pozostaje osobistym środkiem wyrazu. Grymas twarzy, ilość łez, jakość łkania, wysokość głosu, siła zawodzenia, ślady płaczu na policzkach, ruchy dłoni, postawa ciała: człowiek odkrywa płacz – własną płaczącą osobowość – jedynie płacząc. To odkrycie zaskakuje, nie tylko innych, ale i samego człowieka.

Tomás czuje przyływ determinacji. Gdzieś w Wysokich Górach Portugalii czeka na niego kościół. Musi tam dotrzeć. Ta metalowa skrzynia na kołach pomoże mu w tym, dlatego powinien siedzieć właśnie za kierownicą. *Isso é minha casa*. „To jest dom”. Patrzy w dół na pedały. Patrzy na dźwignie.

Zanim wyrusza, mija dobra godzina. Problem nie polega na uruchomieniu pojazdu. Tyle razy widział, jak robi to Sabio, że teraz okazuje się to całkiem łatwe. Tomás napina ręce i plecy, zostawiając nogom wolne pole, i przekręca korbę startową. Ciepły silnik jest wyraźnie skory do ponownej pracy. Problem leży jednak w tym, by pojazd ruszył z miejsca. Bez względu na to, jaką kombinację pedałów wybiera, ciągle słyszy to samo: zgrzytliwy wizg lub gniewne poszczekiwanie, czasem dość gwałtowne, ale zero ruchu naprzód. Tomás robi przerwy. Siada w kabinie. Staje obok samochodu. Idzie na krótki spacer. Siedząc na stopniu, je chleb, szynkę, ser, suszone figi, pije wino. Posila się bez radości, bo jego myśli zaprzęta samochodem, który wygląda absurdalnie, stojąc tak na poboczu drogi. Ludzie przejeżdżający konno lub na wozach zaprzężonych w woły zauważają samochód – a także jego samego – ale w takiej bliskości Lizbony, ci, którzy zmierzają do miasta lub właśnie je opuszczają, popędzają swoje zwierzęta, ograniczając się do pozdrowienia Tomasa okrzykiem lub machaniem ręką. Nie musi się z niczego tłumaczyć.

W końcu się udaje. Po niezliczonych próbach wciska pedał gazu i pojazd rusza. Tomás obraca kierownicę w kierunku, który – ma nadzieję – jest właściwy. Tak, dobrze.

Samochód sunie środkiem drogi. Aby uniknąć rowów po obu stronach, Tomás musi utrzymać swój statek na ustalonym kursie: kieruje się na skurczoną, cienką kreskę horyzontu dokładnie przed sobą. Trzymanie się w linii prostej ku temu nieskończonemu tunelowi jest wyczerpujące. Pojazd stale chce zboczyć z trasy; droga jest wyboista i pełna dziur.

Im bardziej Tomás oddala się od Lizbony, tym surowiej przyglądają się mu ludzie. Co gorsza, z naprzeciwka jadą wielkie wozy drabiniaste

wyładowane towarami i produktami rolnymi dla miasta. Ukazują się przed nim, przesłaniając horyzont. Wydaje się, że im są bliżej, tym coraz większą część drogi zajmują. Nieprzerwanie turkoczą, pewnie, bezmyślnie, on zaś pędzi wprost na nie. Musi dokładnie wyliczać kurs, żeby nie zderzyć się z nimi, tylko przejechać obok. Wysięk męczy oczy, dłonie bolą od ściskania kierownicy.

Nagle Tomás ma dość. Naciska pedał. Automobil prycha i staje gwałtownie, aż Tomasa rzuca na kierownicę. Wykończony, ale z uczuciem ulgi, schodzi na ziemię. Mruga zdumiony. Zastosowanie hamulca rozpakowało cały krajobraz i oto falują wokół niego drzewa i wzgórza, winnice po lewej stronie, pola uprawne i Tag po prawej. Podczas jazdy nie widział tego wszystkiego, pochłaniała go tylko droga. Jakie to szczęście mieszkać w kraju, który tak nieustannie zgadza się być przyjazny. Nic dziwnego, że robi się tu wino. Droga jest pusta, Tomás stoi sam. W ulotnym, opalizującym zmierzchu wiejska cisza działa kojąco. Przypominają się mu słowa z dziennika ojca Ulissesa i cicho je recytuje:

Przybywam po to, by poprowadzić nie tych wolnych, ale tych zniewolonych. Ci pierwsi mają swój kościół. Kościół mojej trzody nie ma ścian, a jego sklepienie sięga Pana.

Płucami i oczami Tomás chłonie otaczający go otwarty kościół, bujne piękno Portugalii. Nie wie, jak daleko dojechał, ale z pewnością dalej, niż dotarłby piechotą. Na pierwszy dzień wystarczy. Jutro przyłoży się bardziej.

Klecanie namiotu z brezentu wydaje się zbyt mozolne, postanawia więc pójść za radą stryja i umościć sobie posłanie we wnętrzu kabiny. To prowadzi do przeglądu przyszykowanych zapasów. Tomás znajduje: lekkie garnki i patelnie; mały palnik na białe kostki suszonego spirytusu; miskę, talerz, sztućce – wszystko z metalu; zupę w proszku; bułki i bochenki chleba; suszone mięso i ryby; kielbaski; świeże warzywa; świeże i suszone owoce; kakao; kawę; miód; herbatniki i biszkopty; butelkę oliwy; przyprawy i dodatki; spory słój z wodą; płaszcz automobilisty, a obok rękawice, czapkę i ohydne gogle; sześć opon; linę; siekierę; ostry nóż; zapalki i świece; kompas; pusty notes; ołówki grafitowe; mapy; słownik francusko-portugalski; podręcznik obsługi renaulta; wełniane koce; skrzynkę z narzędziami i innymi przyborami

motoryzacyjnymi; beczułkę motonafty; brezent przeciwdeszczowy z linkami i kołkami; oraz wiele innych rzeczy.

Tyle cudów! Z powodu nadmiernej troski stryja Tomasowi trudno wcisnąć się do kabiny. Po uprzątnięciu kanapy próbuje się na niej umościć. Nie jest zbyt długa; musiałyby spać z podwiniętymi nogami. Przez szerokie okno zagląda do kabiny kierowcy. Siedzenie jest trochę twarde, ale płaskie i równe, bardziej przypomina ławę; a ponieważ po żadnej stronie nie ograniczają go drzwi, będzie mógł wyciągnąć nogi.

Wyjmuje chleb, suszonego dorsza, bukłak z winem, płaszcz stryja, podręcznik samochodowy i słownik, po czym wszystko przenosi do kabiny kierowcy. Kładzie się na plecach, wysuwając nogi z kabiny. Ze słownikiem na piersiach zabiera się, zgodnie z poleceniem stryja, do studiowania podręcznika, który trzyma w dłoniach.

Jak się okazuje, smarowanie to poważna sprawa. Z rosnącym przerażeniem uzmysławia sobie, że biegi, sprzęgło, tylna oś, przednie i tylne złącza wału korbowego, łożyska kół, złącza przedniej osi, łożyska kulkowe, osie łączące, złącza kolumny kierownicy, starter magnetyczny, zawiasy drzwiowe – lista jest długa – praktycznie wszystkie ruchome elementy pojazdu wymagają obsesyjnego smarowania. Wiele części potrzebuje odrobiny smaru każdego ranka przed uruchomieniem silnika, niektóre trzeba smarować co dwa lub trzy dni, w przypadku jeszcze innych zależy to od przebiegu. Tomás widzi teraz automobil w innym świetle: To setka kurczaków, które rozpaczliwie piszczą, wyciągają szyjki i rozwierają dziobki, ich całe ciała wprost dygoczą, domagając się kropli smaru. Jak ma pamiętać o tych wszystkich głodnych dziobach? O ileż prostsze były instrukcje dotyczące daru ojca Ulissesa! Sprowadzały się do błagania, by dobrzy portugalscy rzemieślnicy w ojczyźnie, którzy mają dostęp do farb najwyższej jakości, odmalowali jego arcydzieło. Tymczasem musiał się zadowolić marnymi lokalnymi substytutami.

Noc robi się coraz bardziej rześka, więc Tomás cieszy się, że ma płaszcz stryja. Norki są ciepłe i miękkie. Zapada w sen, wyobrażając sobie, że płaszcz jest Dorą. Ona też była ciepła i miękka, delikatna, pełna wdzięku, piękna i troskliwa. Jednak pieśczęty Dory zostają zduszone przez zmartwienia – te wszystkie głodne dzioby! – toteż śpi źle.

Nazajutrz po śniadaniu odszukuje oliwiarękę i działa ściśle według podręcznika, wers po wersji, ilustracja po ilustracji, akapit po akapicie, strona po stronie. Smaruje cały automobil, co wiąże się nie tylko z podniesieniem maski, zaczepieniem jej i wsunięciem głowy w trzewia

pojazdu; musi też podnieść podłogę w kabinie kierowcy, by dostać się do schowanych części; musi nawet czołgać się po ziemi i wślizgnąć pod pojazd. To męcząca, żmudna, brudna robota. Następnie poi automobil wodą. A potem staje przed palącym problemem. Maszyna, będąca zdaniem stryja szczytowym osiągnięciem technologicznym, nie jest wyposażona w jeden z bardziej podstawowych wynalazków: toaletę. Tomás musi się zadowolić liśćmi pobliskich krzewów.

Uruchomienie zimnego silnika to długi, bolesny proces. Gdyby tylko Tomás miał silniejsze kończyny. Potem przychodzi czas na nieznośną operację wprawienia maszyny w ruch, kiedy już parska i grzechocze. Od momentu, gdy się obudził, do chwili, gdy automobil szczęśliwie podrywa się z miejsca, mijają cztery godziny. Tomás chwytą kierownicę i koncentruje się na drodze. Dociera do Póvoa de Santa Iria, małego miasta pod Lizboną, najbliższej na tej trasie miejscowości na północny wschód od stolicy. Do tej pory Póvoa de Santa Iria leżało uśpione w atlasie jego umysłu. Gdy wjeżdża do miasteczka, serce wali mu jak młot.

Na ulicę wylegają mężczyźni z serwetkami zatkniętymi za kołnierzyki koszul, z udkami kurczaka lub innymi przekąskami w dłoniach, i patrzą na przybysza. Cyrulicy z namydlonymi pędzlami, a za nimi klienci z pianą mydlaną na twarzach, wybiegają i patrzą. Ludzie przerywają rozmowy i patrzą. Kilka staruszek żegna się znakiem krzyża i patrzy. Kobiety przerywają zakupy i patrzą. Jakiś starzec salutuje i patrzy. Dwie przestraszone kobiety wybuchają nerwowym śmiechem i patrzą. Staruszkowie siedzący na ławie mlaskają bezzębными szczękami i patrzą. Dzieci wrzeszczą, uciekają, żeby się ukryć, i patrzą. Koń rży, zaskakuje woźnicę, próbując stanąć dęba, i patrzy. Owce w zagrodzie przy głównej ulicy beczą rozpaczliwie i patrzą. Krowy muczą i patrzą. Osioł rży i patrzy. Psy szczekają i patrzą.

Pośrodku tej koszmarnej wzrokowej autopsji Tomás wciska pedał gazu, ale nie dość mocno. Automobil kaszle raz, drugi, po czym zamiera. Tomás nadeptuje na pedał. Bez skutku. Próbuje opanować frustrację, zamyka oczy. Po chwili otwiera je i rozgląda się dokoła. Przed sobą, po bokach, za sobą widzi tysiące gałek ocznych, ludzkich i zwierzęcych, wpatrzonych w niego. Cisza jak makiem zasiał.

Oczy mrugają, milczenie się rozsypuje. Mieszkańcy Póvoa de Santa Iria podchodzą niezauważalnie, nieśmiało, napierają na automobil ze wszystkich stron, otaczają go dziesięcio-, piętnastoosobowymi kręgami.

Niektórzy uśmiechają się i zasypują Tomasa gradem pytań.

- Kim jesteś?
- Dlaczego się zatrzymałeś?
- Jak to działa?
- Ile to kosztuje?
- Jesteś bogaty?
- Masz żonę?

Kilka osób wpatruje się w Tomasa surowo i utyskuje.

- Nie masz litości dla naszych uszu?
- Czemu sypiesz nam kurzem w twarz?

Dzieci wykrzykują niemądre pytania.

- Jak to się nazywa?
- Co je?
- Czy w kabinie jest koń?
- Jak wygląda jego kupa?

Sporo osób podchodzi, by pogłaskać automobil. Większość tylko przygląda się w dobrodusznym milczeniu. Mężczyzna, który salutował, robi to za każdym razem, gdy Tomás patrzy w jego stronę. W oddali owce, konie, osły i psy znów zaczynają wydawać odgłosy.

Po godzinie leniwych rozmów z mieszkańcami dociera do Tomasa, że nie odejdą, dopóki nie wyjedzie z miasta. On ma dokąd jechać, oni nie.

W tej chwili musi przewyciężyć wrodzoną nieśmiałość. Z obezwładniającym skrępowaniem, sięgając do swoich zasobów odwagi, wychodzi z kabiny, staje na stopniu i prosi zgromadzonych o odsunięcie się od pojazdu. Ludzie nie słyszą albo nie rozumieją. Tomás napomina ich, ale znów napierają, jest ich coraz więcej. Wokół automobilu gęstnieje tłum, przez który musi się przecisnąć, by dotrzeć do korby; musi odepchnąć kilka osób, by mieć miejsce, żeby móc nią zakręcić. Kilku gapiów stoi na stopniu. Inni zamierzają wdrapać się do kabiny kierowcy, ale powstrzymuje ich groźnym spojrzeniem. Uśmiechnięte od ucha do ucha dzieciaki raz po raz, z głupkowskim rozbawieniem, naciskają gruszkę klaksonu.

Po kilku podejściach Tomasa do korby, po kolejnej serii manipulacji pedałami i dźwigniami pojazd skacze do przodu i zaraz nieruchomieje. Ludzie przed automobilem zaczynają krzyczeć i w przestachu przyciskać ręce do piersi. Kobiety wrzeszczą, dzieci zawodzą, mężczyźni pomrukują. Wojskowy przestaje salutować.

Tomás głośno przeprosza, uderza dłonią w kierownicę, surowo upomina automobil. Potem wyskakuje, by pomóc urażonym ludziom.

Kopie opony. Wymierza razy błotnikom z ucha słoniowego. Obrzuca obelgami szkaradną maskę pojazdu. Gwałtownie przekręca starter, by pokazać automobilowi jego miejsce. Wszystko na próżno. Dobra wola mieszkańców Póvoa de Santa Iria wyparowała w zimowym portugalskim słońcu.

Tomás szybko wraca do kabiny. Cudownym zrządzeniem losu pojazd wyje, drży i rusza. Mieszkańcy Póvoa de Santa Iria rozstępują się bojaźliwie, droga jest wolna. Tomás ponagla maszynę.

Przez następną miejscowość, Alverca do Ribatejo, przejeżdża, nie zdejmując nogi z pedału gazu. Całkowicie ignoruje gapiów. Podobnie dzieje się w Alhandrze. Za Alhandrą dostrzega drogowskaz w prawo, do Porto Alto, w stronę Tagu. Trzy mosty spinają dwie wysepki. Tomás patrzy na płaskie pustkowia na wschodnim brzegu rzeki i zatrzymuje automobil.

Zgasiwszy silnik, sięga po mapy Portugalii. Jest ich kilka, schludnie złożonych i podpisanych: mapa krajowa oraz lokalne mapy takich regionów, jak Estremadura, Ribatejo, Alto Alentejo, Beira Baixa, Beira Alta, Douro Litoral oraz Alto Douro. Są nawet mapy okolicznych prowincji hiszpańskich: Cáceres, Salamanca, Zamora. Wygląda na to, że stryj przygotował go na wszelkie możliwe trasy do Wysokich Gór Portugalii, uwzględniając okrężne i zakładając, że bratanek może zabłądzić.

Tomás ogląda mapę krajową, która potwierdza jego przypuszczenia. Na zachód i północ od Tagu, wzdłuż portugalskiego wybrzeża, kraj jest usiany miasteczkami i miastami. Za to w głębi kraju, na wschód od Tagu i w regionie graniczącym z Hiszpanią, siedzib ludzkich jest niewiele. Miejskim niebezpieczeństwem jeżą się jedynie Castelo Branco, Covilhã i Guarda. Może uda mu się je objechać. Który automobilista bałby się takich miejsc, jak Rosmaninhal, Meimoa czy Zava? Tomás w życiu o nich nie słyszał.

Uruchamia pojazd, wciska pedały, wrzuca pierwszy bieg. Szczęście mu dopisuje. Skręciwszy w prawo, zjeżdża ku mostom. Przy wjeździe na pierwszy waha się. Most jest drewniany. Tomás przypomina sobie o trzydziestu koniach. Ale przecież silnik nie waży tyle co trzydzieści koni, prawda? W głowie dzwoni mu pozostawiony przez ojca Ulissesa opis podróży morskiej z Angoli do nowej misji na São Tomé.

Podróż morska jest formą piekła, zwłaszcza na zatłoczonym & cuchnącym statku niewolniczym, wiozącym pięciuset pięćdziesięciu dwóch niewolników & ich

trzydziestu sześciu europejskich strażników. Nękają nas naprzemiennie okresy ciszy morskiej i burze. Niewolnicy jęczą & krzyczą dzień & noc. Upalny smród ich legowisk przenika cały statek.

Tomás brnie dalej. Nie niewolnicy go nękają, ale duchy. Jego statek musi zrobić tylko trzy susy przez rzekę. Przejazd przez mosty nie jest prostą sprawą. Tomás boi się, że zboczy i wpadnie z automobilem do rzeki. Po zjeździe z trzeciego mostu na wschodni brzeg jest zbyt rozdygotany, by jechać dalej. W końcu uznaje, że skoro prowadzi automobil, może powinien się porządnie tego nauczyć. Staje i wyciąga z kabiny to, co mu potrzebne. Siedząc za kierownicą, z podręcznikiem i słownikiem w rękach, uczy się należytego władania przekładnią biegów, sprzęgłem, pedałem gazu. Podręcznik rzuca światło na wszystkie te kwestie, ale jest to wiedza czysto teoretyczna. Sęk w tym, by zastosować ją w praktyce. Tomás przekonuje się, jak trudno jest gładko przejść z jałowego biegu – jak nazwał go stryj, choć on nie widzi w nim nic jałowego – do pierwszego. Przez resztę dnia, to stając gwałtownie, to skacząc do przodu, przejeżdża może pięćset metrów; automobil nieustannie ryczy, kaszle, dygocze. Tomás przeklina, aż zmierzch posyła go na spoczynek.

W gęstniejącym mroku, gdy sięgają po niego palce chłodu, szuka pociechy w dzienniku ojca Ulissesa.

Jeżeli Imperium jest człowiekiem, to dłoń trzymająca złotą sztabę to Angola, druga zaś, pobrzękująca miedziakami w kieszeni, to São Tomé.

Ksiądz przytacza tu słowa rozdrażnionego handlarza. Tomás zna historię, jaka jest pisana ojcu Ulissesowi. Ksiądz postawił stopę na São Tomé między cukrem a kakao, po okresie, gdy wyspa była czołowym eksporterem cukru, pod koniec szesnastego wieku, a zanim zaczęła eksportować ziarno kakaowe teraz, na początku dwudziestego stulecia. Ojciec Ulisses miał spędzić resztę swego krótkiego życia na początku trzechsetletniego okresu nędzy, stagnacji i dekadencji, gdy São Tomé stało się wyspą na wpół opuszczonych plantacji i zwaśnionych elit, które żyły głównie z żywych, czyli z handlu niewolnikami. Wyspa zaopatrywała statki niewolnicze w wodę, drewno, jamsy, mąkę kukurydzianą i owoce oraz wykorzystywała niewolników na własne potrzeby – przy marginalnej już produkcji cukru, bawełny, ryżu, imbiru i oleju palmowego – jednak biali wyspiarze pełnili głównie funkcję

pośredników w handlu niewolnikami. Nie mogli marzyć o rywalizowaniu z obfitymi, nieskończonymi zasobami Angoli, ale u ich progu, po drugiej stronie Zatoki Gwinejskiej, znajdowała się Zatoka Beninu i wybrzeże pełne niewolników. Wyspa São Tomé była zarówno idealnym postojem dla statku szykującego się do piekielnego rejsu przez Atlantyk, jak i wygodnym tylnym wejściem do portugalskiej Brazylii z jej nienasyconym głodem niewolniczej siły roboczej. Tak więc niewolnicy przybywali tysiącami. „W tej kieszeni brzęczą oszołomione afrykańskie dusze”, komentuje ojciec Ulisses.

Nieprzypadkowo ksiądz przybył na wyspę właśnie na pokładzie statku z niewolnikami. Zgłosił się, by pełnić wśród nich misję, zbawiać zniewolone dusze. „Pragnę służyć najpokorniejszym z pokornych, o których duszach zapomniał Człowiek, ale nie Bóg”. Oto jak wyjaśnia swoją pilną nową misję na São Tomé:

Półtora wieku temu na wyspę dowieziono hebrajskie dzieci, w wieku od dwóch do ośmiu lat. Z tych szkodliwych nasion wyrosła nikczemna roślina, która zatrula całą glebę, zanieczyszczając nieostrożnych. Moja misja ma zatem dwojaki charakter. Ponownie zwrócić afrykańską duszę ku Bogu & zarazem wyrwać z niej odrażające, chciwe żydowskie korzenie. Dni spędzam w porcie jako herold Pana, oczekuję na statki niewolnicze z ich ładunkiem. Kiedy jakiś przypląwa, wchodzę na pokład, chrzczę Afrykanów & czytam im Biblię. Wszyscy jesteście Bożymi dziećmi, powtarzam im niestrudzenie. Od czasu do czasu robię też szkice.

Oto jego powinność, którą wypełnia z niezachwianą sumiennością: wprowadzać obcych w świat wiary, której nie wyznają, w języku, którego nie rozumieją. Na tym etapie dziennika ojciec Ulisses jawi się jako typowy kleryk swoich czasów, zanurzony w Panu, zanurzony w ignorancji i pogardzie. Tomás wie, że to się zmieni.

Ogarnięty niepokojem, zasypia. Ukojenia nie przynosi mu ani kierowanie automobilem, ani spanie w jego wnętrzu.

Rano chciałby się umyć, ale w kabinie nie znajduje mydła ani ręcznika. Po zwykłych trudnościach motoryzacyjnych rusza. Droga przez monotonne, płaskie zaorane pola prowadzi go do miasta Porto Alto, które okazuje się większe, niż się spodziewał. Umiejętności Tomasa w prowadzeniu pojazdu znacznie wzrosły, ale płynąca z tego pewność siebie zostaje poważnie nadszarpnięta widokiem napływających ze wszystkich stron tłumów. Ludzie machają, krzyczą, podchodzą bliżej. Jakiś młody człowiek biegnie obok automobilu.

- Halo! – woła.
- Halo! – odkrzykuje Tomás.
- Co za niewiarygodna machina!
- Dziękuję!
- Nie zatrzymasz się?
- Nie!
- Dlaczego?
- Przede mną jeszcze długa droga! – woła Tomás.

Młody człowiek odchodzi. Obok natychmiast pojawia się inny, gotów prowadzić wykrzykiwany dialog z Tomaszem. Gdy znika, jego miejsce zajmuje kolejny. Podczas całej jazdy przez Porto Alto Tomás prowadzi głośne rozmowy z przejętymi ludźmi, którzy biegną obok samochodu. Kiedy wreszcie dociera do rogatek miasta, chciałby wydać okrzyk triumfu, że tak sprawnie panuje nad pojazdem, ale za bardzo ochrypl.

Po wyjeździe za miasto zerka na przekładnię biegów. W ciągu minionych trzech dni przejechał pewien dystans, maszyna jest wytrzymała, ale to samo dałoby się powiedzieć o ślimakach. Podręcznik stawia sprawę jasno, a stryj zademonstrował to w Lizbonie. Prawdziwe rezultaty można osiągnąć tylko na wyższym biegu. Tomás ćwiczy w myślach. Na koniec pozostaje tylko podjąć decyzję: zrobić to czy nie. Pedaly, przyciski, dźwignie – zwalnia się je lub wciska, pcha albo ciągnie, w zależności od potrzeby. Wszystkie te czynności Tomás wykonuje, nie odrywając wzroku od drogi i nie wypuszczając powietrza z płuc. Ma wrażenie, że pedał sprzęgła łaskocze go, jakby dawał do zrozumienia, że wykonał już swoje zadanie i byłby rad, gdyby kierowca zdjął stopę z jego pleców, co ten też czyni. W tej samej chwili pedał gazu przesuwa się do przodu jakby, przeciwnie, był głodny ucisku jego stopy. Tomás dodaje gazu.

Potwór skacze do przodu na drugim biegu. Droga znika pod kołami z takim hukiem, że Tomás czuje, jakby to nie samochód jechał przed siebie, ale krajobraz był wyciągany spod niego, jak w ryzykownej sztuczce polegającej na wyszarpięciu obrusa spod zastawy na stole. Krajobraz znika, a wszystko polega na groźnym założeniu, że sztuczka powiedzie się tylko wtedy, gdy wykona się ją błyskawicznie. Wcześniej Tomás obawiał się jechać za szybko, ale teraz boi się jechać zbyt wolno, bo jeśli drugi bieg się zepsuje, nie tylko on sam spotka swój kres na słupie telegraficznym, ale też cały porcelanowy krajobraz rozsypie się razem z nim. W tym szaleństwie Tomás jest filiżanką herbaty brzęczącą na spodku; jego oczy lśnią jak glazura na delikatnej porcelanie.

Gdy tak pędzi w przestrzeni, nieruchomy, ale posuwający się do przodu, ze wzrokiem wściekle utkwionym przed siebie, marzy o spokojnych, zamyślonych krajobrazach, o cichej winnicy, jak ta widziana wczoraj, albo o wybrzeżu, po którym spaceruje ojciec Ulisses, gdzie każda drobna fala załamuje się modlitewnie u stóp pielgrzyma, który dotarł do celu. Ale ksiądz też jest na swój sposób nękany niepokojem, prawda? Tak jak Tomás trzęsie się w piekielnej maszynie, dłoń ojca Ulissesa drży, kiedy powierza on dziennikowi swe udręczone myśli.

Wyspa São Tomé szybko rozczarowuje księdza. Z przyrodą nie układa mu się tu lepiej niż w Angoli. Wyspę porasta taka sama dusząca roślinność, zasilana takimi samymi nieustannymi ulewami i bezlitosnym upałem. Ojcu przykrzy się pora deszczowa, kiedy ulewne deszcze przeplatają się z falami dławiącego parnego skwaru; przykrzy się pora sucha z piekielnym żarem i obłokami mgły wiszącymi nisko nad ziemią. Gorzko skarży się na cieplarniany klimat, który sprawia, że „zielony liść śpiewa & człowiek umiera”. Do tego dochodzą inne przykrości, takie jak smród tłoczni trzciny cukrowej, złe jedzenie, plaga mrówek, kleszcze wielkości pestek wiśni, skaleczenie na lewym kciuku, w które wdaje się infekcja.

Ojciec Ulisses mówi o „milczeniu mulatów”, o panującej na wyspie mieszance upału i wilgoci oraz o nieszczęśliwych mieszkańcach tego miejsca. Milczenie mulatów wkrada się we wszystkie zmysły. Niewolnicy żyją w stuporze, trzeba ich ponaglać, by cokolwiek zrobili, a wtedy wykonują to bez jednego słowa. Co się tyczy Europejczyków wiodących żywot na São Tomé, ich polecenia, zazwyczaj szorstkie i gniewne, są wypowiedane, może słyszane, z rzadka szybko wypełniane, po czym tłumi je cisza. Praca niewolników na plantacjach trwa od wschodu do zachodu słońca, bez śpiewów i rozmów, z godzinną przerwą w południe, żeby zjeść, odpocząć i na powrót zdać sobie sprawę z ciszy. Dzień pracy kończy się posiłkiem spożywanym w milczeniu, samotnością i niespokojnym snem. Noce na São Tomé są z powodu insektów głośniejsze niż dni. Potem wschodzi słońce i wszystko zaczyna się od nowa, w ciszy.

Ciszę podsycają dwie emocje: rozpacz i gniew. Albo, jak to ujmuje ojciec Ulisses, „czarna otchłań & czerwony ogień” (Jak dobrze Tomás zna tę parę!). Jego relacje z miejscowym klerem stają się napięte. Jakikolwiek są tego przyczyny, rezultat jest jasny. Z czasem coraz bardziej odcina się od wszystkich. Stopniowo wzmianki o kontaktach

z innymi Europejczykami padają w dzienniku coraz rzadziej. Kto jeszcze tam żyje? Bariery społeczne, językowe i kulturowe wykluczają przyjazne stosunki między białym, nawet duchownym, a niewolnikami. Niewolnicy przybywają i odchodzą, porozumiewając się z Europejczykami głównie za pomocą szeroko otwartych oczu. Jeśli idzie o miejscowych, wyzwolonych niewolników i mulatów, to, co mogą uzyskać od Europejczyków, jest wątpliwe. Najlepsza strategia to handlować z nimi, pracować dla nich i schodzić im z oczu. Ojciec Ulisses utyskuje:

Chaty miejscowych znikają w ciągu nocy & kręgi pustki tworzą się wokół samotnych białych ludzi & ja tym właśnie jestem. Jestem samotnym białym w Afryce.

Tomás zatrzymuje pojazd, patrzy w niebo i stwierdza, że chłodne, pochmurne popołudnie nie sprzyja dalszej podróży. Lepiej ułożyć się na resztę dnia pod płaszczem z norek.

Nazajutrz droga biegnie dalej, nie mijając prawie żadnych wiosek, aż do Couço, gdzie znajduje się most nad rzeką Sorraia. Zatrwożone czaple siwe i białe, dotychczas spokojnie stojące w wodzie, pierzchają spod wąskiego mostu. Tomasa raduje widok drzew pomarańczowych, jedyna barwna plama w tym szarym dniu. Bardzo by chciał, żeby wyszło słońce. To ono tworzy krajobraz, wydobywa z niego kolory, wyznacza kontury, nadaje ducha.

Na obrzeżach Ponte de Sor Tomás zatrzymuje automobil. Pieszko wyprawia się do miasteczka. Jak dobrze jest iść. Energicznie kroczy tyłem, niemal podskakuje. Ale co to za swędzenie daje się mu we znaki? Drapie się w głowę, po twarzy, piersi. Ciało domaga się kąpieli. Spod pach dobywa się przykra woń, podobnie jak z dolnych części ciała.

Tomás wchodzi do miasta. Ludzie wpatrują się w niego, w jego osobliwy chód. Znajduje aptekarza, by kupić motonafę, idąc za radą stryja, aby kiedy tylko może, uzupełniał zapasy. Pyta człowieka za ladą, czy posiada ten produkt. Musi wymienić kilka nazw, zanim niewzruszenie poważny aptekarz kiwa głową i zdejmuje z półki szklaną butelkę, zaledwie pół litra.

– Ma pan więcej? – pyta Tomás.

Aptekarz odwraca się i stawia na ladzie jeszcze dwie flaszki.

– Wezmę więcej, jeśli można.

– Nie mam już więcej. To cały zapas.

Tomás jest rozczarowany. Jeśli tak dalej pójdzie, będzie musiał splądrować wszystkie apteki między Ponte de Sor a Wysokimi Górami Portugalii.

– Wobec tego wezmę te trzy butelki.

Aptekarz zanoszą motonaftę do kasy. Transakcja przebiega rutynowo, ale sprzedawca zachowuje się nieco dziwnie. Butelki owija w gazetę, a gdy do apteki wchodzi dwie osoby, szybko podaje Tomasowi pakunek. Tomás widzi, że aptekarz wpatruje się w niego z napięciem.

– Czy coś jest nie tak? – pyta, drapiąc się w głowę.

– Nie, wszystko w porządku – odpowiada aptekarz.

Tomás jest zdumiony, ale nic nie mówi. Wychodzi z apteki i rusza na spacer po mieście, zapamiętując drogę, jaką pojedzie.

Gdy po godzinie wjeżdża do Ponte de Sor, wszystko idzie nie tak. Gubi się. Im dłużej krąży po mieście, tym bardziej zwraca uwagę miejscowych. Przy każdym rogu czekają na niego tłumy. Na ostrym zakręcie, kiedy gorączkowo mocuje się z kierownicą, silnik znów gaśnie.

Ze wszystkich stron oblega go rzesza ciekawych i urażonych ludzi.

Mimo tłumów udaje mu się uruchomić silnik. Czuje nawet, że potrafi wrzucić pierwszy bieg. Potem patrzy na kierownicę i nie ma pojęcia, w którą stronę powinien ją obrócić. Wcześniej, usiłując wziąć szalony zakręt, kilkakrotnie obrócił kierownicę, zanim silnik zgasł. Próbuje logicznie rozwiązać problem – w tę stronę? w tamtą? – ale nie dochodzi do żadnego wniosku. Na chodniku dostrzega korpulentnego mężczyznę po pięćdziesiątce, stojącego na wysokości przednich świateł samochodu. Jest ubrany lepiej niż inni. Tomás wychyla się i przekrzykując łoskot silnika, woła:

– Przepraszam pana! Potrzebuję pańskiej pomocy, gdyby był pan łaskaw. Mam problem mechaniczny. To coś skomplikowanego, czym nie będę pana zanudzał. Proszę mi powiedzieć, czy koło, to przed panem, czy ono się obraca?

Mężczyzna cofa się i patrzy na koło. Tomás chwytając kierownicę i kręci nią. Gdy samochód stoi, wymaga to sporego wysiłku.

– I jak? – sapie głośno Tomás. – Obraca się?

Tamten wygląda na zaskoczonego.

– Obraca? Nie. Gdyby się obracało, pana powóz by jechał.

– Mam na myśli: czy skręca się w drugą stronę?

Mężczyzna zerka na tył pojazdu.

– W drugą stronę? Nie, nie, w drugą stronę też się nie rusza. W ogóle się nie rusza.

Wiele osób w tłumie potakuje.

– Przepraszam, nie wyrażam się jasno. Nie pytam, czy koło obróciło się wokół osi, jak koło u wozu. Chodzi mi o to... – Szuka właściwych słów. – Czy obróciło się na palcach, jak baletnica, by tak rzec?

Mężczyzna patrzy na koło z wyraźnym powątpiewaniem. Potem spogląda na sąsiadów po prawej i lewej stronie, ale oni również nie mają zdania.

Tomás z brutalną siłą kręci kierownicą.

– Czy koło w ogóle się rusza?! – woła.

Wtedy mężczyzna odkrzykuje, a wielu gapiów dołącza:

– Tak! Tak! Widzę! Rusza się!

– Twój problem jest rozwiązany! – woła ktoś.

Gapie wiwatują i klaszczą. Tomás chciałby, żeby się rozeszli. Korpulentny pomocnik powtarza, niezmiernie z siebie zadowolony:

– Rusza się, więcej niż poprzednim razem.

Tomás przywołuje go gestem. Tamten podchodzi, ale tylko odrobinę.

– Świetnie, świetnie – mówi Tomás. – Dziękuję za pomoc.

Jedyną reakcją mężczyzny jest pojedyncze mrugnięcie i nieznaczne skinienie głową. Gdyby na czubku jego łysiny leżało rozbite jajko, żółtko zachybotałoby troszeczkę.

– Ale proszę mi powiedzieć – drąży Tomás, nachylając się do przodu.

– W którą stronę koło się obróciło?

– W którą stronę? – powtarza mężczyzna.

– Tak. Czy koło obróciło się w lewo, czy w prawo?

Tamten spuszcza wzrok i wyraźnie przelyka ślinę. Ludzie milkną, czekając na odpowiedź.

– W lewo czy w prawo? – pyta znowu Tomás, nachylając się jeszcze bliżej do mężczyzny, jakby pragnął uczynić z niego współnika.

Żółtko się chybcze. Gapie wstrzymują oddech.

– Nie wiem! – woła w końcu grubas wysokim głosem, rozlewając żółtko.

Przeciskając się przez tłum, rzuca się do ucieczki. Widok nieporadnego miejskiego notabla, na krzywych nogach pędzącego ulicą, wprawia Tomasa w osłupienie. Oto stracił jedynego sprzymierzeńca.

– To mogło być w lewo albo w prawo – podsuwa jakiś człowiek. – Trudno stwierdzić.

Ludzie mruczą na znak, że się zgadzają. Atmosfera wyraźnie się oziębia, pobłażliwość ustępuje miejsca rozdrażnieniu. Tomás zdejmuje

nogę z pedału i silnik gaśnie. Wysiada z samochodu i obraca korbą. Potem zwraca się błagalnie do ludzi zgromadzonych przed pojazdem:

– Proszę was, posłuchajcie! Ta maszyna teraz ruszy, skoczy! Przez wzgląd na wasze dzieci, przez wzgląd na was, proszę, rozstąpcie się! To bardzo niebezpieczny wynalazek. Cofnijcie się!

Stojący nieopodal mężczyzna mówi cicho do Tomasa:

– O, idzie Demetrio z matką. Lepiej z nią nie zadzierać.

– Kim jest Demetrio? – pyta Tomás.

– To miejscowy głupek, ale matka pięknie go ubiera.

Tomás widzi, jak ulicą nadchodzi notabl. Korpulentny mężczyzna płacze, jego twarz lśni od łez. Ciągnie go za rękę drobniutka kobieta w czerni. W drugiej dłoni dzierży pałkę. Nie odrywa wzroku od Tomasa. Wygląda jak miniaturowy piesek poganiający ospałego właściciela. Tomás wraca na fotel kierowcy i zaczyna mocować się z przyrządami.

Udaje mu się przekonać automobil, by nie rzucił się w przód. Gdy tak wciska pedały, maszyna warczy, ale jedynie przechyla się do przodu, niczym wielki głaz, spod którego wysunął się kamyk, ale który jeszcze nie runął w dół zbocza, by zmiążyć wioskę w dole. Ludzie wydają zbiorowy okrzyk i natychmiast się rozstępują. Tomás trochę mocniej naciska pedał gazu. Zamierza gwałtownie obrócić kierownicę, mając nadzieję, że intuicja dobrze podpowie mu, w którą stronę, ale widzi zdumiony, że kierownica obraca się sama. Okazuje się, że w odpowiednią stronę. Pojazd rusza i kończy skręt. Tomás nadal patrzyłby w zdumieniu, gdyby nie odgłos drewnianej pałki walącej o metal.

– MASZ CZELNOŚĆ WYŚMIEWAĆ SIĘ Z MOJEGO SYNA?! – krzyczy matka rozbitego jajka. Z taką siłą uderzyła w jedno z przednich świateł, że odpadło. Tomasa ogarnia przerażenie: klejnot stryja! – WEPCHNĘ CIĘ W DUPEŁ OWCY I UDUSZĘ!

Automobil staje, maska jest tuż przy oburzonej matce. Pałka wędruje w górę i w dół. Z głośnym łomotem wgniata maskę. Tomás wcisnąłby mocniej pedał gazu, ale tuż obok wciąż są ludzie.

– Błagam, niech pani przestanie! – woła.

Boczne światło znajduje się w jej zasięgu. Kolejny zamach. Szkło pryska i światło odpada. Wariatka, której syn nie przestaje się mazać, ponownie unosi pałkę.

– RZUCĘ CIĘ NA POŻARCIE PSU, A POTEM GO ZJEM! – wrzeszczy.

Tomás mocno wciska pedał gazu. Kobieta nie trafia w boczne lusterko, ale pałka rozbija szybę w drzwiach kabiny. Z głośnym rykiem

silnika Tomás i zraniony automobil umykają z Ponte de Sor.

Kilka kilometrów dalej, przy kępie zarośli, zatrzymuje pojazd. Wysiada i ogląda zniszczenia. Uprząta odłamki szkła z kabiny. Stryj wpadnie w szal, gdy zobaczy, co zrobiono z dumą jego menażerii.

Tuż przed nim leży wioska Rosmaninhal. Czy to nie jedna z tych zapadłych dziur, z których szydził? „Rosmaninhal, nie zrobisz mi krzywdy”, przechwalał się. Czy teraz wioska każe mu zapłacić za tę arogancję? Tomás przygotowuje się do kolejnej nocy w automobilu. Tym razem do stryjowskiego płaszcza dodaje koc. Wyjmuje z kufra cenny dziennik i otwiera na chybił trafił.

Ani słońce, ani sen nie przynoszą już ukojenia. Jedzenie już mnie nie syci, podobnie jak ludzkie towarzystwo. Samo oddychanie jest oznaką optymizmu, którego nie czuję.

Tomás oddycha głęboko, znajdując optymizm tam, gdzie ojciec Ulisses nie potrafił. Jakie to dziwne, że ten dziennik żalu przynosi mu taką radość. Biedny ojciec Ulisses. Przypływał na São Tomé pełen nadziei. Zanim jego energię nadszarpnęły choroby, wędrował samotnie i bez celu, obserwował. Wydaje się, że te wędrowki nie miały innego celu jak pokonanie rozpaczy – lepiej chodzić w rozpaczy, niż poddawać się jej w przegrzanej chacie. Zapisywał to, co widział.

Dzisiaj pewien niewolnik zapytał mnie – zwrócił mi na to uwagę – czy moje skórzane buty zrobiono ze skóry Afrykanina. Są tego samego koloru. Czy tego człowieka również zjedzono? Czy jego kości zmielono na pożyteczny proszek? Niektórzy Afrykanie wierzą, że my, Europejczycy, jesteśmy kanibalami. To przekonanie leży u podstaw ich niedowierzania co do celu, w jakim posyła się ich do pracy w polu. Z ich doświadczeń wynika, że materialna strona ludzkiego życia, którą nazywamy zarobkowaniem, nie wymaga wielkiego wysiłku. Zajmowanie się warzywnikiem w tropikach zabiera niewiele czasu & wystarczy do tego zaledwie kilka osób. Polowanie jest bardziej wymagające, ale to zajęcie grupowe & źródło rozrywki & nikt nie patrzy krzywo na związany z nim wysiłek. Po cóż więc biały człowiek miałby zatrudniać ich tak wielu, jeśli nie przyświecałyby mu ukryte, ważniejsze cele niż uprawa ogrodu? Zapewniłem niewolnika, że moich butów nie uszyto ze skóry jego towarzyszy. Nie jestem pewien, czy go przekonałem.

Tomás wie o czymś, o czym nie wiedzą ani niewolnicy, ani ojciec Ulisses: o niewyczerpanym popycie na siłę roboczą na brazylijskich plantacjach trzciny cukrowej, a potem na polach bawełny Ameryki Północnej. Mężczyzna lub kobieta niekoniecznie muszą tak ciężko

pracować, żeby przeżyć, ale trybik w systemie ma nieustannie się obracać.

Bez względu na pochodzenie – niezależnie od kraju czy plemienia – niewolnicy wkrótce popadają w jednakowy stupor. Stają się apatyczni, bierni, obojętni. Im bardziej nadzorcy starają się zmienić to zachowanie, swobodnie korzystając z bicia, tym bardziej wchodzi ono niewolnikom w krew. Jednym z wielu objawów poczucia beznadziei, tym, który najbardziej mnie uderza, jest jedzenie ziemi. Grzebią w niej jak psy, lepią kulkę, otwierają usta, żują ziemię & połykają. Nie potrafię stwierdzić, czy zjadanie prochu Pana jest niechrześcijańskie.

Tomás odwraca głowę i patrzy na ciemniejące pola. Życ na tej przeklętej ziemi, a potem ją jeść? Później ojciec Ulisses odnotowuje, jak sam jej spróbował.

Zakwita we mnie ciemność, dławiące algi duszy. Żuję powoli. Ziemia nie smakuje źle, jest tylko przykra dla zębów. Jak długo jeszcze, Panie, jak długo? Nie czuję się dobrze & w oczach innych widzę, że mój stan się pogarsza. Wędrówka do miasta mnie nuży. Zamiast tego idę nad zatokę i wpatruję się w wodę.

Na cokolwiek cierpiał ojciec Ulisses – a Europejczycy w Afryce mieli do dyspozycji całą gamę dolegliwości: malarię, biegunkę, choroby układu oddechowego, choroby serca, anemię, zapalenie wątroby, syfilis, niedożywienie i inne – powoli i boleśnie go to zabijało.

Tomás zasypia, myśląc o synu i o tym, jak czasem w nocy, po wieczorze spędzonym u stryja, zakradał się do pokoju Dory w pomieszczeniach dla służby. Po długim dniu pracy często już spała. Wtedy brał śpiącego Gaspara w objęcia i przytulał. Zdumiewające, jak tym dwojgu nic nie mogło zakłócić snu. Tulił bezwładnego syna, śpiewał mu cicho i niemal pragnął, żeby się zbudził i mogli się pobawić.

Nazajutrz budzi go swędzenie głowy i piersi. Wstaje i zaczyna się metodycznie drapać. Pod paznokciami ma brud. Nie mył się od pięciu dni. Wkrótce musi znaleźć zajazd z wygodnym łóżkiem i gorącą kąpielą. Po chwili przypomina sobie o następnej wiosce, przez którą ma przejechać, tej, z której drwił. Obawa przed Rosmaninhal skłania go, by wrzucić tego dnia trzeci bieg, szczyt możliwości mechanicznych samochodu. Wkrótce po starcie włącza drugi bieg. Pośpiesznie, bez wahania, powtarza manewr nożno-ręczny i popycha przekładnię zmiany biegów dalej niż kiedykolwiek. Lampka na tablicy rozdzielczej miga z niedowierzaniem. Samochód staje się czystą prędkością. Na

trzecim biegu ogień ogarnia cały silnik spalinowy i pojazd mknie jak meteor. O dziwo jednak, trzeci bieg jest cichszy niż drugi, jakby nawet dźwięk nie mógł nadążyć za maszyną. Wokół kabiny kierowcy wyje wiatr. Automobil pędzi tak szybko, że przydrożne słupy telegraficzne przesuwają się, sprawiając wrażenie, że stoją gęsto jak zęby grzebienia. Krajobraz za słupami jest niewidoczny. Przemyka niczym ogarnięta paniką ławica ryb. W zamglonej krainie Wielkiej Prędkości Tomás jest świadom jedynie dwóch rzeczy: ryczącej i grzechoczącej karoserii samochodu oraz drogi przed sobą, tak hipnotycznej, że przypomina żyłkę wędki, na którą się złapał. Chociaż jedzie na otwartej przestrzeni, jest tak skoncentrowany, że równie dobrze mógłby jechać przez tunel. Oszołomiony nieprzerwanym wizgiem, zaczyna się martwić o naoliwienie. Wyobraża sobie, jak drobna część silnika robi się sucha, rozgrzewa się, staje w płomieniach, potem cały pojazd eksploduje w roziskrzonym niebiesko-pomarańczowo-czerwonym błysku motonafty.

Nic nie staje w płomieniach. Automobil jedynie brzęczy, wyje i pożera drogę z przerażającym apetytem. Jeżeli w Rosmanihal mieszka zły człowiek – albo dobry – Tomás go nie zauważa. Wioska śmiga i zostaje w tyle. Tomás dostrzega postać – mężczyznę? kobietę? – która odwraca się, by spojrzeć w jego stronę, i pada na ziemię.

Kilka kilometrów za Rosmanihal widzi powóz. Stryj ostrzegł go przed tym, prawda? Tomás zwalnia i chce poczekać, aż pojawi się inna droga albo powóz skręci. Po chwili jednak na samotnej wiejskiej drodze ogarnia go zniecierpliwienie. Nie ma porównania między trzydziestoma końmi galopującymi w jego maszynie a czwórką koni cwałujących przed powozem.

Mocno nadeptuje na pedał gazu. Automobil dławi się, kaszle, drży i chwyta drogę z jeszcze większą determinacją. Tomás czuje, że jakaś siła szarpie mu dłoń w przód, jednocześnie odpychając głowę w tył. Odległość między samochodem a powozem topnieje. Na szczycie powozu ukazuje się męska głowa. Woźnica macha do niego. Po chwili powóz, dotychczas po prawej stronie drogi, przetacza się na środek. Czy stryj przestrzegł przed powozami właśnie z powodu ich nieobliczalnego zataczania się z boku na bok? Tomás odczytuje ruch powozu jako gest uprzejmości: woźnica przesuwa się, by go przepuścić, jak dżentelmen przepuszczający damę w drzwiach. Tomás utwierdza się w tym przekonaniu, gdy widzi, że woźnica daje znak, by automobil przejeżdżał. Tomás kieruje się na prawo. Wszystkie części samochodu

dygoczą. Pasażerowie powozu, który chybotcze się szaleńczo na wszystkie strony, przywierają do okien i wyciągają szyje, żeby przyjrzeć się Tomasowi. Ich twarze wyrażają ciekawość, zdumienie, lęk i odrazę.

W polu widzenia Tomasa ukazuje się dwóch woźniców powozu, jego towarzysze drogi, więc zdejmuje nogę z gazu. Woźnice i on pozdrowią się wzajemnie, jak kapitanowie żeglugi, których statki mijają się na morzu. W trakcie swoich badań Tomás czytał sporo ksiąg okrętowych. W rozkołysanym automobilu i podskakującym powozie jest coś morskiego. Unosi rękę, by pomachać, i już ma się uśmiechnąć.

Patrzy w górę na woźniców i doznaje szoku. O ile na twarzach pasażerów malowały się rozmaite emocje, o tyle twarze woźniców wyrażają tylko nieskończoną pogardę. Człowiek, który wcześniej do niego machał – a może wygrażał pięścią? – teraz warczy i szczeka na Tomasa jak pies; wydaje się, jakby zamierzał zeskoczyć na dach automobilu. Ten, który powozi, wygląda na jeszcze bardziej rozsierzonego. Twarz poczerwieniała mu z wściekłości, usta ma otwarte w nieustającym krzyku. Długim biczyskiem wciąż pogania konie. Bat wznosi się i wije w powietrzu jak wąż, potem opada i prostuje się z głośnym trzaskiem podobnym do wystrzału. Dopiero w tym momencie Tomás widzi, że konie zostały zmuszone do galopu. Ziemia drży pod ich kopytami. Mimo gumowych opon automobilu, mimo resorów, od ciężkiej pracy koni grzechoczą mu kości, a mózg wypełnia się bojaźliwym podziwem. Tomás powoli wyprzedza powóz, jak przechodzień mijający spacerowicza w podeszłym wieku, z taką łatwością i swobodą, że ma czas uchylić czapki i rzucić miłe słowo. Jednak z punktu widzenia kogoś, kto stoi na poboczu, zarówno automobil, jak i powóz mkną z fantastyczną szybkością, jak gdyby sędziwy spacerowicz i przechodzień jechali na dachach dwóch pociągów ekspresowych pędzących po równoległych torach.

Cisza, jaka spowiła Tomasa na skutek jego intensywnej koncentracji, nagle eksploduje w tętencie galopujących kopyt, skrzypieniu rozchybotanego powozu, pokrzykiwaniu woźniców, przestraszonych głosach pasażerów, trzasku bicza i ryku automobilu. Najmocniej jak może, wciska pedał gazu. Automobil powoli wysuwa się do przodu.

Nagle uszy przeszywa mu inny, metaliczny odgłos. Woźnica oderwał bat od koni i teraz okłada nim dach automobilu. Tomás krzywi się, jakby razy padały na jego plecy. Pomocnik woźnicy podnosi rękę. Nad jego głową znajduje się drewniana skrzynia z metalowymi okuciami. Wygląda na ciężką. Pomocnik ciska nią w automobil, skrzynia uderza

w pojazd jak bomba, potem słycać zgrzyt, kiedy skrzynia wraz z zawartością ześlizguje się na ziemię. Konie, niespełna metr od Tomasa, wzbijają tumany pyłu i toczą z pysków pianę. Przerażone oczy wychodzą im z orbit. Konie są coraz bliżej. Woźnica kieruje powóz wprost na automobil. Śmierć stoi tuż przy mnie! – myśli Tomás.

Automobil osiąga pełną szybkość i konie zostają w tyle. Oddalając się, Tomás znów kieruje pojazd na środek drogi, tuż przed pierwszym koniem; w bocznym lusterku widzi, że zwierzę musi wysoko zadrzeć łeb, by nie uderzyć w tył kabiny.

Kiedy tylko Tomás wyprzedza powóz, wycieńczone konie się zatrzymują. Woźnice nie przestają krzyczeć. W bocznym lusterku widzi, jak pasażerowie wysypują się na zewnątrz, po czym i oni, i woźnice zaczynają na siebie wrzeszczeć.

Tomás jest wstrząśnięty tym zajściem, chce stanąć, ale lęk przed powozem popycha go dalej. Gdy jego nieszczęsny statek brnie do przodu, on znów skupia uwagę na drodze. Jego żołądek przypomina wzburzone morze. Wszystko go swędzi.

Dokonuje oceny sytuacji. Od ilu dni jest w podróży? Zastanawia się, liczy. Raz, dwa, trzy, cztery – cztery noce. Cztery noce i pięć dni z planowanych dziesięciu. Tylko dziesięciu. Nie wyjechał nawet z prowincji Ribatejo, nie przemierzył nawet ćwierci trasy. Jak mógł sobie wyobrazić, że podróż zajmie mu tak mało czasu? Śmiechu warte. Skusiła go stryjowska obietnica latającego dywanu. Naczelnym kustosz Muzeum Sztuki Starożytnej nie będzie tolerował spóźnienia. Jeśli Tomás opuści choćby jeden dzień pracy, zostanie po prostu zwolniony. Na tym polega świat pracy, w którym żyje; jest nic nieznaczącym, wymienialnym trybikiem. Jego relacje z naczelnym kustoszem, dyrektorem zbiorów oraz innymi kustoszami nie są lepsze niż stosunki ojca Ulissesa z biskupem i klerem na wyspie. Czy przyjemnie jest w pracy, gdzie koledzy nigdy nie jadają razem, tylko wszyscy, skwaszeni, siedzą oddzielnie? Niekiedy Tomasowi wydaje się, że każdej udręce, jaką ojciec Ulisses przeżył na São Tomé, odpowiada jedna, której sam doświadczył przez niego w muzeum. Taka sama monotonia. Taki sam samotny charakter pracy, którą przerywają pełne napięć kontakty z innymi. Taki sam dyskomfort fizyczny, w przypadku Tomasa są to niekończące się dni spędzane w wilgotnych, zatechłych magazynach piwnicznych lub na gorących, zakurzonych strychach. Taka sama dusząca udręka. Te same nieporadne próby dostrzeżenia sensu.

Na plantacjach znajduję małe kapliczki, stawiane na odludziu. To niezdarne konstrukcje z drewna lub wypalanej gliny, otoczone muszlami & gnijącymi owocami. Jeśli zostają zniszczone – nie ja to robię – wyrastają w innym miejscu. Lubię się natykać na te kapliczki. Niewolnicy, którzy w rodzinnych wioskach zajmują się różnym rzemiosłem, tutaj wykonują tylko obowiązkową pracę w polu. Żadnej metalurgii, ciesielstwa, wyplatania koszy, wytwarzania ozdób, krawiectwa, malowania ciała, śpiewów, nic. Na tej wyspie soczystej, wybujałej zieleni niewolnicy są równie płodni jak muły. Tylko w kapliczkach dostrzegam cień ich dawnego życia, tęsknotę za spełnieniem.

Tomasa ogarniają wątpliwości. Czy jego poszukiwania są tęsknotą za spełnieniem? Wyobraża sobie, że dar ojca Ulissesa urzekłby Gaspara, przemówiłby do jego dziecięcej wrażliwości, ale wątpi, czy znalazłby aprobatę u Dory. Właśnie tym zawsze się zdręczał: obawiał się, że służąc prawdzie, zrobi coś, co sprawi Dorze przykrość. Ale skarb naprawdę istnieje! Tomás wynosi tylko na światło dzienne to, co już tam jest. W myślach błaga Dorę o wybaczenie. „To najwyższe spełnienie wszystkiego, moja kochana”. Nie, nie ma mowy o bezczeszczeniu. Wie jednak, że Dora by mu nie uwierzyła, przegrałby dyskusję. Ponieważ wciąż nie śmie zatrzymać maszyny, płacze, prowadząc dalej.

W końcu staje za wioską Atalaia. Wchodzi na błotnik, by ocenić uszkodzenia dachu. Widok jest przygnębiający. Zrzuciona skrzynia spowodowała ogromne wgniecenie. Sprawnie użyty bat również poczynił duże szkody. Na dachu farba w kolorze burgunda jest pokryta siatką pęknięć. Całe płyty lada chwila odpadną. Kiedy zagląda do kabiny, widzi, że cedrowa wykładzina sufitu pękła i wystaje jak złamane kości.

Tomás idzie do Atalai w poszukiwaniu motonafty. W końcu znajduje jakiś sklepik z mydłem i powidłem. Wymienia różne nazwy paliwa, aż wreszcie sprzedawczyni kiwa głową i wydobywa buteleczkę. Tomás prosi o więcej. Sprzedawczyni jest zdziwiona. A przecież automobil nie zadowolony się kilkoma łykami napoju! Jest nienasycony. Tomás bierze tyle, ile jest w sklepie: raptem dwie butelki.

Wraca do automobilu i karmiąc bestię motonaftą, zerka przypadkiem na nalepkę na pustej już butelce. Zamiera. Preparat przeciwko pchłom i wszom! *Bezlitośnie zabija wszystkie robaki wraz z jajeczkami*, głosi napis. *Stosować obficie. Nie pić. TRZYMAĆ Z DALA OD OGNI.*

Czy sklepikarka i aptekarz nie mogli go spytać, po co mu tyle preparatu na insekty? On kupował paliwo do automobilu, oni

sprzedawali mu środek owadobójczy. Uznali, że jest istnym tornadem robactwa, z rojem pcheł, wszy i czego tam jeszcze na głowie. Nic dziwnego, że krzywo na niego patrzyli. Nagle Tomás pojmuje. Ależ oczywiście. No tak. Nie ma innego wytłumaczenia. Sklepikarze i aptekarze mają rację. Całe ciało swędzi go niemiłosiernie właśnie dlatego, że jest tornadem robactwa, z rojem pcheł, wszy i czego tam jeszcze na głowie.

Patrzy na swoją drugą rękę. Właśnie opróżnił butelkę, którą trzyma do góry dnem. Ostatnia. Ile ich miał? Około piętnastu. Praktycznie od początku podróży przewalały się w kabinie, obok pełnej beczułki, butelki z tym specyfikiem. Teraz nie zostało mu nic, przynajmniej nic, czego mógłby użyć. Chwyta niewielki okrągły otwór baku, jakby dało się go wyciągnąć. Nie daje się. Między jego cierpieniem a ulgą – całą wanną ulgi – znajdują się wąskie drzwiczki, które nie ustąpią.

Zaczyna się zastanawiać. „Kto mnie dotykał? Kto dotykał mojego ubrania? Kto przekazał mi robaki?”. Do kontaktu musiało dojść w Póvoa de Santa Iria lub Ponte de Sor. W obu miejscowościach dosłownie ocierał się o ludzkie ciała, ratując automobil przed napierającym tłumem.

Oddaje się gorączkowemu drapaniu.

Niebo ciemnieje. Zaczyna padać, więc Tomás chroni się w automobili. Na przedniej szybie pojawiają się strugi i krople, które przesłaniają mu drogę. Gdy deszcz przechodzi w ulewę, Tomás się zastanawia: stryj nie wspominał nic o tym, czy automobil potrafi działać w deszczu. Nie ośmiela się wyjechać dalej. Poczeka, aż przestanie padać.

Zmierzch i mrok napływają jak miazmaty. Tomasowi śnią się powozy galopujące na niego ze wszystkich stron. Jest mu zimno. Stopy wystające z kabiny mokną na deszczu. Raz po raz budzi go swędzenie.

Rano deszcz wciąż pada. Tomás za bardzo zmarzł, by chciało mu się myć. Moczy tylko dłonie i przeciera nimi twarz. Pociesza się jedynie myślą, że i ojcu Ulissesowi doskwierał na wyspie deszcz. Lał tak uporczywie, że ludzie odchodzili od zmysłów. W porównaniu z tym cóż znaczy ta lekka europejska mżawka?

Na tym pustkowiu z rzadka tylko pojawiają się wieśniacy, a każdy przystaje, by wdać się w dłuższą rozmowę. Jedni nadchodzą drogą, sami lub ciągnąc osła, inni od strony pól – panowie ziemi, uprawiający swoje maleńkie lenna. Deszcz zupełnie im nie przeszkadza.

Reakcje wszystkich wieśniaków są takie same. Każdy ogląda koła automobilu i stwierdza, że są małe i niepozorne. Przypatruje się

bocznym lusterkom i stwierdza, że są zmyślne. Gapi się na przyrządy tablicy rozdzielczej i stwierdza, że budzą lęk. Ogląda silnik i stwierdza, że to nie mieści się w głowie. Każdy z wieśniaków jest zdania, że automobil to istny cud.

Tylko jeden, pasterz, nie wykazuje zainteresowania pojazdem.

– Mogę z tobą trochę posiedzieć? – pyta. – Zmarzłem i przemokłem.

Owce pasterza otaczają automobil, zaganiane przez małego psiaka, który krąży wokół stada, nieustannie ujadając. Owce nie przestają beczeć. Tomás wyraża zgodę skinieniem głowy, więc pasterz przechodzi na drugą stronę i zajmuje miejsce obok niego w kabinie kierowcy.

Tomás chciałby, żeby pasterz coś powiedział, ale ten milczy jak zaklęty, ze wzrokiem utkwionym w drodze. Mijają minuty. Tę ciszę otacza miarowy syk deszczu, beczenie owiec i ujadanie psa.

W końcu to Tomás się odzywa:

– Pozwól, że powiem ci, czemu podróżuję. Dotychczas to była trudna droga. Poszukuję zaginionego skarbu. Cały rok próbowałem ustalić, gdzie może być, a teraz już wiem. Albo prawie wiem. Jestem blisko. Kiedy znajdę skarb, zawiozę go do Narodowego Muzeum Sztuki Starożytnej w Lizbonie, chociaż byłby godzien wielkiego muzeum w Paryżu czy Londynie. Chodzi o przedmiot... nie mogę ci powiedzieć, co to jest, ale robi wielkie wrażenie. Ludzie będą go oglądać z otwartymi ustami. Wywoła sensację. Dzięki niemu odpłacę Bogu za to, co uczynił dla tych, których kocha.

Stary wieśniak tylko patrzy na Tomasa i kiwa głową. Poza tym jedynie owce zdają się doceniać owo doniosłe wyznanie falującym „bee”. Trudno je nazwać śmietanką owczego świata. Stworzenia mają wychudłe pyski, wyłupiaste oczy, postrzępioną wełnę, tylne części ciała upaprane odchodami.

– Powiedz mi – zwraca się Tomás do pasterza – co myślisz o zwierzętach?

Pasterz ponownie zerka na niego, ale tym razem przemawia.

– O jakich zwierzętach?

– Na przykład o tych – mówi Tomás. – Co myślisz o swoich owcach?

– Są moim źródłem dochodu – odpowiada pasterz po dłuższej chwili.

– No tak – przyznaje Tomás po namyśle. – To bardzo ważne. Bez owiec nie miałbyś z czego żyć, umarłbyś. Ta zależność tworzy pewną równość, prawda? W sensie zbiorowym, nie indywidualnym. Jako grupa, ty i twoje owce znajdujecie się na przeciwnych szalach wagi,

a gdzieś pośrodku jest równowaga. Musisz ją zachowywać. W tym sensie nie jesteśmy lepsi od zwierząt.

Pasterz nie odzywa się ani słowem. Nagle Tomasa ogarnia przemożne swędzenie. Na całym ciele.

– Przepraszam cię, ale muszę coś zrobić – mówi do pasterza.

Przechodzi po stopniu do kabiny z tyłu. Przez jej szerokie okno widać wyraźnie głowę pasterza. Tomás pada na kanapę i drapie się intensywnie, atakując paznokciami owadzych prześladawców. Ulga jest niewysłowiona. Pasterz ani razu nie odwraca głowy.

Aby ochronić się przed deszczem, Tomás zasłania rozbite okno kocem, przyciskając go drzwiami. Krople deszczu monotonnie bębnią o dach. Pośród rozrzuconych zapasów mości się na skórzanej sofie, przykrywa kocem i zwija się w kłębek...

Budzi się gwałtownie. Nie ma pojęcia, czy spał pięć, czy pięćdziesiąt pięć minut. Deszcz ciągle pada, ale pasterz zniknął. Przez zalane deszczem okno widzi przed sobą na drodze zamglony szary kształt – stado owiec. Otwiera drzwi kabiny i staje na stopniu. Pasterz idzie pośrodku, jakby płynął na chmurze. Pies ugania się wokół stada jak wcześniej, ale Tomás już go nie słyszy. Owce oddalają się i skręcają w połą drogę.

Tomás patrzy przez deszcz, jak stado stopniowo maleje. Gdy owce zaczynają znikać za wzniesieniem, pasterz – teraz czarny punkt – zatrzymuje się i odwraca. Czy rozgląda się za zbłąkaną owcą? A może patrzy na niego? Tomás macha energicznie. Nie potrafi stwierdzić, czy pasterz to zauważył. Czarny punkt znika.

Po powrocie do kabiny kierowcy Tomás znajduje na siedzeniu pasażera niewielki pakunek. W szmatkę jest zawinięty chleb, biały ser i mały, szczelnie zamknięty gliniany słoiczek miodu. Podarunek gwiazdkowy? Kiedy dokładnie jest Boże Narodzenie? Za cztery dni? Przyłapuje się na tym, że stracił rachubę czasu. Tak czy inaczej, jakie to miłe ze strony pasterza. Tomás jest poruszony. Je. Jakie pyszne! Nie pamięta, by kiedykolwiek jadł tak smaczny chleb, tak wspaniałe ser, tak przepyszny miód.

Deszcz przestaje padać, niebo się przejaśnia. Czekać, aż zimowe słońce osuszy drogę, Tomás oliwi automobil. Potem niecierpliwie rusza w drogę. Gdy dociera do miasteczka Arez, wkracza do niego na piechotę. Z radością znajduje odpowiedniego aptekarza.

– Kupię cały twój zapas. Wszy mocno dają się we znaki moim koniom – informuje aptekarza, kiedy ten stawia na ladzie buteleczkę

motonafty.

– Spróbuj może u kowala Hipolita – podsuwa aptekarz.

– Czemu miałyby to mieć?

– Hipolito zajmuje się końmi, chyba także zawszonymi. Co jest z twoimi stopami?

– Z moimi stopami?

– Tak. Co z nimi jest?

– Wszystko w porządku. Czemu miałyby im coś dolegać?

– Widziałem, jak chodzisz.

– Mam całkiem zdrowe stopy.

Idąc tyłem przez wioskę na całkiem zdrowych stopach, Tomás znajduje na końcu uliczki kuźnię Hipolita. Ze zdumieniem stwierdza, że kowal ma ogromną beczkę motonafty. Tomás nie posiada się z radości. Przy takim zapasie nie tylko nasyci pojazd, ale też ulży swojemu udęczoneму ciału.

– Dobry człowieku, kupię tego dużo. Mam dwanaście koni, które są mocno zawszone.

– Och, nie powinieneś stosować tego do koni. Wyrządziłbyś im dużą krzywdę. Ten płyn bardzo podrażnia skórę. Potrzebny ci proszek, który rozpuścisz w wodzie.

– A więc po co ci tyle motonafty?

– Do automobili. To nowy wynalazek.

– Doskonale! Mam jeden i tak się składa, że pilnie trzeba go napić.

– Czemu od razu tak nie mówiłeś? – pyta jowialny wieśniak.

– Martwiłem się moimi biednymi końmi.

Dramat dwunastu zawszonych koni Tomasa bardzo porusza kowala Hipolita, który szczegółowo opisuje, jak należy zmieszać proszek z ciepłą wodą, posmarować zawszone miejsca, poczekać, aż preparat wyschnie, po czym starannie wyszczotkować, zaczynając od łba i kończąc na zadzie. Zabiera to wiele czasu, ale koń zasługuje na jak najlepsze traktowanie.

– Przyrowadź swoje zwierzęta, to ci pomogę – proponuje Hipolito w przyływie miłości do koni.

– Nie pochodzę z tych stron. Tutaj mam tylko automobil.

– W takim razie przemierzyłeś długą drogę w poszukiwaniu niewłaściwego lekarstwa dla koni. Tutaj mam proszek. Mówisz: dwanaście koni? Sześć puszek powinno wystarczyć, dla pewności osiem. Potrzebny ci także ten zestaw ze szczotką i zgrzebłem. Najwyższa jakość.

– Dziękuję. Nie masz pojęcia, jak mi ulżyło. Powiedz, od jak dawna sprzedajesz motonafte?

– Około pół roku.

– Jak idą interesy?

– Jesteś moim pierwszym klientem! W życiu nie widziałem samochodu. Mówią, że to powóz przyszłości, a ja jestem dobrym biznesmenem, o tak. Znam się na handlu. Ważne, żeby iść z duchem czasu. Nikt nie chce kupować przedmiotów. Powinieneś być pionierem, rozpowszechnić ten nowy produkt. W ten sposób wchodzisz na rynek.

– W jaki sposób przywiozłeś tu taką wielką beczkę?

– Powozem.

Tomasowi na chwilę zamiera serce.

– Ale wiesz – dodaje Hipolito – nie powiedziałem im, że to do samochodu. Powiedziałem, że to na końskie wszy. Ci woźnicy mają do samochodu dziwny stosunek.

– Tak? Spodziewasz się wkrótce powozów?

– Mniej więcej za godzinę.

Tomás pędzi z powrotem do samochodu, byle szybciej do niego dopaść.

Kiedy w popłochu, niczym bandyta po napadzie na bank, wraca renaultem do kuźni, Hipolito jest zdziwiony, zaskoczony, przerażony, a zarazem zachwycony widokiem łomoczącego wynalazku.

– A więc tak to wygląda? Co za wielki, hałaśliwy grat! Szkaradny w pewien piękny sposób, by tak rzec. Przypomina mi moją żonę! – woła Hipolito.

– Zgadza się całkowicie – mówi Tomás, gasząc silnik. – To znaczy jeśli chodzi o samochód. Co prawda, według mnie jest on szkaradny w szkaradny sposób.

– Hm, może masz rację – mruczy kowal, być może zastanawiając się nad tym, jak samochód zrujnuje mu interesy i tryb życia. – No cóż, biznes to biznes. Gdzie się nalewa motonafte? Pokaż mi.

– Tutaj, tu i tu. – Tomás wskazuje z zapalem.

Na polecenie Tomasa Hipolito napełnia bak, puste butelki po preparacie na robaki oraz beczkę. Tomás chciwie przygląda się butelkom. Marzy o tym, by wylać sobie na ciało zawartość jednej z nich.

– Przyjeżdż znowu! – zaprasza Hipolito, kiedy Tomás płaci za paliwo, osiem puszek proszku na wszy oraz najwyższej jakości zestaw ze szczotką i zgrzeblem. – Pamiętaj, od przodu do tyłu, zaczynając od czubka łba i przesuwając po grzbiecie aż do zadu. Biedne stworzenia!

– Dziękuję, dziękuję! – woła Tomás i szybko odjeżdża.

Minąwszy Arez, skręca z głównej szosy w dobrze oznakowaną drogę. Ma nadzieję, że mapa, z ledwie zaznaczonymi bocznymi drogami, wyprowadzi go z powrotem na szosę za dużym miastem Nisa, które chce ominąć. Z jednej drogi skręca w drugą, potem w następną. Ich jakość przechodzi ze złej w jeszcze gorszą. Wszędzie leżą kamienie. Tomás kieruje pojazdem najlepiej, jak potrafi. Teren wznosi się i opada niczym wzburzone fale, więc wzrok nigdy nie sięga zbyt daleko. Czy tak właśnie czuł się ojciec Ulisses, żeglując ku wyspie, zamknięty na otwartej przestrzeni?

Pośród tych oceanicznych meandrów droga ni stąd, ni zowąd znika. Gładką nawierzchnię zastępują kamienie, jakby droga była rzeką przechodzącą w deltę, po której zaczyna dryfować. Tomás jeszcze przez pewien czas posuwa się naprzód, wreszcie jednak głos rozsądku nakazuje mu się wycofać.

Zawraca automobil, ale wszystkie drogi wyglądają tak samo. Stopniowo traci orientację. Jak okiem sięgnąć, wszędzie ten sam krajobraz, kamienisty, suchy, cichy, pełen srebrzystozielonych drzew oliwnych oraz pękatych chmur wzbierających wysoko na niebie. Zabłądził, jest rozbitkiem. Nadciąga noc.

W końcu to nie fakt, że zabłądził, każe mu zatrzymać się na noc. Przyczyna jest bardziej osobistej natury. Rojne armie robaków maszerują po jego ciele i dłużej nie może tego znieść.

Dociera do wzniesienia i zatrzymuje pojazd, lekko uderzając przodem w drzewo. Pachnące żywną pracą drzew powietrze jest niezwykle łagodne. Tomás nie słyszy nic, ani owadów, ani ptaków, ani wiatru. Jego uszy rejestrują wyłącznie odgłosy, które sam wydaje. Z powodu braku dźwięków więcej rejestruje oczami, zwłaszcza delikatne zimowe kwiaty, które gdzieś rzucają wyzwanie kamienistej ziemi. Różowe, jasnobłękitne, czerwone, białe – nie zna ich nazw, wie tylko, że są piękne. Głęboko oddycha. Bez trudu potrafi sobie wyobrazić, że ta kraina była niegdyś ostatnim przyczółkiem osławionego nosorożca iberyjskiego, który wędrował tu, dziki i swobodny.

W którąkolwiek stronę idzie, nigdzie nie natrafia na żaden ślad ludzkiej obecności. Wcześniej zamierzał znaleźć ustronne miejsce, by zająć się swoim problemem, i oto właśnie je znalazł. Chwila nadeszła. Tomás wraca do automobilu. Żaden człowiek, żadne stworzenie nie zniosłoby takiego swędzenia. Jednak przed zastosowaniem magicznej

mikstury oddaje się raz jeszcze przyjemności drapania swędzących miejsc.

Unosi wszystkie dziesięć palców. Poczerniałe paznokcie błyszczą. Z wojennym okrzykiem rzuca się do walki. Przeczesuje palcami włosy, szczyt głowy, boki, kark; przesuwając nimi po brodzie i szyi. To szybka, energiczna robota. Dlaczego wydajemy zwierzęce okrzyki w chwilach bólu lub przyjemności? Tomás nie wie, ale wydaje zwierzęce okrzyki i robi zwierzęce miny. „AAAHHHHH! – woła. – OOOHHHHH!”. Zrzuca kurtkę, rozpinając i zdejmując koszulę, zdiera podkoszulek. Atakuje wrogów na torsie i pod pachami. Krocze stanowi istny kataklizm swędzenia. Tomás rozpinając pasek, ściąga spodnie i majtki aż do kostek. Palcami zakrzywionymi jak szpony zapamiętałe drapie sobie krocze. Czy kiedykolwiek zaznał takiej ulgi? Nieruchomieje i napawa się rozkoszą, potem zaczyna znowu. Przechodzi do nóg. Pod paznokciami widzi krew. To nic. Jednak wandy przegrupowali szyki i ukryli się między pośladkami. Ponieważ tam też jest owłosiony. Ma włosy wszędzie. Czarna gęstwina, na całym ciele porastająca jego białą skórę, zawsze była dla niego powodem do zażenowania. Fakt, że Dora lubiała przeczesywać palcami jego włosy na piersi, dodawał mu otuchy; w przeciwnym razie uważałby to swoje owłosienie za odrażające. Jest małpą. Dlatego tak starannie się goli i strzyże włosy. Zawsze był schludnym i czystym człowiekiem, skromnym i powściągliwym. Teraz jednak swędzenie sprawia, że traci kontrolę nad sobą. Opuszczone do kostek spodnie ograniczają mu swobodę ruchów. Zrzuca buty, ściąga skarpetki i spodnie, najpierw jedną nogawkę, potem drugą. Znacznie lepiej – teraz może podnieść nogi. Obiema dłońmi atakuje rowek między pośladkami. Walczy jak lew. Ręce pracują, przeskakuje z nogi na nogę, wydaje zwierzęce okrzyki, robi zwierzęce miny. Woła: „AAAHHHHH!”, a potem: „OOOHHHHH!”.

I właśnie kiedy drapie się po włosach łonowych i dłonie furkoczą mu jak skrzydła kolibra, a na twarzy maluje się wyjątkowo małpi uśmiech zadowolenia, zauważa wieśniaka. Stoi nieopodal i patrzy na niego. Patrzy na gołego człowieka, który drapie się jak szalony, podskakując i wydając zwierzęce odgłosy, obok dziwnego wozu bez koni. Tomás zastyga. Od jak dawna tamten go obserwuje?

Co można zrobić w takiej chwili? Jak ma uratować swoją godność, samo człowieczeństwo? Na początek usuwa z twarzy zwierzęcy wyraz. Prostuje się. Najdostojniej jak potrafi – schylając się szybko po ubranie –

idzie do samochodu i znika w kabinie. Dojmująca udręka powoduje całkowity bezruch.

Po zachodzie słońca niebo staje się czarne jak tusz, a ciemność i samotność zaczynają dawać się Tomasowi we znaki. Całkowite, obezwładniające upokorzenie nie stanowi lekarstwa na robactwo. Wciąż jest pokryty pobudzonymi insektami. Niemal je słyszy. Ostrożnie otwiera drzwi i wychyla się. Nikogo. Wieśniak odszedł. Tomás zapala ogarek świeczki. Gdziekolwiek ją postawi, może zniszczyć skórzane obicia, więc bierze butelkę z motonaftą, wyciąga korek i w jego miejsce wsadza świeczkę. Efekt jest miły dla oka. Kabina wygląda przytulnie, jak mały salon.

Wciąż nagi, wychodzi z pojazdu. Wyjmuje puszkę proszku na końskie wszy i dwie butelki motonafty. Postąpi jeszcze lepiej, niż radził Hipolito. Proszek na wszy rozpuści nie w wodzie, ale w motonaftce, przez co podwoi zabójczą siłę roztworu. Zresztą nie ma już wody. Ta z beczki w kabinie znikła albo w jego żołądku, albo w samochodzie. Został tylko bukłak wina. Motonaftę i proszek na wszy miesza w garnku, aż pasta nie jest ani za gęsta, ani za rzadka. Cuchnie niemiłosiernie. Palcami zaczyna nakładać pastę na ciało. Krzywi się, bo skóra jest wrażliwa po drapaniu. Pasta piecze, ale Tomás dzielnie znosi ból, bo wie, że wymierza śmiertelny cios robactwu. *Stosować obficie*, głosi nalepka. Tak też czyni. Po obłożeniu głowy i twarzy, smaruje się pod pachami, na piersi, brzuchu, nogach i stopach. Grubą warstwą pokrywa krocze. W miejscach, gdzie pasta odpada od ciała, nakłada ją podwójnie. Jeśli chodzi o pośladki, umieszcza sporą porcję mikstury na stopniu i siada na niej. Gotowe. Z wyprostowaną głową, rękami sztywno przy ciele, dłońmi rozcapierzonymi na torsie, siedzi nieruchomo. Każdy ruch, nawet oddychanie, nie tylko powoduje, że pasta odpada, ale też wzmacnia pieczenie.

Skóra piecze go strasznie. Próbuje się przyzwyczaić, ale nie potrafi. Czuje, jakby mikstura przeżerała mu skórę i ciało. Jest pieczony żywcem. Ale robactwo też. Wszy i ich jajeczka umierają tysiącami. Musi tylko znieść tę udrękę trochę dłużej, a wszystkie wyginą. Potem szybko dojdzie do siebie. Piekąc się powoli, czeka.

Nagle rozlega się ogłuszające BUM! Ze stopnia zrzuca go nie tylko siła eksplozji, ale też zaskoczenie i strach. Odwraca się i patrzy, całkowicie zapominając o robactwie. Samochód płonie! Wcześniej na butelce motonafty palił się tylko chybliwy płomyk, a teraz cała kabina stoi w płomieniach. Czując klucie z tyłu czaszki, pojmuje, że ogień

przeskoczył z samochodu na jego głowę. W jednej chwili rozprzestrzeniła się na brodę, pierś, całe ciało. PUF! Włosy łonowe zajmują się pomarańczowym ogniem. Tomás krzyczy. Na jego szczęście proszek na wszy nie jest palny. Za to na głowie czuje ukłucia bólu, podobnie jak na piersi i członku – wszędzie tam, gdzie podsycany motonaftą ogień przeniknął przez miksturę i włosy, docierając do gołej skóry. Tomás podskakuje, klepie się dłońmi po całym ciele, gasząc ogień. Potem staje i unosi się z niego słup dymu.

Automobil ciągle się pali. Tomás biegnie ku niemu. Po drodze chwytając z ziemi mokry koc, którym wczoraj zasłonił przed deszczem wybite okno w kabinie. Daje nura do środka. Kocem i proszkiem na wszy udaje mu się ugasić ogień.

Wyciąga z kabiny kufer i go otwiera. Dziennik ojca Ulissesa, dzięki temu, że leżał w kufrze, nie doznał uszczerbku. Tomás niemal krzyczy z ulgi. Ale co z kabiną! Skórzane obicie sofy jest zwęglone i całe się kruszy. Boazeria jest osmalona. Sufit poczerniały od sadzy. Wszystkie szyby, prócz przedniej, wyleciały, wszędzie walają się odłamki szkła. Prowiant, akcesoria samochodowe, ubrania – wszystko popalone. Dokoła tylko popiół i zwęglony proszek na wszy. I ten smród!

Tomás wypija resztę czerwonego wina, uprząta szkło z fotela kierowcy, po czym kładzie się nagi na kocu i przykrywa płaszczem z norek. Całe ciało go boli, we śnie krzyczy na niego stryj. Przenika go chłód nocy, ale rany wciąż palą.

O brzasku ubiera się ostrożnie. Choć jak najdelikatniej zakłada odzież, materiał drapie wrażliwą skórę. Najlepiej jak potrafi, zamiata i czyści kabinę. Ponownie otwiera kufer, by sięgnąć do dziennika. Nie chce utracić więzi z ojcem Ulissesem. Z czasem zaczął w nim widzieć człowieka uszlachetnionego cierpieniem. Człowieka godnego naśladowania. Ponieważ cierpieć i nic nie robić, to znaczy być nikim, ale cierpieć i zrobić coś, to znaczy stać się kimś. To właśnie robi Tomás: coś robi. Musi dotrzeć do Wysokich Gór Portugalii i dokończyć swe poszukiwania.

Oto jednak staje przed niespodziewanym problemem: tuż przed samochodem jest drzewo. Nie ma dość miejsca, by je wyminąć. Dotychczas nie znalazł się w podobnej sytuacji. Przed samochodem zawsze było dość miejsca, by kręcąc kierownicą, mógł ruszyć do przodu. Tomás krzyczy, obwinia się, przeklina. A potem zastanawia się nad rozwiązaniem i dochodzi do wniosku, że istnieje tylko jedno: ściąć drzewo. W kabinie jest siekiera. Dopiero co ją widział, pokrytą sadzą.

Troskliwy i zapobiegliwy stryj dołączył ją z pewnością w tym właśnie celu. Wspaniały marsz postępu najwyraźniej wiąże się z przykrą koniecznością ścinania wszystkiego, co stanie na drodze. Ale drzewo jest takie duże, pień taki gruby, a jego wszystko boli!

Tomás waha się. W końcu widok kufra z papierami w nieosłoniętej od wiatru kabinie pozwala mu zebrać siły. Chwyta siekierę.

Staje przodem do drzewa, po przeciwnej stronie niż automobil. Unosi siekierę, bierze zamach. Rąbie, rąbie i rąbie. Kora odlatuje bez trudu, ale jasne drewno jest gumowate i odporne. Siekiera, chociaż ostra, odskakuje, zostawiając jedynie drobne nacięcia. Uderzanie po wielokroć w to samo miejsce wymaga umiejętności, których mu brakuje. Poza tym każdy zamach sprawia, że ubranie boleśnie drażni mu ciało.

Bardzo szybko Tomás zlewa się potem. Odpoczywa, posila się, wraca do rąbania. I tak mija poranek. Nadchodzi popołudnie.

Do wieczora udaje mu się wyrąbać w pniu spore wgłębienie. Sięga dalej niż do połowy grubości pnia, ale drzewo nie przejawia chęci, by runąć. Poharatane dłonie krwawią. Ból rąk jedynie na chwilę pozwala mu zapomnieć o bólu w całym ciele. Z wyczerpania Tomás słania się na nogach.

W końcu nie może dalej rąbać. Przeszkoda musi ustąpić teraz. Postanawia użyć ciężaru własnego ciała, żeby przewrócić drzewo. Stawiając jedną nogę na błotniku, drugą na krawędzi maski, łapie za pierwszą gałąź. Chwytnie kory dłońmi to istna tortura, ale udaje się mu zarzucić nogę za drugą gałąź i podciągnąć się. Po mozolnym rąbaniu stosunkowo łatwa wspinaczka przywraca mu dobry humor.

Tomás pełźnie po konarze. Chwyta dwie gałęzie. Jeśli drzewo runie, on oczywiście upadnie razem z nim. Nie znajduje się jednak wysoko; da radę.

Zaczyna kołysać całym ciałem, nie zważając na przeszywający ból dłoni. Wierzchołek drzewa tańczy. W każdej chwili Tomás spodziewa się usłyszeć głośny trzask; oczekuje upadku na ziemię.

Drzewo ustępuje jednak z cichą, gumową elastycznością. Powoli się przechyla. Tomás odwraca głowę i widzi przybliżającą się ziemię. Ląduje łagodnie. Ale stopy ześlizgują mu się z konaru i spotykają się z ziemią dokładnie tam, gdzie drzewo postanowiło opaść najcięższą gałęzią. Z ust Tomasa dobywa się okrzyk bólu.

Uwalnia stopy. Porusza palcami. Nie złamał sobie żadnej kości. Odwraca się i patrzy na automobil. Leżąc na ziemi, natychmiast dostrzega to, czego nie zauważył podczas długich godzin, gdy stał. Kikut

drzewa jest za wysoki. Automobil nigdy nad nim nie przejedzie. Należało rąbać znacznie niżej. Jednak nawet gdyby tak zrobił, drzewo jest wciąż przytwierdzone do pniaka. Runęło, ale się nie złamało. Miejsce, gdzie drzewo łączy się z pniakiem, jest skręcone, więc jeszcze bardziej będzie się opierało siekierze. Ale nawet gdyby zdołał przerąbać resztę pnia, nawet gdyby pniak był krótszy, czy dałby radę odciągnąć drzewo na bok? Trudno to sobie wyobrazić. Kłapa.

Wszystkie jego wysiłki poszły na marne. Drzewo z niego drwi. Zaplątany w gałęzie, osuwa się i zaczyna łkać. Zamyka oczy i oddaje się rozpacz.

Głos słyszy, zanim czyjaś dłoń dotyka jego ramienia.

– Jesteś ranny, przyjacielu.

Zaskoczony, Tomás podnosi wzrok. Wieśniak wyrósł jak spod ziemi. Ma na sobie nieskazitelnie białą koszulę. Tomás dławi się ostatnim szlochem i ociera twarz wierzchem dłoni.

– Tak daleko cię rzuciło! – mówi nieznamy.

– Tak – odpowiada Tomás.

Wieśniak patrzy na automobil i na drzewo. Tomás zrozumiał, że tamten miał na myśli odległość, na jaką odrzuciło go od drzewa (w istocie wcale tak się nie stało; wciąż jest na drzewie, niczym ptak w gnieździe). Jednak wieśniak dziwi się, że tak daleko odrzuciło go od automobilu. Musi sądzić, że Tomás wjechał na drzewo i wypadł z pojazdu w gałęzie.

– Bolać mnie dłonie i stopy. Strasznie chce mi się pić! – mówi Tomás.

Wieśniak chwytą go ręką w pasie. Mimo niskiego wzrostu jest bardzo silny; dźwiga Tomasa z ziemi. Praktycznie zanosz go do automobilu i sadza na stopniu. Tomás masuje kostki u nóg.

– Złamałeś coś? – pyta wieśniak.

– Nie. Tylko się posiniaczyłem.

– Napij się wody.

Mężczyzna wyjmuję bukłak i Tomás pije z niego łąpczywie.

– Dziękuję. Za wodę i za pomoc. Jestem ci bardzo wdzięczny. Mam na imię Tomás.

– Jestem Simão.

Simão patrzy na zwalone drzewo, wybite okna automobilu, spaloną kabinę, liczne wgniecenia i zadrapania.

– Co za straszny wypadek! Jaka potężna maszyna! – woła.

Tomás ma nadzieję, że Simão nie zauważy siekiery na ziemi.

– Szkoda tego drzewa – dodaje Simão.

– To twoje?

– Nie. To jest gaj Casimira.

Tomás po raz pierwszy patrzy na drzewo nie jak na przeszkodę, ale jak na żywe stworzenie.

– Ile miało lat?

– Wygląda na dwieście, może trzysta. Dobre drzewo, dawało mnóstwo oliwek.

Tomás jest przerażony.

– Tak mi przykro. Casimiro będzie bardzo zły.

– Nie, zrozumie. Wszystkim nam przytrafiają się wypadki.

– Powiedz, czy Casimiro jest dość stary, ma okrągłą twarz i siwiejące włosy?

– Tak, to dobry opis Casimira.

Jak się okazuje, to wieśniak z minionej nocy, ten, który widział wszawy taniec Tomasa. Tomás podejrzewa, że Casimiro spojrzy na wydarzenia w gaju oliwnym w odmiennym, mniej przychylnym świetle.

– Myślisz, że maszyna ciągle działa? – pyta Simão.

– Na pewno – mówi Tomás. – To solidny pojazd. Muszę tylko go wycofać. Na tym polega problem,

– Wrzucić jałowy bieg, to popchniemy.

Znowu to słowo. Tomás nie wie, jakim cudem jałowość samochodu miałyby umożliwić jego wycofanie, ale Simão najwyraźniej zna się na rzeczy.

– Już jest na jałowym biegu. Trzeba tylko zwolnić hamulec ręczny – oznajmia Tomás.

Wkłada buty, wsiada do samochodu i obolałą ręką zwalnia hamulec. Nic się nie dzieje. Tomás zaczyna wątpić, czy proste rozwiązanie Simão okaże się bardziej owocne niż ścięcie drzewa.

– Chodź – mówi Simão.

Tomás dołącza do niego, z przodu samochodu. Pomysł pchania pojazdu jest niedorzeczny. Ponieważ jednak chce być uprzejmy wobec człowieka, który tak chętnie mu pomógł, a teraz jest gotów pchać, napiera ramieniem na samochód.

– Raz, dwa, trzy! – woła Simão i pcha, a Tomás, choć niezbyt mocno, robi to samo.

Ku jego zdumieniu samochód rusza. Tomás jest tak oszołomiony, że zapomina pchać i pada na twarz. Kilka sekund później samochód znajduje się już o trzy swoje długości od drzewa.

– Zdziwiająca maszyna! – Simão promienieje.

– Owszem – potwierdza z niedowierzaniem Tomás.

Wstając z ziemi, ukradkiem chwytając siekierę. Trzymając ją przy nodze, odnosi do kabiny. Simão wciąż wpatruje się w samochód z bezbrzeżnym podziwem.

Tomás niczego bardziej nie pragnie, niż zostać na noc tu, gdzie jest, ale perspektywa spotkania z Casimirem i konieczności tłumaczenia się z ataku na drzewo oliwne liczące ćwierć tysiąca lat mocno przemawia przeciwko temu. Poza tym zabłądził. Jeśli zostanie tu na noc, nazajutrz nie będzie wiedział, dokąd jechać.

– Simão, czy mógłbyś mi pomóc wydostać się stąd? Chyba pobłądziłem.

– Dokąd chcesz jechać? Do Nisy?

– Nie, właśnie stamtąd jadę. Zmierzam do Vila Velha de Ródão.

– Vila Velha? To rzeczywiście pobłądziłeś. Ale to nic. Znam drogę.

– Wspaniale. Pomożesz mi uruchomić samochód?

Dłonie Tomasa są w takim stanie, że na myśl o kręceniu korbą robi mu się słabo. Podejrzewa, że Simão spodoba się taka propozycja. Ma rację. Wieśniak promienieje.

– Oczywiście. Co mam zrobić?

Tomás pokazuje mu korbę oraz kierunek, w jakim powinien ją obracać. Kiedy silnik budzi się do życia, Simão wygląda jak rażony gromem. Tomás macha do niego, żeby wsiadł, potem wrzuca pierwszy bieg, a gdy ruszają, zerka na pasażera. Twarz Simão potwierdza przypuszczenia, jakich nabrał, obserwując stryja. Samochód zamienia dorosłych mężczyzn w małych chłopców. Na ogorzałej twarzy Simão maluje się wyraz rozkoszy. Gdyby zaczął piszczeć i chichotać, Tomás wcale by się nie zdziwił.

– Którędy mam jechać? – pyta.

Simão pokazuje kierunek. Co kilka minut koryguje kurs i wkrótce pojawia się droga, najpierw ledwie wytyczona, potem gładka i z dobrym poboczem. Prowadzi się coraz łatwiej. Zachwyty Simão nie słabnie ani na chwilę.

Po półgodzinnej jeździe docierają do prawdziwej, błogosławionej szosy. Tomás zatrzymuje pojazd.

– Nigdy nie sądziłem, że widok szosy tak mnie uraduje. Którędy do Vila Velha de Ródão?

Simão pokazuje w prawo.

– Bardzo ci dziękuję, Simão. Twoja pomoc była nieoceniona. Muszę cię wynagrodzić. – Sięga do kieszeni osmalonej kurtki.

Simão kręci głową. Mozolnie, jakby język mu skołowaciał, mówi:

– Moją nagrodą była jazda tym niezwykłym powozem. To ja ci dziękuję.

– Drobiazg. Przykro mi, że wywiozłem cię tak daleko.

– Na piechotę to wcale nie tak daleko.

Simão niechętnie wysiada z kabiny i Tomás rusza.

– Dziękuję, jeszcze raz ci dziękuję.

Simão macha, aż w końcu już nie widać go w bocznym lusterku.

Wkrótce potem automobil zaczyna ściągać na bok, a dziwne terkotanie podpowiada Tomasowi, że coś jest nie w porządku. Naciska jeden pedał, potem drugi.

Kilkakrotnie obchodzi pojazd dookoła, aż zauważa, że przednia opona jest – szuka odpowiedniego słowa – flakiem. Okrągłe koło nie jest już całkiem okrągłe. W podręczniku była mowa o takiej ewentualności, ale opuścił te strony, gdy pojął, że koła, przynajmniej w postaci okrągłej, nie wymagają smarowania. Teraz wyciąga podręcznik i odszukuje stosowny fragment. Blednie. To poważne przedsięwzięcie. Wie o tym, zanim jeszcze przetłumaczy z francuskiego wszystkie szczegóły.

Zrozumienie zasady działania podnośnika; złożenie go; znalezienie miejsca pod automobilem, gdzie należy go umieścić; podniesienie pojazdu; odkręcenie i zdjęcie koła; założenie koła zapasowego ze stopnia; solidne dokręcenie śrub i przywrócenie rzeczy do porządku – wszystko to doświadczony automobilista zrobiłby w trzydzieści minut. Tomasowi, pracującemu otartymi do krwi dłońmi, zajmuje to dwie godziny.

Pobrudzone dłonie pulsują, obolałe ciało zlewa się potem, lecz zadanie jest wykonane. Powinien się cieszyć, że może ruszać w dalszą drogę, ale czuje jedynie śmiertelne wyczerpanie. Wraca do kabiny i patrzy przed siebie. Na głowie czuje swędzenie, kłuje go niechciana broda. „Dość! Dość!”, szepcze. Co cierpienie robi z człowiekiem? Otwiera go? Czy w wyniku cierpienia rozumie więcej? Dla ojca Ulissea odpowiedź na te pytania bardzo długo brzmiała: nie. Tomás przypomina sobie znamieny incydent.

Dzisiaj widziałem walkę na plantacji. Dwaj niewolnicy starli się ze sobą. Pozostali przyglądali się z tępych wyrazem twarzy. Przedmiot sporu, kobieta, patrzyła obojętnie, beznamiętnie. Bez względu na wynik walki ona miała przegrać. Tamci dwaj bili się,

pokrzykując w swoim ojczystym narzeczu; najpierw były tylko wyzwiska & obraźliwe gesty, potem przeszli do pięści & narzędzi. Sprawa toczyła się szybko, od urażonej dumy do zranionych ciał, od stłuczeń & krwawienia do szalonego cięcia, aż osiągnięto kres: zabity niewolnik miał ciało pokryte głębokimi ranami & na wpół odciętą głowę. Wtedy pozostali, włącznie z kobietą, odwrócili się & poszli z powrotem do pracy w obawie przed nadzorcą. Zwycięski niewolnik z apatyczną miną posypał zwłoki ziemią i wrócił do ścinania trzciny cukrowej. Żaden z niewolników nie wystąpi, by wyjaśnić, oskarżyć czy obronić. Nic, tylko milczenie & okopywanie trzciny cukrowej. Proces rozkładu zwłok zacznie się szybko, zapoczątkowany przez robactwo & ptaki drapieżne & zwierzęta, a przyspieszony przez słońce i deszcz. Wkrótce zostanie ledwie bezkształtna gruda. Tylko jeśli nadzorca nadeptnie na tę grudę, czerń odsłoni białe kości & rozkładające się czerwone ciało. Wtedy nadzorca odkryje, co się stało z zaginionym niewolnikiem.

Ojciec Ulisses tylko tak komentuje tę upiorną scenę:

Rany naszego Pana były jak rany tego niewolnika. Jego dłonie, stopy, czoło, gdzie korona cierniowa przebiła skórę & zwłaszcza rana z boku, zadana włócznią żołnierza – karminowa, jaskrawa, przykuwająca wzrok.

Taka była męka Chrystusa: „karminowa”, „przykuwająca wzrok”. Ale męka dwóch ludzi walczących na śmierć i życie tuż przed jego oczami? Nie jest warta ani słowa. Podobnie jak przyglądający się niewolnicy, ojciec Ulisses nie wystąpi, aby wyjaśnić, oskarżyć czy obronić. Wydaje się ślepy i głuchy na cierpienie niewolników. Albo, ściślej rzecz biorąc, nie widzi w nim nic szczególnego. Oni cierpią, ale ja też, więc cóż z tego?

Gdy Tomás jedzie dalej, krajobraz zaczyna się zmieniać. Portugalia, jaką zna, jest krainą dostojnego piękna. Krainą, która ceni odgłosy pracy, zarówno ludzi, jak i zwierząt. Teraz wkrada się element dziczy. Wielkie zwały krągłych skał. Ciemnozielona roślinność, sucha i karłowata. Wałęsające się kozy i owce. W tych skalnych zwaliskach dostrzega zapowiedź Wysokich Gór Portugalii, jakby korzenie drzewa, które wydostały się nad ziemię, zapowiadały samo drzewo.

Tomasa ogarnia niepokój. Zbliża się do Castelo Branco, prawdziwego miasta, największego na jego całej, celowo wiejskiej, trasie. Nagle przychodzi mu do głowy pewien pomysł. Przejedzie przez miasto w nocy, dzięki czemu uniknie spotkania z ludźmi. Ponieważ to ludzie stanowią problem. Z ulicami, alejami i bulwarami poradzi sobie, jeśli tylko ludzie nie będą się gapić i gromadzić. Jeśli przejedzie przez Castelo

Branco na przykład o drugiej nad ranem, na trzecim biegu, spotka najwyżej robotnika z nocnej zmiany i pijaka.

Przed Castelo Branco zostawia automobil i rusza do miasta na piechotę, jak zwykle tyłem. Podwozi go woźnica, co cieszy Tomasa, bo okazuje się, że do miasta jest spory kawał. Woźnica pyta go, czy widział przy drodze dziwny pojazd. Tomás potwierdza, ale nie wspomina, że jest jego kierowcą. Woźnica mówi o automobiliu ze zdumieniem i niepokojem. Dziwi go ilość metalu, mówi. Przypomina mu sejf.

W Castelo Branco Tomás ustala trasę, jaką powinien obrać. Z zadowoleniem odkrywa, że droga na północ w znacznej mierze omija miasto od północnego zachodu. Pewnych problemów może przysporzyć tylko skrzyżowanie.

Trzem aptekarzom opowiada historię o zawszonych koniach, dzięki czemu uzyskuje dziesięć butelek motonafty oraz niefortunny dodatek w postaci trzech puszek proszku na wszy. Wszystko to, równo rozłożone, niesie w dwóch torbach. Postanawia spędzić dzień w hotelu, umyć się i wypocząć, ale żaden z dwóch hoteli, jakie znajduje, nie zgadza się go przyjąć, podobnie jak restauracja, gdzie chce zjeść. Właściciele lustrują go wzrokiem, przyglądają się jego osmalonej twarzy i spalonym włosom – jeden zatyka nos palcami – i pokazują mu drzwi. Tomás jest zbyt zmęczony, by protestować. W sklepie kupuje prowiant, je na ławce w parku. Łapczywie pije wodę z fontanny, ochlapuje sobie twarz i głowę, szoruje sadzę przyklepioną do czaszki. Żałuje, że nie zabrał dwóch bukłaków po winie, które mógłby napełnić wodą. Potem wraca rakiem do automobilu, patrząc, jak Castelo Branco niknie w oddali.

W kabinie czeka na zapadnięcie zmroku, zabijając czas wyrywkową lekturą dziennika.

Początkowo pochodzenie niewolników na São Tomé interesuje ojca Ulissesa. Pisze, że nowo przybyli pochodzą „z plemienia Mbundu” lub „plemienia Chokwe”. Mniej konkretny jest w kwestii pochodzenia niewolników spoza portugalskiej strefy wpływów w Afryce, a wyspa São Tomé, z racji wygodnego usytuowania, oglądała statki niewolnicze wszystkich bander – holenderskie, angielskie, francuskie, hiszpańskie – toteż wkrótce duchownego znużyły liczne rzesze niewolników. Jego słabnące błogosławieństwa odbierali coraz bardziej anonimowo. „Czy to ważne – pisał – skąd pochodzi dusza? Wygnańcy z Edenu są rozmaici. Dusza jest duszą & należy ją pobłogosławić & przywieźć ku miłości bożej”.

Pewnego dnia jednak coś się zmienia. Ojciec Ulisses notuje z nietypowym podnieceniem:

Jestem w porcie, gdzie rozładowują holenderski statek z niewolnikami. Czwórka niewolników przykuwa moją uwagę. Z daleka widzę, jak suną po trapie w kajdanach & łańcuchach. Cóż to za nieszczęśnicy! Idą posępnie, z opuszczonymi głowami, ze złamaną wolą. Dobrze wiem, co czują. Jestem tak samo wyczerpany jak oni. Znowu nęka mnie febra. Jezus zwracał się do wszystkich: Rzymian, Samarytan, Fenicjan i innych. Ja muszę czynić tak samo. Pragnę do nich podejść, ale brak mi sił, słońce jest zbyt bezlitosne. Nieopodal przechodzi marynarz z holenderskiego statku. Przywołuję go. Pokazuję & pytam, on zaś mówi, że niewolnicy pochodzą z dorzecza rzeki Kongo & nie kupiono ich, ale schwytano siłą. Trzy kobiety & dziecko. Marnie znam holenderski & nie w pełni rozumiem marynarza. Wydaje się, że używa słowa „minstrel”. Ci ludzie mają być jakimiś grajkami. Holender nie nadaje temu określeniu żadnego niestosownego znaczenia. „Co takiego? – pytam. – Prosto z kongijskiej dżungli, by w Nowym Świecie zabawiać białych po obiedzie?”. Marynarz się śmieje.

Dowiaduję się, że tę czwórkę niewolników więżą na plantacji Garcii. Matka dziecka zaatakowała nadzorcę, za co ciężko ją pobito. Kobiety nie chciały się ubrać & wygląda na to, że dostarczyły marnej rozrywki. Wkrótce zostanie podjęta decyzja co do ich losu.

Chociaż z powodu osłabienia nie mogę długo ustać na nogach, poszedłem dziś na plantację Garcii & wślizgnąłem się, żeby zobaczyć niewolników w ciemnej, gorącej celi. Zbuntowana kobieta zmarła z powodu ran. Wciąż tam leżała, z dzieckiem u boku, osowiałym, prawie nieprzytomnym. Na ziemi walały się gnijące owoce. Czy dwie pozostałe przy życiu kobiety postanowiły zagłodzić się na śmierć? Zacząłem z nimi rozmawiać, choć wiedziałem, że nie rozumieją. Nie odpowiedziały; nie dały nawet poznać, że mnie słyszą. Pobłogosławiłem je.

Znowu tam poszedłem. Co za smród! Dziecko prawie na pewno nie żyje. W rozmowie z dwiema kobietami początkowo nie wiodło mi się lepiej niż wczoraj. Czytałem im Ewangelię św. Marka. Wybrałem właśnie tę, ponieważ to najpokorniejsza z ewangelii, ukazująca najbardziej ludzką twarz Mesjasza, nękanego wątpliwościami & niepokojem, a zarazem jaśniejącego miłosierną dobrocią. Czytałem, dopóki nie zmogło mnie zmęczenie, upał & smród. Już miałem odejść, gdy jedna z niewolnic, najmłodsza, nastoletnia dziewczyna, się poruszyła. Podczołgała się & przycupnęła pod ścianą po drugiej stronie krat. Szepnąłem do niej: *Filha, o Senhor ama-te. De onde vens tu? Conta-me sobre o Jardim do Éden? Conta-me a tua história. O que fizemos de errado?* Niewolnica nie zareagowała. Czas mijał. Potem dziewczyna obróciła głowę & spojrzała mi w oczy. Tylko na chwilę, zanim odeszła. Domyśliła się, że moja bliskość czy zainteresowanie nie przyniosą jej żadnej korzyści. Nie wymówiłem ani słowa. Księżowskie frazesy zamarzyły mi w gardle. Jestem przeobrażony. Przejrzałem. Zobaczyłem & widzę. Jej przelotne spojrzenie pozwoliło mi zobaczyć nikczemność, która wcześniej nigdy nie

rozbrzmiewała w moim sercu. Wchodziłem do tej celi, myśląc, że jestem chrześcijaninem. Wszedłem, wiedząc, że jestem rzymskim żołdakiem. Nie jesteśmy lepsi od zwierząt.

Kiedy tam dzisiaj wróciłem, nie żyli, ich ciała zabrano i spalono. Teraz są wolni, jak powinni być zawsze.

Następny, gwałtowny i oskarżycielski, wpis w dzienniku ojca Ulissesa mówi o ostatecznym zerwaniu z cywilną i kościelną władzą na wyspie. Ojciec Ulisses zrobił scenę w katedrze, przerywając mszę okrzykami i protestami. Na konsekwencje nie trzeba było długo czekać.

Dzisiaj wezwał mnie biskup. Powiedziałem mu, że spotkałem nierównych & przekonałem się, że są równi. Oświadczyłem, że nie jesteśmy od nich lepsi. W istocie jesteśmy gorsi. Biskup krzychał, że tak jak są hierarchie aniołów w niebiosach i potępionych w piekle, są też hierarchie tu, na ziemi. Nie wolno zacierać ich granic. Następnie ugodził mnie najcięższym ze swoich piorunów – ekskomuniką, po czym mnie wygnał. W jego oczach nie jestem już kapłanem. Mimo to wciąż czuję, że podtrzymuje mnie dłoń Pana.

Tomás jest zdumiony, jak zawsze, gdy czyta ten fragment. Wykluczyć z boskiej wspólnoty francuskich i angielskich piratów czy holenderskich żeglarzy, będących zaledwie najemnikami, to jedno, ale wyświęconego portugalskiego kapłana? Taki krok, nawet według standardów São Tomé, wydaje się ekstremalny. Jednak mieszkańcy wyspy żyjącej z niewolnictwa musieli patrzeć krzywo na rozognionego wolnomyśliciela.

Właśnie w tym miejscu ojciec Ulisses po raz pierwszy wspomina o darze. To zdanie Tomás zawsze czyta z drżeniem.

Teraz już znam swoją misję. Ofiaruję Bogu ten dar, nim zabierze mnie śmierć. Dziękuję Bogu za to, że narysowałem szkic, gdy odwiedziłem ją w piekielnym więzieniu na plantacji Garcíi. Jej oczy otworzyły moje. Dam świadectwo spustoszeniu, jakie uczyniliśmy. Jak straszliwy jest nasz upadek z Ogrodu!

Przewraca kartkę i po raz tysięczny patrzy na szkic. Właśnie ten szkic, z tymi niesamowitymi oczami, kazał mu wyruszyć na poszukiwania.

Noc spowiła ziemię, nadszedł czas, by przejechać przez Castelo Branco. Tomás zapala to boczne światło, które się uchowało, poprawia szeroki knot. Roztańczony płomyk tworzy krąg ciepłego światła. Biały

płomień pojedynczego przedniego światła syczy jak gniewny wąż. Kryształowa obudowa skupia światło w wiązkę. Gdyby tylko blask, jaki rzuca przednie światło, nie był tak przekrzywiony. Jego Cyklop prezentuje się dość żałośnie.

Tomás analizuje trasę. W głowie ma cały szereg punktów orientacyjnych. W każdym miejscu, gdzie należy podjąć decyzję, zapamiętał pewien szczegół: dom, sklep, budynek, drzewo. Ponieważ w nocy nie będzie tłumów, będzie mógł bez pośpiechu jechać we właściwym kierunku.

Jeśli wcześniej ulegał złudzeniu, że prowadzi swego rodzaju świetlika – bo, odsuwając się od oświetlonego boku pojazdu, miał takie skojarzenie – po uruchomieniu silnika ta fantazja się ulatnia. Warkot i wstrząsy przywodzą raczej na myśl smoka, choć miotane przez niego płomienie są dość skąpe.

Nie tylko skąpe, ale i całkiem nieskuteczne. Światła, które z bliska wydawały się jasne, są zaledwie punkcikami w nieprzeniknionym mroku nocy. Przednie światło spełnia tylko jedno zadanie, zresztą czyni to marnie: ujawnia nierówności drogi tuż pod nosem samochodu. Wszystko, co leży dalej – każda koleina, każdy zakręt – stanowi przerażającą, nieustannie zmieniającą się niespodziankę.

Jedynie, co mu pozostaje – doskonale wie, że to zupełnie nielogiczne, ale mimo to powtarza tę czynność raz po raz – to naciskać klakson, jak gdyby noc była blokującą drogę czarną krową, która uskoczy na bok, słysząc trąbienie.

Na pierwszym biegu sunie w kierunku Castelo Branco.

Światło słoneczne w Portugalii jest często perłowe, połyskliwe, łaskoczące, swojskie. Ciemność jest na swój sposób podobna. W cieniu domów, na podwórzach skromnych restauracji, po ukrytych stronach dużych drzew kryją się kieszenie gęstego, żywnego mroku. W nocy kieszenie te wzbijają się w powietrze niczym ptaki. Noc w Portugalii jest przyjaciółką. Głównie takie dni i noce zna Tomás. Jedynie w dzieciństwie noc rodziła przerażenie. Wtedy drżał i krzyczał. Za każdym razem ojciec przybywał na ratunek, na wpół śpiąc szedł do jego łóżka i brał go w objęcia. Tomás zasypiał wtulony w szeroką i ciepłą ojcowską pierś.

W Castelo Branco nie ma latarni, jakie rozświetlają lizbońskie noce. Każdy targ na jego trasie, tak wyraźny w ciągu dnia, jest teraz spowity mrokiem. Ulice wznoszą się jak macki ogromnej mątwy. Nie znajduje drogi okrążającej miasto od północnego zachodu. Castelo Branco rodzi grozę. Tomás próbuje jechać w jednym kierunku, w nadziei, że dotrze

do rogatek, dowolnych rogatek, ale każda ulica kończy się rozwidleniem, a każda z dróg wrzuca go coraz głębiej w miejski labirynt. Jeszcze gorsi są ludzie. Podobnie jak otaczające go domy i budynki, ludzie wyłaniają się nagle z ciemności, z twarzami zastygłymi w białym świetle jednookiej maszyny. Niektórzy krzyczą z przerażenia, zarażając go strachem, i nieruchomieją, inni zaś odwracają się i uciekają. To prawda, że w nocnej ciszy warkot samochodu jest bardzo donośny, a przy tym Tomás nieustannie trąbi, choć tylko ostrzegawczo. Początkowo ludzi jest bardzo mało, ale w miarę jak sunie przez miasto, niczym ociemniały stwór pełznący po dnie oceanu, coraz więcej mieszkańców otwiera okiennice, coraz liczniej wylegają, rozchełstani, ale bystro patrzący. Tomás wrzuca drugi bieg i mija gapiów. Wkrótce potem, gdy znów okrąży miasto, natyka się na kolejne grupy. Widzi ich, oni widzą jego. Pędzą w jego stronę, skręca w inną ulicę. Przechodzi na trzeci bieg.

Skoro nie może uciec, musi się ukryć. Pokonawszy wiele zakrętów, w połowie pustej alei, raptownie staje. Szybko zdmuchuje płomyki przedniego i bocznego światła. Otulają go ciemność i cisza. Nasłuchuje. Czy nocne hordy go wytropią? Ostrożnie robi kilka kroków. Zagląda za załomy, obserwuje ulice. Nic, tylko zbawienna ciemność. Chyba ich zgubił.

Resztę nocy spędza, spacerując po Castelo Branco i ustalając trasę, którą pojedzie o brzasku.

Podczas nocnej jazdy po mieście natrafia na plac z drzewami, ławkami oraz stojącym na środku pomnikiem spowitym w mrok. Widząc jakiś ruch, podskakuje, ale po chwili dociera do niego, co to jest. Za dnia na placu był targ. Stragany ciągle stoją, a pod stołami walają się odpadki owoców, warzyw, może nawet mięsa. Wśród odpadków żerują psy. Pod wielką kopułą nocy, w uśpionym mieście, gdzie po krótkim zakłóceniu spokoju znów panuje cisza jak w łodzi podwodnej, Tomás patrzy na bezpańskie psy, które biorą to, co odrzucili ludzie. Kręcą się, z nadzieją węższą i grzebią, czasem coś znajdują i z zadowoleniem zjadają. Kilka psów podnosi wzrok, patrzy na niego, po czym wraca do żerowania. Akceptują go tak, jak on je akceptuje.

Gdy wraca do samochodu, czuje wdzięczność morskiego stworzenia chroniącego się w swojej muszli. Postanawia chwilę zdrzemnąć się w kabinie. Niestety, spacer oraz bezsenna noc dały mu się we znaki. Śpi za długo. Kiedy bezczelny przechodzień naciska klakson, Tomás budzi się raptownie i widzi twarze zaglądające przez okna, wytrzeszczone

oczy, niuchające nosy. Musi napierać na drzwi, by odepchnąć ludzi i wysiąść. Staje na stopniu i wdycha świeże powietrze nowego dnia. Dobrze, że umknął nocy, ale teraz, zalewając automobil ze wszystkich stron niczym jasnoniebieska woda morska, otacza go chyba cała ludność Castelo Branco, szemrząca jak fale. Ucieczka – jak zwykle okrzyki, aby się rozstąpiono, jak zwykle brak zrozumienia, jak zwykle zdziwienie, gdy automobil rusza, oraz jak zwykle wydostanie się z tłumu – całkowicie go wyczerpuje. Jedzie tak długo, aż jego kiwająca się głowa uderza o kierownicę.

Budzi się po południu i choć myślom daleko do klarowności, dokonuje obliczeń. Na każdy dzień utrwalony wspomnieniem – pierwszy dzień, mosty, Ponte de Sor, powóz i tak dalej – prostuje palec. Po chwili ma wyprostowane palce jednej dłoni. Następnie palce drugiej, prócz jednego. Jeśli się nie pomylił – dziewięć. Już dziewiąty dzień jest w drodze. Skąpa racja czasu przeznaczonego na podróż prawie się wyczerpała. Za dwa dni, wczesnym rankiem, naczelny kustosz muzeum będzie oczekiwał jego powrotu. Tomás chowa głowę w dłoniach. Castelo Branco nie leży nawet w połowie drogi. Czy powinien zrezygnować z misji? Ale nawet gdyby to zrobił, nie dotrze do Lizbony na czas. Powrót w tej chwili wiązałby się z podwójną porażką: straciłby pracę i nie wypełnił zadania. Jeśli będzie kontynuował swą podróż ku Wysokim Górcom Portugalii, tylko straci pracę. A jeśli misja zakończy się powodzeniem, kto wie, może odzyska stanowisko. Dlatego postanawia jechać dalej, wytrwać. To jedyne sensowne rozwiązanie. Ale zapada już noc. Jutro ruszy w dalszą drogę.

Wraz ze zmianą krajobrazu zmienia się też klimat. Zima w głębi Portugalii jest chłodna i wilgotna, a kasa tym mocniej, że Tomás siedzi w metalowej puszce kabiny, gdzie wiatr hula przez wybite okna. Wysiada. Za słabym poblaskiem drogi widać tylko ciemność. Zaczyna rozmyślać. Zwierzęta wiedzą, co to nuda, ale czy znają uczucie osamotnienia? Raczej nie. Nie znają osamotnienia ciała i duszy. Tomás należy do samotniczego gatunku. Wraca na kanapę, gdzie otula się płaszczem z norek i trzema kocami. Może co pewien czas przysypia, a jeśli tak, to śni mu się, że jest w kabinie automobilu w zimną noc, czeka, i tak, we śnie czy na jawie, trwa w niezmiennej udręce. Jedno pytanie nie daje mu spokoju: kiedy jest Boże Narodzenie? Przegapił je?

O świcie z radością uruchamia silnik. Okolica staje się coraz suchsza, warstwa ziemi uprawnej zostaje zdarta i ukazuje się skaliste podłoże.

Nowy, świetlisty krajobraz skacze na niego; prosta i bezpośrednia geologia.

Raz po raz się gubi. Dotychczas, dzięki mapom, sprzyjającym drogom, szczęściu, nigdy nie błądził zbyt długo. Za Castelo Branco się to zmienia. Za Castelo Branco dni rozmywają się we mgle czasu. Zdesperowany, wjeżdża do wioski i pyta jakiegoś miejscowego:

– Przepraszam, od trzech dni szukam Rapoula do Côa. Gdzie to jest? W którą stronę?

Stary wieśniak patrzy z konsternacją na cuchnącego, zaniepokojonego człowieka w cuchnącej, niepokojącej maszynie (widział go poprzedniego dnia i dzień wcześniej, gdy z rykiem przejeżdżał przez wieś) i odpowiada nieśmiało:

– To jest Rapoula do Côa.

W innym miejscu Tomás pyta błagalnie, gdzie jest Almeida, na co miejscowy uśmiecha się i woła:

– *¿Almeida? No está aquí, hombre. Almeida está del otro lado de la frontera.*

Tomás wpatruje się w usta mówiącego z przerażeniem, bo miejsce syczących portugalskich głosek zajął hiszpański warkot. Z powrotem pędzi do Portugalii, bojąc się, że granica, której nawet nie zauważył, teraz zagrozi mu drogę jak nieprzebyty łańcuch górski.

Kompas nie zdaje się na nic. Bez względu na drogę zawsze wskazuje gdzieś w dzicz, a igła drży tak samo jak Tomás.

Sposoby gubienia drogi bywają rozmaite, ale człowiek, który zabłądził, zawsze czuje to samo: paraliż, gniew, letarg, rozpacz. Za Macedo de Cavalerios grupa wiejskich dzieciaków obrzuca automobil kamieniami, niszcząc słoniową skórę, wgniatając metalową maskę oraz, co najgorsze, tłukąc szybę w kabinie, przez co Tomás musi teraz jechać w wyjąłym zimnym wietrze, odziany w kurtkę, gogle i kapelusz, ale bez rękawic, które spaliły się na popiół w pożarze kabiny. Łapie kolejną gumę i tym razem musi nareperować oponę, bo zapasowa ma już dziurę.

Pewnego popołudnia dociera w końcu do celu. Niepostrzeżenie – ale mapa podpowiada, że tak jest – wjeżdża w Wysokie Góry Portugalii. Widzi je w łagodnym unoszeniu się ziemi i coraz ostrzejszym spadku pobocza. Nie posiada się z radości. Już niedługo znajdzie kościół, którego szukał, i dowiedzie, że jego niezwykła intuicja była słuszna. Misja dobiega końca. To, co przez rok wyrażał chodzeniem tyłem – wściekłość

i rozpacz – teraz wyrazi za pomocą niecodziennego krucyfiks. Twarz Tomasa rozjaśnia się szerokim uśmiechem.

Wkrótce droga staje się płaska. Zaskoczony Tomás rozgląda się na lewo i prawo. Jak się okazuje, ma wokół siebie przejaw narodowej próżności. Każdy kraj marzy o tym, by chwalić się migotliwym klejnotem zwanym górskim pasmem, toteż ta jałowa okolica, zbyt niska, by mogła uchodzić za alpejską, ale zbyt wysoka, by nadawała się do uprawy, otrzymała dumny tytuł. Ale w Wysokich Górach Portugalii nie ma gór. Nie ma nic oprócz zwykłych wzgórz, nic *trás os montes*. Jak okiem sięgnąć, rozciąga się pofalowany, prawie bezdrzewny step, chłodny, suchy i wybielony przejrzystym, beznamiętnym słońcem. Tam gdzie spodziewał się ujrzeć śnieg i skały, widzi niską złocistożółtą trawę ciągnącą się po horyzont, gdzieniegdzie przerywaną kępą drzew. Jedyne szczyty, jakie zauważa, to osobliwe dziobate olbrzymie głazy, pozostałość po jakimś zamęcie geologicznym. Tu i tam płyną zaskakująco wartkie strumienie. Step, z racji swej natury, jest miejscem tymczasowym, skąd człowiek przemieszcza się gdzie indziej. W przeszłości pokolenia biednych autochtonów uciekały z tej marnej ziemi i przenosiły się w bardziej przyjazne rejony. Tomás stwierdza, że też ma ochotę szybko przejechać przez ten ugór. Napotykanne wioski zagęszczają osamotnienie, jakie odczuwa na pustych przestrzeniach między nimi. Każdy napotykanym mężczyzna, każda kobieta – dzieci nie widzi – pachnie upływem czasu i emanuje samotnością. Mieszkają w prostych, sześciennych, solidnych domach z kamienia, krytych łupkowymi dachami. Ludzie mieszkają nad zwierzętami, przez co obie grupy są współzależne od siebie; ludzie otrzymują ciepło i pożywienie, zwierzęta pokarm i bezpieczeństwo. Ziemia nie nadaje się do ekstensywnej uprawy. Nie ma tu nic prócz niewielkich poletek żyta, sporych warzywników, kasztanów jadalnych, uli, mnóstwa kurczaków, chlewów świńskich oraz wałęsających się stad kóz i owiec.

Tomás nie podejrzewał, że w Portugalii może być tak zimno, jak jest tu w nocy. Sypia owinięty w koce i ubrany we wszystko, co może na siebie włożyć. Brezent przeciwdeszczowy tnie na kawałki i mniej więcej uszczelnia wybite okno. W kabinie robi się przez to bardzo ciemno. Dla rozgrzewki pali świecę. Pewnego ranka budzi się i widzi śnieg. Dopiero po południu topnieje na tyle, że Tomás odważa się ruszyć dalej. Bez przedniej szyby jest tak zimno, że musi zwolnić.

Niekiedy w ciągu dnia docenia formalne piękno krajobrazu, związane nie tyle z geografją, ile z pogodą i grą światła. Nie gubi się już

tak często jak na południu, bo tutaj mniej jest wiosek i dróg. Same drogi, upiornie wyboiste, zostały wytyczone dawno temu przez przedsiębiorczy rząd, a od tamtej pory wszystkie kolejne rządy o nich zapomniały. Wydaje się, że cały region trwa w stanie amnezji administracyjnej. Mimo to w Wysokich Górach Portugalii, jak i w całym kraju, wzniesiono kościoły. Geografia domaga się historii. Tomás zagląda do mapy i odnajduje pięć wiosek: São Julião de Palácios, Santalha, Mofreita, Guadramil i Espinhosela. Jeśli jego badania przyniosą upragniony rezultat – a przecież muszą, muszą – w jednej z tych wiosek, wyrzucony na brzeg przez kapryśne fale historii, znajdzie udręczony dar ojca Ulissesa.

Na początek kieruje się do wioski São Julião de Palácios. Drewniany krucyfiks w kościele jest zwyczajny i niepozorny. Podobnie rzecz ma się z głównym krucyfiksem w kościele w Guadramil.

Wszystko wydarza się w drodze do Espinhoseli.

Tomasa budzi rzeński świt. Powietrze jest jasne, bezwonne, suche, bez śladu zapachów portugalskiego wybrzeża. Kiedy idzie poboczem, żwir chrzęści mu sucho pod nogami. Nagle słyszy ptasi krzyk. Podnosi wzrok. Sokół rzuca się z góry na gołębia. Szamotanina w powietrzu, sypią się pióra, po czym sokół odlatuje, ze zmiażdżonym gołębiem w szponach. Tomás odprowadza go spojrzeniem.

Po około godzinie droga, którą jedzie, staje się otwarta i płaska, podobnie jak ziemia po obu stronach. Nad maską samochodu ukazują się dziecko, a ściślej, dziecięca dłoń. Widok jest tak niesamowity i nagły, że Tomás nie wierzy własnym oczom. Czy to była gałąź? Nie, z całą pewnością widział drobną dłoń. Gdyby dziecko trzymało się przodu pojazdu i wstało, dłoń pojawiłaby się właśnie w tym miejscu. A gdyby dziecko trzymało się przodu i ześlizgnęło się, wpadłoby pod koła. Jaki odgłos wydaje ciało przejeżdżane przez samochód? Z pewnością właśnie taki: cichy, szybki łomot.

Umysł Tomasa pracuje w typowy dla szoku sposób: na przemian szybko i wolno. Musi sprawdzić, co się stało z dzieckiem. Może jest ranne. Albo co najmniej przestraszone. O ile w ogóle było jakieś dziecko. Wychyla głowę z kabiny i odwraca się.

Jadąc dalej, widzi z tyłu jakąś małą nieruchomą grudę.

Zatrzymuje maszynę i wysiada. Zdejmuje czapkę, wytrzeszcza oczy. Brak mu tchu. Gruda leży daleko. Rakiem idzie w jej stronę. Ilekroć ogląda się za siebie, gruda jest coraz bliżej, a Tomás czuje rosnący ucisk

w piersiach. Przyspiesza kroku. Serce wali mu młotem. W końcu odwraca się i biegnie ku grudzie.

To faktycznie jest dziecko. Chłopiec. Ma pięć, może sześć lat. Odziany w za duże ubranie. Wiejski chłopiec o dużej głowie, zaskakująco jasnych włosach i uroczej, kształtnej twarzy zabrudzonej ziemią. Cóż to za portugalskie oczy – niebieskie?! Atawizm, ślad cudzoziemskich wpływów. Nieruchome spojrzenie budzi w Tomasie lęk.

– Chłopcze, nic ci nie jest? Chłopcze?

Ostatnie słowo wymawia głośniej, jakby śmierć cierpiała na wadę słuchu. Oczy chłopca nie mrugają. Twarz zastygła w poważnym wyrazie. Tomás klęka i dotyka piersi małego. Czuje jedynie bezruch. Spod ciała wypływa strużka krwi i płynie po ziemi, jak to mają w zwyczaju rzeki.

Tomasa przechodzi dreszcz. Unosi głowę. Wieje bryza. Gdziekolwiek spojrzy, widzi majestatyczną normalność: tu dzikie zarośla, tam zaorane pola, droga, niebo, słońce. Wszystko jest na swoim miejscu, a czas płynie w zwykłym tempie. Nagle, bez ostrzeżenia, mały chłopiec zaburzył równowagę. Pola z pewnością to zauważą; powstaną, otrzepią się z pyłu i podejną, by popatrzeć z zatroskaniem. Droga zwinie się jak wąż i złoży smutne oświadczenie. Zbolałe słońce pociemnieje. Sama grawitacja się zmartwi, a przedmioty zaczną szybować z egzystencjalnym wahaniem. Nic podobnego jednak się nie dzieje. Pola pozostają nieruchome, droga jest wciąż twarda i prosta, poranne słońce nadal świeci niewzruszenie.

Tomás cofa się myślami do ostatniego postoj, zaledwie kilka kilometrów wcześniej. Nie gasząc silnika, zdrzemnął się trochę, z głową na kierownicy. Czy podczas tej przerwy dziecko mogło się wdrapać na przód samochodu, a on go nie zauważył?

Dzieci lubią się bawić.

Coś podobnego mógłby zrobić Gaspar: wślizgnąć się do ciepłej, pracującej maszyny, by ją obejrzeć.

– Przepraszam cię, mały – szepcze.

Potem wstaje. Cóż może począć?

Odchodzi w swój zwykły sposób, przez co dziecko wciąż jest w jego polu widzenia. Tomás sztywnieje ze zgrozy. Potem jakaś dłoń chwyta tę zgrozę, wpycha do skrzyni i zamyka wieko. Jeśli Tomás oddali się wystarczająco szybko, to się nie stanie. Przez krótką chwilę wypadek znajduje się tylko w nim, prywatne znamię, karb na jego wrażliwości i nigdzie więcej. W świecie zewnętrznym nikogo to nie obchodzi. Sam zobacz: wiatr wieje, czas płynie. Poza tym był to wypadek. Po prostu się zdarzył, bez jego wiedzy czy zamiaru.

Tomás odwraca się i biegnie. Gdy dociera do samochodu i chce obrócić korbą, widzi, że mała klapka maski jest uchylona. Ta klapka, niewidoczna dla kierowcy w kabinie, znajduje się na samym przodzie maski i pozwala dostać się do silnika bez podnoszenia całej maski. Czy chłopiec uznał, że klapka to drzwi do małego okrągłego domku dla lalek? Czemu dzieci muszą być takie ciekawskie? Domyśla się, jak chłopiec musiał się trzymać, gdzie oparł nogi, za co chwycił. Krawędź podwozia, podstawa korby, końce resorów, cienkie pręty podtrzymujące przednie światła, brzeg uchylonej klapki – ileż możliwości dla zwinnej małpki. Wygodne miejsce, może nawet ekscytujące, gdy ciepła, hałaśliwa maszyna ruszyła, ale potem małego musiał ogarnąć lęk i zmęczenie. Taki pęd, wstrząsy, ziemia znikająca w dole jak rzeczny prąd.

Tomás zamyka klapkę i obraca korbą. Pospiesznie wraca do kabiny, wrzuca pierwszy bieg. Zbiera myśli. Zastanawia się, co leży przed nim, a co za nim. Samochód drga i rusza. Tomás mocniej wciska pedał i maszyna nabiera szybkości. Wrzuca drugi bieg, potem trzeci. Zerka w boczne lusterko. Obraz drży, ale gruda wciąż jest widoczna. Kieruje wzrok na drogę przed sobą.

Nie odjeżdża daleko. Kręta droga wspina się w głąb sosnowego lasu. Tomás zatrzymuje się, gasi silnik, siedzi. Odwraca się, by spojrzeć przez wybite okno. Między drzewami dostrzega drogę, którą jechał wcześniej. Zdążył się od niej oddalić, ale nic nie przykuwa wzroku tak jak ruch. Tomás widzi małą postać, drobinę. Po przebłyskach światła między biegnącymi nogami poznaje, że to człowiek. Biegnący przystaje. Pada na ziemię. Długo się nie porusza. Potem wstaje, podnosi ciało chłopca i zawraca.

Tomás upada na duchu. Zostać ofiarą kradzieży, a teraz samemu popełnić kradzież. W obu przypadkach skradziono dziecko. W obu przypadkach jego dobra wola i bolejące serce są bez znaczenia. W obu przypadkach dochodzi do głosu czysty zbieg okoliczności. Jest cierpienie i jest szczęście, a teraz szczęście znowu go opuszcza. Nagle czuje, jakby coś go połykało, jakby był owadem szamoczącym się na wodzie i pochłaniała go rozwarta paszcza.

Po dłuższej chwili odwraca wzrok. Wrzuca bieg i rusza.

W kościele w Espinhoseli nie ma skarbu, nie ma go też w kościele w Mofreicie. Pozostała zatem tylko w Santalha. Jeśli tam nie znajdzie krucyfiksów ojca Ulisses, co zrobi?

W drodze do Santalhy zaczyna źle się czuć. Ból nadchodzi falami, a przy każdej Tomás ma wrażenie, że czuje dokładny zarys swego żołądka. Właśnie tę część ciała chwytają skurcze. Po chwili ulgi następuje kolejny skurcz. Potem wzbierają mdłości, ich atak jest gwałtowny. Ślina zalewa mu usta, a jej smak, sama jej obecność, dodatkowo je wzmaga. Hamuje i wysiada, drżący i zlany zimnym potem. Pada na kolana. Z ust chlusta na trawę struga białych wymiocin, cuchnących zepsutym serem. Z trudem łapie oddech. Wymioty wracają z nieodpartą siłą. Na koniec gardło pali go żółcią.

Tomás chwiejnie podchodzi do samochodu i patrzy na swoje odbicie w bocznym lusterku. Widzi wymizerowaną twarz i szalone oczy. Lepkie włosy są skołtunione. Ubranie brudne nie do poznania. Cały wygląda jak spieczony szaszłyk. W pośepną, bezsenną noc prześladują go niebieskie oczy, smutna, poważna twarzyczka; jego żołądek kurczy się i rozkurcza. W końcu pojmuje: zachorował z powodu dziecka. Dziecko rozpycha się w jego wnętrzu.

Rano wjeżdża do wioski Tuizelo. Mimo słonecznego dnia rynek świeci pustkami. Tomás wysiada i pije wodę z fontanny na środku rynku. Powinien się umyć, ale nie jest w stanie zdobyć się na wysiłek ani wystarczająco przejąć się własnym wyglądem. Zaczyna szukać, gdzie mógłby kupić coś do jedzenia. W wioskach Wysokich Gór Portugalii, gdzie ludzie zadowolają się połączeniem samowystarczalności i handlu wymiennego, odkrył, że czasami prywatny dom pełni funkcję nieformalnego sklepu. Ale w Tuizelo nie ma nawet tego – nic, tylko spore warzywniki oraz włóczące się zwierzęta. W wiosce wprost roi się od zwierząt. Są tu koty, psy, kurczaki, kaczki, owce, kozy, krowy, osły i ptaki śpiewające. Gdy wraca do samochodu, dopada go kolejny skurcz żołądka. Przystaje, żeby się opanować, i wtedy dostrzega wiejski kościół. Budowla jest przysadzista, prosta, ale to nie umniejsza jej uroku. Jasny kamień ładnie połyskuje w słońcu. Tomás jest zdania, że uczuciom religijnym najbardziej przystoi skromność architektoniczna. W kościele powinna się wzbijać jedynie pieśń; wszystko, co jest bardziej wyszukane, to ludzka arogancja w przebraniu wiary. Kościół taki jak ten w Tuizelo, bez łukowych sklepień, żebrowania, łęków oporowych, dokładniej odzwierciedla pokorny charakter poszukującego, który tu wkracza. Tego kościoła nie ma na jego liście, ale jeśli tam wejdzie, może oderwie się myślami od obolałego żołądka i smutku podszytego poczuciem winy.

Próbuje otworzyć jedne drzwi, potem drugie, ale są zamknięte. Oddalając się, dostrzega kobietę, która przygląda się mu z pewnej odległości.

– Ojciec Abrahan poszedł na ryby. Mam klucz, jeśli pan chce – mówi.

Tomás się waha. Powinien jechać dalej. Przed nim niepewna droga. Ale kobieta proponuje pomoc. I nie umyka jego uwadze: jest piękna. Wiejska piękność. To podnosi Tomasa na duchu, ale jednocześnie też przygnębia. Miał już kiedyś w swoim życiu piękną kobietę.

– To bardzo miłe z pani strony, senhora.

Kobieta przedstawia się jako Maria Dores Passos Castro i mówi, żeby poczekał. Potem znika za rogiem. Czekać na jej powrót, Tomás siada na kościelnych schodach. Czuje ulgę, że został zagadnięty przez samotną kobietę. I jest szczęśliwy, że w tej wiosce na odludziu nie dopadł go tłum gapiów.

Senhora Castro wraca z ogromnym kluczem.

– Kościelny to mój mąż, Rafael Miguel Santos Castro, ale wyjechał na tydzień. – Ze zgrzytem i chrzęstem otwiera drzwi kościoła i usuwa się na bok, żeby go przepuścić.

– Dziękuję – mówi Tomás.

W kościele panuje półmrok, ponieważ okna są wąskie, a on wszedł z jasnego słońca. Między ławkami idzie do środka nawy. Jego uwagę zajmuje żołądek. Gdyby tylko to dziecko przestało się tak pchać! Obawia się, że zwymiotuje w kościele. Ma nadzieję, że senhora Castro nie będzie się trzymać zbyt blisko niego. Na szczęście stoi w pewnym oddaleniu i zostawia go w spokoju.

Oczy Tomasa przywykają do słabego światła. Widzi dokoła kamienne pilastry połączone sztukaterią, tworzące białe stiukowe ściany. Kapitele pilastrów są proste. Jeśli nie liczyć tradycyjnych przedstawień stacji drogi krzyżowej, ściany są nagie, w oknach nie ma witraży. Tomás idzie tyłem wzdłuż nawy. Wszystko tu jest surowe i proste. Tomás odbiera kościół zgodnie z jego przeznaczeniem: jako schronienie, azyl, przystań. Jest taki zmęczony.

Zwraca uwagę na wąskie okna, grube mury, sklepienie kolebkowe. Styl romański późno dotarł do Portugalii, późno też umarł. Wydaje się, że jest to typowy kościółek romański, który ostał się czasowi i późniejszym zmianom. Zapomniany siedemsetletni kościół.

– Ile lat ma ten kościół?! – woła.

– Pochodzi z trzynastego wieku.

Tomás z przyjemnością stwierdza, że datował powstanie kościoła prawidłowo. Powoli wraca między ławkami, ostrożnie stawiając nogi. Jego oczom ukazują się transepty, niekryjące żadnych niespodzianek. Odwraca się w stronę ołtarza i siada w ławce w drugim rzędzie. Głęboko oddycha. Patrzy na ołtarz i wiszący nad nim krucyfiks. Nie ma przed sobą typowego ławego symbolu, jaki widywał prawie wszędzie. Krucyfiks wydaje się pochodzić z wczesnego renesansu. Pociągła twarz Chrystusa, wydłużone ręce i skrócone nogi zdradzają nieporadne próby artysty, by poprawić zniekształcenia wynikające z oglądania wydłużonej postaci od dołu. Dłuższe ręce i krótsze nogi sprawiają, że patrzący z dołu widzi ciało w normalnych proporcjach. Nie jest to dzieło Mantegni ani Michała Anioła, ale ma swój wyraz, zwłaszcza twarz Chrystusa, niemal barokowa w emocjonalnej wymowności. Jak na początek piętnastego wieku to chwalebna próba wyrażenia człowieczeństwa Chrystusa i zmagania się z perspektywą.

Za chwilę Tomás zwymiotuje. Z całej siły zaciska usta. Przestań, dziecko! Wstaje z ławki, opanowuje się. Tyłem idzie do wyjścia i już ma przekroczyć próg, gdy raz jeszcze omiata wzrokiem kościół. Jego oczy ponownie spoczywają na krucyfiksie. Czuje w sobie nieruchomy punkt, który koi nie tylko utrapione ciało, ale także rozgorączkowany umysł. Stawianie jednej stopy przed drugą wydaje się nienaturalne, ale Tomás nie chce odrywać wzroku od krucyfiks. Podchodzi bliżej. To nie jest renesansowy krucyfiks. Jest późniejszy. Tomás dokładnie wie, w którym roku go wykonano: w 1635. Wobec tego dzieło pochodzi z baroku, można by rzec, z afrykańskiego baroku. Nie ma wątpliwości, że oto ogląda krucyfiks ojca Ulisses. Przybył tu aż z wyspy São Tomé. Cóż za cud! Krucyfiks idealnie odpowiada temu, co ojciec Ulisses opisał w dzienniku i wykonał własnoręcznie. Ręce, ramiona, zwisające ciało, podwinięte nogi, a nade wszystko twarz! Teraz, gdy Tomás należycie odbiera to, co ma przed oczami, krucyfiks zaiste lśni, krzyczy, szceka i ryczy. To naprawdę Syn Boży, który wydaje ostatni okrzyk i ostatnie tchnienie, gdy świętynna zasłona rozdziera się na pół od góry do dołu.

– Przepraszam! – woła do senhory Castro.

Kobieta robi kilka kroków w jego stronę.

Tomás wskazuje palcem na centralny punkt kościoła i pyta:

– Co to jest?

– To nasz Pan Jezus Chrystus – odpowiada zdziwiona.

– Tak, ale jak został przedstawiony?

– Cierpiący na krzyżu.

– Ale jaką postać przybrał?

– Postać człowieka. Bóg tak bardzo nas kochał, że dał nam swego Syna – mówi z prostotą.

– Nie! – woła Tomás z uśmiechem, choć wszystkie mięśnie brzucha wprost skręcają mu się z bólu. – To, co tu mamy, to szympan! Małpa! Na szkicu widać to wyraźnie: owłosiona twarz, nos, usta. Owłosienie usunął, ale kiedy już wiesz, bez trudu rozpoznajesz rysy twarzy. Te długie ręce i krótkie nogi to nie stylizacja; one są małpie! Szympany mają dokładnie takie kończyny: długie w górnej części ciała i krótkie w dolnej. Rozumiesz? Przez te wszystkie lata modliliście się do ukrzyżowanego szympana. Wasz Syn Człowieczy nie jest bogiem, to zwykła małpa na krzyżu!

Dokonało się. Ten Chrystus na krzyżu, kiedy świat dowie się o nim, wyszydzi pozostałych. Tomás szepcze skrycie: „Zabrałeś syna mnie, teraz ja zabiorę syna tobie”.

Pragnie, by jego śmiech brzmiał beztrosko, ale na odniesione zwycięstwo pada cień wzbierających emocji, dojmującego smutku. Tomás z tym walczy. Oto prawda o Jezusie z Nazaretu, rzeczywistość biologiczna. Cała nauka wskazuje na materialność naszej kondycji. Jednocześnie piękno krucyfiksu zapiera dech w piersiach; Tomasowi przypadnie chwała odkrycia go i dostarczenia do muzeum. Mimo to smutek szybko się pogłębia. Patrzy na ukrzyżowaną małpę ojca Ulissesa. Nie bóg – tylko zwierzę.

Zatykając dłonią usta, Tomás ucieka z kościoła. Nieoczekiwanie w jego umyśle rozbrzmiewają słowa Ewangelii. Jezus właśnie został pojmany po zdradzie Judasza, uczniowie opuścili go i rozpierzchli się. I te słowa: „A pewien młodzieniec szedł za Nim, odziany prześcieradłem na gołym ciele. Chcieli go chwycić, lecz on zostawił prześcieradło i nago uciekł od nich”¹.

Czy teraz on nie jest podobnie nagi?

Senhora Castro odprowadza go wzrokiem, zdumiona dziwnym chodem; nieznajomy wygląda tak, jakby wiatr wysysał go z kościoła. Nie idzie za nim. Podchodzi do ołtarza i patrzy na krucyfiks. Co mówił tamten człowiek? Małpa? Jezus, którego ona widzi, ma długie ręce, ponieważ czyni gest powitania, a pociągłą twarz, bo jest smutny. Nigdy nie widziała nic dziwnego w tym krucyfigu. Artysta sprawił się najlepiej, jak potrafił. Poza tym senhora Castro bardziej zwraca uwagę na ojca Abrahama. Modli się z zamkniętymi oczami. To tylko krucyfiks. Jeśli jest małpą, niech sobie będzie małpą. I tak jest Synem Bożym.

Senhora Castro postanawia sprawdzić, co się dzieje z nieznanym.

Tomás, oparty o automobil, gwałtownie wymiotuje. Od odbytu po gardło jest jednym skurczonym mięśniem, wydanym na łaskę dziecka, które wyżyma go jak mokrą ścierkę. Kątem oka dostrzega wchodzącego na plac księdza z wędką w jednej ręce i trzema związanymi rybami w drugiej.

Ojciec Abrahan widzi zdumioną Marię Passos Castro; widzi jeden z tych nowoczesnych powozów, o których słyszał (ten jednak jest w oplakany stan); widzi wreszcie brudnego mężczyznę, który stoi obok pojazdu, wydając gromkie ryki.

Tomás wsiada do kabiny. Chce odjechać. Oszołomiony, wpatruje się w kierownicę. Trzeba skrócić w prawo, by nie wjechać w mur. Co to oznacza w odniesieniu do ruchu koła, które trzyma w dłoniach? Wzbiera w nim taki żal, że nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie. Kierownica w końcu go pokonała. Tomás zaczyna łkać. Płacze, ponieważ czuje się strasznie chory. Płacze, ponieważ ma całkowicie dość, jest śmiertelnie znudzony prowadzeniem tego pojazdu. Płacze, ponieważ zadanie wykonał dopiero w połowie; czeka go jeszcze podróż powrotna do Lizbony. Płacze, ponieważ jest nieogolony i brudny. Płacze, ponieważ ma za sobą długie dni w obcych stronach i długie noce, które spędził, przemarznięty i skurczony, w automobilu. Płacze, ponieważ stracił pracę; co teraz pocnie, jak zarobi na życie? Płacze, ponieważ odkrył krucyfik, który przestał go obchodzić. Płacze, ponieważ tęskni za ojcem. Płacze, ponieważ tęskni za synem i ukochaną. Płacze, ponieważ zabił małego chłopca. Płacze, ponieważ, ponieważ, ponieważ.

Płacze jak dziecko, z trudem chwyta oddech i czka, twarz zalewają mu łzy. Jesteśmy przypadkowymi zwierzętami. Oto, czym jesteśmy, mamy tylko siebie, nikogo więcej, nie ma żadnych silniejszych związków. Na długo przed Darwinem pewien ksiądz pogrążony w szaleństwie miał przebłysk intuicji. Na odległej afrykańskiej wyspie spotkał cztery szympansy i odkrył wiekopomną prawdę: nie jesteśmy upadłymi aniołami, lecz małpami, które się wzniosły.

– Potrzebuję cię, ojcze! – woła.

Ojciec Abrahan rzuca na ziemię sprzęt wędkarski i biegnie pomóc żalotnemu obcemu człowiekowi.

CZĘŚĆ DRUGA
Droga do domu

Eusebio Lozora trzykrotnie odmawia powoli *Ojcze nasz*. Potem zaczyna na kolanach korzyć się przed Bogiem i chwalić Go. Myśli błądzą, ale wracają, zdania urywają się w połowie, ale po chwili płyną dalej. Eusebio chwali Boga, następnie wychwala przed Panem swoją żonę. Prosi Boga, by pobłogosławił ją i dzieci. Prosi o nieustające boskie wsparcie i ochronę. Wreszcie, ponieważ jest lekarzem, w dodatku patologiem, zakorzenionym w ciele, ale także człowiekiem wierzącym, zakorzenionym w obietnicy Pańskiej, ponad dwadzieścia razy powtarza: „Ciało Chrystusa”, po czym wstaje z kolan i wraca do biurka.

Eusebio uważa się za skrupulatnego patologa. Akapit, nad którym pracuje, sprawdza tak, jak rolnik mógłby sprawdzać świeżo obsianą skibę. Sprawdza, czy należycie wykonał pracę, bo wie, że skiba zrodzi plon, w tym wypadku plon zrozumienia. Czy to, co napisał, stoi na dostatecznie wysokim poziomie? Czy jest prawdziwe, klarowne, zwarte, wyczerpujące?

Nadrabia zaległości w pracy. Jest ostatni dzień grudnia 1938 roku, w istocie ostatnie godziny. Pochmurne Boże Narodzenie obchodzono jak należy, ale Eusebio nie ma świątecznego nastroju. Jego biurko jest zawałone papierami: jedne są na widoku, inne starannie, celowo ukryte, adekwatnie do stopnia ważności; jeszcze inne czekają na umieszczenie w aktach.

W gabinecie panuje cisza, podobnie jak na korytarzu. Ludność Bragançy nie przekracza trzydziestu tysięcy, ale szpital São Francisco, gdzie jest naczelnym patologiem, to największy szpital w Alto Douro. Wkrótce w innych częściach budynku zapalą się światła, zaczną się wrzawa – na ostrym dyżurze, gdzie przybywają krzyczący i płaczący ludzie, na oddziałach, gdzie pacjenci dzwonią na pielęgniarki i wciągają je w niekończące się rozmowy – ale na oddziale patologii, w podziemiach, pod tymi wszystkimi rojnymi piętrami, zwykle panuje cisza, jak na wszystkich oddziałach patologii. Eusebio pragnie, by tak pozostało.

Dopisując trzy słowa i skreślając jedno, kończy akapit. Czyta go po raz ostatni. Jego zdaniem patologowie są jedynymi lekarzami potrafiącymi pisać. Wszyscy inni wyznawcy Hipokratesa za swój triumf uznają wyleczonego pacjenta, natomiast słowa, jakie mogliby napisać –

diagnoza, recepta, zalecenia terapeutyczne – mają dla nich nikłe znaczenie. Ci lekarze uzdrowiciele, gdy tylko widzą, że pacjent czy pacjentka staje na nogach, przechodzą do nowego przypadku. Prawdą jest, że pacjenci codziennie rześko opuszczają szpital. Ot, drobny wypadek albo atak tej czy innej choroby, mówią sobie. Jednak Eusebio przywiązuje większą wagę do tych, którzy chorowali poważnie. U takich pacjentów, gdy opuszczają szpital, dostrzega chwiejny chód, zmierzwiłone włosy, rozpaczliwie pokorny wygląd, w oczach zaś wyraz świętego przerażenia. Z oślepiającą jasnością zrozumieli, co ich czeka pewnego dnia. Małą świeczkę życia można zgasić na wiele sposobów. Mroźny wiatr ściga nas wszystkich. Kiedy zaś wnoszą ogarek z poczeriałym knotem, ze strużkami zaschniętego wosku po bokach, lekarzem, który przystępuje do działania, jest – przynajmniej w szpitalu São Francisco w Bragançie – on lub jego kolega, doktor José Otavio.

Każde zwłoki są książką opowiadającą jakąś historię, każdy narząd to rozdział, a wszystkie rozdziały łączy wspólna nić narracji. Obowiązkiem zawodowym Eusebia jest odczytanie tych historii, przewrócenie każdej kartki skalpelem i wreszcie napisanie raportu. Taki raport musi dokładnie odzwierciedlać to, co Eusebio przeczytał w ciele. To realistyczny rodzaj poezji. Podobnie jak wszystkich czytelników, napędza go ciekawość. Co się przydarzyło temu ciału? Jak? Dlaczego? Eusebio szuka tej zmyślnej, przymusowej nieobecności, która zagarnia nas wszystkich. Czym jest śmierć? Owszem, mamy tu trupa, ale to tylko rezultat, nie sama rzecz. Kiedy znajduje okropnie powiększony węzeł chłonny lub nietypowo pomarszczoną tkankę, wie, że wpadł na trop śmierci. Ale jakież to dziwne: śmierć często przybiera kostium życia, mrowie patologicznie rozrośniętych komórek – albo, jak zabójca, zostawia wskazówkę, dymiącą broń, sklerotyczne zwapnienie tętnicy, zanim czmychnie z miejsca zbrodni. Eusebio zawsze natrafia na śmiertelne dzieło tuż po tym, jak sama śmierć, z cichym szelestem sukni, zniknęła za rogiem.

Odchyła się na krzesło, by rozprostować plecy. Krzesło skrzypi jak stare kości. Na ławie pod ścianą, gdzie stoi mikroskop, dostrzega teczkę. Co ona tam robi? Co leży na podłodze pod ławą – druga teczka? Poza tym szklanka na biurku całkiem wyschła i zbiera kurz. Eusebio mocno wierzy w potrzebę należytego nawadniania organizmu. Życie to wilgoć. Powinien umyć szklankę i napełnić ją świeżą, chłodną wodą. Potrząsa głową. Już dość tych rozproszonych myśli. Sporo musi utrwalić, nie tylko w preparatach i na slajdach, ale także w słowach. W każdym

przypadku historię kliniczną danego pacjenta, odkrycia dokonane w trakcie autopsji oraz wyniki histologiczne musi zebrać razem w spójną, klarowną całość. Musi się przyłożyć. Skup się, człowieku, skup się. Znajdź słowa. Oprócz tego musi dokończyć inne raporty. Jeden już wielokrotnie odkładał na później. Ciało zostało zmiażdżone i na kilka dni zostawione na wolnym powietrzu, na wpół zanurzone w rzece, co doprowadziło zarówno do opuchnięcia, jak i rozkładu.

Głośnie pukanie do drzwi wyrywa go z zamyślenia. Eusebio patrzy na zegarek. Dwudziesta druga trzydzieści.

– Wejdz! – woła, a irytacja ulatuje z jego głosu jak para z czajnika.

Nikt nie wchodzi. Mimo to za solidnymi drewnianymi drzwiami Eusebio wyczuwa posępną obecność.

– Powiedziałem, żebyś wszedł.

Wciąż nikt nie porusza klamką. Patologia nie jest sztuką medyczną wymagającą wielkiego pośpiechu. Chorzy, a raczej pobrane od nich próbki, prawie zawsze mogą poczekać do rana, natomiast zmarli wykazują jeszcze większą cierpliwość, toteż jest mało prawdopodobne, że to pracownik z pilną sprawą. Poza tym gabinety patologów są tak umieszczone, że osoby postronne nie mogą ich łatwo znaleźć. Kto więc o takiej porze, w dodatku w sylwestrową noc, zapuścił się do szpitalnych piwnic, by go szukać?

Eusebio wstaje chwiejnie, potrącając papiery. Obchodzi biurko, sięga do klamki i otwiera drzwi.

Na progu stoi kobieta po pięćdziesiątce o uroczej twarzy i dużych piwnych oczach. W dłoni trzyma torbę. Eusebio jest zaskoczony. Kobieta mu się przygląda. Potem mówi ciepłym, głębokim głosem:

– Daleko od mego wybawcy słowa mego jęku. Wołam przez dzień, a nie odpowiadasz, wołam i nocą, a nie zaznaję pokoju. Rozlana jestem jak woda, jak воск się staje moje serce, we wnętrzu moim topnieje. Moje gardło suche jak skorupa. Och, najdroższy, przybądź szybko na pomoc!

Część istoty Eusebia wzdycha, ale większa część się uśmiecha. Kobieta przed drzwiami to jego żona. Czasami odwiedza go w gabinecie, choć zazwyczaj nie o tak późnej porze. Nazywa się Maria Luisa Motaal Lozora, a on dobrze zna jej lamentacje. W przeważającej mierze pochodzą z jej ulubionego Psalmu 22. Maria nie ma powodu, by cierpieć w konwencjonalny sposób. Cieszy się dobrym zdrowiem fizycznym i psychicznym, mieszka w ładnym domu, nie zamierza opuścić Eusebia ani miasta, gdzie mieszkają, ma dobrych przyjaciół, nigdy tak naprawdę

się nie nudzi, mają trójkę dorosłych dzieci, szczęśliwych i zdrowych – krótko mówiąc, ma wszystko, co składa się na udane życie. Tyle że jego żona, jego droga żona, jest teologiem amatorem, niespełnioną kapłanką, która bardzo poważnie traktuje życie na tym padole łez, swój żywot hiobowy.

Maria lubi cytować Psalm 22, zwłaszcza pierwszy wers: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?”. Eusebio myśli wtedy, że mimo wszystko lament zaczyna się od „Boże mój, Boże mój”. To pomocne, że ktoś słucha, nawet jeśli nic nie robi.

Eusebio musi się sporo nasłuchać przy żonie i mało może zrobić. Jej gardło może wyschło jak skorupa, ale Maria nigdy nie cytuje słów Psalmu 22: „Język mój przywiera do podniebienia”, ponieważ byłaby to nieprawda. Jej język nigdy nie przywiera do podniebienia. Maria żarliwie wierzy w słowo mówione. Pisanie jest dla niej robieniem bulionu, czytanie to picie rosołu, ale pieczonym kurczęciem jest słowo mówione. Dlatego mówi. Mówi bez przerwy. Mówi do siebie, gdy jest sama w domu, mówi do siebie, gdy jest sama na ulicy, mówi do męża nieprzerwanie od dnia, kiedy się poznali, trzydzieści osiem lat wcześniej. Jego żona jest nieustannie rozwijającą się rozmową, bez pauz i przerw. Jednak Maria nie gada bzdur, nie ma cierpliwości do bzdur. Czasami zżyma się na miałki rozmowy z przyjaciółmi, jakie musi znosić. Często ich kawą i ciastem, słucha ich paplaniny, a potem utyskuje: „Świnki morskie, otaczają mnie świnki morskie”.

Eusebio przypuszcza, że jego żona przeczytała o świnkach morskich i pewien ich aspekt wzbudził jej irytację: ich niewielkie rozmiary, całkowita bezbronność i łagodność, lękliwość, zadowalanie się garścią ziarenek i brak oczekiwań wobec życia. On, jako patolog, dość lubi świnki morskie. Istotnie są małe, pod każdym względem, zwłaszcza w obliczu przypadkowego okrucieństwa życia. Każde zwłoki, które Eusebio otwiera, szepczą do niego: „Jestem świnką morską. Ogrzejesz mnie na swej piersi?”.

Jego żona nazwałaby to bzdurami. Maria nie ma cierpliwości do śmierci.

Kiedy byli młodzi, przez pewien czas tolerowała miłosne trele, którym Eusebio tak lubił się oddawać. Mimo pozorowanej brutalności swego zawodu ma miękkie serce. Gdy się poznali – w stołówce uniwersyteckiej – Maria była najbardziej powabną istotą, jaką kiedykolwiek widział; poważną dziewczyną, której uroda roznieciła w nim ogień. Na jej widok słyszał pieśń, a świat mienił się kolorami. Serce Eusebia biło mocno

z wdzięczności. Szybko jednak zaczęła przewracać oczami i kazała mu przestać ćwierkać. Pojął, że jego misja polega na słuchaniu Marii i właściwym odpowiadaniu, a nie na drażnieniu jej miałkami słowami. Ona była żyzną ziemią, słońcem i deszczem; on tylko rolnikiem, który doglądał plonów. Był istotnym, ale pomniejszym graczem. Nie miał zresztą nic przeciwko temu. Kochał ją tak, jak kocha teraz. Maria jest dla niego wszystkim. Nadal jest żyzną ziemią, słońcem i deszczem, jego zaś cieszy bycie rolnikiem, który dogląda plonów.

Tylko akurat tej nocy miał nadzieję, że nadgoni z pracą. Najwyraźniej nie było mu to pisane. Dopadła go Rozmowa.

– Witaj, aniele – mówi. – Jakaż to miła niespodzianka! Co masz w tej torbie? Chyba nie idziesz z zakupów. O tej porze wszystkie sklepy muszą być zamknięte. – Pochyla się i całuje żonę.

Maria puszcza pytanie mimo uszu.

– Śmierć to trudne drzwi – mówi cicho i wchodzi do gabinetu. – Eusebio, co tu się stało? Masz tu nieziemski bałagan. To nieprzyzwoite. Gdzie mają siadać twoi goście?

Eusebio patrzy na gabinet. Wszędzie panuje żenujący nieład. Patologowie zazwyczaj nie podejmują gości, którzy muszą siadać lub dbają o porządek. Najczęściej, bez słowa skargi, leżą plackiem na stole po drugiej stronie korytarza. Eusebio przesuwa ławę do biurka.

– Nie spodziewałem się dziś ciebie, aniele. Usiądź, proszę.

– Dziękuję. – Maria siada i stawia torbę na podłodze.

Eusebio zbiera papiery z biurka, wkłada je do najbliższej teczki, kładzie ją na innych i zrzuca wszystkie na podłogę. Nogą wpycha stertę pod biurko, żeby nie było jej widać. Zgniatą pałętającą się kawałki papieru, kantem dłoni zgarnia haniebną warstwę kurzu, używając drugiej dłoni jako szufelki; zawartość wrzuca do kosza przy biurku. Tak jest lepiej. Wreszcie siada i patrzy na kobietę. Mąż i żona.

– W końcu znalazłam rozwiązanie i muszę ci o nim powiedzieć – oznajmia Maria.

Rozwiązanie? A był jakiś problem?

– W takim razie powiedz – prosi Eusebio.

– Najpierw próbowałam przez śmiech, ponieważ lubisz się śmiać – mówi Maria bez cienia wesołości. – Widziałeś, jakie książki czytałam.

Eusebio się zamyśla. Tak, to by tłumaczyło zestaw książek, jakie zamawiała w minionych miesiącach u ulubionego księgarza w Coimbrze. Sztuki Arystofanesa, Szekspira, Lope de Vega, Moliera, Georges'a Feydeau, kilka opasłych tomów Boccaccia, Rabelais'go,

Cervantesa, Swifta, Woltera. Wszystkie czytała ze śmiertelnie poważnym wyrazem twarzy. Sam Eusebio nie jest tak namiętym czytelnikiem. Nie wiedział, czemu Maria czyta te wszystkie książki, ale jak zwykle zostawił jej wolną rękę.

– Humor i religia niezbyt dobrze idą w parze – ciągnie Maria. – Humor może wskazywać na liczne błędy religii... na ohydnie niemoralnych księży czy potwory przelewające krew w imię Jezusa... ale humor nie jest w stanie rzucić światła na prawdziwą religię. To tylko humor dla humoru. Co gorsza, humor mylnie pojmuję religię, bo w religii mało jest miejsca na beztroskę, a nie popełniamy błędu i nie mylmy beztroski z radością. Religia obfituje w radość. Religia jest radością. Zatem beztroskie śmianie się z religii to chybianie celu, w czym nie ma nic złego, jeśli komuś jest do śmiechu, ale nie jest to w porządku, jeśli ktoś pragnie zrozumieć. Nadażasz?

– Mimo późnej pory chyba tak – odpowiada Eusebio.

– Następnie zabrałam się do książek dla dzieci, Eusebio. Czy Jezus nie powiedział, że Królestwo Niebieskie musimy przyjąć jak małe dziecko? Dlatego przeczytałam książki, które kiedyś czytaliśmy Renatowi, Laisie i Antonowi.

Eusebio przypomina sobie twarze ich trojga dzieci, gdy były małe. Dzieci znosiły matczyne wielosłowie tak, jak dzieci znoszą deszczowy klimat: wybiegały, żeby chlapać się w kałużach, wrzeszczały, śmiały się, nie zważając na ulewę. Maria nigdy nie gniewała się za te radosne zakłócenia. Eusebio z trudem skupia się ponownie na słowach żony.

– Te książki przywołały wiele radosnych wspomnień, a także, ponieważ nasze dzieci już dorosły, trochę smutku, nie przyniosły jednak iluminacji religijnej. Rozwiązanie przyniosła mi twoja ulubiona pisarka.

– Naprawdę? Bardzo ciekawe. Kiedy ujrzałem, jak zagłębiasz się w książki Agathy Christie, pomyślałem, że robisz sobie przerwę w badaniach religijnych.

Eusebio i Maria są wielbicielami Agathy Christie. Czytali wszystkie jej książki, począwszy od pierwszej, *Tajemniczej historii w Styles*. Dzięki pożytecznej działalności Círculo Português de Mistério otrzymują każdą nową powieść pisarki, gdy tylko zostanie przetłumaczona, a tłumaczone są szybko, ponieważ portugalscy czytelnicy nie mogą się ich doczekać. Małżonkowie doskonale wiedzą, że gdy jedno z nich jest pochłonięte nową książką, drugie nie może mu przeszkadzać. Kiedy przeczytają ją oboje, wspólnie omawiają zagadkę kryminalną, dyskutują o tropach, które należało podjąć, oraz o narzucających się rozwiązaniach, które

okazały się ślepymi zaułkami. Najśłynniejszym detektywem Agathy Christie jest Hercule Poirot, próżny, dziwacznie wyglądający, mały belgijski dżentelmen. Jednak w jajowatej głowie Poirota kryje się najbystrzejszy, najbardziej spostrzegawczy umysł. Jego „szare komórki”, jak je nazywa, pracują według określonej metody i zauważają to, co umyka uwadze wszystkich pozostałych.

– *Śmierć na Nilu* była taka oryginalna! Wkrótce powinna się ukazać najnowsza powieść.

– Na pewno.

– I jakież to rozwiązanie znalazłaś u Agathy Christie?

– Pozwól, że wyjaśnię ci najpierw, jaką drogą poszłam – odpowiada Maria. – To kręta droga, dlatego musisz słuchać uważnie. Zaczniemy od cudów Jezusa.

Cuda Jezusa. Jeden z ulubionych tematów Marii. Eusebio zerka na zegar przy mikroskopie. Zapowiada się długa noc.

– Czy coś jest nie tak z twoim mikroskopem? – pyta jego żona.

– Nic podobnego.

– Patrzenie przez mikroskop nie pozwoli ci zrozumieć cudów Jezusa.

– To prawda.

– A patrzenie na zegar nie uchroni cię przed przyszłością.

– To także prawda. Chce ci się pić? Mogę poczęstować cię wodą, zanim zaczniemy?

– Wodą z tej szklanki? – Maria zerka krytycznie na brudną szklankę na biurku.

– Proponuję ją umyć.

– To byłby dobry pomysł. Ale na razie nie jestem spragniona. Mimo to wspomniałeś o wodzie bardzo stosownie, jeszcze wrócimy do wody. A teraz słuchaj. Cuda Jezusa... Jest ich tak wiele, prawda? Kiedy jednak dokładnie im się przyjrzymy, odkryjemy, że dzielą się na dwie kategorie. Do jednej zaliczyć można cuda przynoszące korzyść ludzkiemu ciału. Jest ich dużo. Jezus przywraca wzrok ślepcowi, mowę niememu, sprawność chromemu. Jezus uzdrawia gorączki, padaczkę, egzorcyzmuje przypadłości psychiczne. Uwalnia trędowatych od ich choroby. Kobieta od dwunastu lat cierpiąca na krwotoki dotyka jego szaty i krwawienie ustaje. Poza tym, oczywiście, wskrzesza zmarłych: córkę Jaira oraz jedyne syna wdowy z Nain. Przywraca do życia Łazarza, martwego od czterech dni, którego ciało wydziela odór śmierci. Te dokonania, które moglibyśmy nazwać cudami medycznymi Jezusa, obejmują przeważającą część jego działalności cudotwórczej.

Gdy mowa jest o ciałach wydzielających odór śmierci, Eusebio przypomina sobie przeprowadzoną tego dnia sekcję. Gąbczaste, nabrzmiące ciało topielca stanowi obrazę dla oczu i nosa nawet wyszkolonego patologa.

– Oprócz cudów medycznych są jednak inne, które również przynoszą korzyść ludzkiemu ciału – ciągnie żona. – Jezus sprawia, że rybackie sieci stają się ciężkie od ryb. Aby nakarmić wielotysięczne rzesze, rozmnaża ryby i chleb. W Kanie przemienia wodę w wino. Karmiąc głodnych i pojąc spragnionych, Jezus znów przynosi korzyść ludzkiemu ciału. Podobnie czyni, opanowując burzę, która zalewa falami łódź jego uczniów. Jezus ratuje ich przed utonięciem. Tak samo, kiedy każe Piotrowi zapłacić podatek świątynny monetą z rybiego pyska; w ten sposób ocala Piotra przed chłostą, którą otrzymałby, gdyby go aresztowano.

Maria przyniosła korzyść mojemu ciału, myśli Eusebio, tak jak on przyniósł korzyść jej. Kochać i czerpać z tego przyjemność – czyż istnieje większa radość? Młodzi małżonkowie byli jak ptaki na wiosnę. Miłość fizyczna uspokoiła się z biegiem lat, ale pozostała satysfakcja z otuchy, jaką daje solidne, ciepłe gniazdo. Eusebio czuje, jak na nowo rozplómienia go miłość do Marii. Kiedy się poznali, nie uprzedziła go, że jej imię brzmi Legion, że roją się w niej wszyscy prorocy i apostołowie Biblii, nie licząc sporej grupy Ojców Kościoła. Gdy Maria rodziła ich dzieci – za każdym razem, jak mówiła, zaczynało się od doznania, jakby pękał w niej talerz – nawet wtedy, gdy Eusebio siedział w poczekalni, słuchając jej dyszenia, jęków i wrzasków, Maria rozprawiała o religii. Położnik i pielęgniarki wychodzili z wyrazem zamyślenia na twarzach. Eusebio musiał się dopominać, by powiedzieli mu o dziecku. Nawet gdy cierpiała, a oni pracowali, dawała im do myślenia. Skąd wytrzasnął żonę zarówno piękną, jak i wnikliwą? Czy zasłużył na takie szczęście? Uśmiecha się i puszcza oko do żony.

– Przestań, Eusebio. Mamy mało czasu – szepcze Maria. – A zatem, czemu Jezus przynosi korzyść ludzkiemu ciału? Oczywiście pragnie w ten sposób wzbudzić podziw świadków, i go wzbudza. Świadkowie są zdumieni. Ale chcąc pokazać, że jest Mesjaszem, czemu leczy ułomności i syci głodne brzuchy? Przecież potrafił też wzbijać się w niebo jak ptak, o co prosił go szatan, albo, o czym sam wspominał, mógłby cisnąć góry w morze. To także byłyby cuda godne Mesjasza. Czemu więc cuda cielesne?

Eusebio milczy. Jest zmęczony. Co gorsza, jest głodny. Przypomina sobie o torbie leżącej u stóp żony. Może powinien umyć szklanę w małej umywalce w gabinecie, a wracając do biurka, zapuścić żurawia do torby. Maria zazwyczaj przynosi coś do jedzenia.

Żona sama odpowiada sobie na pytanie:

– Jezus dokonuje tych cudów, ponieważ przynoszą ulgę wtedy, gdy najbardziej jej potrzebujemy. Wszyscy cierpimy fizycznie, wszyscy umieramy. To nasz wspólny los, o czym wiesz doskonale, kochany, całymi dniami krojąc ludzkie zwłoki. Lecząc nas i karmiąc, Jezus odwoływał się do naszej najsłabszej strony. Uwalnia nas od ciężkiego brzemienia śmiertelności. To wywiera na nas większe wrażenie niż inne pokazy mocy nadprzyrodzonych, jak fruwanie w powietrzu czy ciskanie gór w morze. Przejdźmy teraz do drugiej kategorii cudów Jezusa, cudów interpretacji. Ta kategoria zawiera tylko jeden cud. Wiesz jaki?

– Powiedz – prosi cicho Eusebio.

– To cud, kiedy Jezus chodzi po wodzie. Nie ma drugiego podobnego. Jezus każe uczniom wsiąść do łodzi i płynąć przed siebie. Wyruszają, Jezus zaś wspina się na górę, by się modlić. Dzień się kończy. Uczniowie napierają na wiosła, walcząc z silnym wichrem, ale nie ma burzy, ich ciałom nic nie zagraża. Po całonocnym mozole, gdy wstaje świt, widzą Jezusa idącego po morzu w stronę łodzi. Są przerażeni. „Ja jestem, nie bójcie się”, uspokaja ich Jezus. W wersji Mateusza Piotr pyta Jezusa, czy może do niego dołączyć. „Przyjdź”, mówi Jezus². Piotr wychodzi więc z łodzi i zaczyna iść do Jezusa, lecz nagle ogarnia go lęk z powodu wichru i zaczyna tonąć. Jezus wyciąga rękę i odprowadza Piotra z powrotem na łódź. Nieprzychylny wiatr ustaje. Po co Jezus chodził po wodzie? Czy robił to, aby ocalić tonącą duszę, przynieść korzyść ludzkiemu ciału? Nie. Piotr wpadł w tarapaty w wodzie dopiero po tym, jak Jezus zaczął po niej chodzić. Czy w grę wchodziły inne siły? Jezus rozpoczął swój cudowny spacer bardzo wczesnym rankiem, wyruszył sam z odległego brzegu, na morzu oglądali go tylko uczniowie, którzy nie widzieli ładu. Innymi słowy, nie było społecznej konieczności tego cudu. Chodzenie po wodzie nie przyniosło konkretnej korzyści, nie wzbudziło konkretnych nadziei. Nikt nie prosił o nie, nikt się go nie spodziewał, nikt nawet tego nie potrzebował. Skąd taki osobliwy cud w tak oszczędnych, wyselekcjonowanych dokumentach jak Ewangelie? Tego niezwykłego cudu nie sposób ukryć. Pojawia się w dwóch Ewangeliach synoptycznych, Mateusza i Marka, oraz u Jana. Jest to

jeden z nielicznych cudów wymienionych w kilku Ewangeliach. Co on oznacza, Eusebio? Co oznacza? W przeblasku jasności zrozumiałam.

Eusebio nadstawia uszu. Tak jest zawsze. Maria mówi i mówi, a on nagle łapie się na haczyk jak ryba w opowieści biblijnej. Co takiego zrozumiała?

– Zrozumiałam, że cud Jezusa chodzącego po wodzie oznacza bardzo niewiele, jeśli pojmujemy go dosłownie. Jeżeli jednak odczytamy go tak, że jedna rzecz oznacza inną, alegorycznie, to wówczas cud odkrywa przed nami swoją tajemnicę. Pływanie jest nowoczesnym wynalazkiem; w czasach Jezusa ludzie nie umieli pływać. Kiedy wpadali do głębokiej wody, tonęli... to dosłowna prawda. Jeśli jednak pomyślimy o wodzie jako o życiowym doświadczeniu, jest to też prawda religijna. Mężczyźni i kobiety są słabi i z powodu słabości toną. Jezus nie tonie. Tonący człowiek instynktownie podnosi wzrok. Co widzi? Gdy zewsząd otacza go dusząca ciemność, widzi nad sobą jasne światło i czyste powietrze zbawienia. Widzi Jezusa, stojącego ponad tymi, którzy miotają się w słabościach, ofiarującego odkupienie. To wyjaśnia niefortunną przygodę Piotra w wodzie: jest tylko człowiekiem i dlatego zaczyna tonąć. Czytany w ten sposób, jako alegoria naszej słabości oraz Jezusowej czystości i ofiarowanego przez niego zbawienia, cud ten nabiera całkiem nowej wymowy. Potem zadałam sobie pytanie: dlaczego ten cud wymaga lektury alegorycznej, a inne nie. Czy cuda przynoszące korzyść ludzkiemu ciału zyskałyby na takiej lekturze? Nigdy o tym nie myślałam. Jako biedna, głupia kobieta, zawsze brałam cielesne cuda Jezusa za dosłowną prawdę. Według mnie Jezus faktycznie leczył trąd, ślepotę oraz inne choroby i ułomności; naprawdę karmił tysięczne rzesze. Ale czy Pana powinno się redukować do wędrownego znachora i sprzedawcy bułek? Nie sądzę. Cuda przynoszące korzyść ludzkiemu ciału też muszą oznaczać coś większego.

– Co? – pyta posłusznie Eusebio.

– Cóż innego mogłyby symbolizować, jeśli nie Królestwo Niebieskie? Każde cudowne uzdrowienie dokonane przez Jezusa to rzut oka na ostateczne miejsce, które należy do nas, jeśli wierzymy. Miej wiarę, a zostaniesz uzdrowiony ze śmiertelności, zostaniesz na zawsze nakarmiony. Pojmujesz wagę tego, co mówię? – Eusebio przytakuje. Głos Marii jest kojący, ciepły jak roztopione masło. Gdyby tylko mógł go zjeść. Zerka na zegar. – Cud Jezusa chodzącego po wodzie jest wskazówką, jak mamy czytać całe Pismo Święte. Jeśli czytamy

Ewangelie jak sprawozdania czterech dziennikarzy, umniejszamy ich wartość. Jeśli jednak rozumiemy, że napisano je językiem metafor i symboli, odsłaniają przed nami głębię i prawdę moralną. Właśnie takim językiem posługiwał się Jezus, czyż nie? Jak nauczał ludzi?

– Czytamy w Ewangeliach: „A bez przypowieści nic im nie mówił”³.

– Zgadza się. Przypowieść o zagubionej owcy, o ziarnku gorczycy, o drzewie figowym, o zaczynie, o siewcy, o synu marnotrawnym i wiele innych. Całe mrowie przypowieści.

Jagnięcina w sosie musztardowym z figami i szklaneczką wina – tyle jadalnych przypowieści, myśli Eusebio.

– Przypowieść jest alegorią w formie prostej historii. Jest walizką, którą musimy otworzyć i wypakować jej zawartość. Jedynym kluczem, który otwiera te walizki, otwiera na oścież, jest alegoria. Na koniec tylko jeden cud jest prawdziwy i dosłowny, stanowi filar naszej wiary: jego zmartwychwstanie. Kiedy ono staje się zrozumiałe, możemy zacząć pojmować wszystkie przypowieści opowiadane przez Jezusa i o nim. Oto samo serce chrześcijaństwa: jeden cud otoczony i sycony przez przypowieści, niczym wyspa oblana morzem.

Eusebio odkasłuje.

– Chyba nie dzieliłaś się tymi odkryciami z ojcem Ceciliem, co?

Ojciec Cecilio jest ich lokalnym księdzem. Na wzmiankę o nim Maria często przewraca oczami. W jej obecności biedny duchowny wygląda jak ta kura z kurnika, która nie złożyła dość jaj.

– Żeby nas ekskomunikował? Ten tępak jest uosobieniem dosłowności, która obraża moją wiarę. Jest głupi jak but.

– Ale chce dobrze – łagodzi Eusebio.

– But też chce dobrze chodzić.

– To, co mówiłaś, jest bardzo ciekawe.

– Jeszcze nie skończyłam. Jeśli sobie przypominasz, prowadziłam poszukiwania. Był pewien problem.

– Tak, i znalazłaś rozwiązanie.

– Ach, jak mocno bije mi serce! Teraz się napiję, jeśli zdezynfekujesz tę szklanę.

Maria pochyla się, wyjmuje z torby butelkę czerwonego wina i stawia ją na biurku.

– Mario, bądź błogosławiona! – woła Eusebio z szerokim uśmiechem i spieszy, by otworzyć wino. Podczas gdy trunek oddycha, dokładnie myje szklanę. – Nie mam drugiej – mówi. – Pij ze szklanki, ja będę pił z butelki.

– Nie uchodzi. Będziemy pili ze wspólnej.

– Zgoda. – Eusebio nalewa do szklanki eliksiru, który migocze jak świetlik. Czując już smak wina, oblizuje wargi, ale najpierw podaje szklankę żonie. – Ty pierwsza, mój aniele.

Maria pociąga mały, zdecydowany łyk. Z zamkniętymi oczami, wczuwa się w działanie trunku. W końcu mruczy i otwiera oczy.

– Dobrze.

Przekazuje mu szklankę. Eusebio pije większy łyk, wzdycha z zadowolenia, po czym wychyla wino do dna.

– Och! Naprawdę. Jeszcze tylko odrobinę. – Nalewa połowę szklanki, może nieco więcej.

Maria bierze łyk i oznajmia:

– Dla mnie już dość. Szczęśliwego Nowego Roku.

– Słucham?

– Jaki sens ma patrzenie na zegar, skoro brak ci poczucia czasu? Spójrz na wskazówki. Już północ. Zaczyna się tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty rok.

– Masz rację. Szczęśliwego Nowego Roku, aniele. Oby był dobry.

Eusebio dopija wino i znów siada. Teraz to on migocze jak świetlik, myśli błędzą mu swobodnie, gdy żona podejmuje temat:

– Czemu Jezus mówił przypowieściami? Dlaczego opowiadał historie, a zarazem pozwalał, by opowiadano je o nim? Dlaczego Prawda posługiwała się narzędziami fikcji? Opowieści pełne metafor są domeną pisarzy, którzy grają na języku jak na mandolinie, ku naszej uciechu, prozaików, poetów, dramaturgów i innych rzemieślników zmyślenia. Czyż nie jest niezwykle, że brakuje znaczących relacji historycznych o Jezusie z Nazaretu? Z Lizbony przyjeżdża do Bragançy pomniejszy urzędnik państwowy, spięty człowieczek niemający nic do powiedzenia, a rozpisują się o tym wszystkie gazety, które potem trafią na wieczność do archiwów. Albo w twojej pracy, Eusebio. Ktoś robi zwykłą rzecz, mianowicie umiera, a ty piszesz raport, uwieczniasz zwykłego śmiertelnika. Tymczasem Syn Boży przybywa do miasta, podróżuje, spotyka się z każdym i wszystkimi, robi wielkie wrażenie, zostaje zamordowany, i nikt o tym nie pisze?! Jedynym efektem tej potężnej boskiej komety, która uderzyła w ziemię, jest garść ustnych podań? Istnieją setki dokumentów napisanych przez pogańskich autorów w pierwszym wieku naszej ery. W żadnym nie wspomina się o Jezusie. Nie wspomina o nim żaden współczesny mu Rzymianin, urzędnik, poeta, zarządca, historyk, filozof, człowiek nauki, kupiec, żaden pisarz.

Nie znajdujemy żadnej wzmianki o Jezusie ani w oficjalnym edykcie, ani w korespondencji prywatnej. Nie pozostał po nim akt urodzenia, sprawozdanie z procesu, akt zgonu. Wiek po śmierci Jezusa – sto lat! – padają tylko dwie pogańskie wzmianki o nim. Jedna autorstwa Pliniusza Młodszeo, rzymskiego senatora i pisarza, druga autorstwa rzymskiego historyka Tacyty. List oraz kilka stron, tyle zostawili zagorzali biurokraci i dumni zarządcy imperium, którego kolejna religia miała zostać oparta na Jezusie i którego stolica stała się stolicą jego kultu. Paganie nie zwrócili uwagi na człowieka, który miał przeobrazić ich z Rzymian w chrześcijan. Wydaje się to równie nieprawdopodobne jak to, by Francuzi nie zauważyli Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Jeżeli ówcześni Żydzi mieli więcej do powiedzenia o Jezusie, ich słowa zaginęły. Milczą na jego temat faryzeusze, którzy spiskowali przeciwko niemu, milczy Sanhedryn, rada religijna, która go potępiła. Historyk Józef zostawia dwie krótkie wzmianki o nim, ale kilkadziesiąt lat po jego ukrzyżowaniu. Wszystkie relacje historyczne o Jezusie z Nazaretu, pochodzące ze źródeł niechrześcijańskich, mieszczą się na kilku stronach, wszystkie zresztą są relacjami z drugiej ręki. Nie dowiadujemy się z nich nic, czego nie wiedzieliśmy już ze źródeł chrześcijańskich... Nie, nie, nie. Relacje historyczne na nic się nam nie zdadzą. Cała nasza wiedza o Jezusie z krwi i kości sprowadza się do czterech alegorystów. Jeszcze bardziej zdumiewające jest to, że ci minstrele nigdy nie spotkali Jezusa. Mateusz, Marek, Łukasz i Jan, kimkolwiek byli, nie byli naocznymi świadkami. Podobnie jak Rzymianie i Żydzi, pisali o Jezusie wiele lat po jego odejściu. Byli natchnionymi skrybami, którzy spisali i ułożyli słowne przekazy krążące od dziesięcioleci. Tak więc Jezus dotarł do nas za pośrednictwem dawnych opowieści, które przetrwały przede wszystkim w formie ustnej. Cóż za nonszalancki, ryzykowny sposób zaznaczania swej obecności w historii. Jeszcze dziwniejsze wydaje się to, że Jezus najwyraźniej tego właśnie sobie życzył. Żydzi są obsesyjnie przywiązani do pisma. Każdy palec Żyda to pióro. Do reszty z nas Bóg tylko mówi, podczas gdy Żydzi otrzymują zapisane kamienne tablice. Oto jednak pojawił się ważny Żyd, który wolał wiatr od słowa pisanego. Przedkładał falujące przekazy słowne nad spisane fakty. Skąd taka postawa? Czemu nie narzucić swojej obecności jak wielki wojskowy Mesjasz, za którym Żydzi tęsknili? Czemu opowieści zamiast tworzenia historii?

Dotychczas żona prowadziła go przez kolejne wspaniałe korytarze. Eusebio ma wrażenie, że za chwilę wkroczą do sali balowej z ogromnym

parkietem tanecznym, migoczącymi żyrandolami i wysokimi oknami.

– Myślę, że jest tak, ponieważ Jezus po raz kolejny pragnie przynieść nam korzyść. Opowieść jest jak zaślubiny, gdzie my, słuchacze, jesteśmy panem młodym, patrzącym, jak oblubienica kroczy do ołtarza. Opowieść rodzi się we wspólnocie, w akcie wyobrazonego spełnienia. Ten akt absorbuje nas bez reszty, jak każde małżeństwo, i tak jak nie ma dwóch jednakowych małżeństw, tak każdy z nas interpretuje opowieść nieco inaczej, budzi w nim ona nieco inne odczucia. Opowieść wzywa nas tak, jak wzywa nas Bóg, indywidualnie, a nam to się podoba. Opowieści przynoszą korzyść ludzkiemu umysłowi. Jezus chodził po ziemi ze spokojną pewnością, że dopóty zostanie z nami, a my z nim, dopóki będzie nas poruszał swymi opowieściami, dopóki będzie zostawiał ślad na naszej zdumionej wyobraźni. Dlatego nie przybył, galopując na koniu, ale cicho jechał na opowieści. Wyobraź sobie, Eusebio, że zaproszono cię na ucztę, posadzono przy suto zastawionym stole, pełnym najprzedniejszych win i najbardziej wyszukanych przysmaków. Jesz i pijesz do syta. Czy wtedy zapytałbyś gospodarza o zwierzęta domowe, które właśnie jadłeś? Możliwe, może nawet uzyskalbyś pewne informacje o tych zwierzętach, ale jak by się to miało do samej uczyty? Musimy zaniechać tych redukcjonistycznych poszukiwań Jezusa historycznego. Nie znajdziemy go, ponieważ nie tam, nie w ten sposób, postanowił zostawić ślad. Jezus nauczał poprzez przypowieści i w nich żył. Nasza wiara jest wiarą w jego opowieść, poza nią nie ma zbyt wiele. Święte słowo jest opowieścią, opowieść jest świętym słowem.

Maria oddycha głęboko. Uśmiech rozjaśnia jej twarz.

– Cóż, opowieści wciąż są z nami. Przechodzę więc do rozwiązania, do Agathy Christie.

Żona pochyla się i wyjmuje z torby książki, które Eusebio zna: *Mężczyzna w brązowym garniturze*, *Zagadka Błękitnego Ekspresu*, *Tajemnica siedmiu zegarów*, *Morderstwo na plebanii*, *Dlaczego nie Evans?*, *Tragedia w trzech aktach*, *Morderstwo w Mezopotamii*, *Śmierć na Nilu*, *Tajemniczy pan Quin*, *Morderstwo Rogera Ackroyda*, *Tajemnicza historia w Styles, A.B.C.*, *Śmierć lorda Edgware'a*, *Trzyznaście zagadek*, *Świadek oskarżenia*, *Morderstwo w Orient Expressie*, *Tajemnica Sittaford*, *Niemy świadek*, *Samotny dom*. Książki w twardych okładkach, w jaskrawych obwolutach, lądują na jego biurku. Tylko kilka z łoskotem spada na podłogę.

- Ta myśl po raz pierwszy uderzyła mnie podczas lektury *Morderstwa w Orient Expressie*. Zwróciłam uwagę na fakt, że pociąg jedzie ze wschodu. Jest trzynastu pasażerów, wśród nich jeden potwór, Judasz. Zauważyłam, że pasażerowie są przedstawicielami rozmaitych zawodów i narodowości. Moją uwagę przykuł też fakt, że jedną z osób prowadzących dochodzenie, pomocnikiem Herculesa Poirota, jest doktor Constantine. Czy historia Jezusa nie jest opowieścią orientalną, rozpropagowaną przez innego Konstantyna? Czy Jezus nie miał dwunastu uczniów, w tym Judasza? Czy Palestyna nie była tygłem narodowości, tak jak Orient Express? Często podkreśla się cudzoziemskie pochodzenie Herculesa Poirota, który raz po raz triumfuje. Cudzoziemiec, którego interwencje są zbawienne – czy nie tak można postrzegać Jezusa? Te obserwacje kazały mi popatrzeć na książki Agathy Christie w innym świetle. Zaczęłam zauważać pewne szczegóły. Każdy, nawet najdrobniejszy incydent ma znaczenie. Opowieści Agathy Christie opierają się na odkrywczych detalach, stąd oszczędny, bezpośredni język oraz krótkie i liczne akapity i rozdziały, jak w Ewangeliach. Mówi się jedynie o tym, co istotne. Zagadki kryminalne, jak Ewangelie, to destylaty... Zauważyłam niemal całkowity brak dzieci u Agathy Christie, albowiem morderstwo jest zdecydowanie dorosłą rozrywką. Bardzo niewiele jest ich też w Ewangeliach, zaadresowanych do wrażliwości dorosłych. Dostrzegłam, że ludzie znający prawdę są zawsze traktowani podejrzliwie i z pogardą. Oczywiście tak też było z Jezusem. Spójrz jednak na starą pannę Marple. Ona zawsze wie, a wszyscy są tym faktem zdziwieni. Tak samo jest z Herculesem Poirotem. Jak to możliwe, że ten komiczny człowieczek wie wszystko? Ale wie, wie. U Agathy Christie, jak w Ewangeliach, triumfują cisi. W centrum każdej historii Agathy Christie jest najcięższy grzech: odebranie życia. Nie inaczej jest z historią życia Jezusa. I tam, i tu przedstawia się liczne postacie w tym samym celu: podejrzani paradują przed oczami czytelnika, który może zobaczyć, kto ulegnie pokusie zła, a kto nie. Zarówno u Agathy Christie, jak i w Ewangeliach hart ducha kontrastuje ze słabością. I tu, i tam światło zrozumienia pojawia się w ten sam sposób: poznajemy fakty, same w sobie neutralne, następnie poznajemy interpretację, która nadaje znaczenie faktom. Tak rozwijają się przypowieści Jezusa – ekspozycja i wyjaśnienie – i tak rozwija się męka Jezusa; Paweł już po fakcie objaśnił jego śmierć i zmartwychwstanie, nadał im znaczenie. Tak też rozwijają się wyjaśnienia zagadek kryminalnych Agathy Christie: Hercules Poirot

podsumowuje wszystkie fakty, po czym mówi nam, co one znaczą. Zwróć uwagę na istotną rolę świadka. Ani Jezus, ani Hercules Poirot nie zwracają sobie głowy pisaniem. Obaj zadowalali się słowem mówionym. Stąd konieczność świadka – w przeciwnym razie skąd byśmy wiedzieli, co mówili i robili? Każdy z nich, na swoim obszarze, dokonywał tak niezwykłych rzeczy, że ludzie czuli przymus dawania świadectwa. Ci, którzy spotkali Jezusa, przez resztę życia mówili o nim rodzinie, przyjaciołom, obcym, aż ich słowa dotarły do uszu Pawła, potem zaś Mateusza, Marka, Łukasza i Jana. Podobnie z Arthurem Hastingsem, przypominającym Watsona narratorem wielu historii Herculesego Poirota, narratorem nie mniej lojalnym niż autorzy Ewangelii. Jednak każdy świadek jest do pewnego stopnia niewiarygodny. Widzimy to wyraźnie u Arthura Hastingsa, który znajduje się zawsze kilka kroków w tyle za Herculesem Poirotem, dopóki ten mu wszystkiego nie objaśni. Wtedy pojmujemy, że nie tylko Arthur Hastings okazał się mało spostrzegawczy. My też przegapiliśmy wskazówki, błędnie zrozumieliśmy fakty, nie uchwyciliśmy znaczenia. My również potrzebujemy objaśnień Herculesego Poirota. Podobnie jest z Jezusem. Otaczało go tak wielu Arthurów Hastingsów, którzy nieustannie przegapiali wskazówki, błędnie rozumieli fakty, nie chwyтали znaczeń. On również musiał objaśniać wszystko swym uczniom, by mogli za nim nadążyć. Mimo to uczniowie rozumieli opacznie, nie mogli się zgodzić co do tego, co Jezus zrobił czy powiedział. Spójrz na Ewangelie: są cztery, a każda nieco odmienna od pozostałych, niespójna z innymi, jak to zawsze bywa z relacjami świadków. U Agathy Christie zabójca prawie zawsze znajduje się bliżej, niż się spodziewaliśmy. Przypomnij sobie *Mężczyznę w brązowym garniturze*, *Tajemnicę siedmiu zegarów*, *Tragedię w trzech aktach*, *A.B.C.*, a zwłaszcza *Morderstwo Rogera Ackroyda*, by wymienić tylko kilka. Doskonale widzimy odległe zło, ale im jest bliższe, tym większa staje się nasza krótkowzroczność moralna. Krawędzie się zacierają, centrum trudno dostrzec. Stąd reakcje na ujawnienie sprawcy: *Et tu, Brute?* Uczniowie musieli zareagować w ten sposób, kiedy Judasz, dobry Judasz Iskariota, nasz drogi druh i towarzysz podróży, okazał się zdrajcą. Jakże ślepi jesteśmy na bliskie zło, jak chętnie odwracamy wzrok.

Maria nabiera tchu i kontynuuje:

– Skoro mowa o ślepcie, warto wspomnieć o pewnym osobliwym zjawisku. Agathę Christie czytamy, nie mogąc się oderwać. Po prostu musimy czytać dalej. Chcemy się dowiedzieć, kto to zrobił, jak

i dlaczego. Potem się dowiadujemy. Zdumiewa nas misterny plan zabójstwa. Ach, jak chłodno rozumował morderca, jak pewną miał czy miała rękę. Gdy nasza żarłoczna ciekawość zostaje zaspokojona, odkładamy książkę i natychmiast zapominamy, kto zabił! Czyż nie? Nie zapominamy ofiary. Agatha Christie może tytułować swoje książki *Morderstwo Rogera Ackroyda* albo *Śmierć lorda Edgware'a*, nie obawiając się, że utraci zainteresowanie czytelników. Ofiara jest dana; on czy ona zostaje z nami. Ale jakże szybko znika z naszego umysłu zabójca. Bierzemy do ręki powieść kryminalną Agathy Christie – napisała ich tak wiele – i zastanawiamy się: „Czytałem to? Zobaczymy. No tak, ona jest ofiarą. To pamiętam, ale kto to zrobił? Och, wypadło mi z głowy”. Musimy przeczytać ze sto stron, zanim przypomnimy sobie, kto zabił. Z tą samą amnezją podchodzimy do Ewangelii. Pamiętamy ofiarę. No przecież. Ale czy pamiętamy, kto go zabił? Gdybyś zwrócił się do przypadkowego przechodnia: „Szybko, powiedz mi, kto zabił Jezusa?”, przypuszczam, że taka osoba zapomniałaby języka w gębie. Kto więc zabił Jezusa z Nazaretu? Kto ponosił odpowiedzialność? Judasz Iskariota? Ba! On był jedynie narzędziem, współnikiem. Zdradził Jezusa, wydał ludziom, którzy go szukali, ale przecież sam go nie zabił. Czy zrobił to może Poncjusz Piłat, rzymski prokurator, który skazał go na śmierć? Raczej nie. Piłat tylko płynął z prądem. Stwierdził, że Jezus nie popełnił żadnego wykroczenia, chciał go uwolnić, wolał ukrzyżować Barabasza, ale ugiął się w obliczu rozgniewanego tłumu. Piłat wolał poświęcić niewinnego człowieka, niż mieć do czynienia z zamieszkanymi. Był więc słabym człowiekiem, kolejnym współnikiem, ale nie samym mordercą. Kto zatem dopuścił się tego czynu? Ogólnie rzecz biorąc, Rzymianie? Owszem, Jezusa pojмали rzymscy żołnierze, wykonujący rzymskie rozkazy zgodnie z rzymskim prawem w rzymskiej prowincji. Ale kto słyszał o tak niekonkretnym zabójcy? Czy mamy przyjąć teologicznie, że Syna Bożego zamordowali bezimienni słudzy imperium, które dawno znikło, a zrobili to, aby uśmierzyć gniew miejscowego plemienia? Jeśli tak, to nic dziwnego, że nikt nie pamięta, kto to zrobił... Ależ tak! Oczywiście: to Żydzi zamordowali Jezusa! Znana śpiewka, prawda? Grupa chytrych żydowskich starców, w zмовie z rzymskimi władzami, uknuła spisek, żeby pozbyć się Żyda wichrzyciela. (Zapamiętaliśmy, żeby nienawidzić Żydów, ale nie Włochów – jak do tego doszło? Co za wstyd!). Jeśli jednak Żydzi ponosili odpowiedzialność, to którzy? Jak się nazywali? Mamy arcykapłana Kajfasza. Ktoś jeszcze? Żadnych imion. Zresztą, podobnie jak Piłat, Kajfasz był tylko

wspólnikiem. Żydzi nie mogli zabić Żyda, pamiętasz dziesięcioro przykazań? Kajfasz musiał znaleźć innych, którzy by to zrobili. Dlatego on i inni przedstawiciele starszyny podburzyli tłum i właśnie tłum przypieczętował los Jezusa. Właśnie tłum ponosi rzeczywistą, praktyczną winę. Gdyby motłoch domagał się uwolnienia Jezusa i ukrzyżowania Barabasa, Piłat by na to przystał, Kajfasz znalazłby się w kropce, a Judasz musiałby zwrócić srebrniki. Już nam się wydaje, że dotarliśmy do sedna: odpowiedzialność za śmierć Jezusa z Nazaretu ponosił tłum. Ściśle rzecz biorąc, tłum wrobiony przez głównie anonimowych urzędników, zmanipulowany przez głównie anonimowych członków starszyny, pragnął jego śmierci, a zabili go głównie anonimowi żołnierze. Wszystko jednak zaczęło się od tłumy, a czyż istnieje coś bardziej anonimowego niż tłum? Czy tłum z samej definicji nie jest anonimowy? W takim ujęciu sprawa staje się jasna: ci winni Żydzi, ci winni Rzymianie to marionetki, fałszywe tropy w najlepszym stylu Agathy Christie. Nic dziwnego, że przeciętny nieuk uważa, że Jezusa zabił jego (nieuka) sąsiad Żyd – to jest przynajmniej bardziej konkretne. Jednak w kategoriach teologicznych Jezusa z Nazaretu zabił Anonim. Kim zaś jest Anonim?

Maria milknie. Po chwili zaskoczony Eusebio orientuje się, że żona czeka na jego odpowiedź.

– Och! Nie jestem pewien. Nigdy nie...

– Anonim to ty, ja, my wszyscy. To my zamordowaliśmy Jezusa z Nazaretu. My jesteśmy tłumem. Jesteśmy Anonimem. Do historii przechodzi nie wina Żydów, ale wina nas wszystkich. Ale jak szybko o tym zapominamy. Nie lubimy winy, prawda? Wolimy ją ukrywać, zapominać o niej, wypaczać, przedstawiać w lepszym świetle, przekazywać innym. Z powodu naszej awersji do winy, usilnie staramy się zapamiętać, kto zabił ofiarę w Ewangeliach, tak jak usilnie staramy się zapamiętać, kto zabił ofiarę w powieści kryminalnej Agathy Christie... Czy koniec końców nie jest to najprostsze określenie życia Jezusa: zagadka kryminalna? Ktoś pozbawił życia całkowicie niewinną ofiarę. Kto to zrobił? Kto miał motyw i sposobność? Co się stało z ciałem? Co to wszystko znaczyło? Do rozwiązania zagadki potrzebny był nietuzinkowy detektyw i pojawił się, kilka lat po morderstwie, Hercules Poirot pierwszego stulecia, Paweł z Tarsu. Chrześcijaństwo zaczyna się od Pawła. Najwcześniejszymi dokumentami chrześcijańskimi są jego listy. Poznajemy z nich historię Jezusa, na wiele lat przed życiem Jezusa opisanym w Ewangeliach. Paweł ślubował dotrzeć do sedna sprawy

Jezusa. Posługując się szarymi komórkami, węszył, słuchał relacji, ślęczał nad faktami, zbierał wskazówki, badał wszystkie detale. Wielki przełom w sprawie nastąpił w drodze do Damaszku, kiedy Paweł miał widzenie. Na koniec śledztwa wyciągnął jedyny możliwy wniosek. Następnie nauczał i pisał, a Jezus z chybionego Mesjasza stał się wskrzeszonym Synem Bożym, który przyjął na siebie nasze grzechy. Paweł zamknął sprawę Jezusa z Nazaretu. I tak jak rozwiązanie zagadki w książce Agathy Christie przynosi radość, a czytelnik jest zdumiony pomysłowością autorki, tak też zmartwychwstanie Jezusa i jego sens przynosi wielką, trwałą radość chrześcijaninowi. Chrześcijanin dziękuje Bogu za Jego zdumiewającą pomysłowość i bezgraniczne współczucie. Albowiem zmartwychwstanie Jezusa w celu zmycia naszych grzechów to, zdaniem Pawła, jedyne możliwe rozwiązanie problemu miłującego Boga, którego nieoczekiwanie zabito, a który następnie powstał z martwych. Hercules Poirot z całego serca przyklasnąłby logice Pawłowego rozwiązania... Świat Ewangelii jest posępny. Mnóstwo w nim cierpienia, zarówno ciała, jak i duszy. To świat przeciwieństw moralnych, gdzie dobro jest czystym dobrem, a zło jest uporczywie złe. Świat Agathy Christie jest równie posępny. Kto z nas tak często obcuje z zabójstwami jak Hercules Poirot i Jane Marple? Za tymi zabójstwami czai się tyle zła! Przecież nasz świat taki nie jest, prawda? Większość z nas nie zaznaje ani tyle dobra, ani tyle zła. Żeglujemy umiarkowanym środkiem. A jednak morderstwa się zdarzają, czasem na dużą skalę, czyż nie? Niedawno zakończyła się wielka wojna. Tuż za miedzą Hiszpanie z pasją się wyrzynają. Słysząc uporczywe doniesienia o możliwości kolejnej wojny na kontynencie. Symboliczną zbrodnią naszego stulecia, Eusebio, jest morderstwo. Anonim wciąż w nas tkwi. Umiarkowana droga środka to złudzenie. Nasz świat też jest posępny, ale chowamy się w kryjówce ulepionej ze szczęścia i zamkniętych oczu. Co zrobisz, kiedy szczęście przestanie ci dopisywać i na siłę otworzą ci oczy? Smutny fakt polega na tym, że w przeciwieństwie do zapewnień lekarzy, nie ma zgonów z przyczyn naturalnych. Każda śmierć jest przez kogoś odczuwana jak morderstwo, jako niesprawiedliwe odebranie ukochanej osoby. Nawet największych szczęśliwców czeka w życiu przynajmniej jedno morderstwo: nas samych. Taki już nasz los. Wszyscy żyjemy w zagadce kryminalnej z nami w roli ofiary... Jedynym współczesnym gatunkiem literackim, który funkcjonuje w tym samym rejestrze moralnym co Ewangelie, jest pogardzana powieść kryminalna. Jeśli nałożymy powieści kryminalne Agathy Christie na Ewangelie

i oświecimy je, ujrzymy odniesienia, spójność i współgranie. Odnajdziemy odpowiadające sobie wzorce i podobieństwa narracyjne. Książki Agathy Christie i Ewangelie są mapami tego samego miasta, przypowieściami odnoszącymi się do tej samej egzystencji. Jaśnieją tą samą przejrzystością moralną. To wyjaśnia, dlaczego Agatha Christie jest najpopularniejszą pisarką w dziejach świata. Jej wpływ jest równie szeroki, nakłady jej książek są równie duże jak Biblii, ponieważ jest ona współczesnym apostołem, w dodatku kobietą – najwyższy czas, po dwóch tysiącach męskiej gadaniny. Ten nowy apostoł w spódnicy odpowiada na te same pytania, na które odpowiadał Jezus: Co mamy począć ze śmiercią? Ponieważ każda zagadka kryminalna zostaje na końcu rozwiązana, tajemnica zgrabnie wyjaśniona. To samo musimy uczynić ze śmiercią w naszym życiu: rozwiązać ją, nadać jej znaczenie, umieścić w kontekście, choćby nie wiem jak trudne miało to być. Jednocześnie Agatha Christie i Ewangelie różnią się w zasadniczy sposób. Nie żyjemy już w czasach prorocत्व i cudów. Jezus nie chodzi już pośród nas, jak chodził wśród ludzi w czasach ewangelicznych. Ewangelie Mateusza, Marka, Łukasza i Jana są opowieściami o obecności. Książki Agathy Christie to ewangelie nieobecności. Są współczesnymi ewangeliami dla ludzi współczesnych, bardziej podejrzliwych, mniej skorych, by wierzyć. Tak więc Jezus jest obecny jedynie we fragmentach, w tropach, zawoalowany i zamaskowany, ukryty i przesłonięty. Ale spójrz – on kryje się nawet w jej nazwisku. Najczęściej jednak tylko unosi się w pobliżu, szepcze.

Z uśmiechem na ustach Maria Lozora czeka na reakcję męża. Eusebio odwzajemnia uśmiech, ale milczy. Gdyby miał być szczery, powiedziałby, że tak bliskie zestawienie Jezusa Chrystusa i Agathy Christie, apostoła Pawła i Herculesa Poirota to dysonans. Papież w Rzymie nie będzie zachwycony na wieść, że ma poważną rywalkę w osobie czterdziestoosmioletniej mieszkanki angielskiego miasta Torquay, autorki pasjonujących powieści rozrywkowych.

Maria odzywa się znowu, a jej łagodny głos otula go jak ramiona:

– Czy wielkim wyzwaniem naszych czasów nie jest właśnie połączenie wiary i rozumu? Zakorzenie swego życia w odległym, zwiewnym obłoczku świętości jest takie trudne, takie nierozumne. Wiara jest wspaniała, ale niepraktyczna. Jak ucieleśnić wieczną ideę w codziennym życiu? O ileż łatwiej postępować racjonalnie. Rozum jest praktyczny, nagrody, jakie przynosi, są natychmiastowe, jego działanie jasne. Niestety, jednak rozum jest ślepy. Sam rozum donikąd nas nie

prowadzi, zwłaszcza w obliczu przeciwności. Jak zachować równowagę między nimi dwoma, jak żyć zarówno z rozumem, jak i z wiarą? W twoim przypadku, Eusebio, uznałam, że rozwiązaniem będą opowieści wspaniale ukazujące rozum, a jednocześnie pozwalające ci trzymać się blisko Jezusa z Nazaretu. Dzięki temu możesz zachować wiarę, gdyby się chwiała. Oto daję ci Agathę Christie.

Maria promienieje. Jej dar złożony z dwóch słów i opakowany w długą przemowę leży już na jego kolanach. Z wieloletniego doświadczenia wie, że teraz przyszła jego kolej, by interweniować, ale nagle brakuje mu słów. Co? Cuda Jezusa, Jezus przynoszący korzyść ludzkiemu ciału, Jezus chodzący po wodzie, Jezus alegorysta ocalony przez innych alegorystów, Jezus jako ofiara w zagadce kryminalnej, Jezus – szepcząca w tle postać u Agathy Christie – cała ta zawiła argumentacja po to, by mógł czytać swoją ulubioną pisarkę z poczuciem większej otuchy religijnej? W końcu udaje mu się wykrztusić:

– Dziękuję, Mario. Nigdy nie myślałem o Agacie Christie w ten sposób. To jest...

– Kocham cię – przerywa mu żona. – Zrobiłam to dla ciebie. Czytasz tylko Agathę Christie. Następnym razem, kiedy będziesz w domu, pogrążony w smutku, sięgnij po jedną z jej książek i wyobraź sobie, że siedzisz w łodzi. Niedaleko łodzi stoi na wodzie Jezus z Nazaretu. Zaczyna ci czytać Agathę Christie. Ciepły oddech Boga, który cię kocha, unosi się ze stronicy i muska twoją twarz. Czy możesz wtedy powstrzymać się od uśmiechu?

– Ależ M-M-Mario...! – woła Eusebio. Czemu nagle zaczął się jąkać? Patrzy na żonę i przypomina sobie o wszystkim, za co jest wdzięczny: za żywną ziemię, słońce, deszcz i plony. – Mój aniele, jakaś ty dobra! Jestem ci bardzo wdzięczny.

Eusebio wstaje, obchodzi biurko i zbliża się do Marii. Ona również się podnosi. Eusebio obejmuje żonę. Całują się. Marii jest zimno. Eusebio tuli ją mocniej, by ogrzać ją swoim ciałem. Mówi do jej ramienia:

– To cudowny prezent. Mam wielkie szczęście, że...

Maria wyswobadza się z objęć męża i poklepuje go po policzku.

– Nie ma za co, drogi mężu, nie ma za co. Dobry z ciebie człowiek. – Wzdycha. – Powinnaś wracać do domu. Czy możesz pomóc mi spakować te książki do torby?

– Naturalnie! – Eusebio schyla się i podnosi książki, które spadły na podłogę.

Wspólnie wypełniają torbę powieściami Agathy Christie i podchodzą do drzwi gabinetu. Eusebio je otwiera.

– Nie schowałeś mleka – mówi na progu Maria. – Na trzy dni. Zepsuło się. Śmierdzi. Nie zauważyłam, bo nigdy nie biorę mleka do ust. Jeśli zamierzasz pracować do rana, kup świeże mleko, wracając do domu. I chleb. Ale nie kupuj chleba z soczewicą, bo masz po nim gazy. Ostatnia sprawa: przyniosłam ci mały podarunek. Nie patrz. Wychodzę.

Eusebio pragnie zatrzymać Marię, podziękować za nią samą, jego drogą żonę od trzydziestu ośmiu lat; wciąż ma jej mnóstwo do powiedzenia.

– Pomodlimy się? – pyta, co zazwyczaj jest dobrym sposobem zatrzymania żony.

– Jestem zbyt zmęczona. Ale ty się pomódl. I przecież masz pracę. Nad czym pracujesz?

Eusebio patrzy na biurko. Jego praca? Na śmierć o niej zapomniał.

– Muszę napisać kilka raportów. Jeden przypadek jest szczególnie nieprzyjemny: kobieta zepchnięta z mostu. Nikczemne morderstwo.

Wzdycha. Tylko sekcje niemowląt i dzieci są gorsze – wszystkie te miniaturowe narządy. Poza tym nic nie jest bardziej odrażające niż rozłożone ludzkie ciało. Dwa lub trzy dni po śmierci na brzuchu rozkładających się zwłok pojawia się zielonkawa plama, która rozprzestrzenia się na klatkę piersiową i górne części ud. Zielona barwa to wynik gazu, który wytwarzają bakterie układu pokarmowego. Za życia pomagają trawić pokarm, ale po śmierci pomagają trawić ciało. Natura obfituje w tego rodzaju przyjaciół. Gaz zawiera siarkę, dlatego ma przykry zapach. Częściowo uchodzi przez odbyt, stąd rozkładające się ciało często najpierw czuć, dopiero potem widać. Wkrótce jednak jest na co patrzeć. Kiedy gaz skończy przebarwiać skórę, zaczyna rozdmynać ciało. Oczy – z opuchniętymi powiekami – wychodzą na wierzch. Język wysuwa się z ust. Pochwa zostaje wypchnięta na zewnątrz, podobnie jak wnętrzności przez odbyt. Skóra nadal zmienia barwę. Po tygodniu trupio blade ciało pod wpływem gangreny staje się jasnozielone, następnie purpurowe, potem ciemnozielone, z czarnymi smugami wzdłuż żył. Ciekące pęcherze nabrzmiwiają i pękają, pozostawiając na skórze placki zgnilizny. Trupie soki sączą się z nosa, ust i innych otworów ciała. Dwa związki chemiczne występujące w tych płynach nazywają się putrescyna i kadaweryna, co jednoznacznie sugeruje ich woń. W drugim tygodniu po śmierci ciało napina się od obrzmienia, zwłaszcza brzuch, pachwiny, piersi i język. Najszcuplejszy człowiek

robi się odrażająco otyły. Napięta skóra pęka i zaczyna odchodzić płatami. W kolejnym tygodniu poluzowują się włosy, paznokcie i zęby. Większość narządów wewnętrznych pęka i zaczyna przechodzić w stan płynny, w tym mózg, który w swej ostatniej fazie stałej jest ciemnozieloną galaretą. Wszystkie narządy zamieniają się w cuchnącą maź, która ścieka z kości.

Na wolnym powietrzu również inne organizmy prócz bakterii, przyczyniają się do tego, że ciało staje się coraz szkaradniejsze. Nieprzeliczone ptaki dziobią zwłoki, ułatwiając dostęp drobniejszym intruzom, takim jak muchy, zwłaszcza ścierrwica mięsówka i muchówki z rodziny plujkowatych ze swymi licznymi larwami, ale są też i żuki, mrówki, pająki, roztocza, krocionogi, stonogi, osy i inne. Każdy oszpeca ciało na swój sposób. Inne stworzenia jeszcze bardziej zniekształcają zwłoki: ryjówki, norniki, szczury, lisy, koty, psy, wilki, rysie. Te potrafią zjeść całą twarz, odgryzają kawały ciała, całe kończyny. Wszystko to przydarza się ciału, które jeszcze niedawno było żywą całością, która stała, chodziła i śmiała się.

– Okropne – mówi Maria.

– Tak, od tej pory zamierzam omijać ten most.

– Wiara jest odpowiedzią na śmierć. – Jego żona kiwa głową. – Do widzenia.

Maria unosi głowę i całują się po raz ostatni. Mieć jej uroczą twarz tak blisko swojej! Czuć jej ciało przy swoim! Maria się odsuwa. Ulotny uśmiech i spojrzenie na pożegnanie, wychodzi z gabinetu i rusza korytarzem. Eusebio ją odprowadza.

– Do widzenia, aniele. Dziękuję za wszystkie podarki. Kocham cię.

Maria znika za rogiem. Eusebio patrzy na pusty korytarz, potem wraca do gabinetu i zamyka drzwi.

Gabinet wydaje się teraz taki pusty i cichy. Może znów powinien się pomodlić, chociaż, mimo swego oddania Jezusowi z Nazaretu, nie widział zbyt wielu zwycięstw odniesionych dzięki modlitwie. Poza tym jest już w wieku, gdy klękanie nie przychodzi łatwo. Uklęknięcie wiąże się ze stękaniem, powolnym układaniem poszczególnych części ciała. To niebezpieczna czynność, podczas której człowiek z trudem łapie równowagę, a chwilami ją traci. Na koniec kolana boleśnie przylegają do marmurowej podłogi, zimnej i twardej (choć doskonale nadającej się do zmywania krwi i trupich soków). Przytrzymując się biurka, Eusebio zaczyna uginać kolana. Wtedy sobie przypomina: Maria mówiła o podarunku. Zerka na biurko. Musiała położyć prezent na biurku, kiedy

on zbierał z podłogi książki Agathy Christie. Istotnie, sterta papierów zdradza wybrzuszenie, którego wcześniej nie było. Eusebio prostuje się i sięga. Książka. Bierze ją z biurka, odwraca.

Rendez-vous ze śmiercią Agathy Christie. Eusebio wyteęza pamięć. Ani tytuł, ani okładka nie wydają się znajome. Ale jest tak wiele tytułów, tyle okładek. Sprawdza notę z prawami autorskimi: 1938, bieżący rok, a raczej był nim jeszcze kilka minut wcześniej. Serce bije mu mocniej. To nowa Agatha Christie! Następna po *Śmierci na Nilu*. Musiała przyjść dzisiaj z Circulo Português de Mistério. Chwała im. Chwała żonie, która pozwoliła mu przeczytać powieść pierwszemu.

Raporty czekają. Eusebio sadowi się na krześle. Czy raczej, zgodnie z sugestią żony, sadowi się w łodzi. Słyszy głos:

– Rozumiesz przecież, że ją trzeba zabić?

Pytanie jak gdyby zawisło na chwilę w spokojnym powietrzu nocy, aby ulecieć poprzez ciemności w kierunku Morza Martwego.

Herkules Poirot znieruchomiał z ręką na okiennym ryglu. Później zmarszczył się gniewnie i energicznie zamknął okno. Wyznawał pogląd, że otwarta przestrzeń to najwłaściwsze miejsce dla świeżego powietrza, a nocne świeże powietrze jest szczególnie groźne dla zdrowia.

Z pedantyczną dokładnością zasłonił okno i zмирzając w stronę łóżka, uśmiechnął się dobrotliwie.

„Rozumiesz przecież, że ją trzeba zabić”. Ciekawe zdanie! W sam raz dla uszu słynnego detektywa – i to pierwszego wieczoru w Jerozolimie.

– Wszędzie, dokąd przyjadę, coś musi mi przypominać zbrodnię – mruknął do siebie⁴.

Eusebio przerywa lekturę. Powieść Agathy Christie rozpoczynająca się w Jerozolimie? Akcja ostatniej rozgrywała się na Nilu, była też jedna osadzona w Mezopotamii – autorka krążyła wokół Palestyny – ale teraz sama Jerozolima. Po wszystkich słowach Marii ten zbieg okoliczności mocno go uderza. Żona uzna go za potwierdzenie jej teorii.

Pukanie do drzwi zaskakuje Eusebia. Książka szybuje z dłoni jak ptak.

– Maria! – woła. Wróciła! Pędzi do drzwi. Musi jej powiedzieć. – Maria! – woła znowu, otwierając drzwi.

Na progu stoi kobieta, nie jest to jednak jego żona. Jest starsza. To odziana na czarno wdowa. Nieznajoma. Wpatruje się w Eusebia. U jej stóp stoi spora waliza. Chyba nie podróżowała o tej porze? Eusebio dostrzega coś jeszcze. Ukryte pod zmarszczkami, pod prostą czarną suknią, ale mimo to jaśnieje: ma przed sobą kobietę wielkiej urody.

Jasna twarz, wspaniała figura, wdzięk. W młodości musiała być zjawiskowa.

– Skąd pan wiedział, że przyjdę? – pyta zaskoczona.

– Przepraszam, ale myślałem, że to ktoś inny.

– Nazywam się Maria Dores Passos Castro.

W porządku, jest Marią, ale oprócz tego kim? Nie jest jego żoną Marią, jest inną Marią. Czego ona chce? Co tu robi?

– W czym mogę pani pomóc, senhora Castro? – pyta sztywno.

Maria Castro odpowiada pytaniem:

– Czy jest pan lekarzem, który ma do czynienia z ciałami?

Owszem, i tak można to ująć.

– Tak, jestem szefem wydziału patologii. Nazywam się Eusebio Lozora.

– W takim razie muszę z panem pomówić, doktorze, jeśli może mi pan poświęcić kilka minut.

Eusebio wychyla głowę na korytarz, rozglądając się za żoną. Nie ma jej. Ona i ta kobieta musiały się minąć. Wzdycha. Kolejna kobieta, która chce z nim rozmawiać. Czy i ona troszczy się o jego zbawienie? Ilu jeszcze biblijnych proroków czeka na niego tej nocy? A on chce tylko nadgonić z pracą. Od kiedy to patologowie udzielają publicznych konsultacji, w dodatku w nocy? Poza tym umiera z głodu. Skoro zamierzał pracować całą noc, powinien był przynieść sobie coś do jedzenia.

Odprawi tę kobietę. Niezależnie od tego, co ją trapi, powinna się udać do lekarza rodzinnego, pójść na ostry dyżur. Eusebio już ma zamknąć drzwi, kiedy coś mu się przypomina. Gdy chowano Jezusa, nie było mężczyzn. Tylko kobiety przyszły do jego grobu, tylko kobiety.

Może jedna ze spraw na biurku wiąże się z tą kobietą? Krewny, ukochany? Eusebio rzadko ma do czynienia z członkami rodziny. Szczyci się umiejętnością ustalania przyczyny żalu, ale sam żal, radzenie sobie z nim, nie jest jego specjalnością medyczną ani też Eusebio nie posiada uzdolnień w tym kierunku. Dlatego wybrał patologię. Patologia to medycyna zredukowana do samej nauki, wolna od wyczerpującego kontaktu z pacjentami. Zanim jednak nauczył się tropić śmierć, zgłębiał życie, i oto stoi przed nim żywa kobieta, której zależy na konsultacji. Przypomina sobie, że na tym polega podstawowe powołanie lekarza: uśmierzać cierpienie.

Tak łagodnie, jak tylko pozwala mu na to zmęczenie, mówi:

– Proszę wejść, senhora Castro.

Stara kobieta podnosi walizę i wchodzi do gabinetu.

– Bardzo dziękuję, panie doktorze.

– Proszę usiąść tutaj. – Wskazuje krzesło, na którym dopiero co siedziała jego żona.

W gabinecie wciąż panuje bałagan, na ławie nadal walają się papiery; co robi tamta teczka na podłodze w kącie? Na razie musi tak zostać. Eusebio siada na krześle przy biurku, naprzeciwko gościa. Lekarz i pacjentka. Jeśli pominąć butelkę czerwonego wina na biurku oraz powieść Agathy Christie na podłodze.

– Jak mogę pani pomóc? – pyta.

Po chwili wahania senhora Castro podejmuje decyzję.

– Przybywam z wioski Tuizelo w Wysokich Górach Portugalii.

No tak. Nieliczni mieszkańcy Wysokich Gór Portugalii docierają do Bragançy, ponieważ w całym tym niewdzięcznym regionie nie ma szpitala, nie ma nawet przyzwoitego ośrodka przemysłowego.

– Chodzi o mego męża.

– Tak? – rzuca zachęcająco.

Pani Castro milczy. Eusebio czeka. Pozwoli jej mówić. Spodziewa się lamentu w formie pytania. Wyjaśnienie śmierci jej męża Eusebio będzie musiał owinąć w miłe słowa.

– Próbowałam to opisać – odzywa się w końcu kobieta. – Ale na papierze wygląda to tak wulgarnie. A mówienie o tym jest jeszcze gorsze.

– W porządku – mówi Eusebio uspokajająco, choć dziwi go dobór słów. „Wulgarnie”? – To coś całkiem naturalnego. I nieuniknionego. Czeka nas wszystkich.

– Naprawdę? Nie w Tuizelo. Rzekłabym, że tam to coś bardzo rzadkiego.

Eusebio marszczy brwi. Czyżby ta kobieta mieszkała w wiosce nieśmiertelnych, gdzie śmierć przychodzi brutalnie tylko do nielicznych? Jego żona mówi mu często, że Eusebio tyle czasu spędza ze zmarłymi, że traci kontakt z żywymi. Czyżby się przesłyszał? Czyż nie pytała właśnie, czy jest lekarzem, który ma do czynienia z ciałami?

– Senhora Castro, śmierć jest uniwersalna. Wszyscy musimy przez nią przejść.

– Śmierć? Kto mówi o śmierci? Ja mówię o seksie.

Teraz, gdy to straszne słowo w końcu padło, Maria Castro ciągnie dalej swobodnie:

– Miłość pojawiła się w moim życiu w najmniej spodziewanej postaci. W postaci mężczyzny. Moje zdziwienie było zdziwieniem kwiatu, który po raz pierwszy widzi nadlatującą pszczołę. To moja matka zasugerowała, bym wyszła za mąż za Rafaela. Po konsultacji z moim ojcem uznali, że to dobra partia. Nie było to typowe aranżowane małżeństwo, ale musiałabym podać porządne wytłumaczenie, by nie wychodzić za mąż za Rafaela. Żadne nie przychodziło mi do głowy. Wystarczyło, że on i ja się dogadamy, a czy to mogło być trudne? Znałam go całe życie. Rafael był jednym z wiejskich chłopców. Był tam zawsze, jak polny kamień. Pierwszy raz zobaczyłam go pewnie jako mała dziewczynka, a on, jako starszy, zerkał na mnie chyba, gdy nieco podrosłam. Był szczupłym chłopcem o sympatycznej twarzy, bardziej cichym i nieśmiałym niż inni z wioski. Zanim pojawiła się propozycja, żebyśmy spędzili razem resztę życia, spędziłam z nim najwyżej dwadzieścia minut. Kiedy biegnę myślą wstecz, dochodzę do wniosku, że była taka jedna chwila. Pewnie rok czy dwa przed ślubem. Załatwiałam sprawunki i spotkałam Rafaela na ścieżce, gdzie naprawiał bramę. Poprosił, żebym coś przytrzymała. Kucnęłam, a moja głowa znalazła się blisko niego. Nagły podmuch wiatru uniósł mi włosy i omiótł nimi jego twarz. Czując to łagodne chłostanie, cofnęłam głowę i chwyciłam ostatnie kosmyki moich włosów zsuwające się z jego twarzy. Rafael uśmiechał się i patrzył mi prosto w oczy... Pamiętam też, że słodko grał na flecie, małej drewnianej fujarce. Podobał mi się ten dźwięk, podobny do ćwierkania wiosennego ptaka. Kiedy więc padła propozycja małżeństwa, pomyślałam sobie: czemu nie? Pewnego dnia musiałam wyjść za mąż. Człowiek nie chce spędzać całego życia samotnie. Rafael z pewnością okazałby się użyteczny, a ja zrobiłabym wszystko, by na coś mu się przydać. Spojrzałam na niego w nowym świetle i pomysł poślubienia go przypadł mi do gustu... Ojciec osierocił go w dzieciństwie, toteż porozumiano się z jego matką. Myślała to samo, podobnie chyba jak sam Rafael. Wszyscy myśleli: czemu nie? I tak pobraliśmy się pod hasłem: „Czemu nie?”. Wszystko wydarzyło się szybko. Uroczystość miała konkretny charakter. Ksiądz odprawił, co do niego należało. Nie marnowano pieniędzy na świętowanie. Wprowadziliśmy się do chałupy, którą dał nam wuj Rafaela, Valerio, do czasu, gdy znajdziemy coś lepszego... Po raz pierwszy od uroczystości zaślubin znaleźliśmy się sami. Niemal natychmiast po tym, jak drzwi się zamknęły, Rafael odwrócił się do mnie i powiedział: „Rozbierz się”. Spojrzałam na niego koso i odparłam: „Nie, ty się rozbierz”. „Zgoda”,

odpowiedział i szybko rozebrał się do rosołu. To zrobiło na mnie wrażenie. Nigdy wcześniej nie widziałam nagiego mężczyzny. Rafael podszedł, położył dłoń na mojej piersi i ścisnął. „Przyjemnie?”, spytał. Wzruszyłam ramionami i odparłam: „Może być”. „A teraz?”, spytał i ścisnął pierś delikatniej, szczypiąc sutkę. „Może być”, powtórzyłam, ale już bez wzruszenia ramion. Potem Rafael zaczął się zachowywać bardzo bezpośrednio. Stał za moimi plecami i przyciągnął mnie do siebie. Czułam na ciele jego ogórek. Wsunął mi dłoń pod sukienkę i położył tam. Nie opierałam się. Uznałam, że na tym polega małżeństwo, że muszę to znieść. „Przyjemnie?”, spytał. „Nie jestem pewna”, odparłam. „A teraz?”, zapytał, dalej manipulując. „Nie jestem pewna”. „A teraz?”. „Nie... wiem”. Nagle zabrakło mi słów. Ogarnęło mnie dziwne uczucie. Rafael dotknął takiego miejsca, że język mi skołowaciał. Och, to było przyjemne. Co to było? „A teraz?”, spytał znowu. Skinęłam głową. Nie przestawał mnie dotykać. Pochyliłam się do przodu, a on razem ze mną. Straciłam równowagę, potoczyliśmy się po pokoju, przewróciliśmy krzesło, uderzyliśmy o ścianę, pchnęliśmy stół. Trzymając mnie mocno, Rafael pociągnął nas na podłogę, na dywanik od jego brata Batisty. Cały czas pieścił mnie ręką, a ja poddawałam się temu doznaniu. Nie miałam pojęcia, co to jest, ale przejechało przeze mnie jak pociąg, nastąpiła eksplozja, jakby pociąg wyjechał nagle z tunelu na słońce. Pozwalałam, by toczył się we mnie. Brakowało mi tchu. Odwróciłam się do Rafaela i powiedziałam: „Teraz się rozbiore”... On miał dwadzieścia jeden lat, ja siedemnaście. Pożądanie było odkryciem. Gdzie niby miałam je wcześniej znaleźć? Pożądanie w wydaniu moich rodziców było pustynią. Zrodziło tylko jedną silną roślinę – mnie. Poza tym wiedli gorzkie, pracowite życie. Czy Kościół uczył mnie pożądania? Myśl warta śmiechu, gdybym miała na to czas. Kościół uczył mnie wstydić się czegoś, czego nawet nie znałam. Co się tyczy ludzi wokół mnie, starych i młodych, może podsuwali aluzje, sugestie, kiedy dorastałam, ale nie pojmowałam ich znaczenia.

Po krótkiej chwili zadumy kobieta mówi dalej:

– Widzi pan, doktorze, nigdy wcześniej nie pożądałam. Moje ciało było gotowe, umysł pragnął się uczyć, ale wszystko leżało uśpione, nieużywane, nieoczekiwane. Potem Rafael i ja się spotkaliśmy. Pod prostymi strojami i nieśmiałością odkryliśmy nasze piękne ciała, jak złoto pod ziemią. Nasza ignorancja w tych sprawach była całkowita. Nie wiedziałam, czym jest ogórek i do czego służy. On nie miał pojęcia o moim gniazdku. Wpatrywał się w nie zaskoczony. „Cóż za dziwna

rzecz”, mówiły jego oczy. „A widziałeś swojego?”, pytał mój wzrok. „Tak, tak, wszystko to jest bardzo dziwne”, odpowiadały bez tchu jego oczy. Najdziwniejsze, że wiedzieliśmy, co robić. Wszystko wpadło na swoje miejsce. Dotykaliśmy się, pytaliśmy, robiliśmy – wszystko jednocześnie. Czasami tak bywa, prawda? Znaczek znajduje przyjemność w tym, że jest lizany i naklejany na kopertę, koperta znajduje przyjemność w kleju znaczką. Jedno lgnie do drugiego, chociaż nawet nie podejrzewało, że to drugie istnieje. Tak więc Rafael i ja zostaliśmy kopertą i znaczką... Ku naszemu zaskoczeniu, w oczach innych ludzi stanowiliśmy przyzwoite małżeństwo. Nigdy nie wyobrażałam sobie, jak dobrze jest być Portugalką... Z sąsiedniej wioski, gdzie pomagałam nauczycielce, zwykłam wracać do domu grzbietem wzgórza. Praktycznie nie było tam drogi, ale był to najszybszy sposób, by dostać się do naszej chałupki. Gramoliłam się po głazach, przełaziłam przez zarośla. W kamiennych ścianach znajdowałam przejścia. Przy trzecim przejściu od końca często dostrzegałam Rafaela, w dole, na naszym drugim polu, gdzie pasły się owce. Bardzo często on też mnie zauważał w chwili, gdy docierałam właśnie do tego przejścia. Za każdym razem myślałam: „Cóż za niezwykły zbieg okoliczności! Oto przeszłam przez skalną ścianę, a on mnie zobaczył”. Rafael nie mógł mnie usłyszeć – było za daleko – ale po ciemniejszym niebie poznając, że dzień ma się ku końcowi, wiedział, że wkrótce wrócę, dlatego raz po raz oglądał się i podnosił wzrok, stwarzając warunki dla zbiegu okoliczności. Na mój widok podwajał wysiłki na polu, zaganiał owce i wpychał je do zagrody, co pies witał radosnym ujadaniem, bo pan wykonywał za niego pracę. Często nawet przed ukończeniem tego zadania Rafael puszczał się biegiem, podobnie jak ja. Miał przewagę, ale miał też sporo do zrobienia. Wpadał na podwórze i krzyczał na kury. Zbliżając się do domu, słyszałam ich gorączkowe gdakanie. Drób lądował w kurniku. Potem trzeba było nakarmić świnię na noc. Niekończące się obowiązki gospodarskie. Ze szczytu wzgórza zbiegałam do domu. „Będę pierwsza!”, wołałam ze śmiechem. Rafael miał bliżej do drzwi frontowych, ja do tylnych. Kiedy byłam już w odległości kilku metrów od domu, on dawał sobie spokój – do diabła z farmą – i pędził co siłą. Drzwi się otwierały, czasem jego pierwsze, czasem moje. Tak czy owak drzwi zamykały się po chwili z hukiem, wstrząsając naszą chałupką, i stawaliśmy twarzą w twarz, bez tchu, pijani szczęściem. Po co ten pośpiech? Skąd zaniedbanie obowiązków gospodarskich? Ponieważ tak bardzo spieszyliśmy się, by znaleźć się obok siebie nago. Zrywaliśmy ubranie, jakby się paliło.

Znów milknie, ale zaraz podejmuje swoją opowieść:

– Pewnego dnia, kilka miesięcy po ślubie, robiłam z matką przetwory. Spytała mnie, czy ja i Rafael byliśmy już razem „intymnie”. W ten sposób się wyrażała. Kiedy poślubiła mego ojca, przez osiemnaście miesięcy jej nie tknął. Nie wiem, co robili przez te półtora roku. Leżeli odwrócenii do siebie tyłem, próbowali zasnąć w całkowitym milczeniu, z szeroko otwartymi oczami? Matka martwiła się o wnuki. Pochodziła ze średnio płodnej rodziny. Była jedynym dzieckiem, a owocem jej pięćdziesięcioczworoletniego małżeństwa była jedyna córka. Obawiała się, że odziedziczy bezpłodność. Zapewniłam ją, że z Rafaelem jesteśmy intymnie każdej nocy, czasem także w dzień, jeśli akurat zostajemy w domu, na przykład w niedzielę. Zdarza się, że również rano, przed pracą. Niekiedy bywaliśmy ze sobą intymnie dwa razy z rzędu. Matka spojrzała na mnie. „Chodzi mi o akt, akt”, szepnęła, chociaż byliśmy same. Czyżby sądziła, że ja miałam na myśli drzemkę? Że kładziemy się do łóżka co noc, a czasem ucinamy sobie drzemkę także w ciągu dnia? Że czasami budzimy się rano i zaraz potem drzemiemy? Jedna drzemka po drugiej? Czyżby myślała, że jesteśmy tak leniwi i ospali jak koty? „Tak, tak, matko – odrzekłam. – Robimy akt cały czas. Za pół godziny, jak go zobaczę, może znów to zrobimy”. Oczy matki wyrażały zdumienie, konsternację, przerażenie. Każdej nocy? W niedzielę? Proszę pamiętać, że mówimy o minionym stuleciu. Od tamtej pory sporo się zmieniło. Dzisiaj wszystko jest takie nowoczesne. Dosłownie widziałam, jak w głowie matki przewracają się kartki Biblii. Przetwory owocowe były gotowe. Mogłam wracać do domu. „On jest moim mężem”, powiedziałam, popychając drzwi biodrem. Matka nigdy więcej nie poruszyła tego tematu. Przynajmniej miała nadzieję na tuzin wnuków, którymi mogłaby się chwalić w wiosce jak biżuterią. Poza tym moja odpowiedź stanowiła dobrą pożywkę dla plotek. Taka już była moja matka, kobieta pruderyjna, która żyła plotkami. Potem mężczyźni z wioski przypatrywali mi się z uśmiechem, a im byli starsi, tym bardziej migotały im oczy, natomiast u kobiet, młodych dziewczyn i starych kwok, wyczuwałam mieszankę zawiści, wzdargy i ciekawości. Ilekroć matka wybierała się do nas w odwiedziny, sto metrów od domu wszczyniała gromki hałas... Co do wnuków jej nadzieje spełzły na niczym. Okazałam się równie mało płodna jak ona. Biorąc pod uwagę, jak często naklejaliśmy znaczek na kopertę, aż dziw, że przyszło tak mało listów. Tylko jeden, słodki, bardzo, bardzo późno, drogi chłopczyk, który wydarł się z mego łona nie z płaczem, ale ze śmiechem. Kiedy

zaniósł naszego niedźwiadka matce, już nie kojarzyła. Jej uśmiech był nieobecny; równie dobrze mogłam jej podać gdaczącą kurę.

Na ustach starej kobiety pojawia się uśmiech, ale nie jest to uśmiech nieobecny.

– Teraz, na starość, sen stał się dla mnie zagadką. Pamiętam sen, ale nie mogę sobie przypomnieć, jak się śpi. Czemu sen mnie zdradził? W młodości Rafael i ja oddawaliśmy się mu bez reszty. Mimo biedy mieliśmy wygodne łóżko i zasłony, byliśmy posłuszni zewowi nocy. Spaliśmy jak kłody. Każdego ranka budziliśmy się zdziwieni tym odświeżającym przeżyciem, które pozbawiło nas świadomości. Teraz w nocy nękają mnie zmartwienia i smutek. Leżę znużona, ale sen nie nadchodzi. Leżę, a myśli oplatają mnie jak wąż.

– Starzenie się nie jest proste, senhora Castro – mówi cicho Eusebio. – To okropna, nieuleczalna patologia. Inną patologią jest miłość. Zaczyna się dobrze. To najbardziej pożądana z chorób. Nikt nie chciałby się bez niej obejść. Miłość jest jak drożdże, które psują sok winogronowy. Człowiek kocha, człowiek kocha, człowiek nie przestaje kochać... proces inkubacji może trwać bardzo długo... aż w końcu, w chwili śmierci, pęka serce. Miłość zawsze zmierza do niechcianego zakończenia.

Ale gdzie jest ciało? To palące pytanie Eusebio pomija. Czyje ciało? Może nie chodzi o jej męża. Senhora Castro jest ubrana na czarno, ale tak robi każda portugalska wieśniaczka, kobieta po czterdziestce, która straciła kogoś z rodziny. Żałoba jest typowym strojem dla wiejskich kobiet. Może przyszła zapytać o kogoś młodszego. W takim przypadku informacje, o które jej chodzi, mogą się znajdować w jednej z teczek leżących pod biurkiem. Możliwe też, że tą sprawą zajmował się jego kolega, doktor Otavio. José wyjechał blisko trzy tygodnie temu na swoje miesięczne wakacje u córki w Anglii. Stąd cała dodatkowa praca. Ale José przekazał mu wszystkie swoje sprawy, jeśli więc Maria Castro pyta o jedną z nich, Eusebio znajdzie teczkę w sąsiednim gabinecie.

Tak czy inaczej musi być ciało, ponieważ Eusebio jest patologiem. Ludzie mający problemy ze snem idą gdzie indziej, do lekarza rodzinnego, który przepisze coś na sen, albo do księdza, który ich rozgrzeszy. Ci, którzy są nieszczęśliwi, bo się starzeją, lub cierpią z powodu złamanego serca, też idą gdzie indziej, także do księdza, albo do przyjaciela, do tawerny, nawet do burdelu. Ale nie do patologa.

– Miło mi słuchać o pani radościach, smutno mi z powodu pani trosk – ciągnie Eusebio. – Ale czemu właściwie pani do mnie przyszła? Chce pani się dowiedzieć o konkretną sprawę?

– Chcę wiedzieć, jak on żył.

Jak żył? Chyba jak umarł. Typowe przejęzyczenie starej kobiety.

– Kto?

– Oczywiście Rafael.

– Jak brzmi jego pełne imię i nazwisko?

– Rafael Miguel Santos Castro z wioski Tuizelo.

– Zatem chodzi o pani męża. Jedną chwileczkę.

Eusebio pochyła się i wyciąga spod biurka teczkę. Gdzie jest lista? W końcu znajduje kartkę. Czyta uważnie. Wśród spraw, którymi ma się zająć, brak Rafaela Miguela Santosa Castra.

– Nie widzę jego nazwiska na liście. Sprawą pani męża musiał się zajmować mój kolega, doktor Otavio. Pójdę znaleźć teczkę. To zajmie chwilę.

– Jaką teczkę? – pyta Maria.

– Oczywiście teczkę pani męża. Każdy pacjent ma teczkę.

– Ale pan jeszcze go nie widział.

– Ach tak. Nie wspominała pani o tym. Wobec tego musi pani wrócić za kilka dni, jak go przywiozą.

– Kiedy on już tu jest.

– Gdzie?

Przecież nie może być w chłodni. Eusebio dobrze wie, jakie ciała są tam aktualnie przechowywane. Czy ona chce powiedzieć, że jej mąż jest tu w sensie duchowym? Eusebio zastanawia się nad stanem jej umysłu z medycznego punktu widzenia. Odrobina demencji z przywidzeniami?

Maria Castro patrzy na patologa przytomnie i mówi rzeczowym tonem:

– Jest tutaj.

Pochyla się i odpina klamry walizy. Wieko odskakuje i z walizy wypada cała zawartość, niczym noworodek przychodzący na świat: martwe i boscie ciało Rafaela Castra.

Eusebio przygląda się ciału. Ciała spotykają swoją śmierć na różne sposoby, ale do niego przybywają zawsze tak samo: na wózku, należycie przygotowane, z dołączonym raportem klinicznym. Nie wypadają z waliz ubrane jak do kościoła. Jednak Eusebio wie, że wieśniacy mają swoje obyczaje. Ich sposoby obchodzenia się ze śmiercią dawno zanikły w miastach. Czasami w portugalskich wioskach chowali zmarłych w starych pniach drzew. W ciągu długiej kariery zdarzyło mu się kilkakrotnie badać takie ciała w celu ustalenia, czy zmarli z przyczyn naturalnych, a nie zostali zamordowani (we wszystkich przypadkach

odbył się należyty pochówek). Eusebio pracował też z ciałami wieśniaków, którym wbito szpilki pod paznokcie. Nie z okrucieństwa, ale po to, by sprawdzić, czy dana osoba naprawdę umarła. Teraz miał do czynienia z jeszcze jednym praktycznym wiejskim podejściem do śmierci: człowiek własnoręcznie wykonywał zadanie pracowników pogotowia. Przywleczenie walizy aż z Wysokich Gór Portugalii musiało być nie lada wysiłkiem dla tej starej kobiety.

– Od jak dawna nie żyje? – pyta Eusebio.

– Od trzech dni – odpowiada Maria.

To się mniej więcej zgadza. Panujący na dworze chłód dobrze zakonserwował ciało.

– Jak umarł? – pyta. – Chorował?

– Nic mi o tym nie mówił. Pił kawę w kuchni. Wyszłam. Kiedy wróciłam, leżał na podłodze. Nie mogłam go obudzić.

– Rozumiem. – Ostry zawał serca, wylew krwi do mózgu, coś w tym rodzaju, myśli Eusebio. – Co według pani miałbym z nim zrobić, senhora Castro?

– Proszę go otworzyć i powiedzieć mi, jak żył.

Znów ten sam błąd. Może wynikający z awersji do samego słowa. Chociaż, jeśli się temu przyjrzeć, senhora Castro wyraża się właściwie. Wyjaśniając, jak człowiek umarł, autopsja często rzuca światło na to, jak żył. A jednak to dziwne. Może to regionalizm zrodzony z przesądów.

– Chce pani, abym przeprowadził sekcję pani męża?

– Tak. Czy nie tym właśnie pan się zajmuje?

– Owszem. Ale autopsji nie zamawia się tak jak dania w restauracji.

– W czym problem?

– Należy przestrzegać określonych procedur.

– On nie żyje. Czego jeszcze trzeba?

W jej słowach coś jest. Niezależnie od protokołu ciało pozostanie takie samo. Odeślij ją razem z walizą, a Maria i Rafael Castro wrócą nazajutrz. Do tego czasu w zajezdzie w Bragançie odkryją z przykrością, że jednym z gości był zmarły. Przez noc, w ciepłym pokoju, zwłoki mogą się zacząć rozkładać, co nie tylko przysporzy mu kłopotu, ale też oburzy właścicieli zajazdu. O ile ta para w ogóle trafi do zajazdu. Od kiedy to wieśniaków stać na płatne noclegi? Najpewniej Maria Castro spędzi noc na dworcu kolejowym, na ławce, albo co gorsza, w parku na walizie. Stary Rafael Castro nic by sobie nie robił z zimna, podobnie zresztą jak jego wierna żona – ci wiekowi wieśniacy są równie zahartowani jak dawny nosorożec iberyjski. To on, Eusebio, miałby coś przeciwko temu.

Świstek papieru nie jest wart takiego zachodu. Już lepsze to świeże ciało niż zwłoki, którymi inaczej musiałby się zająć, kobiety zrzuconej z mostu.

Maria Castro wpatruje się w patologa, czekając na odpowiedź. Jej cierpliwość przeważa.

Eusebio jest, na swój sposób, człowiekiem praktycznym. Jak ona to ujęła? Wyszła za mąż pod hasłem: „Czemu nie?”. Cóż, czemu nie? Będzie miał co opowiadać José.

– Zgoda, przeprowadzę sekcję pani męża. Musi tu pani poczekać.

– Dlaczego?

– Autopsja nie jest publicznym spektaklem.

To oczywiście nieprawda. Autopsja była publicznym spektaklem w całej historii medycyny. Ale nie spektaklem dla przypadkowych gapiów. Raczej dla specjalistów. Jak inaczej lekarze mieliby poznawać tajniki tego zawodu?

– Nie jestem widzem. Przez sześćdziesiąt lat byłam jego żoną. Będę przy nim.

Ostatnie zdanie wypowiada tonem nieznośnym sprzeciwu. To słowa kobiety, której pozostało tak niewiele pragnień, że te, które jeszcze ma, jej wola wypełnia po brzegi.

Nie uchodzi kłócić się późną nocą, tym bardziej z wdową pogrążoną w żałobie. Po raz kolejny zmysł praktyczny Eusebia podsuwa mu rozwiązanie. Ustawi senhorę Castro obok krzesła. Po pierwszym cięciu, otwierającym klatkę piersiową, kobiecie zrobi się słabo. Wtedy Eusebio posadzi ją na krzesło, a gdy kobieta dojdzie do siebie, odprowadzi ją do gabinetu i tam zostawi do zakończenia pracy.

– Dobrze. Będzie tak, jak pani chce, senhora Castro. Uprzedzam jednak, że dla osób niewtajemniczonych autopsja nie jest miłym widokiem.

– Nieraz zarzytałam świnię i kury. Ciało to ciało.

Pomijając wir emocji, mówi do siebie Eusebio. Nie kochamy świń i kur. Nie pogrążamy się w żałobie po naszych świniach i kurach. Nawet nie pamiętamy naszych świń i kur. Ale niech sama zobaczy. Takie właśnie jest znaczenie słowa „autopsja”, z greckiego: zobaczyć na własne oczy. Maria Castro nie wytrzyma. Nawet najtwardsza stara wieśniaczka, gdy znajdzie się tak blisko śmierci, zechce się wycofać do życia. Była tylko nie upadła i nie zrobiła sobie krzywdy.

– Pomoże mi pani z ciałem? – pyta Eusebio.

Kilka minut później Rafael Miguel Santos Castro leży na plecach na jednym z dwóch stołów sekcyjnych wydziału patologii. Bez certolenia się Maria Castro pomaga mu rozebrać męża do naga. Przygląda zmarłemu włosy. Poprawia członek, kładąc go prosto na mosznie. Potem lustruje wzrokiem ciało męża, jakby patrzyła na warzywnik, zadowolona, że wszystko jest w należyтым porządku.

Eusebio czuje napięcie. W ten sposób patrzył na ciało jako student medycyny, zaintrygowany, zaintrygowany, chętny. Śmierć była bezosobowym sportem. Ale ten mężczyzna jest jej mężem. Eusebio żałuje, że zgodził się na obecność Marii Castro przy sekcji zwłok jej męża. Co mu strzeliło do głowy? To zmęczenie. Ze strony szpitala ani uczelni nie spotkają go nieprzyjemności. Nie ma reguł dotyczących tego, kto może uczestniczyć w sekcji. Patolog jest kapitanem swego statku. Ale to nie jest widok dla kochającej osoby, ta surowa nagość człowieka w pomieszczeniu z konieczności sterylnym i zimnym – a wszystko to, zanim jeszcze tknął pacjenta. Jak wtedy zareaguje żona?

Eusebio zakłada i wiąże fartuch. Chce zaproponować jeden Marii Castro, ale się rozmyśla. Fartuch zachęciłby ją do podejścia blisko.

Patolog patrzy na tacę z narzędziami. Są proste, lecz skuteczne: kilka ostrych skalpeli i noży, szczypce i kleszcze, zakrzywione nożyce z tępyimi czubkami, dłuto, młotek, dobra piła, waga do narządów, linijka z wyraźnie zaznaczonymi centymetrami i milimetrami do ich mierzenia, długi płaski nóż do ich rozcinania, gąbki, igła i nić do zaszywania ciała po sekcji. W nogach stołu wiadro na pomyje. Oczywiście najważniejszym narzędziem Eusebia jest mikroskop, pod którym bada materiał z biopsji, wycięte fragmenty oraz próbki płynów. Histologia to sedno jego pracy. Pod mikroskopem patologa życie i śmierć toczą na oświetlonej arenie swego rodzaju korridę komórek. Zadanie patologa polega na odszukaniu byka pośród komórkowych matadorów.

Powinien był zabrać ciało, wrócić po kilku minutach z próbkami i oznajmić, że pochodzą od jej męża. Przecież nic by nie wiedziała. Posługując się dwusoczewkowym mikroskopem José, wykonałby medyczne czary-mary. „No tak, wszystko jasne, senhora Castro. Tu widzi pani wzór. Klasyczny układ. Nie ma wątpliwości. Pani mąż zmarł na raka wątroby”. Albo, skoro tak skwapliwie unikała tego słowa, powiedziałaby, że jej mąż żył na raka wątroby. Potem by sobie poszła, zasmucona, ale usatysfakcjonowana; oszczędzono by jej widoku szlachtowanego męża.

Na to jest już jednak za późno. Maria Castro stoi obok stołu sekcyjnego, całkowicie ignorując krzesło, które jej przyniósł.

Może zdołałby ją skłonić, by usiadła w klitce senhory Melo. Co on i José poczęliby bez niestrudzonej senhory Melo? Jej pokój, niewiele szerszy niż stół pod maszyną do pisania, przylega do wspólnej ściany obu pomieszczeń sekcyjnych. Po obu stronach pokoiku, na wysokości głowy senhory Melo, znajdują się otwory z plecionką, wychodzące na pomieszczenia sekcyjne. Liczne dziurki w plecionce pozwalają senhorze Melo słyszeć, ale nie widzieć. W przeciwnym razie na widok ociekających narządów i wypatroszonych ciał krzyknęłaby i zemdłała, a jej zadanie nie polega na reagowaniu, lecz na notowaniu. Z nadzwyczajną szybkością pisze na maszynie, a jej ortografia łacińska jest bez zarzutu. Dzięki pomocy senhory Melo Eusebio i José mogą czynić spostrzeżenia i rozmawiać podczas sekcji, nie musząc odrywać się od pracy, by robić notatki. Jeden lekarz pracuje i dyktuje, drugi kończy zajmować się ciałem, robi przerwę, po czym przygotowuje kolejny przypadek. Zmieniając się, obaj patologowie sprawnie wykonują jedną autopsję po drugiej.

Czasami, po spowiedzi u ojca Cecilio, Eusebio odnosi wrażenie, że senhora Melo byłaby lepszą spowiedniczką. Jej wyjawiono znacznie więcej trudnych prawd niż ojcu Cecilio.

Zazwyczaj Eusebio naciąga do sekcji gumowe rękawice – stosunkowo nową i pożyteczną zdobycz technologiczną. Bardzo dba o rękawice, codziennie myje je wodą i mydłem, nawilża roztworem jodku rtęci. Teraz jednak waha się przed ich założeniem. Maria Castro może uznać rękawice za przejaw wstrętu wobec ciała męża. W tym przypadku lepiej pracować w starym stylu, gołymi rękami.

Na początek musi zmienić lep na muchy. W portugalskim klimacie muchy są stałym problemem. Świetnie żyją z roznoszenia zarazków. Eusebio regularnie zmienia żółte zwoje wiszące w pomieszczeniach sekcyjnych.

– Proszę mi wybaczyć – mówi do Marii Castro. – Higiena, porządek i rutyna są bardzo ważne. – Przeznaczone dla niej krzesło stawia pod zużytym lepem, wspina się, zdejmuje lep pełen martwych much i zastępuje go nowym, jasnym i lepkiem.

Maria Castro przygląda się w milczeniu.

Z wysokości krzesła Eusebio patrzy na stół sekcyjny. Ciało na takim stole zawsze wydaje się małe. Po pierwsze, stoły produkuje się w takich rozmiarach, by pomieściły nawet największe ciało. Po drugie, jest ono

nagie. Ale jest coś jeszcze. Część istoty zwana duszą – amerykański lekarz Duncan MacDougall ustalił doświadczalnie, że waży dwadzieścia jeden gramów – zajmuje zadziwiająco dużo przestrzeni, jak donośny głos. Wobec jej braku ciało zdaje się kurczyć. To znaczy zanim zacznie puchnąć w wyniku rozkładu.

Rafael Castro najwyraźniej jest wolny od opuchlizny, co przypuszczalnie wynika z chłodu, ale także z potrząsania ciałem, gdy było przewożone w walizie. Zabierając się do pracy, Eusebio jest przyzwyczajony do tego, że powitają go siostry Mortis. Najstarsza, Algor, chłodzi pacjenta do temperatury otoczenia; Livor, środkowa siostra, zgrabnie nakłada swoje ulubione kolory: żółtawą szarość w górnej połowie ciała pacjenta oraz ciemną czerwień w dolnej połowie, gdzie zebrała się krew; wreszcie Rigor, najmłodsza, powoduje takie zeszywnienie ciała, że kiedy na siłę zgina się kończyny, można połamać kości. Te trzy siostry to bardzo wesołe wieczne panny, osaczające niezliczone ciała.

Uszy Rafaela Castro mają kolor ciemnopurpurowy – to jedyny ślad *livor mortis*. Poza tym ma otwarte usta. Moment agonii jest ostatnim kołataniem ciała do wrót wieczności, zanim te się otworzą. Ciało napina się konwulsyjnie, oddech charczy w piersiach, i jest po wszystkim. Usta otwierają się może, by wypuścić dwadzieścia jeden gramów. A może to tylko rozluźnienie mięśni szczękowych. Tak czy inaczej, usta są zwykle zamknięte, ponieważ ciała dostarcza się Eusebiowi umyte i przygotowane, ze szczęką umocowaną bawełnianym sznurkiem zawiązanym na głowie, z dłońmi związanymi z przodu, z odbytem oraz, jeśli trzeba, z pochwą zatkanymi watą. Rozcięcie tych więzów i usunięcie knebli to pierwsze kroki prowadzące do otwarcia księgi ciała.

Zęby wydają się w dobrym stanie, co stanowi odejście od reguły typowego wieśniaka ze zdrowymi kośćmi, ale zepsutymi zębami.

Do palucha nie przyczepiono żadnego identyfikatora. Eusebio musi wierzyć na słowo, że zmarły to faktycznie Rafael Miguel Santos Castro z wioski Tuizelo. Nie wątpi jednak, że Maria Castro mówi prawdę.

Nie ma też raportu klinicznego. Taki raport jest jak obwoluta książki, informująca o tym, czego należy się spodziewać. Podobnie jednak jak obwoluta może odbiegać od faktycznej treści książki, raport kliniczny bywa nieścisty. Chociaż Eusebio nic nie wie o tym przypadku, i tak dowie się, co złamało Rafaela Castro, co zmusiło jego ciało do kapitulacji.

Schodzi z krzesła i patrzy na butelki na ściennej półce przy stole. Sięga po karbol. Skoro nie założy gumowych rękawic, smaruje dłonie

karbolem. Następnie znajduje mydło marsylskie i skrobie je, aż grudki grzęzną pod paznokciami. Dzięki tym środkom zapobiegawczym, energicznemu myciu rąk i stosowaniu olejków zapachowych może wieczorem dotykać żony, nie ryzykując, że Maria wzdrygnie się i odepchnie go od siebie.

Eusebio zaczyna od słów. Za ich pomocą znieczuli Marię Castro i przygotuje ją na to, co zamierza zrobić.

– Senhora Castro, wyjaśnię teraz, co się wydarzy. Dokonam sekcji zwłok pani męża. Jej celem będzie odkrycie anomalii fizjologicznej, choroby lub obrażenia, która doprowadziła do śmierci. W pewnych przypadkach, gdy raport kliniczny nie budzi wątpliwości, taką przyczynę ustala się dość łatwo, dzięki zbadaniu tylko jednego narządu, na przykład serca czy wątroby. W zdrowym ciele tysiąc elementów zachowuje równowagę, ale wystarczy poważne zachwianie jednej części, by kroczące po linie życie runęło. W innych przypadkach, jak teraz, gdy nie dysponujemy informacjami klinicznymi, martwe ciało stanowi, cóż, zagadkę kryminalną. Oczywiście to tylko takie wyrażenie. Nie chcę powiedzieć, że mamy do czynienia z morderstwem. Chcę powiedzieć, że ciało staje się domem zamieszkanym przez cały szereg postaci, z których każda zaprzecza, by miała jakikolwiek związek ze śmiercią, jednak w kilku pomieszczeniach znajdziemy wskazówki. Patolog jest detektywem, który bacznie uważa i posługuje się szarymi komórkami, by wprowadzić ład i logikę, aż będzie można zerwać maskę jednemu z narządów i ponad wszelką wątpliwość dowieść jego winy.

Eusebio uśmiecha się do siebie. Marii, jego Marii, podobałaby się analogia do zagadki kryminalnej. Maria Castro tylko patrzy na niego spokojnie. Eusebio ciągnie więc:

– Od czego zaczniemy? Od powierzchni. Przed dokonaniem cięcia ciało poddaje się oględzinom. Czy wydaje się, że było należycie odżywiane? Czy jest szczupłe, wychudzone, czy też, przeciwnie, otyłe? Czy pierś ma kształt beczkowaty, co wskazywałoby na bronchit i rozedmę, czy widzimy kurzą pierś, oznakę krzywicy na wczesnym etapie życia? Czy skóra jest nienaturalnie blada, czy, przeciwnie, są na niej przebarwienia lub ślady żółtaczkę? Wypryski skórne, blizny, ubytki, świeże rany – na to wszystko należy zwrócić uwagę, zarówno pod względem rozmiarów, jak i stopnia nateżenia. Otwory cielesne, usta, nos, uszy, odbył, trzeba sprawdzić pod kątem wysięków lub anomalii, podobnie jak genitalia zewnętrzne. Na koniec zęby. W przypadku pani męża wszystko wydaje się w porządku. Patrzę tu i tu. Tutaj. Tutaj.

Wygląda na normalnego, zdrowego mężczyznę, dlatego przyczyna śmierci musi mieć charakter wewnętrzny. Tutaj widzę starą bliznę.

– Poślizgnął się na skale – wyjaśnia Maria Castro.

– To bez znaczenia. Po prostu zwracam na to uwagę. Takie oględziny są zazwyczaj pobieżne, ponieważ mało wzbogacają mój stan wiedzy. Choroba najczęściej rozwija się od wewnątrz do zewnątrz. Na przykład najpierw zawodzi wątroba, dopiero później żółknie skóra. Istnieją, rzecz jasna, wyjątki: nowotwory skóry, zmiany oraz wypadki. Śmierć w wyniku zbrodni często zaczyna się na zewnątrz, ale to nie nasz przypadek. Skóra pani męża nie ma nam wiele do powiedzenia. Teraz musimy, cóż, musimy wejść w ciało, zbadać je od środka. Można bezpiecznie uznać, że nie ma sensu zaczynać sekcji od kończyny, na przykład od stopy pacjenta. W patologii odpowiednikami króla i hetmana w szachach są klatka piersiowa i głowa. Obie odgrywają istotną rolę w grze, by tak rzec, można więc zacząć autopsję od jednej lub drugiej. Standardowy gambit patologa polega na otwarciu klatki piersiowej.

Eusebio przeklina się w myślach. Czemu mówi o szachach? Dość tej paplaniny!

– Zacznę od wykonania tym skalpelem nacięcia w kształcie litery Y na piersi pani męża. Dwa nacięcia od ramion spotkają się w okolicy splotu słonecznego, potem rozetną brzuch do wzgórka łonowego. Widzi pani, że tłuszcz podskórny jest bardzo żółty, natomiast mięśnie przypominają surową wołowinę, są intensywnie czerwone. To normalne. Już na tym etapie szukam wskazówek. Na przykład wygląd mięśni mógłby sugerować wyniszczającą lub toksyczną chorobę, taką jak tyfus... W następnej kolejności odsłania się mostek oraz przednią część żeber. Do przecięcia żeber użyję tych oto zakrzywionych nożyc. – Jego żona używa takich samych do prac ogrodowych i bardzo je sobie chwali. – Robię to ostrożnie, by nie naruszyć narządów pod spodem. Teraz odsłaniamy barwną masę wnętrza. Sprawdzę ich położenie względem siebie. Narządy są rodzeństwem zatrudnionym w tym samym interesie rodzinnym. Czy jakaś widoczna anomalia doprowadziła do chaosu w rodzinie? Opuchlizna? Nietypowe zabarwienie? W normalnym stanie powierzchnia wnętrza powinna być gładka i lśniąca... Po tym wstępnym przeglądzie muszę kolejno przyjrzeć się narządom. Ponieważ nie znamy przyczyny śmierci pani męża, skłaniam się do wyjęcia całej zawartości jamy brzusznej i zbadania jej łącznie. Dopiero potem rozdzielę elementy i zbadam je

osobno. W przypadku każdego narządu będę zadawał podobne pytania. Jak wygląda? Czy jest skurczony, czy też, przeciwnie, opuchnięty? Teraz powierzchnia: czy występuje wysięk, czy coś wypłynęło? Czy wysięk zasycha, czy jest gęsty, czy trudno się go usuwa? Czy widać perłowobiałe obszary, wskazujące na chroniczny stan zapalny? Czy widać blizny, zmarszczki, oznakę zwłóknienia? I tak dalej. Później przyjdzie kolej na badanie poszczególnych narządów. Każdy rozetnę tym nożem, aby ustalić, w jakim jest stanie. Serce jest obszarem wielu potencjalnych patologii, dlatego zbadam je wyjątkowo starannie.

Eusebio przerywa. Maria Castro milczy. Może jest oszołomiona. Czas skracać i zmierzać do podsumowania.

– Następnie przyjdzie kolej na jelito grube i cienkie, żołądek, dwunastnicę, trzustkę, śledzionę, nerki, niczego nie chcę pominąć. – Przesuwa dłonią po tułowi zmarłego. – Załatwiliśmy sprawę króla. Teraz możemy przejść do hetmana, czyli do głowy. Aby zbadać mózg i pień mózgu pani męża będę musiał rozciąć skórę na głowie i przepiłować czaszkę, ale to szczegóły. Na koniec zechcę może zbadać obwodowy układ nerwowy, kości, stawy, naczynia, o ile uznam, że to potrzebne. W trakcie całej sekcji będę wycinał próbki, czyli drobne fragmenty narządów, umieszczał je w formalinie, zanurzał w parafinie, a potem je zabarwię i zbadam pod mikroskopem. Tę pracę laboratoryjną wykonam później... Na tym zakończy się główna część pracy z ciałem pani męża, senhora Castro. Narządy włożę z powrotem do ciała, wszelkie ubytki wypełnię gazetą. Umieszczę w środku mostek i zaszyję skórę, to samo zrobię z górną częścią czaszki. Gotowe. Pani mąż, po ubraniu go, będzie wyglądał tak, jakby nic mu się nie przydarzyło. Nikt poza tym pomieszczeniem niczego się nie dowie, ale nauka będzie wiedziała. Ponad wszelką wątpliwość będziemy wiedzieli, jak umarł pani mąż, albo, jak to pani ujęła, jak żył. Czy ma pani pytania?

Stara kobieta wzdycha i kręci głową. Czyżby przewróciła oczami?

No dobrze. Eusebio niechętnie podnosi skalpel.

– To jest skalpel – mówi.

Ostrze zawisa nad piersią Rafaela Castro. Myśli Eusebia wirują. Nie ma wyjścia, będzie musiał otworzyć tułów. Postanowił, że szybko zajmie się sercem. „Och, wszystko jasne. Tutaj mamy odpowiedź. Nie musimy dalej szukać”.

– Cóż, zaczynamy...

– Niech pan zacznie od stopy – mówi Maria Castro.

Eusebio podnosi wzrok. Co ona powiedziała? Usłyszał *pé* czy *fé* – stopa czy wiara? Co to miałyby znaczyć: „Niech pan zacznie od wiary”? Chętnie usłucha, choć nigdy nie robił tego w pomieszczeniu sekcyjnym. Ciało Chrystusa jest wszędzie. Tutaj leży coś prostszego, ciało człowieka.

– Przepraszam, co pani powiedziała? – pyta.

– Niech pan zacznie od stopy – powtarza Maria Castro.

Tym razem kobieta pokazuje. Eusebio patrzy na poźółkłe stopy Rafaela Castro. Od zawału serca, który próbuje zdiagnozować, znajdują się tak daleko, jak to fizjologicznie możliwe.

– Ależ senhora Castro, właśnie pani tłumaczyłem, i to właśnie na tym przykładzie, że nie ma sensu zaczynać autopsji od stopy pacjenta. Stopy są organami peryferyjnymi, zarówno w sensie dosłownym, jak i patologicznym. Co do stóp pani męża, nie widzę złamań ani innych uszkodzeń, nie, zupełnie nic, nie ma śladów guza skórniego ani innych chorób, żadnych nagniotków, wrosniętych paznokci, nic. Jest tu nieznaczna odma, czyli opuchlizna, ale to normalne u kogoś, kto nie żyje od trzech dni. Wokół pięty jest też ślad *livor mortis*, czyli plam pośmiertnych, ale to również normalne.

– Niech pan zacznie od stopy – mówi po raz trzeci Maria Castro.

Eusebio milczy. Co za katastrofalna noc. Należało zostać w domu. Nie dość, że nie popracuje, to na dodatek ma w pomieszczeniu sekcyjnym wiejską wariatkę. Patologię wybrał dokładnie po to, by unikać podobnych sytuacji. Potrafi sobie radzić z zatykaniem się i upłynnianiem ciał, ale nie z zatykaniem się i upłynnianiem emocji. Co ma zrobić? Powiedzieć, że jeśli tak bardzo jej na tym zależy, może sobie kroić stopę męża na swoim kuchennym stole? To by oznaczało pakowanie zwłok na powrót do walizy, tym razem nagich. Poza tym czy ta stara sekutnica odeszłaby bez sprzeciwu? Eusebio wątpi.

W końcu kapituluje. Maria Castro postawiła na swoim. Eusebio czuje się jak sprzedawca z bazaru. „Autopsja, autopsja, komu autopsję? Proszę się nie wahać, podchodzimy bliżej! Dzisiaj promocja: zapłać za jedną gałkę oczną, drugą dostaniesz za darmo. Pan, senhor, może jądro, na początek tylko jedno? Dalej, zróbcie sobie autopsję!”. Czemu nie zacząć od stóp. Skoro wdowa chce, żeby zacząć autopsję właśnie tam, niech jej będzie. Nasz klient, nasz pan. Wzdychając, Eusebio podchodzi ze skalpelem w dłoni do dystalnej części kończyny dolnej. Maria Castro staje przy nim.

– Mówi pani: jego stopa?

– Tak.

– Czy ma dla pani znaczenie, od której zacznę?

Kobieta kręci głową. Eusebio stoi bliżej prawej stopy Rafaela Castro. Teraz na nią patrzy. Przypomina sobie mgliście, że w czasach studenckich przeprowadzał sekcję stopy, ale potem, w swojej praktyce patologa, jeśli nie liczyć płytkich nacięć, nigdy tego nie robił. Ile kości jest w stopie? Dwadzieścia sześć, do tego trzydzieści trzy stawy? Wszystko połączone i kierowane całym zestawem mięśni, więzadeł i nerwów. Bardzo wydajny układ, służący zarówno do podtrzymywania, jak i przemieszczania się.

Gdzie powinien naciąć? Lepiej na podeszwie stopy niż na grzbiecie, myśli. Na podeszwie jest mniej kości. Chwyta za kłęb palucha i pcha. Stopa zgina się, stawiając nieznaczny opór. Eusebio bada podeszwę. Pokryta odciskami skóra się rozdzieli, ukazuje się warstwa podskórnego tłuszczu, może wyleje się nieco zgęstniałej krwi – ot, zwykła stopa z nacięciem. Nie przyniesie wstydu ciała, wstyd może poczuć jedynie patolog.

Eusebio przyciska ostrze skalpela do przedniej części kości śródstopia. Pozwala, by skalpel wszedł głęboko – nieważne, co przetnie – i przesuwają go w dół, ku pięcie. Skalpel bez trudu przecina kłęb palucha aż do łuku, wzdłuż więzadła piętowo-strzałkowego. Eusebio wyciąga skalpel, po czym wbija go w miękką piętę.

Z nacięcia wycieka gęsta substancja i kapie na stół sekcyjny. Biaława, z grudkami, lśniąca, z nieznacznie żółtawym odcieniem. Ma ostry zapach.

– Tak przypuszczałam – mówi Maria Castro.

Eusebio patrzy zdumiony. „Co to jest, na Boga?”. Chociaż nie wypowiedział pytania na głos, Maria Castro odpowiada:

– To wymiociny.

Patolog uważnie bada ciekłą substancję. Wącha. Kleista konsystencja, woń żółci, tak, to istotnie świeże wymiociny. Ale jak to możliwe? Przecież to jest stopa. Eusebio widywał już wszystkie formy martwicy i gangreny, ale czegoś takiego nie widział nigdy.

– Gdzie miałyby spłynąć? – mówi kobieta. – Grawitacja robi swoje. – Eusebio patrzy na nią pytająco. – Widzi pan, dziecko umarło. – Po chwili milczenia Maria Castro zamienia zalegającą w niej ciszę w słowa. – Opowiem panu, jak przebiega pogrzeb w Tuizelo. Na początek musi istnieć powód. Ktoś musi stracić życie. Jeśli chce pan zobaczyć dobry pogrzeb, to musi być cenne życie, nie jakiś tam wujek czy znajomy znajomego. Na przykład pana syn. Teraz można zacząć pogrzeb, od

pioruna, który uderza prosto w serce i rozrywa w środku na strzępy. Głuchy, niemy, otepiały, może pan teraz skupić się na szczegółach. Otrzymuje pan starą, wyświechtaną ceremonię. Bierze pan w niej udział, bo nie ma pan lepszego pomysłu. Jest karawan – po prostu czyjś wóz przystrojony na tę okazję – sztywna, nierealna uroczystość w kościele, następnie pochówek na cmentarzu w szary dzień, wszyscy w najlepszych niedzielnych ubraniach, w których wyglądają niezręcznie, wszystko nie do zniesienia. Potem pogrzeb się kończy. Ludzie zostają przez pewien czas, ale stopniowo odchodzą. Dostaje pan określony czas, po którym ma pan wrócić do świata, do dawnego życia. Ale czemu ktokolwiek miałby to robić? Po pogrzebie, dobrym pogrzebie, wszystko traci wartość i nie ma już dawnego życia, do którego człowiek mógłby wrócić. Nic nie zostaje. Nie ma pan nawet słów, nie od razu. Na początku śmierć pożera słowa. Określające ją słowa przychodzą później, bo jak inaczej może pan myśleć o swoim synu, skoro już nie ma go z panem?... Na pogrzebie Rafael powiedział tylko jedną rzecz. „Rozmiary tej trumny, jej rozmiary!”, zawołał. To prawda, nie była zbyt duża... W dniu, kiedy Rafael wrócił do Tuizelo, nic mi nie musiał mówić. Zresztą nie był w stanie. Udręka sparaliżowała mu twarz i odebrała mowę. Wystarczyło, że na niego spojrzałam. Od razu pojęłam, że nasz skarb nie żyje. Zebrani przed naszym domem ludzie kołysali się w milczeniu. Rafael położył go na stole w jadalni. Zemdlałam. Żałuję, że nie zemdlałam na zawsze, że nie poszłam za nim szybko, żeby go ochraniać, jak na matkę przystało. Zamiast tego odzyskałam przytomność, otoczona przez okropne stare wdowy. Rafael trzymał się na uboczu. Niedaleko, ale na uboczu. Zżerało go poczucie winy. Nasz syn umarł, kiedy Rafael go pilnował. Tego dnia to on był pasterzem. Pozwolił stadu zabłądzić... Kochaliśmy syna tak, jak morze kocha wyspę, nieustannie otaczając go ramionami, stale go dotykając, uderzając o jego brzegi falami naszej troski i opieki. Kiedy odszedł, morze mogło już kontemplować tylko siebie. Nasze ramiona obejmowały pustkę. Nieustannie płakaliśmy. Jeśli na koniec dnia nie była wykonana praca, nienaprawiony kurnik, niewypielony warzywnik – wiedzieliśmy, że jedno z nas siedziało i płakało. Taka już jest natura żalu: to stworzenie o wielu rękach, ale niewielu nogach, kuśtyka z trudem, szuka oparcia. Poszarpana siatka na kury i gęste chwasty stały się wyrazem naszej straty. Ilekroć dziś widzę siatkę na kury, myślę o utraconym synu. W jej pleciance, zarazem cienkiej i mocnej, z otworami, ale solidnej, jest coś, co przypomina mi o tym, jak go kochałam. Później, z powodu naszego

zaniedbania, kurczaki zjadł lis, który zakradł się do kurnika, a warzywa słabo obrodziły. Ale tak już jest: syn umiera i ziemia staje się jałowa... Kiedy chorował albo nie mógł zasnąć, wpełzał do naszego łóżka i kładł się między nami. Po jego odejściu przestrzeń w naszym łóżku stała się nieprzekraczalna. Rafael i ja spotykaliśmy się tylko pod nią, gdzie w nocy palce naszych stóp dźgały się jak noże przewalające się luzem w szufladzie, albo nad nią, gdzie wpatrywaliśmy się w siebie bez słowa. Rafael nigdy nie chciał zamknąć tej przestrzeni, ponieważ w ten sposób uznałby fakt, że nasz niedźwiadek nigdy nie wróci. Czasem w nocy widziałam, jak Rafael wyciąga rękę i gładzi pustkę. Potem dłoń cofała się, jak kończyzna żółwia do skorupy, a rano budził się ze zmęczonymi, pomarszczonymi oczami żółwia, który za długo żyje. Powoli mrugał, podobnie jak ja... Żal jest chorobą. Pokryły nas jego dzioby, nękała nas jego gorączka, złamały nas jego ciosy. Zzerał nas jak larwy, rzucał się na nas jak wszy; drapaliśmy się, bliscy szaleństwa. Z czasem uschliśmy jak świerszcze, zmęczyliśmy się jak stare psy. W naszym życiu już nic nie pasowało. Szuflady przestały się domykać, krzesła i stoły się chybotwały, talerze się wyszczerbiły, na łyżkach widniały jakby ślady zaschniętego jedzenia, ubrania zaczęły się plamić i drzeć, a świat zewnętrzny tak samo nie pasował. Śmierć naszego syna nie miała znaczenia dla świata. Czy tak jest ze wszystkimi dziećmi? Kiedy umiera dziecko, nie ma komu przekazać ziemi, nie ma dóbr do podziału, ról i stanowisk do obsadzenia, długów do spłacenia. Dziecko jest małym słońcem, które świeci w cieniu rodziców. Gdy słońce gaśnie, rodzicom zostaje tylko ciemność. Jaki jest sens bycia matką, jeśli nie ma się komu matkować? To jak być kwiatem bez płatków. Pewnego dnia nasz syn umarł i stałam się pustą łodygą. Jeśli kiedykolwiek miałam żal do Rafaela, to o to, że opóźnił powrót do domu o jeden dzień. Ociągał się. A matka ma prawo od razu wiedzieć, że jej dziecko umarło. Dopuścić, żeby wyobrażała sobie, że jej syn żyje, podczas gdy jego już nie ma, to zbrodnia przeciwko macierzyństwu. W głowie zakorzenia się myśl: jak teraz mam cokolwiek kochać? Jeśli zapomnisz o nim choćby na chwilę, przychodzi cios. Czasem Rafael wołał: „Mój piękny chłopiec!” i padał na ziemię. Zazwyczaj jednak trwał w milczącym, zasklepionym szaleństwie. Tak to już jest. Rafael zaczął chodzić tyłem. Początkowo, gdy widziałam, jak chodzi w ten sposób drogą albo po polach, nic sobie z tego nie robiłam. Uznawałam, że chodzi tyłem tylko chwilowo, żeby się czemuś przyjrzeć. Pewnego ranka zrobił to, gdy szliśmy do kościoła. Nikt nie powiedział ani słowa. Dali mu spokój. W nocy zapytałam, czemu chodzi tyłem. Rafael odparł, że

w dniu, kiedy wrócił do Tuizelo, zobaczył nieznanego opuszczającego wioskę. Rafael siedział na wozie, trzymając w ramionach naszego niedźwiadka owiniętego w prześcieradło. Nieznajomy szedł szybko, prawie biegł, ale tyłem. Rafael powiedział, że miał straszliwie smutną, udreńczoną twarz. Całkiem o nim zapomniał do czasu, gdy zapragnął robić to samo; powiedział, że pasuje to do jego stanu uczuć. Tak więc zaczął to robić, gdy wychodził z domu w świat. Często odwracał się i zaczynał iść tyłem.

Maria Castro milknie na chwilę, po czym ciągnie:

– Wiedziałam, kim był ten nieznanomy. Zatrzymał się we wsi, aby zwiedzić kościół. Ojciec Abrahan rozmawiał z nim, potem obcy uciekł. Zostawił pewną maszynę, automobil, pierwszy, jaki widziałam. Droga powrotna musiała być dla tego mężczyzny bardzo męcząca. Automobil stał na rynku całymi tygodniami, nie wiedzieliśmy, co z nim zrobić. Pewnego dnia inny człowiek – wysoki i chudy – wszedł do wioski i odjechał automobilem bez słowa wyjaśnienia. Ludzie w nieskończoność rozprawiali o tej maszynie i jej kierowcy. Czy to był zwykły gość, czy może anioł zagłady? Kimkolwiek był, nic mnie to nie obchodziło. Zaczęłam wspominać. Wcześniej pamięć na niewiele się nam zdawała. Po co go wspominać, skoro masz go przed oczami? Pamięć była tylko przelotną rozrywką. Potem stała się wszystkim, co człowiek miał. Najlepiej jak potrafisz, próbujesz żyć wspomnieniami o nim. Usiłujesz przeobrazić wspomnienia w rzeczywistość. Pociągasz za sznurki marionetki i mówisz: „Widzisz, on żyje!”... Po jego śmierci to Rafael zaczął go nazywać niedźwiadkiem. Mówił, że on zapadł w sen zimowy. „W końcu poruszy się i obudzi, a wtedy będzie głodny jak wilk”, mówił z uśmiechem, łącząc fakt – apetyt naszego syna po drzemce – z fantazją, że wróci. Włączyłam się do tej gry: i mnie przynosiła pociechę. Nasz syn był uroczy. Wszyscy to mówili. Nieplanowany, niespodziewany – sądziłam, że moje płodne lata dawno minęły – nagle się pojawił. Mąż i ja patrzyliśmy na siebie i pytaliśmy: „Co to za dziecko? Skąd się wzięło? Oboje mamy ciemne włosy i ciemne oczy, czy nie tak wyglądają wszyscy w Portugalii? Jednak syn miał włosy koloru pszenicy i niezwykle jasnoniebieskie oczy. Skąd takie oczy znalazły się w jego głowie? Czy w dniu jego poczęcia kawałek Atlantyku zaplątał się w Tuizelo i wziął udział w jego tworzeniu? Moim zdaniem zapasy naszego drzewa genealogicznego były tak rzadko wykorzystywane, że kiedy w końcu po nie sięgano, wybierano tylko najlepsze składniki. Nasz syn wynalazł śmiech. Jego radość była

nieskończona, a dobra wola nie miała granic. Cała wioska go kochała. Wszyscy zabiegali o jego uwagę i uczucia, zarówno dorośli, jak i inne dzieci. W te niebieskie oczy wlewano tyle miłości. Nasz syn przyjmował ją i oddawał, szczęśliwy i hojny jak chmura... Rafael pojechał pomóc znajomemu pod Cova da Lua. Tygodniowa robota, małe pieniądze. Naszego pięcioletniego synka zabrał ze sobą, dla rozrywki małego. Poza tym mógł pomóc. To się stało, kiedy Rafael ostrzył kosy oselką. Nagle znieruchomiał i zaczął nasłuchiwać. Było zbyt cicho. Szukał syna, zataczając coraz większe kręgi. W końcu wyszedł na drogę, wołając go po imieniu. Tam go znalazł. Co z drugą stopą?

Pytanie padło nieoczekiwanie. Eusebio patrzy na lewą stopę zmarłego. Nacina piętę. Ponownie wylewają się wymiociny.

– A wyżej? – pyta Maria Castro.

Eusebio już się nie waha. Skalpelem nacina prawą nogę do połowy, wzdłuż kości piszczelowej; potem lewe kolano, między rzepką a kłykciem przyśrodkowym kości udowej; wreszcie przecina udo, po jednym nacięciu na każdą głowę mięśnia czworogłowego. Każde nacięcie ma od pięciu do sześciu centymetrów długości, za każdym razem wyciekają wymiociny, choć Eusebio zauważa, że z ud mniej intensywnie. Teraz robi długie nacięcie panewki stawu biodrowego, tuż nad wżgórką łonową. Odciąga skórę, ukazując kolejną partię wymiocin. U góry skalpel natrafia na coś twardego, ale luźnego. Eusebio dłubie ostrzem. Coś pobłyskuje. Skalpelem odwraca przedmiot. To moneta – srebrne pięć escudo. Na wymiocinach leżą kolejne monety, escudo, centavo. Skromny majątek wieśniaka.

Przerywa pracę. Zastanawia się, czy powinien zostawić monety w ciele, czy je wyjąć.

– Członek – mówi Maria Castro, przerywając jego rozmyślenia.

Eusebio ujmuje spory członek Rafaela Castro. Na pierwszy rzut oka trzon oraz żołądź są zupełnie normalne. Ani śladu choroby Peyroniego, kłykcin kończystych, grudkowatości bowenoidalnej. Postanawia przeciąć ciała jamiste w jednej z dwóch gąbczastych podłużnych komór, które, wypełnione krwią, dostarczały małżonkom takiej przyjemności. Przecina członek wzdłuż, od napletka przez żołądź. Skalpel ponownie natrafia na coś twardego, choć nic takiego nie powinno się tam znajdować. Odkłada ostrze. Przytrzymując nacięcie kciukami, rozchyła połówki członka i bez trudu wydobywa twarde przedmiot. Składa się z dwóch części: drewnianych, gładkich, okrągłych, z otworami.

– Och! – mówi Maria Castro. – Jego słodki flet.

Dwie pozostałe części fletu leżą w drugiej komorze ciał jamistych. Eusebio, człowiek porządny i metodyczny, składa instrument. Podaje go kobiecie, która przytyka flet do ust i wydobywa z niego trzynutowy tryl.

– Tak ślicznie na nim grał – mówi. – Zupełnie jakbyśmy mieli w domu kanarka.

Kładzie flet na stole sekcyjnym obok ciała.

Rzucając czasem słowo, czasem potrząsając głową, z doskonałą znajomością anatomii Rafaela Castro kobieta kieruje skalpelem Eusebia. To najłatwiejsza sekcja, jaką wykonywał; wystarczy jeden skalpel, nawet do głowy. Maria Castro unika tułowia i brzucha; bardziej interesuje ją to, co kryją kończyny górne, szyja oraz głowa.

W lewym palcu serdecznym i prawym środkowym Eusebio znajduje puch; natomiast w palcach wskazujących obu dłoni natrafia na krew, świeżą czerwoną krew, jedyny jej ślad w całym ciele. We wszystkich pozostałych palcach jest błoto. Prawa dłoń trzyma muszlę ostrygi, w lewej są kartki małego ściennego kalendarza. W rękach kryje się całe bogactwo. Eusebio wydobywa z nich młotek, szczypce, długi nóż, jabłko, grudę błota, pęk kłosów pszenicy, trzy jajka, solonego dorsza, nóż i widelec. Głowa Rafaela okazuje się jeszcze przestronniejsza. Patolog znajduje w niej kwadratowy kawałek czerwonego materiału, małego drewnianego konika domowej roboty z obracającymi się kółkami, lusterko kieszonkowe, znowu puch; mały drewniany przedmiot o barwie ochry, którego Maria Castro nie potrafi zidentyfikować; świeczkę, kosmyk długich ciemnych włosów oraz trzy karty do gry. W każdym oku jest kostka do gry, a w miejscu siatkówki uschnięty płatek. W szyi odkrywa trzy kurze łapki oraz coś, co przypomina rozpalkę: suche liście i gałązki. Język jest wypełniony popiołem; tylko w jego czubku Eusebio znajduje miód.

W końcu przychodzi kolej na tułów i jamę brzuszną. Stara kobieta kiwa głową, ale tym razem wyraźnie drży. Eusebio kończy autopsję nacięciem, od którego zamierzał zacząć: w kształcie litery Y, od ramion do mostka i w dół brzucha. Najdelikatniej jak umie, rozdziela skórę, ledwo nacinając podskórny tłuszcz. Ponieważ już wcześniej wykonał cięcie wzdłuż panewki stawu biodrowego, jama klatki piersiowej i brzuszna swobodnie się odsłaniają.

Eusebio słyszy zduszony okrzyk kobiety.

Choć nie jest w tej dziedzinie ekspertem, nie budzi jego wątpliwości, że to szympan, afrykański ssak naczelny. Nieco więcej czasu zajmuje

mu zidentyfikowanie drugiego, mniejszego stworzenia, jest bowiem częściowo ukryte.

W klatce piersiowej i jamie brzusznej Rafaela Castro leży w całkowitym spokoju szympan, który opiekuńczo obejmuje małego brunatnego niedźwiadka.

Maria Castro pochyla się i wtula twarz w niedźwiadka. Czy zatem tak właśnie żył jej mąż? Eusebio przygląda się bez słowa. Widzi jasną, czystą twarz szympana i jego gęstą, lśniąca sierść. Młody, wnioskuje.

– Serce ma dwa wyjścia: zamknąć się lub otworzyć – odzywa się cicho Maria Castro. – Opowiadając panu moją historię, nie do końca mówiłam prawdę. To ja protestowałam w związku z rozmiarami trumny. To ja krzyknęłam: „Mój piękny chłopiec!” i zemdlałam. To ja nie chciałam zamknąć przestrzeni w naszym łóżku. Niech pan odetnie dla mnie trochę sierści tego czarnego stworzenia, dobrze? I proszę przynieść walizę.

Eusebio spełnia polecenie. Skalpelem odcina kosmyk sierści z boku szympana. Kobieta pociera sierść w palcach, wacha ją, po czym przyciska do ust.

– Rafael zawsze miał więcej wiary niż ja – mówi. – Często powtarzał słowa ojca Abrahama o tym, że wiara zawsze jest młoda, wiara, w odróżnieniu od nas, się nie starzeje.

Eusebio przynosi z gabinetu walizę. Maria Castro otwiera ją, kładzie na stole sekcyjnym i kolejno wkłada do niej przedmioty z ciała męża.

Następnie zaczyna się rozbierać.

Szokująca nagość starej kobiety. Zwisające ciało, skóra nadgryziona zębem czasu, zachwiane przez wiek proporcje – a mimo to widać połysk przeżytego życia, jak pismo na pergaminie. Eusebio oglądał już wiele takich kobiet, ale martwych, bez osobowości, tym bardziej abstrakcyjnych, że rozplątanych. Narządy wewnętrzne, o ile nie są nietknięte patologią, nie mają wieku.

Maria Castro jest całkiem naga. Zdejmuje obrączkę, ściąga opaskę z włosów. Wszystko chowa do walizy i na koniec ją zamyka.

Korzysta z krzesła, które dla niej przyniósł, by wejść na stół sekcyjny. Nachylając się nad ciałem Rafaela Castro, szturchając tu i tam, pchając i wiercąc się, robiąc miejsce tam, gdzie na pozór go nie ma – przecież leżą w nim już dwa stworzenia – Maria Castro ostrożnie mości się w ciele męża.

– To jest dom, to jest dom, to jest dom – powtarza nieustannie. Kładzie się tak, że grzbiet szympana przylega do jej brzucha;

ramionami otacza szympana i niedźwiadka, opierając dłonie na tym drugim. – Proszę – mówi.

Patolog wie, co robić; ma wprawę. Bierze igłę. Nawleka nić. Zaczyna zaszywać ciało. To łatwa praca, ponieważ skóra jest miękka; wystarczy prowadzić nić zygzakiem, choć tym razem robi ciaśniejszy szew niż zwykle. Szyje na wskroś miednicy Rafaela Castro, potem zamyka skórę na brzuchu, piersi, ramionach. Uważa, by nie ukłuć igłą Marii Castro ani dwóch zwierząt. Gdy kończy zszywanie torsu, słyszy jej cichy głos:

– Dziękuję, panie doktorze.

Jeszcze nigdy nie pracował z ciałem, które miałyby tyle nacięć. Etyka zawodowa nakazuje mu zaszyć każde: na głowie, ramionach, szyi, na nogach i stopach, na członku i języku. Palce to mozolna robota. Końcowy efekt pracy z oczami nie jest zadowalający; Eusebio spędza sporo czasu na zamknięciu powiek, by zasłoniły marny rezultat jego wysiłków. Na koniec zszywa podeszwy stóp.

Wreszcie na stole sekcyjnym leży tylko jedno ciało, na podłodze zaś stoi waliza pełna przypadkowych przedmiotów.

Eusebio długo wpatruje się w walizę otępiłym wzrokiem. Odwracając się, widzi coś na stole: kosmyk szympaniej sierści, zapomniany przez Marię Castro – czy zostawiony celowo? Bierze sierść i robi to samo co ona: wacha i przykłada do ust.

Jest wykończony. Z sierścią w jednej ręce i walizą w drugiej wraca do gabinetu. Walizę kładzie na biurku i ciężko siada na krześle. Potem otwiera ją i przegląda zawartość. Wysuwa szufladę, znajduje kopertę, chowa do niej sierść i wrzuca kopertę do walizy. Na podłodze dostrzega powieść Agathy Christie. Podnosi książkę.

Senhora Melo przychodzi do pracy wcześniej, zgodnie ze swoim zwyczajem. Widok doktora Lozory leżącego z głową na biurku bardzo ją dziwi. Czyżby umarł? Martwy patolog – uznaje tę myśl za zawodowo niestosowną. Podchodzi bliżej. Doktor tylko śpi. Słyszy jego oddech, widzi łagodne wznoszenie się i opadanie ramion. Kolor twarzy w porządku. Ślina mu pociekła na biurko. Asystentka nikomu nie powie o tym żenującym szczególe: lśniaca strużka z ust utworzyła małą kałużę. Nie wspomni też o butelce po czerwonym winie. Podnosi ją cicho i chowa za biurkiem. Na biurku leży spora sfatygowana waliza. Należy do doktora? Czyżby dokądś się wybierał? Czemu miałby taką zniszczoną walizę?

Doktor Lozora śpi na stercie dokumentów. Papiery w znacznej mierze zasłania ręką, ale senhora Melo może odczytać pierwszą linijkę:

Dziwne, nie przypomina sobie takiej nazwy wioski ani regionu. Jest strażniczką nazwisk, niezawodnie łączy każdą osobę z konkretną przyczyną zgonu. Notatka nie została utrwalona na wieczność na jej maszynie, ale jest napisana odręcznie przez doktora. Czy to nagły przypadek, który pojawił się już po jej wyjściu z pracy zeszłego wieczoru? To byłoby wielce nietypowe. Senhora Melo zwraca uwagę na wiek pacjenta. Osiemdziesiąt trzy lata: piękny wiek. Pomimo życiowych tragedii świat potrafi nadal być dobrym miejscem.

Zauważa, że klamry walizy są uniesione. Chociaż wie, że nie powinna, cicho podnosi wieko, by sprawdzić, czy to własność doktora. Cóż za osobliwy zestaw: flet, nóż i widelec, świeczka, prosta czarna sukienka, książka, kwadrat czerwonego materiału, koperta i całe mnóstwo innych drobiazgów, które raczej nie należą do doktora Lozory. Zamyka walizę.

Cicho opuszcza gabinet, by nie wprawić doktora w zakłopotanie, kiedy się zbudzi. Idzie do swojej klitki. Lubi dokładnie się przygotować przed kolejnym dniem pracy. Trzeba sprawdzić taśmę w maszynie do pisania, uzupełnić zapas kalki, napełnić karafkę wodą. Drzwi pomieszczenia sekcyjnego są otwarte, choć nie powinny. Zagląda do środka. Na stole leży ciało! Przechodzi ją dreszcz. Co ono tam robi? Od jak dawna nie leży w chłodni? To bardzo niewłaściwe. Zazwyczaj przed rozpoczęciem sekcji doktor przez dobrą godzinę dyktuje jej raporty. Zazwyczaj ciała przywozi się i odwozi zasłonięte, niewidoczne dla wszystkich prócz lekarzy.

Wchodzi do pomieszczenia sekcyjnego. „To będzie jak żywe ciało, tylko martwe”, mówi sobie.

Ale to w ogóle nie jest jak żywe ciało. Na stole sekcyjnym leżą zwłoki mężczyzny, starego mężczyzny. Żółte i obwisłe. Włosy łonowe i duży członek są obscenicznie obnażone. Znacznie gorsze są jednak pokrywające całe ciało toporne, poszarpane szwy w kolorze czerwonym, szarym i żółtym, upodabniające zwłoki do szmacianej lalki. Dłonie wyglądają jak spód rozgwiadzy. Nawet członek został oszpecony okropnym szwem. Senhora Melo z trudem przełyka ślinę, czuje, że zaraz zemdleje, uspokaja się. Zmusza się do spojrzenia na twarz mężczyzny. Nie można z niej wyczytać nic prócz wieku. Jest szokowana tym, że martwe ciało jest takim – szuka właściwego słowa – takim szczątkiem. Opuszczając pomieszczenie sekcyjne na palcach, jak

gdyby jej obecność mogła zakłócić spokój tym szczątkom, zastanawia się: gdzie jest łóżko na kółkach? Jak on się tu dostał?

Zamyka drzwi i bierze kilka głębokich wdechów. Doktor najwyraźniej potrzebuje pomocy. Ostatnio nie jest z nim dobrze. Czasem spóźnia się do pracy, czasem nie przychodzi wcale, czasami pracuje całą noc. Biedny człowiek. Bardzo przeżył śmierć żony. Zlekceważył troskę innych lekarzy, samego ordynatora. Zrobi to, powiedział doktor Lozora, zrobi to. Ale cóż to za zadanie! Jego kolega, doktor Otavio, wyjechał na urlop, choć nawet gdyby tu był, nie podjąłby się tego, ponieważ ją znał. To standardowa procedura. W normalnym trybie ciało odesłano by do szpitala w Vila Real. Jednak doktor Lozora nie mógł znieść myśli, że miałyby to zrobić ktoś inny. Zwłoki się rozkładały; nie można było zwlekać. Tak więc przeprowadził sekcję własnej żony.

Zszokowana senhora Melo była świadkiem całego zdarzenia, siedząc w swojej klitce, za osłoną słomianej plecionki. Najlepiej jak potrafiła, spisała raport, docierający z przerwami z pomieszczenia sekcyjnego. Po okresach ciszy rozlegał się szloch, potem doktor Lozora brał się w garść i zaczynał mówić. Ale jak zapisać ból, jak zanotować spustoszenie? Zapisywały się w niej same, gdy sumiennie wystukiwała słowa.

Senhora Melo wiedziała, że wielu ludzi uważało Marię Lozorę za ekscentryczkę. Na przykład ostatnio zwykła chodzić po mieście z torbą pełną książek. Owszem, miała ostry język. Jej milczenie nie wróżyło nic dobrego. Ojciec Cecilio się jej bał. Bez sprzeciwu wysłuchiwał jej improwizowanych wykładów na temat religii; nie mówił ani słowa, gdy podczas jego kazań ostentacyjnie czytała książki ze swej torby. W głębi serca była jednak dobrą kobietą, zawsze skora do pomocy, o każdej porze. Wydawało się, że nigdy nie sypia. Ileż razy pojawiała się w nocy u przyjaciół, gdy ich dzieci chorowały, z garnkiem zupy i dobrym mężem lekarzem u boku? Ich interwencje przynosiły otuchę, niekiedy wręcz ratowały życie. Ci dwoje byli nierozłączni. Dziwne. Senhora Melo nie знаła drugiej pary, która czerpałaby taką przyjemność ze swego wzajemnego towarzystwa.

Żeby coś podobnego ją spotkało! Pewnego wieczoru, zgodnie ze swym zwyczajem, Maria Lozora wybrała się na przechadzkę. Po powrocie ze szpitala doktor nie zastał żony w domu. Coraz bardziej zaniepokojony, późną nocą powiadomił policję. Nie miał pojęcia, gdzie żona mogła się podziać. Chodziła własnymi drogami; może, nie uprzedzając go, postanowiła kogoś odwiedzić. Owszem, tego wieczoru pracował długo.

Kilka dni później na brzegu, pod mostem, natrafiono na książkę. *Samotny dom* angielskiej pisarki Agathy Christie. W środku była rozmazana pieczęć. Doktor Lozora rozpoznał powieść jako własność jego i żony. Przeszukano rzekę i kamieniste brzegi. W końcu znaleziono ciało Marii Lozory, niefortunnie wciśnięte między głązy w ustronnym miejscu.

Czemu jednak spacerowała w taką okropną pogodę? Jak spadła z mostu?

Całe zdarzenie było zupełnie niewytłumaczalne, a jedno możliwe wyjaśnienie wydawało się bardziej niewiarygodne od drugiego. Samobójstwo? Maria Lozora była szczęśliwą, spełnioną kobietą, posiadającą krewnych i przyjaciół, bez śladu oznak choroby psychicznej czy udręki. Czy kobieta, która tak świetnie operowała słowami, nie zostawiłaby listu? Co więcej, była sumienną, oddaną chrześcijanką; tacy chrześcijanie nie odbierają sobie życia. Wersja samobójstwa nie przekonała nikogo – męża, dzieci, księdza ani policji. Zatem wypadek? Maria Lozora runęła do rzeki z mostu zabezpieczonego solidnymi betonowymi balustradami, na tyle wysokimi, że nikt nie mógł się z nich ześlizgnąć ani o nie potknąć. Na balustradę dałoby się wdrapać, ale po co rozumny człowiek miałby to robić, jeśli nie po to, żeby skoczyć? Ponieważ wykluczono śmierć samobójczą, wykluczono też pomysł, że sama wspięła się na balustradę. Co pozostało po wykluczeniu samobójstwa i wypadku? Morderstwo. Jednak to wydawało się najmniej prawdopodobne. Któż chciałby zamordować Marię Lozorę? Nie miała wrogów. Wszyscy, którzy ją znali, lubili ją, nawet kochali. To była Bragança, nie Chicago. O morderstwach nie słyszano w tych stronach. W tym mieście nie zrzucano z mostów niewinnych kobiet. Cały pomysł brzmiał niedorzecznie. Zatem samobójstwo lub morderstwo. I tak w kółko. Policja apelowała, by zgłaszali się świadkowie zdarzenia, ale nikt nic nie widział. Specjaliści od medycyny sądowej przybyli aż z Lizbony, ale niczego nie odkryli. Ludzie przyjęli wytłumaczenie, które uznali za najbardziej prawdopodobne. Doktor Lozora przychylił się do teorii morderstwa, choć nie miał pojęcia, kto mógłby zrobić coś takiego jego żonie.

Senhora Melo martwiła się, że zagadka śmierci Marii Lozory nie zostanie tak wyjaśniona jak w powieściach kryminalnych, którymi Maria i jej mąż się zaczytywali.

Słyszysz okrzyk. Doktor Lozora się zbudził. Słyszysz, jak doktor zaczyna łkać. Nie wie, że przyszła, myśli, że jest sam. Szłocha coraz głośniej,

rozdzierająco. Biedny, biedny człowiek. Co ona ma zrobić? Jeśli zorientuje się, że ona jest obok, będzie przerażony. Senhora Melo tego nie chce. Może powinna zacząć hałasować, by powiadomić go o swej obecności. Doktor ciągle płacze. A ona stoi cicho, nieruchomo. Po chwili ogarnia ją złość na siebie. Czyż nie jest jasne, że ten człowiek potrzebuje pomocy? Czy przed chwilą sama o tym nie myślała?

Odwraca się i rusza do gabinetu doktora Lozory.

CZĘŚĆ TRZECIA

Dom

Latem 1981 roku, kiedy członek Izby Gmin Peter Tovy otrzymuje nominację do senatu, aby w bezpiecznym Toronto zrobić miejsce dla murowanego kandydata, znika potrzeba, by spędzał dużo czasu w swoim okręgu wyborczym. Razem z żoną Clarą kupują większe, ładniejsze mieszkanie w Ottawie, z uroczym widokiem na rzekę. Oboje wolą spokojniejsze tempo stolicy i cieszą się bliskością syna, synowej i wnuczki, którzy mieszkają w tym mieście.

Pewnego ranka Peter wchodzi do sypialni i zastaje Clarę, jak siedzi na łóżku i zapłakana przyciska obie ręce do lewego boku.

– Co się stało? – pyta Peter.

Clara tylko potrząsa głową. Petera ogarnia lęk. Jadą do szpitala. Clara jest chora, i to poważnie.

W tym samym czasie, gdy żona walczy o życie, małżeństwo jego syna się rozpada. Peter przedstawia żonie jak najbardziej różowy obraz tego rozstania.

– To najlepsze wyjście dla nich wszystkich – zapewnia. – Nigdy się nie dogadywali. Oddzielnie rozkwitną. W dzisiejszych czasach tak właśnie postępują ludzie.

Clara się uśmiecha. Jej horyzont się kurczy. Ale to nie jest najlepsze wyjście, nie jest nawet dobre. Rozwód jest straszny. Peter widzi, jak dawni małżonkowie stają się zazartymi wrogami, widzi, jak dziecko staje się łupem wojennym. Jego syn Ben poświęca nedorzecznie dużo czasu, pieniędzy i energii na walkę z byłą żoną, Diną, która odpłaca mu pięknym za nadobne ku zachwytowi swoich prawników i zdumieniu Petera. Teść próbuje rozmawiać z Diną i odgrywać rolę mediatora, ale bez względu na jej uprzejmy ton i otwarte serce na początku każdej rozmowy, na koniec nieodmiennie traci opanowanie i wybucha gniewem. W osobie teścia widzi współnika męża. „Jesteś taki sam jak twój syn”, rzuca w jednej z rozmów. Wtedy Peter zauważa, że przeżył z żoną w harmonii ponad czterdzieści lat. Dina odłożyła słuchawkę. Jego wnuczka, Rachel, w dzieciństwie radosny skrzat, ma żal do obojga rodziców i zamyka się w nastoletniej wieży wyniosłej urazy. Kilka razy dziadek zabiera ją na spacer lub do restauracji, żeby rozweselić wnuczkę – i siebie – ale nie potrafi się przebić przez jej posepność. W końcu Rachel przenosi się do Vancouver z matką, która „wygrała” córkę

w batalii o prawa rodzicielskie. Peter odwozi je na lotnisko. Kiedy przechodzą przez kontrolę bezpieczeństwa, już się sprzecząc, Peter widzi nie dorosłą kobietę i jej dorastającą córkę, ale dwie czarne skorpionice z uniesionymi żądlami, dźgające się nawzajem.

Jeśli chodzi o Bena, który zostaje w Ottawie, sprawa jest beznadziejna. Według Petera jego syn jest niewiarygodnie, bezdennie głupi. Ben, lekarz zajmujący się działalnością naukową, na pewnym etapie swojej kariery postanowił wyjaśnić, dlaczego ludzie przypadkiem gryzą się w język. Mozolne badanie zdolności języka, by owinąć się wokół zębów – niczym robotnik tnący blachę za pomocą ciężkiego sprzętu – ujawnia zadziwiająco złożony mechanizm. Obecnie Peter postrzega syna jako język, który rzuca się ślepo pod gryzące zęby, krwawi, ale już nazajutrz pakuje się tam znowu, bez krztyny zrozumienia, nieświadom kosztów i konsekwencji. Ben jest nieustannie poirowany. Rozmowy ojca i syna kończą się głuchym milczeniem; syn przewraca oczami, ojcu brakuje słów.

W wirze terminów medycznych, po rosnących i opadających nadziejach co do kolejnych terapii, po zwijaniu się, jękach i płaczu, po utracie panowania nad ciałem i wędnięciu, jego piękna Clara leży na szpitalnym łóżku ubrana w ohydny zielony szlafrok, ma szkliste półprzymknięte oczy i rozdziawione usta. Skręca się konwulsyjnie, z jej piersi dobywa się grzechotanie, wreszcie umiera.

Peter Tovy staje się zjawą w parlamencie.

Pewnego dnia przemawia w senacie. Znajomy senator odwrócił głowę i przygląda się Peterowi baczniej, niż wynikałoby ze zwykłego zainteresowania. Dlaczego tak się na mnie gapisz? – myśli Peter. Co ci jest? Gdyby się nachylił i dmuchnął koledze w twarz, jego oddech podziałałby jak palnik i skóra zesłaby tamtemu z twarzy. Zostałaby tylko wyszczerzona czaszka. To załatwiłoby sprawę twojej durnej miny.

Myśli Petera przerywa głos przewodniczącego senatu:

– Czy szacowny senator zechce kontynuować, czy też...?

Przewodniczący wymownie zawiesza głos. Peter patrzy na dokumenty i zdaje sobie sprawę, że nie ma pojęcia, o czym mówił. Nawet gdyby sobie przypomniał, nie miałby ochoty kontynuować. Nie ma nic do powiedzenia. Patrzy na przewodniczącego, kręci głową, siada. Tamten przygląda się mu jeszcze chwilę, po czym się odwraca.

Szef klubu podchodzi do biurka Petera. Przyjaźnią się.

– Jak leci, Peter? – pyta.

Peter wzrusza ramionami.

– Może powinieneś wziąć sobie urlop. Wyluzować. Sporo ostatnio przeszedłeś.

Peter wzdycha. Tak, musi się wyrwać. Nie daje rady. Przemówienia, niekończące się pozy, cyniczne machinacje, rozdęte ego, aroganccy asystenci, bezlitosne media, męczące detale, naukowa biurokracja, minimalna poprawa losu ludzi – rozumie, że wszystko to stanowi nieodłączną część demokracji. Demokracja jest taką szaloną, wspaniałą rzeczą. Ale on ma dość.

– Zobaczę, czy uda mi się coś dla ciebie znaleźć – mówi szef klubu. – Trzymaj się. Dasz radę.

Kilka dni później szef klubu wraca z propozycją. Podróż.

– Do Oklahomy? – Peter jest zaskoczony.

– Hej, z prowincji przychodzą wielkie sprawy. Kto słyszał o Nazarecie, zanim pojawił się Jezus?

– Albo o Saskatchewan przed Tommym Douglasem.

Szef klubu się uśmiecha. Pochodzi z Saskatchewan.

– Właśnie wyłoniła się taka możliwość. Ktoś zrezygnował w ostatniej chwili. Zgromadzenie Ustawodawcze tego stanu zaprosiło członków parlamentu kanadyjskiego. No wiesz, zacieśnianie więzów, podtrzymywanie relacji, takie tam. Nie przemęczysz się.

Peter nie bardzo wie nawet, gdzie leży Oklahoma. To chyba jakiś mało ważny stan amerykańskiego imperium, gdzieś pośrodku.

– Zmiana krajobrazu, Peter. Czterodniowe wakacje. Czemu nie?

Peter się zgadza. Jasne, czemu nie? Dwa dni później leci w towarzystwie trzech posłów do Oklahomy.

W maju w Oklahoma City jest ciepło i miło, a gospodarze przyjmują ich niezmiernie serdecznie. Kanadyjska delegacja spotyka się z gubernatorem, przedstawicielami prawodawstwa stanowego, ludźmi biznesu. Goście zwiedzają Kapitol Stanowy i fabrykę. Każdy dzień kończy się kolacją. Hotel, gdzie się zatrzymali, jest luksusowy. Podczas wizyty Peter mówi o Kanadzie i słucha o Oklahomie jak przez przyjemną mgłę. Zmiana krajobrazu, nawet zmiana powietrza – na łagodne i wilgotne – jest, zgodnie z obietnicą szefa klubu, kojąca.

W przeddzień ostatniego pełnego dnia, przeznaczonego na rozrywkę dla kanadyjskich gości, wzrok Petera pada na broszurę turystyczną Miejskiego Ogrodu Zoologicznego w Oklahoma City. Lubi zoo nie tyle z powodu zainteresowania zwierzętami, ile dlatego, że interesowała się nimi Clara. Swego czasu zasiadała nawet w zarządzie ogrodu zoologicznego w Toronto. Peter wyraża chęć zwiedzenia zoo

w Oklahoma City. Kobieta opiekująca się Kanadyjkami z ramienia Kapitolu Stanowego sprawdza możliwości, po czym wraca i zaczyna gorąco przeproszać.

– Tak mi przykro – mówi. – Zazwyczaj zoo jest otwarte codziennie, ale teraz akurat zamknęli je z powodu remontu generalnego. Jeśli jest pan zainteresowany, mogę się dowiedzieć, czy mimo to wpuściliby pana.

– Nie, nie. Nie chcę się naprzykrzać.

– Na południe od miasta, na uniwersytecie w Norman, jest schronisko dla szympanów – mówi kobieta.

– Schronisko dla szympanów?

– Tak, to chyba ośrodek badań nad małpami. Zazwyczaj nie jest otwarty dla publiczności, ale jestem pewna, że da się to załatwić.

Istotnie, daje się. Słowo „senator” działa na Amerykanów jak magiczne zaklęcie.

Nazajutrz przed hotelem czeka na Petera samochód. Żaden z pozostałych delegatów nie ma ochoty mu towarzyszyć, jedzie więc sam. Kierowca zawozi go do Instytutu Badań nad Naczelnymi, jak nazywa się ta część Uniwersytetu Oklahoma na porośniętym krzewami pustkowiu, około dziesięciu kilometrów na wschód od Norman. Niebo jest błękitne, ziemia zielona.

W instytucie, na końcu krętego zwirowego podjazdu, Peter widzi potężnie zbudowanego brzuchacza z brodą, o nieco groźnym wyglądzie. Obok stoi szczupły długowłose młodzien z wyłupiastymi oczami. Jego język ciała zdradza, że jest podwładnym brodacza.

– Senator Tovy? – pyta grubas, gdy Peter wysiada z samochodu.

– Zgadza się.

Podają sobie ręce.

– Jestem doktor Bill Lemnon, dyrektor Instytutu Badań nad Naczelnymi. – Lemnon zagląda do wozu przez otwarte drzwi. – Niezbyt duża ta pańska delegacja.

– Nie, jestem sam – mówi Peter i zamyka drzwi.

– Z którego pan jest stanu?

– Z prowincji Ontario w Kanadzie.

– Serio? – Z jakiegoś powodu dyrektor na chwilę milknie. – Cóż, proszę ze mną. Wyjaśnię panu pokrótce, co tu robimy.

Lemnon odwraca się i rusza, nie czekając na Petera. Nieprzedstawiony mu podwładny wlecze się z tyłu.

Obchodzą drewnianą chatę i kilka szop, aż docierają do sporego stawu ocienionego wielkimi topolami. Na stawie znajdują się dwie wyspy, na jednej z nich rośnie kępa drzew. Na gałęziach Peter dostrzega kilka wysokich, chudych małp, które bujają się z nadzwyczajną zręcznością i gracją. Druga wyspa jest większa, a wśród wysokich traw, zarośli i nielicznych drzew wznosi się imponująca konstrukcja z drewnianych bali. Cztery platformy na różnych poziomach, podtrzymywane przez wysokie słupy, są połączone linami oraz siatkami do przewozu towarów. Na łańcuchu wisi opona do ciężarówki. Obok tej konstrukcji stoi okrągła chata z pustaków.

Dyrektor odwraca się do Petera. Jeszcze zanim otwiera usta, już wydaje się znudzony własnymi słowami.

– W naszym instytucie prowadzimy zaawansowane badania nad zachowaniem i porozumiewaniem się ssaków naczelnych. Czego możemy się nauczyć od szympanów? Więcej, niż przypuszcza przeciętny człowiek. Pod względem rozwoju ewolucyjnego szympany są naszymi najbliższymi krewnymi. Pochodzimy od wspólnego przodka naczelnego. Nasze drogi rozeszły się zaledwie sześć milionów lat temu. Jak to ujął Robert Ardrey, nie jesteśmy upadłymi aniołami, lecz małpami, które się wzniosły. Tak jak my, szympany mają duże mózgi; nadzwyczajną zdolność komunikacji, są w stanie posługiwać się narzędziami i tworzyć złożone struktury społeczne. Weźmy porozumiewanie się. Niektóre z naszych szympanów potrafią opanować do stu pięćdziesięciu słów, które łączą w zdania. To już jest język. Potrafią wytwarzać narzędzia do polowania na mrówki i termity oraz do rozłupywania orzechów. Umieją wspólnie polować, przyjmując różne role w celu schwytania zdobyczy. Krótko mówiąc, posiadają podstawy kultury. Kiedy więc badamy szympany, badamy dawne odbicie nas samych. W wyrazach twarzy...

Słowa są ciekawe, choć wypowiedane nieco automatycznie, bez uczuć. Lemnon zdradza oznaki irytacji. Peter słucha jednym uchem. Podejrzewa, że kobieta zajmująca się delegacją przedstawiła go jako kogoś ważniejszego. Pewnie nie wspomniała, że senator nie pochodzi ze Stanów Zjednoczonych. Na większej wyspie pojawiają się szympany. Wtedy rozlega się głos:

– Doktorze Lemnon! Dzwoni doktor Terrace.

Peter odwraca się i widzi kobietę stojącą obok jednego z budynków.

– Przepraszam, muszę odebrać – mówi Lemnon, nagle pełen energii, i nie czekając na reakcję gościa, odchodzi.

Odejście dyrektora Peter kwituje westchnieniem ulgi. Ponownie odwraca się do szympanów. Jest ich pięć. Z opuszczonymi głowami wolno poruszają się na czworakach, większość ciężaru opierając na grubych, silnych rękach, podczas gdy krótsze nogi podążają za nimi jak tylne kółka trzykołowego roweru. W słońcu małpy są zadziwiająco czarne, niczym przemieszczające się płaty nocy. Po przejściu niewielkiego odcinka siadają. Jedna z nich wspina się na najniższą platformę.

To nic wielkiego, ale widok małp przynosi satysfakcję. Każde ze zwierząt jest fragmentem układanki, a gdziekolwiek się usadowi, idealnie pasuje do miejsca.

Podwładny dyrektora wciąż stoi obok.

– Nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Jestem Peter – mówi Peter, wyciągając rękę.

– Mam na imię Bob. Miło mi pana poznać.

– I wzajemnie.

Podają sobie ręce. Bob ma wydatną grdykę, która podskakuje w górę i w dół.

– Ile małp tutaj macie? – pyta Peter.

– To są małpy człekokształtne, proszę pana – uściśla Bob, patrząc na główną wyspę. – Szympany są małpami człekokształtnymi.

– Ach tak. – Peter pokazuje na drugą wyspę, gdzie widział stworzenia huśtające się na gałęziach. – A tamte?

– Tak się składa, że to też małpy człekokształtne. Gibony. Należą do mniejszych małp człekokształtnych. Ogólna zasada jest taka, że małpy mają ogony, natomiast małpy człekokształtne nie. Małpy zazwyczaj żyją na drzewach, małpy człekokształtne na ziemi.

Bob kończy właśnie mówić, gdy siedzący na dolnej platformie szympan z akrobatyczną zręcznością wspina się na najwyższą. Jednocześnie na drugiej wyspie ukazują się na drzewie gibony i zaczynają tańczyć w powietrzu, od gałęzi do gałęzi.

– Oczywiście natura podsuwa wiele wyjątków, żebyśmy stale mieli się na baczności – dodaje Bob.

– To ile macie szympanów? – pyta Peter.

– W tej chwili trzydzieści cztery. Hodujemy je, aby potem sprzedawać lub wypożyczać innym badaczom, więc liczba jest płynna. Pięć osobników chowa się u rodzin w Norman.

– Wychowują je ludzie?

– Tak. Norman jest pewnie stolicą międzygatunkowych rodzin zastępczych. – Bob się śmieje, a widząc zaskoczoną minę Petera, wyjaśnia: – Polega to na wychowywaniu małych szympansów jak ludzi.

– W jakim celu?

– Och, celów jest wiele. Szypansy uczą się języka migowego. To zdumiewające. Porozumiewamy się z nimi i dowiadujemy się, jak działają ich umysły. Tutaj i w innych miejscach prowadzi się badania behawioralne, zgłębiaamy relacje społeczne szympansów, formy komunikacji, struktury grupowe, wzorce dominacji i uległości, zachowania macierzyńskie i seksualne, sposoby adaptacji do zmian i tym podobne. Codziennie przyjeżdżają tu profesorowie i doktoranci z uniwersytetu. Jak to ujął doktor Lemnon: szympansy różnią się od nas, ale są też niesamowicie podobne.

– Czy wszystkie szympansy żyją na tej wyspie? – pyta Peter.

– Nie. Przywozimy je tu w małych grupkach na eksperymenty, na lekcje języka migowego oraz na relaks, jak w przypadku grupy, którą pan widzi.

– Nie próbują uciekać?

– Szypansy nie umieją pływać. Idą na dno jak kamień. Nawet gdyby uciekły, nie zawędrowałyby daleko. Tu jest ich dom.

– Nie są niebezpieczne?

– Potrafią być. Mają zęby ostre jak noże. Wymagają odpowiedniej opieki. Najczęściej jednak są niezwykle urocze, zwłaszcza jeśli obieca się im słodycze.

– Gdzie są pozostałe?

– Tam, w głównym budynku. – Bob pokazuje ręką.

Peter odwraca się i rusza w tamtą stronę, zakładając, że to kolejny etap zwiedzania.

– Och! – Bob podchodzi do niego od tyłu. – Nie jestem pewien, czy to... część pańskiej wizyty.

Peter zatrzymuje się.

– Chciałbym obejrzeć inne szympansy z bliska – oznajmia.

– Cóż, hm, może powinniśmy porozmawiać... on nie mówił...

– Jest zajęty. – Peter rusza znowu.

Pomysł zagrania na nosie wszechmocnemu doktorowi Lemnonowi przypadł mu do gustu.

Bob sunie obok niego w podskokach, wydając odgłosy człowieka, który się waha.

– Chyba możemy – stwierdza w końcu, widząc, że Peter nie zamierza ustąpić. – Zrobimy to szybko. Tędy.

Skręcają i wchodzą przez drzwi do niewielkiego pomieszczenia z biurkiem i szafkami. Są tam kolejne metalowe drzwi. Bob wyjmuje klucz i otwiera je. Wchodzą.

Jeśli wyspa na stawie sprawiała wrażenie słonecznej sielanki, tutaj, w pozbawionym okien budynku, znajduje się prawdziwy, mroczny i cuchnący, świat podziemny. Petera najpierw uderza ostra woń, zwierzęcy odór moczu i udręki, spotęgowany upałem. Stoją u wejścia do przypominającego tunel korytarza metalowych sztab, które miały przestrzeń jak maszynka do mięsa. Po obu stronach korytarza wiszą po dwa rzędy sześciennych metalowych klatek. Każda, o boku długości około półtora metra, wisi na łańcuchu niczym klatka dla ptaków. Frontowe rzędy są odsunięte od tych w głębi, dzięki czemu każdą klatkę dobrze widać z korytarza: rząd bliższy i rząd dalszy. Same klatki, zbudowane ze stalowych prętów, są całkowicie odsłonięte, nie oferują ani krztyny prywatności. Pod każdą leży spora plastikowa taca pełna gnijącego jedzenia, odchodów i moczu. Niektóre klatki są puste, ale wiele nie. W każdej klatce, która nie jest pusta, znajduje się tylko jedna rzecz: duży czarny szympans.

Mężczyzn wita ogłuszająca eksplozja wrzasków i krzyków. Petera ogarnia potworny lęk. Brak mu tchu, nie może się ruszyć.

– Niezły efekt, co?! – woła Bob. – To dlatego, że jest pan nowy i wtargnął pan na ich teren. – Słowo „wtargnął” opatruje ironicznym cudzysłowem z palców.

Peter patrzy. Niektóre szympansy zerwały się i wściekle potrząsają klatkami. Umocowane na poziomych łańcuchach klatki kołyszą się tylko nieznacznie. Lęk Petera bierze się z widoku małych człekokształtnych zawieszonych w powietrzu, odciętych od siebie nawzajem i od ziemi. Nie mają się gdzie ukryć, czego się trzymać, czym się bawić, żadnej zabawki, koca czy choćby odrobiny słomy. Po prostu wiszą w pustych klatkach – uosobienie więzienia. Czyż nie widział na filmach, jak nowo osadzony wchodzi do zakładu karnego, a więźniowie witają go kocią muzyką i gwizdami? Z trudem przełyka ślinę, głęboko oddycha, stara się opanować lęk.

Bob rusza naprzód, co pewien czas rzucając głośne komentarze, i nic sobie nie robi z szalonego zgiełku. Trzymając się blisko Boba, Peter idzie samym środkiem korytarza, z dala od sztab. Choć doskonale widzi, że zwierzęta są uwięzione w klatkach i oddzielone sztabami, wciąż się boi.

Co trzy lub cztery klatki znajduje się ogrodzenie z solidnej metalowej siatki, które biegnie od sztab korytarza do ściany i sufitu, tym samym oddzielając jedno skupisko klatek od drugiego. Kolejny poziom więzienia. W każdym ogrodzeniu, w głębi przy ścianie, są drzwi.

– Klatki nie wystarczą?! – woła Peter, wskazując na ogrodzenie.

– Dzięki temu możemy wypuszczać niektóre szympansy, żeby mogły przebywać razem na większej, ale odrębnej przestrzeni! – odkrzykuje Bob.

Faktycznie, w półmroku po jednej stronie korytarza Peter dostrzega cztery szympansy, które gramolą się na podłodze pod ścianą w głębi. Na jego widok zwierzęta wstają i zaczynają działać. Jeden szympans podbiega do sztab. Tu chociaż wyglądają naturalniej: są na ziemi, w grupie, ożywione. Bob pokazuje Peterowi gestem, aby kucnął.

– One lubią, kiedy dorównujemy im wzrostem – wyjaśnia mu na ucho.

Obaj kucają. Bob wsuwa rękę przez sztaby i macha do szympansa, który sprawiał wrażenie najbardziej agresywnego i wydawało się, jakby zamierzał ich zaatakować. Po chwili wahania stworzenie podbiega do sztab, dotyka dłoni Boba, po czym czmycha do pozostałych pod ścianą w głębi. Bob się uśmiecha.

Peter zaczyna się uspokajać. One zachowują się naturalnie, mówi sobie. On i Bob wstają i ruszają dalej korytarzem. Peter może spokojnie przyglądać się szympansom. Małe człekokształtne przejawiają rozmaite stopnie agresji i pobudzenia; trzęsą się, warczą, krzyczą, wykrzywiają się w grymasie, przyjmują groźne pozy. Wszystkie są podniecone.

Oprócz jednej. Ostatni więzień na końcu korytarza siedzi w klatce spokojnie, zatopiony w myślach, nie zwraca uwagi na otoczenie. Podeszedłszy do klatki, Peter przystaje, uderzony osobliwym zachowaniem zwierzęcia.

Szympanś siedzi odwrócony plecami do rozwścieczonych sąsiadów, profilem do Petera. Prosta ręka spoczywa niedbale na kolanie. Peter zwraca uwagę na czarną sierść pokrywającą ciało zwierzęcia, tak gęstą, że przypomina kostium. Z sierści wyłaniają się nagie dłonie i stopy, najwyraźniej bardzo zręczne. Na głowie zauważa cofnięte, niemal nieistniejące czoło; duże uszy podobne do spodków; masywne, sfaldowane łuki brwiowe; słabo zarysowany nos oraz gładkie, wypukłe, przyjemnie zaokrąglone usta, z bezwłosą górną wargą i lekko owłosioną dolną. Z uwagi na pokaźne rozmiary wargi te są wielce ekspresyjne.

Peter nie może oderwać od nich wzroku. W tej właśnie chwili usta nieco się poruszają – rozchylają się, zamykają, prychnają – jak gdyby szympanś mówił do siebie.

Zwierzę odwraca głowę i patrzy mu w oczy.

– To na mnie patrzy – mówi Peter.

– Tak, robią to – potwierdza Bob.

– Ale patrzy mi prosto w oczy.

– Tak, tak. To zwykle oznaka dominacji, ale ten gość jest bardzo wyluzowany.

Wciąż patrząc na Petera, szympanś ściąga wargi w lejek. Mimo panującego w pomieszczeniu harmidru Peter słyszy „hu-hu”.

– Co to znaczy? – pyta.

– To powitanie. On mówi panu „cześć”.

Szympanś robi to znowu, tym razem tylko składając usta i licząc na uważne spojrzenie Petera, nie na jego ogłuszone uszy.

Peter nie może oderwać wzroku od małpy. Cóż za interesująca twarz, taka pełna życia; obserwuje go tak intensywnie. Duża głowa pokryta jest czarną sierścią równie gęsto jak ciało, ale istotne elementy twarzy – odwrócony trójkąt oczu i nosa oraz kółko ust – są nagie, widać gładką ciemną skórę. Oprócz nieznacznych pionowych zmarszczek na górnej wardze jedynymi zmarszczkami na twarzy szympanśa są te wokół oczu, koncentryczne pod każdym oczodołem, kilka falujących linii na spłaszczonym mostku nosowym oraz między wydatnymi brwiami. Te kręgi w kręgach przykuwają uwagę obserwatora do samych oczu. Jakiego są koloru? W sztucznym świetle pomieszczenia Peterowi trudno to stwierdzić, ale chyba są jasnordzawe, niemal czerwone, choć z całą pewnością należą do stworzenia z tej ziemi. Wąsko osadzone oczy patrzą spokojnie. Spojrzenie wwierca się w Petera i przygwaźdża do ziemi.

Szympanś odwraca się do Petera całym ciałem. Spojrzenie jest intensywne, ale postawa rozluźniona. Najwyraźniej małpa czerpie przyjemność z pożerania go wzrokiem.

– Chcę podejść bliżej – mówi Peter, dziwiąc się własnym słowom.

Gdzie się podział jego lęk? Jeszcze minutę wcześniej Peter dygotał z przerażenia.

– Och, nie wolno tego robić. – Bob jest wyraźnie zaniepokojony.

Na końcu korytarza znajdują się ciężkie druciane drzwi. W połowie korytarza, po obu stronach, były takie same. Peter rozgląda się; za

drzwiami nie ma na podłodze szympansów. Podchodzi, chwyta za okrągłą klamkę i przekręca. Klamka nie stawia oporu.

Bob wytrzeszcza oczy.

– Kurczę, kto nie zamknął tych drzwi?! – woła. – Naprawdę nie powinien pan tam wchodzić! Musi pan porozmawiać z doktorem Lemnonem.

– Proszę go przyprowadzić – mówi Peter, otwiera drzwi i wchodzi.

– Niech pan go nie dotyka – prosi Bob, wchodząc za Peterem. – One potrafią być bardzo agresywne. Mógłby nawet odgryźć panu rękę.

Peter stoi przed klatką. Szympans i on znów patrzą sobie w oczy. Ponownie czuje magnetyczne przyciąganie. Czego ty chcesz?

Szympanś przeciska rękę przez krzyżujące się sztaby i wyciąga do Petera wąską dłoń, zwróconą ku górze. Peter wpatruje się w czarną skórę, długie palce. Bez pytań, bez wahania podnosi rękę.

– O rany, o rany! – jęczy Bob.

Dłonie się splatają. Krótki, lecz silny kciuk obejmuje i przytrzymuje dłoń Petera. W tym geście nie ma nic z przyciągania ani chwytania, ani śladu groźby. Szympans po prostu wpycha dłoń w dłoń Petera. Ręka małpy jest zadziwiająco ciepła. Peter ujmuje ją obiema rękami, jedną w uścisku, drugą przykrywając włochaty wierzch. Mocno i stanowczo, niczym polityk witający się z ludźmi na wiecu wyborczym. Uścisk dłoni szympansa się nasila. Peter uświadamia sobie, że zwierzę mogłoby zmiażdżyć mu rękę, ale tego nie robi, on zaś nie czuje lęku. Szympans nie przestaje patrzeć mu w oczy. Peter nie wie dlaczego, ale czuje dławienie w gardle, zbiera się mu na płacz. Czy dlatego, że od czasu Clary nikt nie patrzył na niego tak szczerze, oczami jak otwarte drzwi?

– Skąd on się wziął? – pyta, nie odwracając wzroku. – Ma jakieś imię?

Peter zdaje sobie sprawę, że zmienił zaimki z „to” na „on”. Przejście było naturalne. To stworzenie nie jest przedmiotem.

– Ma na imię Odo – odpowiada Bob, kołysząc się nerwowo z boku na bok. – Prawdziwy włóczęga. Przywiózł go ktoś, kto pracował w Afryce z ramienia Korpusu Pokoju. Potem Odo był w NASA, gdzie został poddany testom w ramach programu kosmicznego. Później trafił do Yerkes, następnie do LEMSIP, zanim...

Po drugiej stronie korytarza wybucha wrzask. Szympansy, które wcześniej prawie się uspokoiły, znowu wszczęły rwetes, nawet większy niż ten, jakim powitały Boba. Teraz wrócił doktor Lemnon.

– BOB, LEPIEJ, ŻEBYŚ MIAŁ DOBRE WYTŁUMACZENIE! – ryczy.

Peter i Odo puszczaają swoje dłonie. Zgoda jest obopólna. Szympanś odwraca się i siada tak jak wcześniej, bokiem do Petera, ze wzrokiem skierowanym nieco ku górze.

Bob wygląda, jakby wolał się wdrapać do jednej z wiszących klatek, niż wyjść na korytarz. Peter idzie pierwszy. Doktor Bill Lemnon groźnie kroczy korytarzem; rozmieszczone w sporych odstępach żarówki oświełają co pewien czas jego gniewną twarz. W miarę jak się zbliża, hałas zwierząt narasta.

– CO PAN TU ROBI?! – wrzeszczy do Petera.

Pozory serdeczności wyparowały. Lemnon jest małą człekokształtną utwierdzającą swoją dominację.

– Kupię od pana tę małą – mówi Peter, wskazując na Odo.

– Czyżby? – parska Lemnon. – A może dorzucimy cztery słonie i hipopotama? Co pan powie na dwa lwy i stado zebr? To nie jest sklep zoologiczny! WYPIERDALAJ PAN STĄD!

– Zapłać piętnaście tysięcy dolarów.

Ach, straszliwy czar okrągłych kwot. Piętnaście tysięcy dolarów to więcej, niż kosztował jego samochód.

Lemnon patrzy z niedowierzaniem, podobnie jak Bob, który w końcu wypełził na korytarz.

– No, no, chyba naprawdę musi pan być senatorem, skoro szasta pan taką forszą. O którego szympanśa chodzi?

– O tamtego.

– Ha. Żaden nie jest tak odjechany jak ten. Żyje w swoim świecie. – Lemnon się zastanawia. – Mówi pan: piętnaście tysięcy dolarów?

Peter kiwa głową.

– Wygląda na to, że jesteśmy sklepem zoologicznym. – Lemnon śmieje się. – Bob, masz nosa do klientów. Panie Tovy, przepraszam, senatorze Tovy, może pan sobie zabrać tego szympanśa. Tyle że nie zwracamy pieniędzy. Jeśli pan go kupi, a potem się nim znudzi i zechce nam go oddać, przyjmimy go, ale i tak będzie to pana kosztowało piętnaście tysięcy dolarów. Rozumie pan?

– Umowa stoi. – Peter wyciąga rękę. Lemnon ścisła ją i wygląda jak człowiek, który usłyszał najlepszy dowcip świata.

Peter zerka na Odo. Gdy zaczyna się oddalać, widzi kątem oka, że szympanś odwraca głowę. Peter patrzy znowu. Odo ponownie wpatruje się w niego. Peter czuje dreszcz podniecenia. On przez cały czas był świadom mojej obecności. Szepcze, w równym stopniu do siebie co do szympanśa:

– Wrócę. Obiecuję.

Mężczyźni idą korytarzem. Rozglądając się na lewo i prawo, Peter zauważa coś, co mu umknęło, gdy tutaj wchodził: uderza go różnorodność szympanów. Zakładał, że małpy będą do siebie podobne, ale wcale tak nie jest. Każdy szympan ma inny kształt i postawę, inny kolor i wzór sierści; każda twarz ma jedyne w swoim rodzaju rysy, cerę i wyraz. Każdy szympan obdarzony jest czymś, czego Peter się nie spodziewał: własną, wyjątkową osobowością.

Przy drzwiach Bob podchodzi do Petera, wyraźnie zafrasowany.

– Sprzedajemy je, ale nie za tyle... – szepcze.

– Matoł, matoł! – Lemnon go odpędza.

Idą do samochodu. Peter zawiera szybkie porozumienie z Lemnonem. Wróci za tydzień lub dwa, jak tylko poczyni niezbędne przygotowania. Obiecuje przysłać czek na tysiąc dolarów jako zaliczkę. Lemnon zapewnia, że przysykuje wszystkie dokumenty.

Samochód rusza, a Peter obraca się i patrzy przez tylną szybę. Lemnon wciąż ma na ustach triumfalny uśmiech. Potem zwraca się do Boba i wyraz jego twarzy się zmienia. Boba czeka solidna reprymenda. Peterowi jest mu go żal.

– Udana wizyta? – pyta kierowca.

– Interesująca – odpowiada Peter, nieco oszołomiony.

Nie może uwierzyć w to, co zrobił. Co pocnie z szympanem w Ottawie? Mieszka na czwartym piętrze. Czy inni lokatorzy zaakceptują obecność dużej niezgrabnej małpy człekokształtnej? Czy posiadanie szympana jest w Kanadzie legalne? Jak on zniesie kanadyjskie zimy?

Peter kręci głową. Od śmierci Clary minęło niewiele ponad pół roku. Czyż nie czytał, że ludzie pogrążeni w żałobie po stracie bliskiej osoby powinni odczekać przynajmniej rok, zanim zaczną wprowadzać istotne zmiany w swoim życiu? Czyżby żałoba sprawiła, że cały zdrowy rozsądek wyrzucił do kosza?

Ale z niego głupiec.

Po powrocie do hotelu nikomu nie mówi o tym, co zrobił, ani miejscowym z Oklahomy, ani znajomym Kanadyjczykom. Nie wspomina też nikomu w Ottawie, dokąd wraca nazajutrz. Pierwszego dnia oscyluje między wyparciem i niedowierzaniem a całkowitym zapomnieniem o całej sprawie. Następnego dnia przychodzi mu do głowy świetny pomysł: kupi szympana, ale potem podaruje go ogrodowi zoologicznemu. Jest niemal pewien, że zoo w Toronto nie trzyma szympanów, ale jakieś inne – w Calgary? – z pewnością

przyjmie zwierzę. To będzie niedorzecznie kosztowny podarunek, ale wręczy go w imieniu Clary. W ten sposób okaże się wart każdego centa. Świetnie, sprawa załatwiona.

Trzeciego dnia Peter budzi się wcześnie. Z głową na poduszce, patrzy w sufit. Odo zajrzał w głąb jego duszy tymi swoimi czerwonawobrunatnymi oczami, a Peter powiedział: „Wrócę. Obiecuję”. To nie była obietnica podrzucenia go do zoo; obiecał, że się nim zaopiekuje.

Musi to zrobić. Szlag by to, sam nie wie czemu, ale chce to zrobić.

Po podjęciu najważniejszej decyzji pozostałe przychodzą łatwo. Peter posyła Lemnonowi czek jako zaliczkę za Odo.

Oczywiście nie mogą zostać w Ottawie. W Oklahomie trzymanie szympansa w klatce uzasadniano względami naukowymi. W Kanadzie chodziłoby o pogodę. Potrzebują cieplejszego klimatu.

Dobrze jest znowu myśleć „my”. Czy to żałosne? Zamiast rzucić się natychmiast na inną kobietę, jakby był kulką w bilardzie automatycznym, czy robi coś jeszcze gorszego, rzucając się na zwierzę domowe? Nie ma takiego wrażenia. Jakkolwiek by nazwać tę relację, Odo nie jest zwierzęciem domowym.

Nie przypuszczał, że jeszcze się przeprowadzi. On i Clara nigdy o tym nie rozmawiali, ale surowy klimat im nie przeszkadzał; na starość zamierzali zostać w Kanadzie.

Dokąd mają pojechać?

Floryda. Wielu Kanadyjczyków przenosi się tam właśnie po to, by uciec przed kanadyjskimi zimami. Ale Floryda jest mu zupełnie obojętna. Nie chce żyć między galerią handlową na świeżym powietrzu, polem golfowym i plażą, gdzie ludzie smażą się na słońcu.

Portugalia. To słowo rozbłyskuje w jego umyśle. Peter jest z pochodzenia Portugalczykiem. Rodzice wyemigrowali do Kanady, gdy miał dwa lata. Razem z Clarą odwiedzili kiedyś Lizbonę. Ogromnie spodobały mu się domy zdobione kafelkami, przepyszne ogrody, wzgórze, podniszczony europejski urok ulic. W mieście panowała atmosfera wieczoru pod koniec lata, połączenie łagodnego światła, nostalgii i lekkiej nudy. Tyle że Lizbona, jak Ottawa, nie jest miejscem dla małpy człekokształtnej. Potrzebują spokojnego zacisza, gdzie jest dużo przestrzeni i mało ludzi.

Wtedy przypomina sobie, że rodzice pochodzili z wiejskiego regionu – z Wysokich Gór Portugalii. Powrót do korzeni? Może nawet odnajdzie dalekich krewnych?

Peter oswaja się z celem podróży. Kolejny krok polega na uporządkowaniu spraw w Kanadzie. Zastanawia się, co go tu trzyma. Kiedyś więzów było bez liku: żona, syn, wnuczka, siostra w Toronto, liczni krewni, znajomi, kariera – słowem, życie. Teraz, jeśli nie liczyć syna, otaczają go relikty: mieszkanie z dobytkiem, samochód, garsoniera w Toronto, biuro w West Block na Parliament Hill.

Gdy myśli o tym, by zostawić to wszystko, serce zaczyna mu bić szybciej. Mieszkanie, gdzie każdy pokój kojarzy się z cierpieniem Clary, stało się nie do zniesienia. Samochód to tylko samochód, podobnie jak mieszkanko w Toronto. Praca senatora to zwykła synekura.

Odległość może poprawić relacje z Benem. Peter nie zamierza czekać w Ottawie przez resztę życia, aż syn znajdzie dla niego więcej czasu. Młodsza siostra, Teresa, ma własne życie w Toronto. Regularnie rozmawiają przez telefon, nie ma więc powodu, by miało się to zmienić. Co się tyczy wnuczki, Rachel, widuje ją mniej więcej tak często, jak widywałyby, gdyby mieszkał na Marsie. Może pewnego dnia Rachel poczuje pokusę, by odwiedzić go w Europie. To chyba nie jest próżna nadzieja.

Peter bierze głęboki wdech. Trzeba to wszystko zostawić.

Z niepokojącą radością zaczyna odrzucać cumy, jak nazywa je w myślach. Już kiedy on i Clara przeprowadzali się z Toronto do Ottawy, pozbyli się wielu rzeczy osobistych. Teraz, w ciągu gorączkowego tygodnia, rezygnuje z reszty. Mieszkanie w Ottawie – „Znakomita lokalizacja!”, cieszy się agent – szybko znajduje nabywcę, podobnie jak garsoniera w Toronto. Książki wysyła do antykwariatu, sprzedaje meble i sprzęty domowe, ubrania oddaje organizacji charytatywnej, papiery przekazuje Archiwum Państwowemu, drobiazgi i bibeloty po prostu wyrzuca. Płaci wszystkie rachunki, rezygnuje z umowy telefonicznej i mediów, likwiduje prenumeratę gazety. Następnie wyrabia sobie wizę portugalską. Pisze do banku w Portugalii i prosi o otwarcie konta. Ben skwapliwie pomaga, utyskując przy tym, że Peter postanowił zrezygnować z uporządkowanego życia i wyjechać.

Peter odchodzi z walizką ubrań, albumem rodzinnym, sprzętem turystycznym, przewodnikiem po Portugalii oraz słownikiem angielsko-portugalskim.

Rezerwuje dla nich lot. Jak się okazuje, łatwiej będzie przewieźć małpę bezpośrednio ze Stanów Zjednoczonych do Portugalii. Wtedy przekracza się mniej granic z egzotycznym zwierzęciem. Linie lotnicze informują go, że jeśli zaopatrzy się w klatkę, a małpa będzie spokojna,

wezmą ją na pokład. Peter radzi się weterynarza w kwestii środków uspokajających dla szympansa.

Wykorzystując znajomości, znajduje kupca na samochód tam, gdzie chce – w Nowym Jorku.

– Dostarczę wóz osobiście – mówi przez telefon nabywcy z Brooklynu.

Nie wspomina, że po drodze wstąpi do Oklahomy.

Odwołuje wszystkie zaplanowane spotkania – z komisjami senackimi, krewnymi i znajomymi, lekarzem (serce pozostawia sporo do życzenia, ale Peter pakuje zapas lekarstw i bierze aktualną receptę) i całą resztą. Do ludzi, z którymi nie rozmawia osobiście ani przez telefon, pisze listy.

– Sam radziłeś, żebym wrzucił na luz – mówi szefowi klubu.

– Trzeba przyznać, że wzięłeś sobie moje słowa do serca. Czemu akurat Portugalia?

– Ciepły klimat. Moi rodzice stamtąd pochodzą.

– Peter, poznałeś kobietę? – pyta szef klubu, przyglądając się mu uważnie.

– Nic podobnego.

– Skoro tak twierdzisz.

Nikommu nie wspomina o Odo, ani krewnym, ani znajomym. Szympanś pozostaje świetlistym sekretem w jego sercu.

Tak się składa, że był umówiony na wizytę u dentysty. Ostatnią noc w Kanadzie spędza w motelu, nazajutrz ma czyszczenie zębów. Żegna się z dentystą i odjeżdża.

Droga do Oklahomy, przez Ontario, Michigan, Indianę, Illinois i Missouri, jest długa. Nie chcąc się nadmiernie przemęczać, rozkłada ją na pięć dni. Ze sklepu w Lansing w stanie Michigan, potem z knajpy w Lebanon w Missouri telefonuje do Instytutu Badań nad Naczelnymi, by uprzedzić o swoim przyjeździe. Rozmawia z młodą kobietą, która przekazuje jego wiadomość Lemnonowi. Wcześniej to właśnie ona zawołała dyrektora, co pozwoliło Peterowi zwiedzić pomieszczenie dla szympansów. Kobieta zapewnia go, że wszystko jest przygotowane.

Po ostatniej nocy, spędzonej w Tulsie, Peter dociera przed południem do instytutu. Parkuje samochód i idzie nad staw. Na głównej wyspie dwie osoby najwyraźniej uczą szympansa języka migowego. Na środku wyspy wylegują się trzy szympansy. Między nimi siedzi Bob, oglądając ramię jednej z małp. Peter woła go i macha. Bob odwzajemnia powitanie, wstaje i rusza do łodzi wiosłowej na brzegu. Szympanś,

którego ramię oglądał, podąża za nim. Lekko wskakuje do łodzi i siada na ławce. Bob odpycha się od brzegu i wiosłuje.

Mniej więcej w połowie stawu, gdy łódź skręca, szympans, któremu wcześniej Bob zasłaniał widok, dostrzega Petera. Głośno pohukuje i wali pięścią w ławkę. Peter mruży oczy. Czy to... Tak, to on. Odo jest większy, niż go zapamiętał: wielkości sporego psa, tyle że szerszy.

Jeszcze zanim łódź dobija do brzegu, Odo wyskakuje na brzeg, odbija się od ziemi i frunie prosto w kierunku Petera. Ten nie ma czasu na reakcję. Szympanś przywiera do jego piersi i otacza go ramionami. Peter pada na ziemię, niezdarnie lądując na plecach. Na twarzy czuje okazałe wilgotne wargi i twarde zęby. Został zaatakowany!

Bob się śmieje.

– Kurczę, wyraźnie pana polubił. Delikatnie, Odo, delikatnie. Nic panu nie jest?

Peter nie jest w stanie odpowiedzieć. Drży od stóp do głów, ale nie czuje bólu. Tymczasem szympans oderwał się od niego i przysiadł tuż obok, przywierając do jego ramienia. Po chwili zaczyna się bawić jego włosami.

– Wszystko w porządku? – pyta Bob, klękając obok Petera.

– T-t-tak, chyba tak... – Peter powoli siada. Ma szeroko otwarte oczy, jest osłupiały z niedowierzania. Dziwna czarna twarz, krępe owłosione ciało, całe ciepłe zwierzę oddychające tuż przy nim, bez bariery w postaci klatki, bez zabezpieczenia. Nie śmie odpychać szympansa. Siedzi czujny, sparaliżowany, zerkając uważnie. – Co on robi? – pyta w końcu.

Szympanś nie przestaje skubać jego włosów.

– Czyści pana – wyjaśnia Bob. – To ważny element życia społecznego szympansów. Ja czyszczę ciebie, ty czyścisz mnie. Tak sobie radzą. W ten sposób pozbywają się kleszczy i pcheł.

– Co powinienem zrobić?

– Nic. Albo, jeśli pan chce, też może pan go czyścić.

Tuż obok znajduje się kolano Odo. Peter zbliża do niego drżącą dłoń i skubie kilka włosów.

– Pokażę panu – mówi Bob.

Siada na ziemi i znacznie pewniej zaczyna czyścić grzbiet szympansa. Kantem dłoni przeczesuje sierść pod włos, odsłaniając cebulki i gołą skórę. Powtarzając tę czynność dwa lub trzy razy, znajduje odpowiedni fragment i drugą dłonią zabiera się do pracy: drapie, skubie łuszczącą się

skórę, odrywa brud. Drobiazgowo, absorbujące zajęcie. Bob zdaje się zapominać o Peterze.

Peter odzyskuje równowagę. To, co Odo robi z jego głową, nie jest nieprzyjemne. Czuje na czaszce ciepłe palce.

Patrzy szympansovi w oczy. Odo natychmiast odwzajemnia spojrzenie. Twarze znajdują się w odległości może dwudziestu centymetrów od siebie, oczy patrzą prosto w oczy. Odo wydaje ciche pohukiwanie, owiewa jego twarz zadyszaniem oddechem, potem wydyma dolną wargę, odsłaniając rząd dużych zębów. Peter nieruchomieje.

– Uśmiecha się do pana – wyjaśnia Bob.

Młody człowiek, który tak dobrze odczytuje emocje szympansa, dopiero teraz rozumie, co czuje Peter. Kładzie mu dłoń na ramieniu.

– On nie wyrządzi panu krzywdy. Lubi pana. Gdyby pana nie lubił, zostawiłby pana w spokoju.

– Przykro mi, że ostatnim razem wpakowałem pana w kłopoty.

– Drobiazg. Warto było. To jest niedobre miejsce. Niezależnie od tego, dokąd zabiera pan Odo, będzie mu lepiej niż tutaj.

– Czy Lemnon jest na miejscu?

– Nie. Wróci po lunchu.

Szczęśliwy zbieg okoliczności. W ciągu następnych kilku godzin Bob udziela Peterowi krótkiego kursu opieki nad Odo. Peter zdobywa podstawową wiedzę o szympanmach odgłosach i wyrazach twarzy. Dowiaduje się o hukaniu, chrząkaniu, szczekaniu, krzykach, odymaniu ust, mlaskaniu oraz licznych funkcjach dyszenia. Odo potrafi być głośny jak wulkan Krakatoa albo cichy jak światło słońca. Nie zna języka migowego, ale nieco zna angielski. Podobnie jak ludzie, wiele wyraża tonem głosu, gestami, mową ciała. Dłonie szympansa również mówią, podobnie jak postawa i ułożenie sierści, a Peter powinien ich słuchać. Całus i uścisk są dokładnie tym – całusem i uściskiem; należy się nimi cieszyć, doceniać je, może odwzajemniać, przynajmniej uścisk. Gdy Odo jest w pełni zadowolony, lekko rozchyła usta i rozluźnia ciało, czemu może towarzyszyć radosny element szympaniego języka, czyli śmiech. Promiennemu spojrzeniu towarzyszy niemal bezgłośnie dyszenie, wolne od drażniącego uszy ludzkiego HA HA HA.

– To złożony język – mówi Bob o szympanim systemie komunikacji.

– Nie mam specjalnych zdolności językowych – wyznaje Peter.

– Niech pan się nie martwi. Zrozumie go pan. Odo się o to postara.

Bob wyjaśnia, że Odo umie korzystać z nocnika, pod warunkiem że nocnik jest na widoku. Szympany muszą dość często załatwiać potrzeby fizjologiczne. Bob przynosi cztery nocniki, które Peter powinien rozstawić na terytorium Odo.

Klatka, w której Odo ma podróżować i spać, nie mieści się do samochodu. Rozkładają ją i chowają do bagażnika. Odo pojedzie na przednim siedzeniu.

W pewnym momencie Peter idzie do toalety, siada na klapie sedesu i chowa głowę w dłoniach. Czy bycie ojcem małego dziecka było podobne do tego? Nie przypomina sobie, żeby czuł się aż tak przytłoczony. Kiedy malutki Ben znalazł się w domu, Peterowi aż kręciło się w głowie. On i Clara nie mieli pojęcia, co robić, ale czy jacykolwiek młodzi rodzice to wiedzą? Wszystko poszło dobrze. Wychowywali Bena z miłością, poświęcali mu uwagę. Nie bali się go. Peter bardzo chce, by Clara mogła być teraz przy nim. Co ja tu robię? – pyta siebie. Przecież to szaleństwo.

Bob i Peter idą na spacer z Odo, co niezmiernie cieszy szympana. Odo szuka owoców, wdrapuje się na drzewa, prosi (stękając i podnosząc ręce, jak dziecko), żeby Peter wziął go na ręce. Ten spełnia prośbę i niesie Odo tak długo, aż zaczyna się zataczać. Odo przywiera do niego wszystkimi kończynami, przez co Peter czuje, jakby dźwigał czterdziestokilową ośmiornicę.

– Jeśli pan chce, mogę panu dać jego obrozę i siedmiometrową smycz, ale to bezcelowe – mówi Bob. – Jeśli wejdzie na drzewo, wciągnie pana jak jo-jo. Gdyby akurat siedział pan na koniu, wciągnąłby pana razem z koniem. Szympany są niewiarygodnie silne.

– Więc jak mam nad nim zapanować?

Bob zastanawia się, po czym mówi:

– Nie chcę być wścibski, ale czy ma pan żonę?

– Miałem – odpowiada spokojnie Peter.

– I jak panował pan nad żoną?

Panować nad Clarą?

– Nie robiłem tego.

– Właśnie. Dogadywaliście się. A jeśli nie, sprzeczyliście się i dochodziliście do porozumienia. Tak samo jest tutaj. Bardzo trudno byłoby panu kontrolować poczynania Odo. Musicie się dogadać. Odo lubi figi. Zawsze może pan go udobruchać figami.

Podczas tej rozmowy Odo buszował w krzakach. Teraz podchodzi i siada na stopie Petera. Odważnie – takie ma wrażenie – Peter wyciąga

rękę i klepie szympansa po głowie.

– Niech pan nie unika kontaktu fizycznego – mówi Bob, klękając obok małpy. – Odo, łaskotki-pieszczotki, łaskotki-pieszczotki?

Szeroko otwiera oczy i zaczyna łaskotać bok szympansa. Po chwili obaj turlają się po ziemi, Bob się zaśmiewa, Odo pohukuje i wrzeszczy z rozkoszy.

– Niech pan się przyłączy! – woła Bob.

Peter i Odo zaczynają się przewalać po ziemi. Szympans jest faktycznie silny jak wół. Co pewien czas podnosi Petera z ziemi, po czym rzuca go znowu.

Po przewalance Peter staje na równe nogi. Włosy ma skołtunione, jeden but spadł, w koszuli brakuje dwóch guzików, kieszeń na piersi się rozdarła; jest pokryty trawą, gałązkami i ziemią. To była żenująco dziecinna przygoda, zupełnie niestosowna dla sześćdziesięciodwuletniego mężczyzny, a zarazem ogromnie podniecająca. Peter czuje, jak jego lęk przed małpą się ulatnia.

– Poradzi pan sobie – mówi Bob, przyglądając się Peterowi.

Kiedy pojawia się Lemnon, pozostaje tylko dopełnić formalności. Peter wręcza dyrektorowi potwierdzenie przelewu, które Lemnon uważnie studiuje. W zamian daje nabywcy rozmaite dokumenty. Jeden z nich, poświadczony przez notariusza z Oklahoma City, głosi, że Peter Tovy jest pełnoprawnym właścicielem samca szympansa, *Pan troglodytes*, imieniem Odo. Inny dokument, od weterynarza dzikich zwierząt, zaświadcza o dobrym stanie zdrowia Odo i zawiera listę odbytych szczepień. Jest też zezwolenie na wywóz, wystawione przez Służbę Połowu i Dzikiej Przyrody Stanów Zjednoczonych. Wszystkie dokumenty mają szacowny, urzędowy wygląd, zaopatrzone są w podpisy i wypukłe pieczęcie.

– Dobrze, to chyba wszystko – mówi Peter.

Lemnon i on nie podają sobie rąk. Nowy właściciel szympansa odchodzi bez słowa.

Bob kładzie na miejscu dla pasażera złożony ręcznik. Potem schyla się i obejmuje Odo. Następnie prostuje się i gestem daje mu znak, żeby wszedł do samochodu. Odo robi to bez wahania i wygodnie sadowi się na fotelu.

Bob ujmuje dłoń szympansa i przysuwa ją sobie do twarzy.

– Do widzenia, Odo – mówi ze smutkiem.

Peter siada za kierownicą i uruchamia silnik.

– Czy powinniśmy zapiąć mu pas? – pyta.

– Czemu nie? – odpowiada Bob i zapina Odo.

Pasek biegnący przez ramię znajduje się na wysokości twarzy szympansa. Bob przesuwając go za jego głowę. Odo nie ma nic przeciwko temu.

Peter czuje narastającą panikę. Nie dam rady. Powinienem to wszystko odwołać. Opuszcza szybę i macha do Boba.

– Do widzenia, Bob. Jeszcze raz dziękuję. Ogromnie mi pan pomógł.

Wyjazd z Oklahoma City trwa dłużej niż droga do miasta. Peter utrzymuje rozsądną prędkość, aby nie niepokoić Odo. Jadąc z Ottawy do Oklahoma City, przeskakiwał od jednego skupiska ludności do drugiego – Toronto, Detroit, Indianapolis, St. Louis, Tulsa – ale w drodze do Nowego Jorku stara się unikać miejskich aglomeracji, również po to, by uchronić szympansa.

Chętnie spędziłby noc w wygodnym łóżku i wziął prysznic, ale jest pewien, że żaden właściciel motelu nie przyjąłby pary w połowie złożonej z małpy. Pierwszej nocy zjeżdża z szosy i zatrzymuje się przy opuszczonym wiejskim domu. Montuje klatkę, ale nie wie, gdzie powinien ją postawić. Na dachu samochodu? W bagażniku? Nieco z boku, na „terytorium” szympansa? W końcu umieszcza otwartą klatkę obok wozu i otwiera okno od strony pasażera. Daje Odo koc, sam zaś mości się na tylnym siedzeniu. Po zmroku szympans, mocno hałasując, wchodzi i wychodzi, kilkakrotnie wskakuje na tylne siedzenie, praktycznie lądując na Peterze, w końcu sadowi się na podłodze w pobliżu. Odo nie chrapie, ale oddycha bardzo donośnie. Peter nie śpi dobrze, nie dlatego, że szympans mu przeszkadza, ale ponieważ wciąż się zamartwia. To jest duże, silne, nieskrępowane zwierzę, nad którym nie ma kontroli. W co ja się wpackowałem?

Inne noce spędzają na skraju pola, na końcu ślepej drogi, w cichych, ustronnych miejscach.

Pewnego wieczoru dokładniej wczytuje się w dokumenty od Lemnona. Wśród nich natrafia na raport zawierający przegląd życia Odo. Szympans został schwytany w Afryce „jako dziecko”. Żadnej wzmianki o ochotniku Korpusu Pokoju. Następnie Odo przebywał w ośrodku NASA o nazwie Holloman Aerospace Medical Center w Alamogordo w stanie Nowy Meksyk. Potem przewieziono go do Państwowego Ośrodka Badań nad Naczelnymi Yerkes w Georgii w Atlantycie, następnie trafił do Laboratorium Medycyny i Chirurgii Eksperymentalnej Naczelnych, w skrócie LEMSIP, w Tuxedo w stanie

Nowy Jork. Wreszcie wylądował u Lemnona w Instytucie Badań nad Naczelnymi. Cóż za odyseja. Nic dziwnego, że Bob nazwał Odo włóczęgą.

Uwagę Petera przykuwają słowa „medyczny”, „biologia”, „laboratorium”, „badania”, a zwłaszcza „medycyna i chirurgia eksperymentalna”. Eksperymentalna? Najpierw zabrano Odo od matki, potem przerzucano go od jednego medycznego Auschwitz do drugiego. Peter zastanawia się, co mogło się stać z matką szympansa. Wcześniej tego dnia, czyszcząc Odo, zauważył na jego piersi tatuaż. Tylko w tym miejscu pod gęstą sierścią można dostrzec ciemną skórę, i właśnie tam, w prawym górnym rogu, natrafił na dwie pomarszczone cyfry – 65 – wyryte na budzącym sprzeciw papierze.

– Co oni ci zrobili? – pyta, patrząc na Odo.

Szympanś przysuwa się i zaczyna czyścić Petera.

Pewnego popołudnia w zielonym Kentucky, po zatankowaniu, Peter jedzie na koniec placu turystycznego za stacją benzynową, żeby mogli się posilić. Odo wychodzi z samochodu i wdrapuje się na drzewo. Początkowo Peter czuje ulgę: ma szympansa z głowy. Potem nie może go skłonić do zejścia na ziemię. Zaczyna się obawiać, że Odo przelezie na sąsiednie drzewo, potem na następne i zniknie. Szympanś jednak siedzi na miejscu, lustrując wzrokiem las, na którego skraju się znalazł. Wygląda na pijanego z radości, bo trafił do liściastego azylu. Szympanś unosi się na morzu zieleni.

Peter czeka. Czas mija. Peter nie ma nic do czytania, nie chce mu się słuchać radia. Ucina sobie drzemkę na tylnym siedzeniu. Myśli o Clarze, o swoim wiecznie rozczarowanym synu, o życiu, które zostawił. Wreszcie idzie na stację benzynową po jedzenie i wodę. Siedząc w samochodzie, zastanawia się nad topografią stacji, ogarnia wzrokiem główny budynek, dawniej w jaskrawych kolorach, teraz wyblakły, połać asfaltu, przyjeżdżające i odjeżdżające samochody osobowe i ciężarówki, ludzi, plac zabaw, skraj lasu, drzewo, gdzie przycupnął Odo, aż w końcu patrzy tylko na Odo.

Szympanś na drzewie nie zauważa nikt oprócz dzieci. Podczas gdy dorośli zajęci są wędrówkami do toalety, tankowaniem aut i karmieniem rodzin, dzieci się rozglądają. Na twarzach pojawiają się uśmiechy. Niektóre maluchy pokazują go rękami i próbują zwrócić uwagę rodziców. Dorośli ograniczają się do przelotnych, niewidzących spojrzeń. Odjeżdżające dzieci machają Odo na pożegnanie.

Pięć godzin później, gdy dzień ma się ku końcowi, Peter wciąż patrzy na szympansa. Odo bynajmniej go nie ignoruje. Ilekroć nie rozprasza go

ruch na stacji benzynowej, szympans patrzy w dół na niego z takim samym swobodnym zainteresowaniem, z jakim przygląda mu się Peter.

Z nadejściem zmroku temperatura nieco spada, ale małpa nadal nie chce zejść z drzewa. Peter otwiera bagażnik, wyjmując swój śpiwór oraz koc Odo. Szympans pohukuje. Peter podchodzi do drzewa i unosi koc. Odo spleza, chwytając koc, wdrapuje się z powrotem na drzewo i opatula się.

Peter zostawia pod drzewem owoce, kromki chleba z masłem orzechowym i pojemnik z wodą. Kiedy całkiem się ściemnia, mości sobie nocleg w samochodzie. Jest wyczerpany. Obawia się, że w nocy Odo ucieknie albo, co gorsza, kogoś zaatakuje. W końcu Peter zasypia z miłą myślą: prawdopodobnie po raz pierwszy od afrykańskiego dzieciństwa Odo śpi pod gwiazdami.

Wczesnym rankiem owoców i kanapek nie ma, pojemnik z wodą został opróżniony do połowy. Kiedy Peter wysiada z auta, Odo schodzi z drzewa i wyciąga ku niemu ręce. Peter siada na ziemi, obejmując się i czyszczą nawzajem. Peter robi Odo śniadanie z mleka czekoladowego i kanapek z pastą jajeczną.

Na kolejnych dwóch stacjach benzynowych powtarza się scenariusz z noclegiem wśród gałęzi. Peter dwukrotnie dzwoni do linii lotniczych, by zmienić rezerwację, za każdym razem dopłacając.

W ciągu dnia, gdy jadą przez Amerykę, raz po raz odwraca głowę i zerka na pasażera, nie mogąc się nadziwić, że podróżuje samochodem w towarzystwie szympansa. Peter wyczuwa, że Odo, zazwyczaj mocno zaabsorbowany krajobrazem, robi to samo: w regularnych odstępach czasu odwraca głowę, zerka na kierowcę, zdumiony, że jedzie samochodem w towarzystwie człowieka. I tak, w nieustannym zadziwieniu i zdumieniu (z odrobiną lęku), zbliżają się do Nowego Jorku.

Gdy metropolia jest już niedaleko, Petera ogarnia zdenerwowanie. Boi się, że Lemnon go oszukał, że na lotnisku Kennedy'ego zatrzymają ich i odbiorą mu Odo.

Szympan, z opuszczoną szczęką, niewzruszenie obserwuje miasto. Zmierzając w stronę lotniska, Peter zatrzymuje samochód na bocznej drodze. Czas na trudne zadanie. Musi wstrzyknąć małpie silny środek uspokajający, sernalyn, przepisany przez weterynarza. Czy Odo zaatakuje w odwecie?

– Patrz! – woła Peter, pokazując palcem.

Odo patrzy. Peter wbija mu w ramię igłę strzykawki. Szympans ledwo zauważa ukłucie i po kilku minutach traci przytomność. Na

lotnisku, z uwagi na charakter bagażu, Peter ma prawo przejść do specjalnej bramki, by wyładować szympansa. Montuje klatkę i z niemałym wysiłkiem umieszcza w niej na kocu bezwładne ciało Odo. Peter nie odchodzi od klatki, trzyma się metalowych prętów. Co będzie, jeśli Odo nie odzyska przytomności? Co on wtedy pocznie?

Klatka zostaje załadowana na wózek i rusza w głąb labiryntu lotniska JFK. Peterowi towarzyszy ochroniarz. Celnik sprawdza wszystkie dokumenty, potwierdza ważność biletu, po czym zabiera Odo. Peter dowiaduje się, że jeśli kapitan wyda zezwolenie, to podczas lotu będzie mógł zachodzić do ładowni i doglądać szympansa.

Pospiesznie się oddala. Kieruje się do myjni, pucuje samochód w środku i na zewnątrz, jedzie do Brooklynu. Potencjalny nabywca okazuje się trudnym człowiekiem, który wyolbrzymia wszystkie niedociągnięcia samochodu oraz umniejsza zalety. Jednak Peter nie na darmo przez prawie dwadzieścia lat zajmował się polityką. Bez słowa wysłuchuje tamtego, po czym powtarza uzgodnioną cenę. Gdy mężczyzna zamierza dalej się targować, Peter mówi:

– W porządku. Sprzedam wóz komu innemu. – Wsiada i uruchamia silnik.

Tamten podchodzi do okna.

– Co to za inny? – pyta.

– Tuż po tym, jak zgodziłem się sprzedać panu, zadzwonił inny chętny. Odmówiłem, bo obiecałem już panu. Tak będzie nawet lepiej, więcej zarobię. – Wrzuca wsteczny i zaczyna się cofać z podjazdu.

– Zaraz, zaraz! Biorę go! – woła mężczyzna i szybko płaci.

Taksówką Peter wraca na lotnisko Kennedy'ego. Pracowników linii lotniczych zadręcza swymi obawami w związku z Odo. Zapewniają go, że nie zapomną załadować szympansa do samolotu; owszem, trafi do najwyższego luku, gdzie panuje odpowiednie ciśnienie i temperatura; nie, nie mieli informacji o tym, że się zbudził; owszem, przejawia wszelkie oznaki życia; nie, teraz Peter nie może go zobaczyć, ale gdy tylko samolot osiągnie wysokość rejsową, dowiedzą się, czy będzie mógł iść do niego.

Godzinę po starcie kapitan udziela zezwolenia i Peter idzie na tył samolotu. Wąskimi drzwiami wchodzi do górnego luku, gdzie pali się światło. Natychmiast dostrzega klatkę, przymocowaną pasami do ściany samolotu. Stoi w pewnym oddaleniu od bagażu pasażerów pierwszej klasy. Peter podbiega do klatki. Z ulgą widzi, jak pierś Odo miarowo podnosi się i opada. Przeciskając rękę między prętami, dotyka ciepłego

ciała. Chętnie wszedłby do klatki, żeby wyczesać Odo, ale linie lotnicze założyły dodatkową kłódkę.

Jeśli nie liczyć wizyt w toalecie czy posiłków, Peter spędza przy klatce resztę lotu. Stewardesy nie mają nic przeciwko temu. Weterynarz uspokajał go, że szympanowi nie można przedawkować sernalynu, więc podczas lotu jeszcze dwukrotnie robi Odo zastrzyk. Bardzo źle się z tym czuje, ale nie chce, by szympan ocknął się w tak hałaśliwym, obcym miejscu. Mógłby wpaść w panikę.

Dość, myśli Peter. Obiecuje sobie nigdy więcej nie narażać Odo na takie stresy. Szympan zasługuje na coś więcej.

Na pół godziny przed lądowaniem stewardesa informuje go, że musi wrócić na miejsce. Peter robi to i momentalnie zasypia.

Kiedy samolot, nieco podskakując, ląduje na lotnisku Portela w Lizbonie, zaspany Peter wygląda przez okno i to on czuje panikę. Serce wali mu młotem. Ciężko oddycha. To wszystko błąd. Po prostu zawrócę. Ale co z Odo? W Lizbonie musi być zoo. Mógłby zostawić klatkę z szympansem przed wejściem. Zwierzęca znajda.

Godzinę po tym, jak pasażerowie zabrali bagaże i wyszli, Peter nadal czeka w hali przylotów. Prawie cały ten czas spędza, płacząc cicho w kabinie toalety, obok taśmy z bagażami. Gdyby tylko była z nim Clara! Ona potrafiłaby go uspokoić. Ale gdyby żyła, przecież w ogóle nie znalazłby się w tak nedorzecznym położeniu.

W końcu odnajduje go mundurowy pracownik lotniska.

– *O senhor é o homem com o macaco?* – pyta.

Peter patrzy na niego, nic nie pojmując.

– *Macaco?* – powtarza tamten, drapie się pod pachami i wydaje odgłos: – U, u, u, u.

– Tak, tak! – potwierdza Peter.

Gdy mijają drzwi dla personelu, pracownik lotniska przyjaźnie zagaduje go po portugalsku. Peter kiwa głową, choć nie rozumie ani słowa. Ponieważ pamięta dawne rozmowy rodziców, wie, że tak właśnie brzmi portugalski: jak zniekształcony żałobny szept.

Na środku hangaru widzi wózek bagażowy, a na nim klatkę. Wokół niej stoi kilku pracowników lotniska. Serce Petera znów uderza szybciej, ale tym razem z radości. Mężczyźni rozmawiają o *macaco* z wyraźnym zaciekawieniem. Odo wciąż jest nieprzytomny. Pracownicy zadają pytania, ale Peter może tylko przepraszająco potrząsać głową.

– *Ele não fala português* – mówi człowiek, który przyprowadził Petera.

Zaczynają rozmawiać na migi.

– *O que o senhor vai fazer com ele?* – pyta drugi mężczyzna, wymachując rękami z dłońmi zwróconymi ku górze.

– Jadę w Wysokie Góry Portugalii – odpowiada Peter.

Palcem zakreśla w powietrzu prostokąt i pokazuje na jego prawy górny róg.

– *A, as Altas Montanhas de Portugal. Lá em cima com os rinocerontes.*

Pozostali się śmieją. Peter potakuje, choć nie wie, co ich tak rozbawiło. *Rinocerontes?*

W końcu tamci biorą się do swoich obowiązków służbowych. Sprawdzają i stemplują jego paszport; dokumenty Odo podpisują, stemplują i rozdzielają: jedna kopia dla Petera, druga dla nich. Gotowe. Jeden z mężczyzn opiera się o wózek bagażowy. Cudzoziemiec i jego *macaco* mogą iść.

Peter blednie. W harmidrze ostatnich dwóch tygodni przeoczył jeden szczegół: jak on i Odo dostaną się z Lizbony w Wysokie Góry Portugalii? Potrzebny im samochód, ale nie poczynił żadnych przygotowań, by go kupić.

Peter wysuwa dłoń. Stop.

– Muszę kupić samochód. – Potrząsa pięściami w górę i w dół, naśladując ruch dłoni na kierownicy.

– *Um carro?*

– Tak. Gdzie mogę jakiś kupić, gdzie? – Pociera kciukiem palec wskazujący.

– *O senhor quer comprar um carro?*

Comprar, to brzmi dobrze.

– Tak, tak, *comprar um carro*. Gdzie?

Mężczyzna przyzywa kolegów i wdają się w dyskusję. Wreszcie piszą coś na kartce i wręczają ją Peterowi. *Citroën*, czyta Peter, jest też adres. Wie, że *citron* to po francusku cytryna. Ma nadzieję, że nie zamierzają go wycisnąć.

– Blisko, blisko? – dopytuje się, zginając palce do siebie.

– *Sim, é muito perto. Táxi.*

Peter pokazuje na siebie, potem w dal i z powrotem.

– Pójdę i wrócę.

– *Sim, sim.* – Tamci kiwają głowami.

Peter szybko wychodzi z lotniska. Przywiózł sporo kanadyjskiej i amerykańskiej gotówki, prócz tego ma czeki podróżne. Do tego kartę

kredytową, dla pewności. Wszystkie pieniądze wymienia na escudo i łapie taksówkę.

Dealer citroëna faktycznie znajduje się niedaleko lotniska. Samochody są dziwaczne, małe i przysadziste. Jeden ma ładną linię, ale jest za drogi i za duży jak na jego potrzeby. W końcu wybiera bardzo podstawowy model, szare autko, które wygląda, jakby sklepano je z puszek po tuńczyku. Nie ma żadnych zbędnych fanaberii, radia, klimatyzacji, oparcie na ręce, automatycznej skrzyni biegów. Nie ma nawet opuszczanych okien. Okna są przedzielone poziomo; dolną połowę podnosi się i przypina do górnej klamerką. Nie ma też twardego dachu ani tylnej szyby, jest tylko solidny brezent, który można odpiąć i zrolować, do tego okno z giętkiego przezroczystego plastiku. Peter otwiera i zamyka drzwi. Auto wydaje się rozklekotane i bardzo prymitywne, ale sprzedawca żarliwie je zachwala, wymachując rękami. Petera frapuje nazwa, która w zasadzie nie jest nazwą – to raczej kod alfanumeryczny: 2CV. Wolałby amerykański wóz. Musi jednak zdobyć samochód, zanim Odo się zbudzi.

Peter przerywa peany sprzedawcy skinieniem głowy – weźmie to auto. Mężczyzna się rozpromienia i kieruje klienta do biura. Tam oglądają międzynarodowe prawo jazdy Petera, wypełniają dokumenty, biorą pieniądze, dzwonią do banku, by sprawdzić kartę kredytową.

Godzinę później jedzie na lotnisko z tymczasowym numerem rejestracyjnym przyklejonym z tyłu. Biegi zmienia się mało wygodnie, przekładnia sterczy prosto z tablicy rozdzielczej, silnik pracuje głośno, samochód trzęsie. Peter parkuje i idzie do hangaru.

Odo ciągle śpi. Peter i pracownik lotniska wiozą klatkę do samochodu i przenoszą szympana na tylne siedzenie. Wtedy pojawia się problem. Klatka, nawet złożona, nie mieści się do ciasnego bagażnika 2CV. Przytroczenie jej do miękkiego dachu nie wchodzi w grę. Trzeba ją zostawić, ale Peter się tym nie przejmuje. Z klatką było tylko zawracanie głowy, a Odo wcale z niej nie korzystał. Pracownik lotniska zgadza się ją wziąć.

Po raz ostatni Peter sprawdza, czy niczego nie zapomniał. Paszport i dokumenty są na miejscu; wyjął mapę Portugalii, bagaż w bagażniku, szympana na tylnym siedzeniu – można ruszać. Tyle że jest wyczerpany, głodny i spragniony. Bierze się w garść.

– Jak daleko jest do Altas Montanhas de Portugal? – pyta.

– *Para as Altas Montanhas de Portugal? Cerca de dez horas* – odpowiada pracownik lotniska.

Używając palców, Peter upewnia się, że dobrze rozumiał. Dziesięć palców, dziesięć godzin. Tamten kiwa głową. Peter wzdycha.

Patrzy na mapę. Podobnie jak w Stanach, postanawia omijać duże miasta. To oznacza oddalenie się od wybrzeża i jazdę przez interior. Za miastem o nazwie Alehandra znajduje się most na Tagu. Dalej mapa obiecuje tak małe miejsciny, że oznaczono je najpośledniejszym symbolem kartograficznym: czarnym kółeczkiem pustym w środku.

Parę godzin później, po krótkim postoju w kafejce w Porto Alto, gdzie posilił się i zaopatrzył w prowiant, nie jest w stanie dłużej utrzymać otwartych oczu. Docierają do przyjemnie zgiełkliwego miasteczka Ponte de Sor. Z utęsknieniem patrzy na hotel; z radością by się tam zatrzymał. Zamiast tego jedzie dalej. Zostawiwszy miasteczko za sobą, skręca w cichą boczną drogę i parkuje w gaju oliwnym. Citroën wygląda jak szara bańka, która lada chwila pęknie i rozleje się po okolicy. Peter zostawia jedzenie dla Odo. Myśli o rozłożeniu śpiwora na przednich siedzeniach, ale znajdują się za daleko od siebie. Nie można ich też odchylić. Zerka na ziemię przy samochodzie. Zbyt kamienista. W końcu przechodzi na tył i przenosi ciężkie ciało Odo na podłogę samochodu. Sam mości się na tylnym siedzeniu w pozycji embrionalnej i szybko zapada w głęboki sen.

Gdy budzi się późnym popołudniem, Odo siedzi obok jego głowy, by nie powiedzieć: na niej. Szympanś patrzy dokoła. Z pewnością zastanawia się, jakiego nowego figla splatali mu ludzie. Gdzie się znajduje? Co się stało z dużymi domami? Peter czuje na głowie ciepło Odo. Wciąż jest zmęczony, ale niepokój dodaje mu wigoru. Czy Odo się zezłości, wpadnie w agresję? Jeśli tak, Peter będzie bezbronny. Powoli się podnosi.

Odo go obejmuje. Peter obejmuje szympanśa. Trwają tak przez kilka sekund. Peter daje Odo wodę, karmi go jabłkami, chlebem, serem i szynką, które znikają w szybkich kęsach.

Na drodze w oddali Peter dostrzega idących w ich stronę ludzi z łopatami i motykami na ramionach. Siada za kierownicą. Odo wskakuje na siedzenie obok. Peter uruchamia silnik. Odo wita warkot pohukiwaniem, ale poza tym siedzi spokojnie. Peter zawraca i jedzie znów do szosy.

Podobnie jak większość emigrantów, jego rodzice opuścili Wysokie Góry Portugalii w biedzie; postanowili, że ich dzieci znajdą w Kanadzie inne, lepsze życie. Odwrócili się plecami do własnych korzeni, jakby tamowali krwawiącą ranę. W Toronto rozmyślnie unikali portugalskich

krajanów. Zmusili się do nauki angielskiego, a synowi i córce nie przekazali ani ojczystego języka, ani kultury. Gorąco namawiali dzieci, by ruszyły w szeroki świat, i poczuli ulgę, gdy żadne z nich nie poślubiło osoby pochodzenia portugalskiego.

Dopiero pod koniec życia, gdy ta inżynieria tożsamościowa odniosła sukces, rodzice nieco złagodnieli, a Peter i jego siostra Teresa mogli ujrzeć w przebłyskach ich dawne życie. Takie przebłyski przybierały postać krótkich historyjek, ilustrowanych rodzinnymi zdjęciami. Padały nazwy, kreślono mglistą geografiją, której centrum znajdowało się w Tuizelo. Stamtąd pochodzili jego rodzice, tam też postanowił zamieszkać z Odo.

Tyle że Peter nie wie nic o Portugalii. Jest Kanadyjczykiem z krwi i kości. Gdy jadą w zapadającym zmierzchu, dostrzega piękno krajobrazu, pracowite wioski. Wszędzie pasą się stada bydła, dziobie drób, stoją ule, dojrzewają winogrona; pola są zaorane, zagajniki schludne. Widzi ludzi niosących na plecach drwa na opał, osły dźwigają pełne kosze.

Noc daje im znak, że czas się położyć. Peter przechodzi na ciasne tylne siedzenie. W środku nocy czuje, że Odo wysiada z auta, ale jest zbyt zaspany, by sprawdzać.

Rano znajduje szympansa śpiącego na brezentowym dachu. Nie budzi go. Zaczyna czytać przewodnik. Dowiaduje się, że osobliwe drzewo, które mijają raz po raz – przysadziste, z grubymi konarami i brunatnym pniem, z którego zgrabnie zdejmują się cenną korę – to dąb korkowy. Odarte z kory fragmenty drzewa mają głęboki rdzawobrazowy pobłysk. Peter ślubuje pić od tej pory tylko wino z korkowanych butelek.

Wizygoci, Frankowie, Rzymianie, Maurowie – byli tu wszyscy. Niektórzy tylko poprzewracali meble i ruszyli dalej. Inni zostali na tyle długo, by zbudować most lub zamek. Na marginesie przewodnika Peter natrafia na „anomalię fauny północnej Portugalii”: nosorożca iberyjskiego. Czy o tym mówił człowiek z lotniska? Ten relikw biologiczny, pochodzący od nosorożca włochatego z wcześniejszych złodowaceń, przetrwał w Portugalii, na kurczących się obszarach, aż do czasów współczesnych. Śmierć ostatniego okazu zanotowano w 1641 roku. Silny, o groźnym wyglądzie, ale zasadniczo przyjacielski – w końcu był roślinożercą, wolno wpadającym w gniew, za to szybko wybacającym – wypadł z głównego nurtu czasu, nie mógł się zaadaptować do coraz mniejszej przestrzeni, wreszcie wyginał, choć

niektórzy po dziś dzień utrzymują, że go widzieli. W 1515 roku portugalski król Manuel I podarował nosorożca iberyjskiego papieżowi Leonowi X. W przewodniku znajduje się reprodukcja drzeworytu Dürera, przedstawiająca tego nosorożca, „błędnie wyposażonego w tylko jeden róg”. Peter przygląda się ilustracji. Zwierzę wygląda okazale, starożytnie, niedorzecznie i ujmująco.

Odo budzi się, gdy Peter szykuje śniadanie na kuchence turystycznej. Kiedy szympanś siada, a tym bardziej gdy staje na dachu samochodu, rozglądając się po okolicy, Petera ponownie uderza niezwykłość całej sytuacji. Gdyby był sam w tym obcym kraju, nie zniósłby tego, umarłby z samotności. Jednak ten dziwny towarzysz odpędza samotność, za co Peter jest głęboko wdzięczny. Mimo to nie potrafi ignorować innego trapiącego go odczucia, które zdaje się wprost roztapiać mu wewnętrznosci: lęku. Nie potrafi wytłumaczyć nagłego przypływu tej emocji. Nigdy nie doświadczał ataków paniki, ale może właśnie tak wyglądają. Lęk przenika go na wskroś, otwiera mu wszystkie pory, sprawia, że oddech przyspiesza i staje się płytszy. Potem Odo złazi z auta, przychodzi na czworakach, przyjaźnie usposobiony siada, by przyjrzeć się kuchence, i cały lęk się ulatnia.

Po śniadaniu ruszają w dalszą drogę. Mijają wioski, gdzie widać kamienne domy, brukowane uliczki, śpiące psy i spostrzegawcze osły. W tych cichych miasteczkach widać niewielu mężczyzn, a kobiety – wszystkie w podeszłym wieku – są ubrane na czarno. Peter czuje, że przyszłość dociera do tych osad jak noc, cicho i bez zaskoczenia; każde pokolenie jest podobne do poprzedniego i kolejnego, tylko ludzi coraz mniej.

Wczesnym popołudniem docierają – według mapy – do Wysokich Gór Portugalii. Powietrze jest tu chłodniejsze. Peter patrzy ze zdumieniem. Gdzie są góry? Nie spodziewał się strzelistych ośnieżonych alpejskich szczytów, nie oczekiwał też jednak pofalowanej jałowej sawanny, z lasami skrytymi w dolinach, bez śladu szczytów górskich. Razem z Odo przecinają równiny zawałone wielkimi szarymi głazami, samotnie tkwiącymi w trawie. Niektóre sięgałyby pierwszego piętra. Może dla człowieka stojącego przy głazie przypominają one góry, ale to mocno naciągane porównanie. Głazy fascynują Odo nie mniej niż Petera.

Na końcu krętej drogi, na skraju lasu, w dolinie, pojawia się Tuizelo. Wąskie pochyłe brukowane ulice zbiegają się na placu ze skromną bulgoczącą fontanną pośrodku. Po jednej stronie placu stoi kościół, po

drugiej kawiarnia, która wygląda też na niewielki sklepik i piekarnię. Oba przybytki, każdy oferujący swoje towary, stoją wśród skromnych kamiennych domów z drewnianymi balkonami. Tylko liczne schludne warzywniki są duże, niemal jak pola. Wszędzie widać kury, kozy, owce i leniwe psy.

Izolacja i spokój wioski natychmiast ujmują Petera. W dodatku stąd pochodzili jego rodzice. Wprost nie może uwierzyć. To miejsce i dom w Cabbagetown, w centrum Toronto, gdzie się wychował, dzieli nieskończona odległość. Peter nie ma wspomnień z Tuizelo, skąd rodzice wywieźli go, gdy był malutkim dzieckiem. Mimo to postanawia dać wiosce szansę.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmia.

Odo rozgląda się beznamiętnie.

Jedzą kanapki, popijają wodą. W jednym z warzywników Peter dostrzega grupkę ludzi. Sięga po słownik i kilkakrotnie powtarza kwestię.

– Nie ruszaj się. Siedz w samochodzie – mówi do Odo.

Szympanś siedzi tak nisko na fotelu, że z zewnątrz jest prawie niewidoczny.

Peter wysiada z wozu, macha do ludzi, oni do niego również. Jeden z miejscowych woła coś na powitanie. Peter wchodzi przez furtkę. Każdy z wieśniaków występuje do przodu z uśmiechem, by podać mu rękę.

– *Olá* – mówi za każdym razem Peter. Po zakończeniu ceremonii nieśmiało, powoli recytuje: – *Eu quero uma casa, por favor.* – „Chciałbym dom, jeśli można”.

– *Uma casa? Por uma noite?* – pyta wieśniak.

– *Não* – odpowiada Peter, wertując słownik. – *Uma casa por... viver.* – „Nie, dom do mieszkania”.

– *Aqui, em Tuizelo?* – pyta inny, a na pomarszczonej twarzy pojawia się wyraz zdziwienia.

– *Sim, uma casa aqui em Tuizelo por viver* – potwierdza Peter. – „Tak, dom do mieszkania tu, w Tuizelo”.

Najwyraźniej imigracja jest nieznaną w tych stronach.

– *Meu Deus! O que é aquela coisa?* – wrywa się jednej z kobiet.

Peter domyśla się, że przerażenie w jej głosie nie ma nic wspólnego z jego zamiarem zamieszkania w wiosce. Kobieta patrzy na coś za jego plecami. Odwraca się. Oczywiście, Odo wdrapał się na dach Citroëna i ich obserwuje.

Wieśniacy wydają okrzyki zdumienia i strachu. Jeden z mężczyzn chwyta motykę i nieco ją unosi.

– Nie, nie, on jest przyjacielski – uspokaja ich Peter, pomagając sobie dłońmi. Znow sięga po słownik. – *Ele é... amigável! Amigável!*

Kilkakrotnie powtarza to słowo, próbując uchwycić akcent i wymowę. Potem kieruje się do samochodu. Wieśniacy stoją jak zaczarowani, Odo zdążył już zwrócić uwagę innych. Dwaj mężczyźni przyglądają się mu z kawiarni, jakaś kobieta z progu swego domu, inna z balkonu.

Wcześniej Peter miał nadzieję, że łagodnie wprowadzi Odo w życie wsi, ale to była mrzonka. Zdumienie nie jest stopniowalne.

– *Amigável! Amigável!* – powtarza zwracając się do wszystkich.

Przywołuje Odo, a ten złazi z dachu samochodu i podpierając się rękami, przychodzi z nim do warzywnika. Szympanś postanawia nie wchodzić przez furtkę, ale wskakuje na kamienny mur. Peter staje obok i gładzi Odo po nodze.

– *Um macaco* – wyjaśnia zgromadzonym, by pomóc im pojąć to, co widzą. – *Um macaco amigável.* – „Przyjacielska małpa”.

Wieśniacy wyczekująco wpatrują się w Petera i szympansa. Kobieta, która pierwsza dostrzegła Odo, pierwsza też się rozluźnia.

– *E ele mora com o senhor?* – pyta otwarcie, z pewnym zdumieniem.

– *Sim* – odpowiada, choć nie wie, co znaczy *mora*.

Jeden z wieśniaków uznaje, że ma dość. Odwraca się na pięcie. Stojący obok mężczyzna wyciąga ku niemu rękę, ale wtedy się potyka. W efekcie chwyta towarzysza za rękaw, by nie upaść. Tamten na chwilę traci równowagę, krzyczy, wyrzuca do tyłu ręce, by odepchnąć dłoń tego drugiego, wreszcie odchodzi naburmuszony. Odo natychmiast wyczuwa napięcie, podnosi się na nogi i odprowadza wieśniaka wzrokiem. Stojąc na murze, góruje nad ludźmi w warzywniku. Peter czuje ich niepokój.

– Wszystko w porządku – szepcze do szympansa, lekko pociągając go za rękę. – Wszystko dobrze.

Martwi się. Czy taka błahostka wystarczy, by szympans dostał amoku?

Odo jest daleki od amoku. Siadając na murze, zaczyna pohukiwać pytająco. „Hu, hu, hu”. Kilka twarzy rozjaśnia uśmiech, może dlatego, że odgłos potwierdza stereotyp: małpy naprawdę robią „hu, hu, hu”.

– *De onde é que ele vem? O que é que faz?* – pyta ta sama kobieta.

– *Sim, sim* – potwierdza Peter, choć i tym razem nie wie co. – *Eu quero uma casa em Tuizelo por viver com macaco amigável.*

Tymczasem do grupy dołączają inni wieśniacy, ale stają w pewnym oddaleniu. Odo jest nie mniej zaciekawiony ludźmi niż oni nim. Obraca się na murze, patrzy, nawiązuje kontakt, komentuje cichymi „hu” oraz „aarrhh”.

– *Uma casa...?* – powtarza Peter, głaszcząc małpę.

Zgromadzeni w warzywniku ludzie w końcu reagują na jego prośbę. W rozmowie wieśniaków Peter wychwytuje słowo *casa* oraz coś, co brzmi jak nazwy. Rozmowa zatacza coraz szersze kręgi; jedna z kobiet woła do drugiej, stojącej obok *citroëna*. Wieśniaczka odpowiada i zaczyna się kolejna wymiana zdań. Grupa przy samochodzie i grupa w warzywniku przerzucają się słowami. Obie nie łączą się z oczywistego powodu: rozdziela je furтка, przy której na murze, niczym strażnik, stoi małpa.

Peterowi przychodzi do głowy, że powinien sprecyzować prośbę. Najlepszy byłby dom na skraju wioski. Zagląda do słownika.

– *Uma casa... nas bordas de Tuizelo... nas proximidades!* – woła w kierunku kobiety, która pierwsza powiedziała coś na temat Odo, ale chce, by usłyszeli go wszyscy.

Dyskusja zaczyna się na nowo, aż kobieta, która przystała na rolę jego głównej rozmówczynie, ogłasza werdykt:

– *Temos uma casa que provavelmente vai servir para si e o seu macaco.*

Peter rozumie jedynie *uma casa* oraz *seu macaco*. Dom i twoja małpa. Kiwa głową.

Kobieta uśmiecha się i patrzy znacząco na furtkę. Peter natychmiast wchodzi do warzywnika i szturchańcem daje Odo znak, żeby zszedł z muru. Szympanś ląduje u jego stóp i ruszają w stronę samochodu. Grupa z warzywnika podchodzi do furtki, wieśniacy stojący wokół *citroëna* się rozstępują. Peter zwraca się do kobiety i wskazuje w różnych kierunkach. Wieśniaczka pokazuje na prawo, w górę wioski, więc Peter rusza w tamtą stronę, a Odo u jego boku. Ludzie rozstępują się przed nimi, podobnie jak kury i psy. Oprócz kur wszyscy mieszkańcy wioski, zarówno ludzie, jak i zwierzęta, towarzyszą nowo przybyłym. Peter raz po raz się odwraca, by upewnić się, czy idą w dobrą stronę. Krocząca na czele grupy kobieta, około piętnastu kroków za nim, kiwa głową i wskazuje mu kierunek ruchem głowy. I tak, prowadząc wieśniaków, choć w istocie będąc przez nich prowadzonym, Peter i Odo

przemierzają wieś. Odo grzecznie posuwa się obok niego na czworakach, choć jest ogromnie zainteresowany psami i kurami.

W końcu wychodzą z wioski. Brukowana ulica zmienia się w piaszczystą drogę. Za zakrętem przekraczają płytki strumień. Drzewa są tu rzadsze, ich oczom ukazuje się płaskowyż. Po chwili wieśniaczka woła i wyciąga rękę. Dotarli do domu.

Nie różni się od pozostałych we wsi. Kamienna piętrowa konstrukcja w kształcie litery L, z kamiennym murem i bramą, tworzącymi dwa boki odchodzące od L, tak że w sumie jest to dom z zamkniętym podwórzem. Kobieta gestem zaprasza go na to podwórze, ale sama zostaje za bramą, z resztą wieśniaków. Dłonią pokazuje, że na piętro wchodzi się po zewnętrznych kamiennych schodach. Potem wskazuje w kierunku Odo oraz drzwi na parterze. Peter otwiera je; nie mają zamka, widzi jedynie skobel. Bynajmniej go to nie cieszy. Pomieszczenie jest zawałone przedmiotami, a przy tym brudne; wszystko pokrywa kurz. Po chwili dostrzega przytwierdzoną do ściany metalową obręcz i zauważa, że drzwi, które właśnie otworzył, są poziomo przedzielone. Już rozumie. Na parterze znajduje się stajnia, zagroda dla zwierząt. Po drodze widział wiele takich domów, ale dopiero teraz pojmuje ich przeznaczenie. Zwierzęta – owce, kozy, świnie, kury, osły – mieszkają pod właścicielami, dzięki czemu są bezpieczne, a w zimie dostarczają ludziom ciepła. Taki układ wyjaśnia też zewnętrzne schody. Peter zamyka drzwi.

– *Macaco* – mówi pomocnym tonem kobieta zza kamiennego muru.

– *Não* – odpowiada Peter, kręcąc głową, i pokazuje na schody.

Wieśniacy kiwają głowami. Cudzoziemiec chce, żeby mała mieszkała na górze, tak? Mała lubi wygody?

Peter i Odo wchodzi po kamiennych schodach. Zadaszony drewniany podest jest na tyle duży, że może uchodzić za balkon. Peter otwiera drzwi, również pozbawione zamka. Najwyraźniej w Tuizelo nie słyszano o włamaniach.

Piętro bardziej przypada mu do gustu. Ma wiejski klimat, ale się nada. Kamienną podłogę łatwo się myje, a ponieważ jest mało mebli, mniej ich ulegnie zniszczeniu. Bardzo grube ściany są nierówno pobielone, ale czyste; przypominają mapę Wysokich Gór Portugalii. Rozkład mieszkania jest prosty. Drzwi otwierają się na główny pokój, gdzie widać stół, cztery krzesła, półki wbudowane w ściany i żelazny piecyk. Na jednym boku pokoju, u szczytu L, znajduje się kuchnia ze sporym zlewem, kuchenką na propan i półkami. Po drugiej stronie

salonu, za otworem drzwiowym bez drzwi, Peter znajduje dwa pokoje w amfiladzie, wyznaczające dół L. W pierwszym pokoju stoi szafa z lustrem upstrzonym plamami od starości. W następnym jest łóżko z materacem, który pamięta lepsze czasy, komoda oraz łazienka z umywalką i zakurzoną toaletą. Nie ma pryszniczka ani wanny.

Peter wraca do salonu, przyglądając się dolnej części ścian. Patrzy na sufity. Nigdzie nie dostrzega gniazdek elektrycznych ani oświetlenia. W kuchni upewnia się, że tak jak myślał, nie ma lodówki. Nie ma też gniazdka telefonicznego. Wzdycha. Odkręca kurek nad zlewem w kuchni. Ciszy nie zakłóca szum wody. Dwa okna są wybite. Wszystko pokrywa kurz i brud. Peter czuje przypływ znużenia. Z kanadyjskiego senatu, gdzie otaczały go wszystkie zdobycze cywilizacji dostępne w stolicy, do tej nory z czasów jaskiniowych na krańcu świata. Z przytulnego gniazda, pełnego krewnych i przyjaciół, do miejsca, gdzie jest obcy i nie zna języka.

Przed kompletnym załamaniem ratuje go Odo. Szympanś jest najwyraźniej zachwycony nowym lokum. Z przejęciem pohukując, galopuje po mieszkaniu i kiwa głową. Peter zdaje sobie sprawę, że po raz pierwszy w swoim dorosłym życiu Odo widzi mieszkanie, które nie jest klatką. Musi być znacznie większe i przestronniejsze niż wszystko, co do tej pory znał. I lepsze niż samochody, w których spędził ostatni tydzień. Może wcześniej myślał, że zamienił życie w wiszącej klatce na życie w klatce na kołach. Według standardów szympansa w niewoli, ten dom to hotel Ritz.

W dodatku dobrze oświetlony: we wszystkich ścianach są okna. Żarówką będzie słońce. Pomysł oświetlania wnętrza świecami i lampionami ma swój urok i sprzyja to oszczędności. A skoro zainstalowano hydraulikę, kiedyś musiała być bieżąca woda, którą z pewnością da się przywrócić.

Peter podchodzi do jednego z okien wychodzących na podwórze i je otwiera. Wieśniacy czekają cierpliwie za murem. Z uśmiechem do nich macha. Jak jest po portugalsku „dobry”? Zagląda do słownika.

– *A casa é boa, muito boa!* – krzyczy.

Wieśniacy uśmiechają się i biją brawo.

Odo staje obok niego przy oknie. Z przejęciem mówi to samo co Peter, tyle że we własnym języku. I dla Petera, i dla wieśniaków brzmi to jak gromki wrzask. Ludzie za murem się kulą.

– *Macaco... macaco...* – Szuka słowa. – *Macaco... é feliz!*

Na dole kolejny aplauz, co potęguje radość Odo. Wydając pierwotny okrzyk szczęścia, wyskakuje przez okno. Zaniepokojony Peter wychyla się, wyciągając ręce, i patrzy w dół. Nigdzie nie widzi szympansa. Wieśniacy wydają zdumione ochy i achy. Spoglądają w górę.

Peter zbiega po schodach i dołącza do ludzi. Odo chwycił za krawędź łupkowatego dachu i odpychając się od kamiennej ściany, wdrapał się na szczyt domu. Z bezbrzeżną rozkoszą patrzy stamtąd na ludzi, na pobliskie drzewa, na szeroki świat dokoła.

Peter uznaje, że nadeszła odpowiednia chwila, by zakończyć sprawy z wieśniakami. Przedstawia się przywódczyni. Kobieta nazywa się Amélia Duarte i mówi, żeby zwracał się do niej dona Amélia. Daje jej do zrozumienia, że chętnie zamieszka w tym domu (Czyj to dom? – zastanawia się. Co się stało z poprzednimi mieszkańcami?). Łamanym portugalskim wypytuje o okna, wodę, wysprzątanie domu. Na wszystko dona Amélia energicznie kiwa głową. Wszystko się załatwi, zapewnia. Raz po raz macha ręką. *Amanhã, amanhã*. „Za ile?”. Ta sama odpowiedź: „Jutro, jutro”.

– *Obrigado, obrigado, obrigado* – mówi do wszystkich Peter.

Odo wywrzaskuje tę samą wdzięczność. W końcu, gdy Peter uściśnił każdemu rękę, wieśniacy się rozchodzą, ze wzrokiem skierowanym na dach domu.

Peter rozpoznaje już, że Odo siedzi w rozluźnionej pozycji: rozstawione stopy, przedramiona na kolanach, dłonie zwisają między nogami, oczy patrzą dokoła badawczo. Po odejściu wieśniaków, widząc, że szympans wciąż siedzi, zadowolony, Peter rusza po samochód.

– Niedługo wrócę! – woła do Odo.

Po powrocie wypakowuje nieliczne bagaże. Potem, używając sprzętu turystycznego, szykuje wczesną kolację. Znajduje wiadro i idzie do fontanny po wodę.

Nieco później woła szympansa. Odo nie przychodzi, więc Peter podchodzi do okna. Wtedy pojawia się głowa małpy, skierowana w dół. Odo zwisa z zewnętrznej ściany domu.

– Kolacja gotowa – mówi Peter i pokazuje mu garnek z gotowanymi kartoflami i jajkami.

Jedzą w pełnym zadumy milczeniu. Potem Odo znów daje susa za okno.

Nieufny wobec starego materaca, Peter rozkłada karimatę i śpiwór na stole w kuchni.

A potem nie ma co robić. Po trzech tygodniach – czy może całym życiu? – nieustannego rozgardiaszu nie ma co robić. Tasiemcowe zdanie, zakotwiczone w solidnych rzeczownikach, z niezliczonymi zdaniami podrzędnymi, przymiotnikami i przysłówkami, z odważnymi spójnikami prowadzącymi zdanie w nowym kierunku – obok nieoczekiwanych wtrąceń – wreszcie dotarło do zadziwiająco cichej kropki. Przez godzinę siedząc na półpiętrze, z kubkiem kawy, zmęczony, ale z niejaką ulgą, lekko niespokojny, kontempluje tę kropkę. Co przyniesie następne zdanie?

Peter mości się w śpiworze na stole. Odo do zmroku pozostaje na dachu, potem wchodzi przez okno; jego sylwetka rysuje się w świetle księżyca. Z zadowoleniem chrząka, gdy widzi, że cały materac w sypialni ma dla siebie. Po chwili w domu zapada cisza. Peter zasypia, wyobrażając sobie, że Clara leży u jego boku.

– Chciałbym, żebyś tu była – szepcze do żony. – Chyba polubiłabyś ten dom. Urządzilibyśmy go ładnie, wstawilibyśmy kwiaty, rośliny. Kocham cię. Dobranoc.

Rano przed domem stoi delegacja: wczorajsza ekipa z doną Amelią na czele. Ludzie, uzbrojeni w wiadra, mopy i szmaty, a także młotki i klucze francuskie, są zdecydowani doprowadzić dom do porządku. Gdy zabierają się do pracy, Peter chce pomóc, ale kręcąc głowami i odpędzają go. Zresztą musi się zająć szympansem. W obecności Odo wieśniacy są nerwowi.

Peter i Odo idą na spacer, śledzeni przez wszystkie oczy ludzkie i zwierzęce. Spojrzenia nie są bynajmniej wrogie; za każdym razem towarzyszy im pozdrowienie. Peter ponownie zdumiewa się bogactwem warzywników. Rzepy, kartofle, cukinie, tykwy, pomidory, cebula, kapusta, kalafiory, jarmuż, sałata, pory, słodka papryka, fasolka szparagowa, marchew, poletka ryżu i kukurydzy – to hodowla przydomowa na poważną skalę. W jednym z warzywników Odo wyrywa główkę sałaty i pożera. Peter przywołuje go, klaszcząc w dłonie. Szympanś jest głodny, podobnie jak on.

Stają przed kawiarnią. Patio świeci pustkami. Peter nie chce ryzykować i wchodzić do środka, ale przecież mogą ich obsłużyć na dworze. Zagląda do słownika, po czym zatrzymuje się przy stoliku. Zza lady wyłania się mężczyzna o czujnych, szeroko otwartych oczach, ale przyjaźnie usposobiony.

– *Como posso servi-lo?* – pyta.

– *Dois sanduíches de queijo, por favor, e um café com leite* – recytuje Peter.

– *Claro que sim, imediatamente* – odpowiada mężczyzna.

Poruszając się ostrożnie, wyciera stolik obok Petera, który uznaje to za zaproszenie.

– *Muito obrigado* – mówi.

– *Ao seu serviço* – odpowiada tamten i wraca do kawiarni.

Peter siada. Spodziewa się, że Odo zostanie na ziemi, ale szympanś nie odrywa wzroku od metalowego krzesła stojącego obok Petera. Po chwili wdrapuje się na nie, zerka na ziemię, kołysze krzesłem, uderza w oparcie, słowem bada przeznaczenie i możliwości tego osobliwego przedmiotu. Peter patrzy w głąb kawiarni, skąd przyglądają im się inni goście. Na dworze zbiera się krąg gapiów.

– Spokojnie, spokojnie – szepcze do Odo.

Przysuwa się do szympanśa i wykonuje kilka gestów czesania, ale Odo bynajmniej nie zdradza napięcia czy niepokoju. Przeciwnie, promienna twarz i żywe zaciekawienie świadczą o znakomitym humorze. To zebrani ludzie wymagają towarzyskiego wyczesania, by tak rzec.

– *Olá, bom dia* – odzywa się Peter.

Gapie odwzajemniają pozdrowienie.

– *De onde o senhor é?* – pyta jeden z mężczyzn.

– Jestem z Kanady – odpowiada Peter.

Pomruki aprobaty. Wielu Portugalczyków wyemigrowało do Kanady. To dobry kraj.

– *E o que está a fazer com um macaco?* – pyta jakaś kobieta.

Co robi z małpą? Na to pytanie Peter nie zna odpowiedzi ani po angielsku, ani po portugalsku.

– *Eu vive con ele* – mówi po prostu.

„Żyję z nim”. Tylko tyle potrafi powiedzieć.

Właściciel kawiarni przynosi zamówienie. Czujny jak matador, stawia kawę i dwa talerze jak najdalej od szympanśa.

Odo chrumka donośnie, chwytając obie kanapki i pożera, ku uciesze wieśniaków. Peter też się uśmiecha.

– *Outro dois sanduíches, por favor* – zwraca się do mężczyzny. Przypomniawszy sobie, że kawiarnia pełni też funkcję sklepu, dodaje: – *E, para o macaco, dez...* – Dłońmi pokazuje podłużny kształt i obieranie.

– *Dez bananas?* – pyta Portugalczyk.

Na szczęście słowo jest to samo.

– *Sim, dez bananas, por favor.*

– *Como desejar.*

Jeśli widok Odo pochłaniającego obie kanapki rozbawił wieśniaków, reakcja szympansa na banany wzbudza jeszcze większą wesołość. Peter sądził, że kupuje zapas bananów na kilka dni, ale się mylił. Na widok bananów Odo chrząka ekstatycznie i zaczyna je kolejno pożerać, odrzucając skórki. Zjadłby też dwie nowe kanapki, gdyby Peter nie zdążył w porę chwycić jednej. Aby popić posiłek, szympanś wychyla kawę Petera, wcześniej wsadzając do niej palec, żeby sprawdzić temperaturę. Po wylizaniu filiżanki chwyta ją w usta i zaczyna się nią bawić jak dużą miętówką.

Wieśniacy uśmiechają się i śmieją. Należący do cudzoziemca *macaco* jest zabawny! Peter się cieszy. Odo pozyskuje sympatię miejscowych.

W apogeum rozbawienia – Peter sądzi, że w ten sposób szympanś chce pokazać, że w pełni uczestniczy w ogólnej zabawie – Odo chwyta filiżankę, staje na krześle i z głośnym okrzykiem ciska ją na ziemię. Filiżanka rozpryskuje się na kawałki.

Wieśniacy zamierają. Peter w przeproszającym geście wyciąga rękę do właściciela kawiarni.

– *Desculpe* – mówi.

– *Não há problema.*

Zwracając się do szerszej publiczności, Peter dodaje:

– *Macaco amigável é feliz, muito feliz.*

Amigável i *feliz*, ale z zębami. Peter płaci, dorzucając napiwek, po czym obaj odchodzą, a tłum ostrożnie rozstępuje się przed nimi.

Po powrocie na skraj wioski zastają odmieniony dom. Okna są naprawione; hydraulika działa; w kuchni stoi nowa butla z gazem; wszystko lśni czystością; garnki, patelnie, talerze i sztucce – zużyte, poszczerbione i zdekompletowane, ale w pełni zdatne do użytku – leżą na półkach kuchennych; na łóżku nowy materac, czysta pościel, dwa wełniane koce, do tego kilka złożonych ręczników; na stole w salonie dona Amélia stawia wazon pełen jaskrawych kwiatów.

– *Muito obrigado.* – Peter przykładą dłoń do serca.

– *De nada* – mówi dona Amélia.

Obopólna niezręczność związana z kosztami szybko znika. Peter pociera kciukiem o palec wskazujący, pokazuje na butlę z gazem, sprzęty kuchenne i sypialnię. Potem sprawdza w słowniku słowo „wynajmować”; brzmi dziwnie: *aluguel*. Za każdym razem dona Amélia wymienia kwotę wyraźnie zmieszana i za każdym razem Peter jest

przekonany, że zaniżyła koszty trzy- lub czterokrotnie. Natychmiast się zgadza. Dona Amélia daje mu do zrozumienia, że chętnie zajmie się jego praniem i że raz w tygodniu może przyjść i posprzątać. Peter się waha. Nie ma tu wiele do sprzątnięcia, a poza tym co on innego ma do roboty? Po chwili jednak idzie po rozum do głowy. Kobieta będzie jego łączniczką z resztą wioski. Co jeszcze ważniejsze, będzie łączniczką Odo, jego ambasadorką. Przychodzi mu też na myśl, że mieszkańcy Tuizelo raczej nie są bogaczami. Zatrudniając donę Amélie, wpompuje w wioskę trochę gotówki.

– *Sim, sim* – mówi. – *Quanto?*

– *Amanhã, amanhã* – odpowiada z uśmiechem dona Amélia.

Teraz czas na kolejny punkt. Peter musi ogarnąć sprawy swoje i Odo. Powinien założyć konto w banku, załatwić telegraficzne przekazywanie wiadomości z Kanady, zmienić tablice rejestracyjne samochodu z tymczasowych na stałe. Gdzie jest najbliższy bank?

– Bragança – mówi dona Amélia.

– Telefon? – pyta Peter. – *Aqui?*

– *Café. Senhor Álvaro* – odpowiada i podaje mu numer.

Bragança znajduje się około godziny drogi od Tuizelo. Co powinno go bardziej niepokoić: zabranie szympansa do miasta czy zostawienie go tutaj? Te sprawy urzędowe trzeba załatwić. Tak czy owak, w wiosce czy w mieście, nie zapanuje nad Odo. Musi liczyć na współpracę szympansa. Może mieć tylko nadzieję, że Odo nie oddali się zbyt daleko od domu i nie wpakuje się w kłopoty.

Dona Amélia i pomocnicy odchodzą.

– Zostań, zostań, niedługo wrócę – mówi Peter do Odo, który jest zafrapowany szczeliną w kamiennej podłodze.

Wychodzi z domu i zamyka drzwi, choć wie, że Odo bez trudu może je otworzyć. Wsiada do samochodu i odjeżdża. W lusterku wstecznym widzi, że szympans wspina się na dach.

W Bragançie kupuje świece, lampiony, naftę, mydło, jedzenie – między innymi mleko w kartonach, którego nie trzeba przechowywać w lodówce – rozmaite przedmioty domowego i osobistego użytku; załatwia też sprawy w banku. Tablicę rejestracyjną przysła pocztą, odbierze w kawiarni.

Z poczty w Bragançie dzwoni do Kanady. Ben cieszy się, że ojciec bezpiecznie dotarł na miejsce.

– Jaki jest twój numer? – pyta.

– Nie mam telefonu – odpowiada Peter. – Mogę ci podać numer do kawiarni w wiosce. Jeśli zostawisz tam dla mnie wiadomość, oddzwonię.

– Co znaczy, że nie masz telefonu?

– To, co słyszysz. Nie mam w domu telefonu. Ale jest w kawiarni. Zapisz numer.

– Masz bieżącą wodę?

– Tak. Zimną, ale bieżącą.

– Świetnie. A prąd?

– Cóż, prawdę mówiąc, nie mam.

– Mówisz poważnie?

– Tak.

W słuchawce zapada cisza. Peter wyczuwa, że Ben oczekuje jego wyjaśnień, usprawiedliwień, samoobrony. Ale on milczy. Syn postanawia więc kontynuować.

– Co z drogami? Mają asfalt?

– Brukowane. Jak praca? Jak Rachel? Co słychać w starej dobrej Ottawie?

– Dlaczego to robisz, tato? Co tam robisz?

– To miłe miejsce. Twoi dziadkowie stąd pochodzą.

Ojciec i syn kończą rozmowę z wdziękiem ludzi, którzy uczą się tańczyć na szczydach. Obiecują sobie, że wkrótce się zdzwonią, w nadziei, że zdołają pogadać swobodniej niż teraz.

Rozmowa z siostrą, Teresą, przebiega bardziej naturalnie.

– Jaka jest ta wioska? – pyta siostra. – Czujesz się tam jak w domu?

– Nie, bo nie znam języka. Ale jest cicho, wiejsko... przyjemna egzotyka.

– Odnalazłeś dom rodzinny?

– Nie. Dopiero się oswajam. Kiedy stąd wyjechaliśmy, miałem dwa lata. Chyba to dla mnie bez znaczenia, czy przyszedłem na świat w tym czy w innym domu. To tylko dom.

– No dobrze, panie sentymentalny, a co z tłumami dawno niewidzianych kuzynek?

– Wciąż siedzą w ukryciu, czają się do skoku.

– Benowi chyba by pomogło, gdybyś przybliżył mu to miejsce. Wiesz, powiedz mu, że podlewasz drzewo genealogiczne, dbasz o korzenie. Twój wyjazd zupełnie zbił go z tropu.

– Postaram się.

– Jak sobie radzisz z brakiem Clary? – pyta siostra łagodniejszym tonem.

- Mówię do niej, jakby siedziała w mojej głowie. Clara tam teraz żyje.
- Dbasz o siebie? Jak pikawa?
- Pika.
- Miło mi to słyszeć.

Gdy wraca do Tuizelo, Odo wciąż siedzi na dachu. Na widok samochodu głośno pohukuje i błyskawicznie pędzi na dół. Wita Petera długim pohukiwaniem i wlecze zakupy do domu, kołysząc się na boki. Zawartość toreb wysypuje się po drodze. Peter zbiera wszystko i znosi do środka.

Porządkuje kuchnię. Stół w salonie przesuwają na dogodniejsze miejsce, to samo robi z łóżkiem w sypialni. Odo cały czas przygląda mu się, w całkowitej ciszy. Petera ogarnia lekkie zdenerwowanie. Musi przywyknąć do szympansiego spojrzenia, które lustruje okolicę niczym światło latarni morskiej, oślepiające Petera unoszącego się na falach. Wzrok Odo jest progiem, którego nie potrafi przekroczyć. Zastanawia się, o czym myśli szympans i w jakich kategoriach. Może Odo nurtują podobne pytania na jego temat? Może szympans też postrzega go jako próg. Jednak Peter w to wątpi. Najpewniej on stanowi dla niego kuriozum, wybryk natury, ubraną małpę, która krąży po świecie, hipnotycznie przyciągana do Odo.

Gotowe. Wszystko na swoim miejscu. Peter rozgląda się po domu. Znowu czuje, że dotarł do końca zdania. Kręci się niespokojnie, patrzy w okno. Jest późne popołudnie, a pogoda chyba się psuje. Nieważne.

- Chodźmy zbadać okolicę – mówi do Odo, chwytając plecak i ruszają.

Chcąc uniknąć natarczywych spojrzeń wieśniaków, skręcają w drogę na płaskowyż, aż Peter znajduje ścieżkę wiodącą z powrotem w las. Odo idzie na czworakach, zatacza się, ale sunie bez trudu, z głową zwieszoną tak nisko, że od tyłu wygląda, jakby jej nie miał. Gdy zagłębiają się w las, szympansa ogarnia podniecenie na widok wielkich dębów, skupisk lip, wiązów, topoli i sosen, licznych krzaków i zarośli, gęstwin paproci. Pędzi do przodu.

Peter idzie miarowym tempem, przeganiając Odo, gdy ten się ociąga. Potem szympans przyspiesza i znów go wyprzedza. Za każdym razem dotyka Petera – nic agresywnego, ot, klepięcie w nogę, jako potwierdzenie „Dobrze, dobrze, jesteś tu”. Potem szympans znowu przystaje i Peter go wymija. Innymi słowy, Peter idzie przez las, a Odo skacze.

Odo plądruje. Bob z ośrodka wspominał, że jeśli tylko szympans dostanie szansę, będzie plądrował spiżarnię przyrody w poszukiwaniu

pędów, kwiatów, owoców, owadów, wszystkiego, co nadaje się do jedzenia.

Zaczyna padać. Peter znajduje sporą sosnę i chroni się pod nią. Drzewo nie całkiem osłania od deszczu, ale Peter nie martwi się tym, bo zabrał nieprzemakalne poncho. Teraz zakłada je i siada na warstwie sosnowych igieł, oparty plecami o drzewo. Cierpliwie czeka na Odo. Gdy dostrzega szympansa biegnącego ścieżką, woła go. Odo zatrzymuje się i podnosi wzrok. Jeszcze nigdy nie widział poncho, nie rozumie, co się stało z ciałem Petera.

– Chodź, chodź! – przywołuje go Peter.

Odo przysiada nieopodal. Deszcz najwyraźniej mu nie przeszkadza, ale Peter wyjmuje z plecaka drugie poncho, a robiąc to, unosi własne. Odo szczerzy zęby w uśmiechu. „A, to tam jest reszta ciebie!”. Przysuwa się do Petera, on zaś wkłada szympansowi przez głowę poncho. Spod materiału wyzierają teraz dwie bezcielesne twarze. Sosna wznosi się nad nimi stożkowato, jak tipi; gałęzie kawałkują przestrzeń. Sosnowy zapach odurza. Człowiek i małpa siedzą, patrzą na deszcz i jego liczne przejawy: krople pęcznieją na końcach igieł jakby w zamyśleniu, zanim spadną; strużki wody łączą się, tworząc kałuże; znikają wszelkie odgłosy, prócz szumu deszczu; powstaje ciemny, wilgotny świat zieleni i brązu. Dziwi ich widok przebiegającego dzika. Siedzą wsłuchani w dyszącą ciszę lasu.

Gdy wracają do domu, jest już prawie ciemno. Peter znajduje zapalki i zapala świeczkę. Zanim kładzie się spać, rozpala w piecu mały ogień.

Nazajutrz budzi się wcześnie. W nocy Odo przez pewien czas kręcił się przy zajętych teraz materacu w sypialni, po czym się oddalił. Szympans woli spać sam, za co Peter jest mu wdzięczny. Rusza na poszukiwania i znajduje małpę w sąsiednim pokoju, śpiącą smacznie na szafie, na pościeli z ręczników i ubrań, z jedną ręką między nogami, drugą pod głową.

Idzie do kuchni i stawia na ogniu duży sagan wody. Poprzedniego dnia natrafił na płytką kwadratową metalową miskę o powierzchni niespełna metra kwadratowego, ze żłobkowanym dnem. Klucz do higieny w domu bez wanny. Gdy woda się grzeje, goli się, po czym wchodzi do miski i się myje. Woda chlapie na kamienną podłogę. Będzie musiał poćwiczyć ablucje w misce. Wyciera się i ubiera, sprząta. Teraz śniadanie. Woda na kawę. Może Odo zje owsiankę? Wsypuje płatki do garnka, zalewa mlekiem, stawia na kuchence.

Gdy odwraca się, by wziąć kawę, zaskakuje go widok Odo w drzwiach kuchni. Od jak dawna tam kuca i mu się przygląda? Szympans porusza

się bezgłośnie. Kości mu nie trzeszczą, nie ma szponów ani kopyt, które by stuknęły. Peter musi przywyknąć do wszechobecności Odo w domu. Uświadamia sobie jednak, że sprawia mu ona przyjemność. O wiele bardziej woli towarzystwo Odo niż samotność.

– Dzień dobry – mówi.

Szympanś wdrapuje się na kuchenny blat i siada tuż obok kuchenki, nic sobie nie robiąc z płomieni. Woda na kawę także go nie obchodzi. W centrum uwagi znajduje się garnek z owsianką. Kiedy zaczyna wrzeć, Peter zmniejsza ogień i miesza płatkami drewnianą łyżką. Szympanś zaciska wargi. Wyciąga rękę, ujmując łyżkę, po czym zaczyna mieszać starannie, nie wylewając owsianki ani nie przewracając garnka. Łyżka krąży, składniki się łączą. Odo podnosi wzrok na Petera.

– Dobrze ci idzie – szepcze Peter i kiwa głową.

Płatki owsiane są duże i surowe. Peter i Odo przez kwadrans patrzą, jak owsianka gęstnieje, zafascynowani chemią spożywczą. Dokładnie rzecz biorąc, patrzą przez szesnaście minut. Jako sumienny, lecz pozbawiony polotu kucharz, Peter ściśle trzyma się instrukcji. Kiedy dorzuca posiekane orzechy włoskie i rodzynki, Odo przypomina ucznia czarnoksiężnika, który zauroczony patrzy, jak jego pan demonstruje składniki magicznego wywaru. Odo miesza cierpliwie. Oznaki zniecierpliwienia zdradza dopiero, gdy Peter gasi ogień i zakrywa garnek pokrywką, żeby owsianka ostygła. Prawa termodynamiki to dla szympanśa zawracanie głowy.

Peter nakrywa do stołu. Jeden banan dla niego, osiem dla Odo. Dwa kubki kawy z mlekiem, po łyżeczce cukru w każdej. Dwie miski owsianki. Łyżka dla niego, pięć palców dla Odo.

Śniadanie przebiega w niezwykle miłej atmosferze. Przez pewien czas słychać tylko mlaskanie, oblizywanie palców i pomruki zadowolenia. Odo łąpie na miskę Petera, ale ten przyciska ją mocno do piersi. Jutro nasypie do garnka więcej płatków. W końcu myje naczynia i odkłada miski oraz garnek.

Z sypialni przynosi zegarek. Nie ma jeszcze ósmej. Zerka na stół w salonie. Żadnych sprawozdań do przeczytania, listów do napisania, zero dokumentów. Nie ma spotkań, które trzeba zorganizować albo w nich uczestniczyć, żadnych pilnych spraw ani szczegółów do dopracowania. Żadnych telefonów ani osób, z którymi należy się zobaczyć. Żadnego programu, harmonogramu, planu. Dla człowieka pracy – zupełnie nic.

Po cóż więc pilnować czasu? Peter odpina zegarek. Już wczoraj zauważył, że świat ma swój własny zegar. Ptaki oznajmiają świt i zmierzch. Do tego dochodzą kuranty owadów – odgłosy cykad przenikliwe jak wiertło dentystyczne, żabie trele. Kościelny dzwon jest również pomocny w odmierzaniu kolejnych godzin. Wreszcie sama Ziemia jest wirującym zegarem; każda ćwiartka doby charakteryzuje się innym światłem. Zgodność tych licznych wskazówek minutowych jest jedynie przybliżona, ale co przyjdzie Peterowi z dokładnego odmierzania czasu? Jeśli zajdzie taka potrzeba, strażnikiem minut może być senhor Álvaro z kawiarni. Peter odkłada zegarek na stół.

Patrzy na Odo. Szympons podchodzi do niego. Peter siada na podłodze i zaczyna go wyczesywać. W rewanżu Odo skubie jego włosy, kłaczki wełny na swetrze, guziki koszuli, wszystko, co da się skubać. Peter przypomina sobie radę Boba, żeby rozkruszyć sobie na głowie suchy liść, by szympans miał co czyścić.

Czesanie zbija Petera z pantałyku. Szympons jest tak nieznacznie obcy; stanowi jego podobieństwo, a zarazem nie. Od jego ciała bije ciepło; Peter czuje na palcach bicie szympansiego serca. Jest urzeczony.

Gdy tak wydlubuje z sierści Odo nasionka, ziemię, skrawki zeschniętej skóry, jego umysł cofa się do przeszłości. Po chwili jednak przeszłość zaczyna go nudzić. Z wyjątkiem Clary, Bena i Rachel, przeszłość jest zamknięta, niewarta uwagi. Jego życiem zawsze rządził przypadek. Co nie znaczy, że nie korzystał z każdej nadarzającej się okazji, ale nigdy nie przyświecał mu nadrzędny cel. Praca w kancelarii adwokackiej sprawiała mu radość, ale gdy otworzyły się możliwości w polityce, skwapliwie z nich skorzystał. Peter wolał ludzi od papieru. Sukces wyborczy należałoby raczej uznać za łut szczęścia, widział bowiem niemało dobrych kandydatów, którzy przepadali, i wielu miernych, którzy wygrywali, w zależności od tego, jak akurat powiał polityczny wiatr. Passa Petera była niezła: dziewiętnaście lat w parlamencie, osiem zwycięstw wyborczych; dbał o potrzeby wyborców. Potem dostał kopa w górę, do Senatu, gdzie w dobrej wierze pracował w komisjach, nie przejmując się gadaniem posłów z izby niższej parlamentu. W młodości nie podejrzewałby, że polityka stanie się jego życiem. Wszystko to zostało teraz zmiecione na bok. Nie ma znaczenia, co kiedyś zrobił – jeśli nie liczyć tego, że przed wielu laty odważył się zaprosić Clare na randkę. Co się tyczy jutra, to pomijając pewne skromne nadzieje, nie ma żadnych planów na przyszłość.

Cóż, skoro więc przeszłość i przyszłość nie nęcą, czemu miałyby nie siedzieć na podłodze, wyczesywać szympana i jemu dawać się wyczesywać? Umysł Petera powraca do chwili obecnej, do bieżącego zadania, do zagadki, której dotyka palcami.

– To powiedz, dlaczego wczoraj w kawiarni rzuciłeś tę filiżankę na ziemię? – pyta, skubiąc ramię Odo.

– Aaaouuhhhh – odpowiada szympan.

Szeroko otwarte usta zamykają się powoli.

Co w języku szympanim znaczy „Aaaouuhhhh”? Peter rozważa różne możliwości.

„Stłukłem filiżankę, żeby bardziej rozbawić ludzi”.

„Stłukłem filiżankę, żeby ludzie przestali się śmiać”.

„Stłukłem filiżankę, bo byłem szczęśliwy i radosny”.

„Stłukłem filiżankę, bo byłem zaniepokojony i nieszczęśliwy”.

„Stłukłem filiżankę, bo jeden człowiek zdjął czapkę”.

„Stłukłem filiżankę z powodu kształtu chmury na niebie”.

„Stłukłem filiżankę, bo chciałem dostać owsiankę”.

„Nie wiem, dlaczego stłukłem filiżankę”.

„Stłukłem filiżankę, bo bla, bla, bla”.

Ciekawe. Obaj mają mózgi i oczy. Obaj posiadają język i kulturę. Mimo to szympan robi coś tak prostego jak ciśnięcie filiżanki na ziemię, a człowiek jest zdumiony. Ludzkie narzędzia zrozumienia – powiązanie widocznego skutku z przyczyną, zasób wiedzy, korzystanie z języka, intuicja – rzucają niewiele światła na zachowanie szympana. Chcąc wyjaśnić, dlaczego Odo robi to, co robi, Peter może polegać jedynie na domysłach i spekulacjach.

Czy fakt, że mały tak naprawdę nie da się poznać, sprawia Peterowi przykrość? Nie sprawia. Tajemnica niesie ze sobą nagrodę, nieustanne zadziwienie. Peter nie ma pojęcia – nie może mieć – czy intencją szympana jest wprawianie go w zadziwienie, ale nagroda jest nagrodą. Przyjmuje ją z wdzięcznością. Nagrody sypią się na niego niespodziewanie. Oto losowa lista:

Odo patrzy na niego.

Odo podnosi go z ziemi.

Odo siada na fotelu w samochodzie.

Odo bada zielony liść.

Odo budzi się na dachu samochodu i siada.

Odo bierze talerz i kładzie go na stole.

Odo przewraca kartkę czasopisma.

Odo opiera się o mur na podwórzu i nieruchomieje.

Odo biegnie na czworakach.

Odo rozłupuje orzech kamieniem.

Odo odwraca głowę.

Za każdym razem w umyśle Petera rozlega się kliknięcie, jakby aparatu fotograficznego, i w jego pamięci utrwała się niezatarty obraz. Ruchy Odo są płynne i precyzyjne, a ich zasięg i siła ściśle dostosowane do intencji. Co więcej, szympanś wykonuje je zupełnie bez skrupowania. Najwyraźniej nie myśli o tym, co robi; po prostu to robi. Czy to ma sens? Dlaczego myślenie – ten koronny atrybut człowieka – czyni nas nieporadnymi? Ale jeśli się nad tym zastanowić, ruchy szympanśa mają swój odpowiednik w świecie ludzkim: przypominają wspaniałą występ wielkiego aktora. Taka sama oszczędność środków, taki sam piorunujący efekt. Jednak gra aktorska jest wynikiem surowych ćwiczeń, mozolnie wypracowanym działaniem. Tymczasem Odo robi to łatwo i naturalnie.

Powiniennem go naśladować, myśli Peter.

Odo czuje – Peter nie ma co do tego wątpliwości. Na przykład pierwszego wieczoru we wsi Peter siedział na podeście schodów. Szympanś był na podwórzu, gdzie badał kamienny mur. Peter wszedł do domu, żeby zaparzyć sobie kawę. Odo najwyraźniej nie zauważył jego odejścia. W ciągu kilku sekund przygalopował na górę i wpadł do środka, szukając Petera i pohukując pytająco.

– Jestem tutaj, jestem – powiedział Peter.

Odo chrząknął z zadowoleniem, a Peter poczuł, jak zalewa go fala uczuć.

To samo wydarzyło się wczoraj, podczas spaceru po lesie: Odo pędził po ścieżce, szukając Petera, wyraźnie naglony potrzebą, by go znaleźć.

Tak dochodzi się do stanu emocjonalnego szympanśa. Ze stanu emocjonalnego rodzą się pewne praktyczne myśli: „Gdzie jesteś? Gdzie się podziałeś? Jak mogę cię znaleźć?”.

Peter nie wie, dlaczego Odo pragnie jego obecności, właśnie jego. To kolejna tajemnica.

„Kocham twoją obecność, ponieważ mnie rozśmieszasz”.

„Kocham twoją obecność, ponieważ traktujesz mnie poważnie”.

„Kocham twoją obecność, ponieważ mnie uszczęśliwiasz”.

„Kocham twoją obecność, ponieważ odpędzasz mój niepokój”.

„Kocham twoją obecność, ponieważ nie nosisz kapelusza”.

„Kocham twoją obecność z powodu kształtu chmury na niebie”.

„Kocham twoją obecność, ponieważ dajesz mi owsiankę”.

„Nie wiem, czemu kocham twoją obecność”.

„Kocham twoją obecność, bo bla, bla, bla”.

Odo porusza się, wytrącając Petera z transu czesania. Jak długo siedzą tak na podłodze? Trudno orzec, bo nie nosi zegarka.

– Chodźmy odwiedzić senhora Álvaro.

Człowiek i szympanś idą do kawiarni. Peter nie tylko chce wypić kawę; chce również załatwić regularne dostawy jedzenia. Siadają na patio. Gdy przychodzi senhor Álvaro, Peter zamawia dwie kawy. Kiedy właściciel je przynosi, Peter wstaje i mówi:

– *Posso... falar... com você um momento?*

„Oczywiście, że możesz ze mną chwilę porozmawiać”, odpowiada skinieniem głowy właściciel kawiarni. Ku zdziwieniu Petera senhor Álvaro przysuwa sobie krzesło i przysiada się do stolika. Gdyby Odo wyjął talię kart, mogliby we trójkę zagrać w pokera.

Mimo bariery językowej nietrudno jest uchwycić sens słów Petera. Umawia się z senhorem Álvaro na cotygodniowe dostawy pomarańczy, orzechów, rodzynek, a zwłaszcza fig i bananów. Właściciel kawiarni daje mu do zrozumienia, że w sezonie może mu przywozić jabłka, gruszki, wiśnie i kasztany jadalne od wieśniaków, jak również rozmaite warzywa. Jajka i kurczaki, o ile *macaco* zechce, są dostępne cały rok, podobnie jak miejscowa kiełbasa. W sklepiku są konserwy i solony dorsz, pieczywo, ryż, kartofle i sery, zarówno lokalne, jak i przywożone z południa, są też inne produkty nabiałowe.

– *Vamos ver do que é que ele gosta* – mówi senhor Álvaro.

Wstaje, idzie do kawiarni i wraca z talerzem. Leży na nim kawałek miękkiego białego sera polanego miodem. Talerz stawia przed szympansem. Chrząknięcie, szybki ruch włochatej łapy – i po serze.

Następnie senhor Álvaro przynosi sporą pajdę żytniego chleba, na którą wyłożył całą zawartość puszki tuńczyka w oliwie.

To samo. Błyskawicznie. Z jeszcze głośniejszym chrząknięciem.

Na koniec senhor Álvaro robi próbę z jogurtem truskawkowym. Ten znika nieco wolniej, ale tylko z powodu lepkiej konsystencji przysmaku i przeszkody w postaci plastikowego pojemnika. Cały jogurt zostaje wylizany i wysiorbany do cna.

– *O seu macaco não vai morrer de fome* – konkluduje senhor Álvaro.

Peter zagląda do słownika. Nie, w rzeczy samej, szympanś nie umrze z głodu.

A zatem żarłoczny, ale nie samolubny. Peter już to wie. Te śliczne kwiaty, które dona Amélia postawiła na stole? Zanim Odo je zjadł, podał mu jedną białą lilię.

Wracają do domu, ale dzień ich przyzywa. Peter pakuje plecak i wyruszają, tym razem na płaskowyż. Po dotarciu do niego zbaczają z drogi i wkraczają w dzicz. Otaczająca ich przyroda jest, formalnie rzecz biorąc, równie dzika jak amazońska dżungla. Warstwa gleby jest jednak płytka, uboga i wyschnięta na wiór. Życie stawia tu ostrożne kroki. W kotlinach zbyt płytkich, by dały schronienie lasowi, rośnie gęstsza, bardziej ciernista roślinność – kolcolist, wrzos i tym podobne – toteż człowiek i szympanś muszą w tym labiryncie odnajdywać przejścia. Kiedy jednak wychodzą z sawanny i docierają do właściwych Wysokich Gór Portugalii, jak okiem sięgnąć widzą jedynie złociste łąny trawy, po której łatwo się idzie.

Ta kraina jest bardziej jednolita niż niebo. Tutaj natychmiast widzi się pogodę, ponieważ nic innego się tu nie wydarza.

Ich uwagę przykuwają osobliwe głązy, które zauważyli już, jadąc do Tuizelo. Jest ich mnóstwo, ciągną się po horyzont. Każdy głąz jest od trzech do pięciu razy wyższy niż przeciętny człowiek. Aby go obejść, trzeba zrobić dobre czterdzieści kroków. Wznoszą się niczym podłużne obeliski albo leżą przysadziste jak kule geologicznego ciasta. Każdy głąz jest sam, bez mniejszych kamieni wokół, bez odrzuconych pośredników. Są tylko te wielkie głązy oraz niska szorstka trawa. Peter zastanawia się nad ich pochodzeniem. Zastygły materiał wulkaniczny? Ale jak dziwnie leżą, jak gdyby wulkan rozrzucił kawały lawy, tak jak rolnik rzuca ziarno na ziemię, dbając o jego równomierne rozłożenie. Peter domyśla się, że głązy są raczej wynikiem miażdżącego działania lodowca. To mogłoby tłumaczyć ich szorstkie powierzchnie.

Płaskowyż niezmiernie mu się podoba. Otwarta przestrzeń zapiera dech, uderza do głowy, podnieca. Myśli, że Clarze to miejsce też przypadłoby do gustu. Wędrowaliby tu razem niestrudzenie. Przed laty, kiedy Ben był mały, co roku w lecie jeździli na biwak do Algonquin Park. Krajobraz zupełnie odmienny od tego, ale efekt podobny: kąpiel w słońcu, cisza i samotność.

Jak spod ziemi wyrasta stado owiec, potulnych, lecz nacierających jak armia. Na widok Petera, a jeszcze bardziej na widok Odo, owczy batalion rozdziela się na dwie grupy i omija ich szerokim łukiem. Na kilka minut owce zamieniają się w amatorską orkiestrę, grającą na jedynym instrumencie, jaki znają: na dzwonku. Roztargniony dyrygent

podchodzi, rad z towarzystwa. Zupełnie niezrażony faktem, że Peter nie zna jego języka, a przy tym towarzyszy mu duży szympans, owczarz wdaje się w długą rozmowę. Wreszcie zostawia ich, by dogonić stado, które znikło równie nagle, jak się pojawiło. Cisza i samotność powracają.

Potem docierają do strumienia, hałaśliwego wodnego niemowlaka otulonego trawą i granitem. Strumień gaworzy i bulgocze, jakby dopiero co się zbudził. Przekraczają go, zostawiają za sobą i znika z ich zmysłów. Cisza i samotność powracają znowu.

Głazy fascynują Odo. Ogromnie zaniepokojony, obwąchuje je i często raptownie się rozgląda. Czyżby nos podpowiada coś jego oczom?

Peter woli iść między głazami, w pewnej odległości od nich, pozwalającej na perspektywę. Impuls podszeptuje Odo co innego. Szympans kroczy prosto od głazu do głazu, jak gdyby łączył kropki wielkiego wzoru. Głaz zostaje obwąchany, okrążony, poddany inspekcji, po czym Odo rusza prosto do następnego. Ten kolejny może leżeć blisko lub daleko, pod kątem ostrym bądź rozwartym. Szympans podejmuje decyzję bez wahania. Peter nie ma nic przeciwko takiemu włączaniu się po płaskowyżu. Każdy głaz posiada artystyczną kształtność, własną fakturę, odrębną cywilizację porostów. Petera dziwi tylko brak różnorodności w podejściu. Czemu nie wypłynąć na otwarte morze, nie zapaść się między mielizny? Kapitan nie wysuwa takiej propozycji. Inaczej niż w lesie, gdzie każdy z nich cieszył się swobodą, na płaskowyżu szympans skłania Petera, by trzymał się blisko; ilekroć się oddala, Odo chrupka i prycha niezadowolony. Peter posłusznie idzie za nim krok w krok.

Po szczególnie intensywnym obwąchaniu jednego z głazów Odo postanawia go zdobyć. Bez trudu wdrapuje się na szczyt. Peter jest zdumiony.

– Hej, dlaczego właśnie ten?! Co jest w nim wyjątkowego?! – woła.

Głaz nie różni się od innych czy raczej różni się tak samo jak wszystkie głazy różnią się między sobą. Odo spogląda z góry na Petera, który postanawia spróbować sił we wspinaczce. Zadanie nie jest proste. On nie ma siły szympansa. Chociaż z dołu głaz nie wydaje się zbyt wysoki, wkrótce po oderwaniu się od ziemi Peter zaczyna się bać, że spadnie. Jednak nie spada. Liczne zagłębienia i szczeliny zapewniają mu bezpieczeństwo. Gdy znajduje się w zasięgu szympansa, ten chwytą go za ramię i podciąga.

Peter gramoli się na szczyt głazu, siada i czeka, aż serce mu się uspokoi. Odo zachowuje się jak marynarz na wachcie: lustruje

wzrokiem horyzont, ale sprawdza też bliższą okolicę. Po jego pełnym napięciu podnieceniu Peter poznaje, że szympans czerpie przyjemność z tej czynności. Czy chodzi o wysokość, o to, że nic nie zasłania mu pola widzenia? Czy ożyło wspomnienie z Afryki? Czy może wypatruje czegoś konkretnego, sygnału z lądu, z oddali? Peter nie ma pojęcia. Pamiętając drzewne eskapady Odo w Kentucky, uzbraja się w cierpliwość. Chłonie widok, patrzy na chmury, czuje wiatr, obserwuje grę światła. Ponieważ zabrał sprzęt turystyczny, zabiera się do parzenia kawy i szykowania makaronu z serem. Na szczycie głazu spędzają miłą godzinę.

Schodzenie okazuje się dla Petera trudniejsze niż wspinaczka. Dla Odo, trzymającego w zębach plecak, to zwykłe, nonszalanckie zsuwanie się w dół.

Po powrocie do domu Peter jest wykończony. Odo mości sobie legowisko. Czy chodzi o krótką drzemkę, czy nocny odpoczynek – szykowanie legowiska przebiega szybko, bez specjalnych ceremonii. Szympans zadowala się skręceniem ręcznika lub koca; na noc dorzuca kilka przedmiotów. Tego wieczoru wybiera koszulę Petera oraz buty, które ten nosił przez cały dzień. Odo sypia w różnych miejscach. Dotychczas spał na szafie, na podłodze obok łóżka Petera, na komodzie, na blacie kuchennym. Teraz mości się na stole w kuchni.

Obaj wczesnie zasypiają.

Nazajutrz Peter idzie na palcach do kuchni, żeby zrobić sobie kawę. Z parującym kubkiem siada przed śpiącym Odo i patrzy na niego.

Czas płynie jak chmury po niebie. Tygodnie i miesiące przelatują jak dzień. Lato przechodzi w jesień, zima ustępuje wiosnie, różne minuty tej samej godziny.

Kontakty z Kanadą się rozluźniają. Pewnego ranka Peter wchodzi do kawiarni, a senhor Álvaro wręcza mu kartkę. Wiadomość ogranicza się zawsze do imienia, zazwyczaj Bena lub Teresy. Tym razem na kartce widnieje nazwisko szefa klubu. Peter idzie do telefonu na końcu kontuaru i wybiera numer do Kanady.

– Nareszcie – mówi szef klubu. – W zeszłym tygodniu zostawiłem trzy wiadomości.

– Naprawdę? Przykro mi, ale nic nie przekazali.

– Nie szkodzi. Jak Portugalia?

W słuchawce słychać trzaski rozmowy zamiejscowej. Jak dalekie ognisko w ciemną noc.

– W porządku. Kwiecień to tutaj piękna pora roku.

Głos szefa klubu staje się nagle bardzo wyraźny, niczym gorący, natarczywy szept.

– Cóż, jak wiesz, słabo wypadamy w sondażach.

– Naprawdę?

– Tak. Peter, muszę być szczery. Najbardziej owocna praca senatora może się odbywać z dala od wyższej izby, niemniej jednak oczekuje się, że senator przynajmniej co pewien czas będzie w tej izbie zasiadał.

– Masz rację.

– Nie było cię tu ponad dziewięć miesięcy.

– To prawda.

– Nie wykonywałeś pracy dla Senatu.

– Nie. Ani owocnej, ani żadnej innej.

– Po prostu zniknąłeś. Tyle że twoje nazwisko wciąż figuruje na liście senatorów. Poza tym... – Szef klubu parlamentarnego odchrząkuje. – Mieszkaś z małpą.

– Ściśle rzecz biorąc, z małpą człekokształtną.

– Ta historia krąży wśród ludzi. Pisali o tym w gazetach. Posłuchaj, wiem, że bardzo przeżyłeś śmierć Clary. Wierz mi, serdecznie ci współczuję. Jednocześnie trudno jest wytłumaczyć kanadyjskim podatnikom, że twoja pensja senatora idzie na zoo w północnej Portugalii.

– W pełni się zgadzam. To skandaliczne.

– Sprawa urosła do problemu. Przywództwo partyjne nie jest zbyt szczęśliwe.

– Formalnie ustępuję ze stanowiska senatora Kanady.

– To słuszny krok, chyba że chcesz wrócić, oczywiście.

– Nie chcę. Oddam całe wynagrodzenie od czasu, gdy wyjechałem z Ottawy. Nawet nie tknąłem tych pieniędzy. Żyję z oszczędności. Poza tym mam emeryturę.

– To nawet lepiej. Mogę to dostać na piśmie?

Dwa dni później w kawiarni czeka na niego nowa wiadomość: od Teresy.

– Ustąpiłeś. Czytałam w gazecie. Czemu nie chcesz wrócić do Kanady? Tęsknię za tobą. Wróc – prosi ciepłym, siostrzanym głosem.

Peter też za nią tęskni, brakuje mu regularnych rozmów telefonicznych na znacznie mniejszą odległość, wspólnych kolacji, kiedy mieszkał w Toronto.

Jednak odkąd przeniósł się z Odo do Tuizelo, nie myślał poważnie o powrocie do Kanady. Przedstawiciele jego gatunku budzą w nim

znużenie. Są zbyt hałaśliwi, kłótniwi, aroganccy, niesolidni. Peter woli intensywną ciszę obecności Odo, zamyśloną powolność szympanskich czynności, całkowitą prostotę środków i celów. Nawet jeśli przebywanie z Odo oznacza kwestionowanie człowieczeństwa Petera, obnażanie bezmyślnego pośpiechu jego działań, plątaniny środków i celów. Mimo tego, że Odo niemal codziennie ciągnie Petera na spotkanie z przedstawicielami jego gatunku. Apetyt towarzyski Odo jest nienasycony.

– Och, sam nie wiem.

– Mam samotną przyjaciółkę. Jest atrakcyjna i bardzo sympatyczna. Myślałeś o tym, żeby jeszcze raz dać szansę miłości i rodzinie?

Nie myślał. Jego serce wyczerpało się, kochając jedną konkretną osobę. Kochał Clare każdą cząstką swej istoty, ale teraz nic już mu nie zostało. Czy raczej nauczył się żyć bez niej i nie chce zapełniać tej pustki, bo byłoby to jak ponowna utrata Clary. Wolałby darzyć sympatią wszystkich, poznać miłość mniej osobistą, ale o szerszym zasięgu. Co się tyczy fizycznego pożądania, jego libido przestało go kusić. O swoich erekcjach myśli jak o ostatnich pryszczach okresu dojrzewania; po latach dłubania i ściskania w końcu znikły i cielesne pożądanie już go nie kała. Owszem, pamięta, jak wygląda seks, ale nie pamięta już jego celu.

– Od śmierci Clary po prostu nie wkraczałem na ten obszar – mówi. – Nie mogę...

– To przez tę twoją małpę, prawda?

Peter milczy.

– Co z nią robisz po całych dniach? – pyta siostra.

– Chodzimy na spacer. Czasem się mocujemy. Najczęściej po prostu się wałesamy.

– Mocujesz się z małpą? Jak z dzieckiem?

– Och, Ben, dzięki Bogu, nigdy nie był tak silny. Po starciach z Odo jestem poobijany i posiniaczony.

– Ale jaki w tym sens, Peter? W łożeniu, mocowaniu się, wałesaniu?

– Nie wiem. To jest... – Jakie właściwie? – Interesujące.

– Interesujące?

– Tak. Wręcz pochłaniające.

– Ty ją kochasz – stwierdza Teresa. – Kochasz swoją małpę i ona zagarnęła twoje życie. – Siostra nie krytykuje go, nie atakuje, ale jej spostrzeżenie brzmi nieco ostro.

Peter rozważa słowa siostry. Kocha Odo? Jeśli tak, to jest to miłość trudna, stale wymagająca od niego uwagi, czujności. Czy Peter ma coś przeciwko temu? Nic a nic. Zatem może faktycznie to miłość. Raczej osobliwa. Odbierająca mu wszelkie przywileje. Peter posiada język, zdolność rozumowania, potrafi wiązać buty – i co z tego? To tylko zwykłe sztuczki.

I zarazem to miłość ciągle i wiecznie zabarwiona lękiem. Odo jest przecież znacznie silniejszy. Odo jest niezgłębiony. Ten drobny, nieusuwalny pakunek lęku nie paraliżuje Petera ani nie stanowi źródła zbyt wielkiej udręki. Przy Odo nie czuje przerażenia ani nawet niepokoju, nic równie uporczywego. Sytuacja wygląda raczej następująco: szympanś pojawia się bezgłośnie, jakby spod ziemi, a wśród rozmaitych doświadczanych emocji – zdziwienia, zachwytu, przyjemności, radości – Peter czuje pulsowanie lęku. Nie może zrobić nic, tylko czekać, aż pulsowanie ustąpi. Nauczył się traktować lęk jako silną, ważną emocję. Boi się tylko wtedy, gdy zachodzi taka potrzeba. Chociaż Odo ma moc obezwładniania, nigdy nie dał mu prawdziwego powodu do strachu.

Jeśli to jest miłość, to zakłada pewnego rodzaju spotkanie. Petera nie uderza zatarcie granicy między człowiekiem a zwierzęciem, bo już dawno je zaakceptował. Nie chodzi też o nieznaczne podniesienie statusu Odo do jego, Petera, domniemanie wyższego poziomu. Fakt, że Odo nauczył się robić owsiankę, lubi przeglądać czasopisma, reaguje właściwie na słowa Petera, tylko potwierdza powszechnie znaną prawdę przemysłu rozrywkowego, a mianowicie: małpy małpują, budząc nasze płytkie rozbawienie. Nie, Petera dziwi jego własny ruch w dół, do tak zwanego niższego poziomu Odo. Podczas gdy szympanś opanował prostą ludzką sztuczkę przygotowywania owsianki, Peter posiadał skomplikowaną zwierzęcą umiejętność nierobienia niczego. Nauczył się uwalniać z okowów czasu i kontemplować sam czas. Uważa, że to właśnie najczęściej robi Odo: trwa w czasie, jak ktoś, kto siedzi nad rzeką i obserwuje płynącą wodę. Peter nauczył się po prostu siedzieć i być. Początkowo tęsknił za rozrywką. Zatapiał się we wspomnieniach, odgrywał w głowie wciąż te same filmy, przeżywał dawne żale, tęsknił za utraconym szczęściem. Stopniowo nauczył się coraz lepiej opanowywać stan oświeconego siedzenia nad rzeką. Właśnie to jest najbardziej zadziwiające: nie fakt, że Odo chciałby się upodobnić do Petera, ale fakt, że on sam chciałby się upodobnić do Odo.

Teresa ma rację. Odo zawładnął jego życiem. Siostrze chodzi o całe to czesanie szympansa, opiekowanie się nim. Ale to coś znacznie więcej. Petera dotknęła mała łaska; nie ma powrotu do bycia zwykłym człowiekiem. A zatem to jest miłość.

– Tereso, wszyscy chyba czekamy na chwile, gdy życie ma sens. Tutaj, odcięty od świata, przeżywam takie chwile nieustannie, codziennie.

– Z twoją małpą?

– Tak. Niekiedy myślę, że Odo oddycha czasem, wdycha go i wydycha, raz po raz. Siedzę obok niego i patrzę, jak tka koc z minut i godzin. Kiedy siedzimy na głazie, patrząc na zachód słońca, Odo robi ruch ręką w powietrzu i mógłbym przysiąc, że kreśli krawędź lub wygładza powierzchnię rzeźby, której nie potrafię dostrzec. Ale nie przejmuję się tym. Żyję w obecności tkacza czasu i twórcy przestrzeni. To mi wystarczy.

W słuchawce zapada długa cisza.

– Nie wiem, co powiedzieć, bracie – mówi w końcu Teresa. – Jesteś dorosłym człowiekiem, który spędza dni w towarzystwie małpy. Może trzeba ci psychoterapeuty, a nie dziewczyny.

Rozmowy z Benem nie przebiegają łatwiej.

– Kiedy wracasz do domu? – ciągle pyta syn.

Czy możliwe, że Ben, oprócz irytacji, wyraża też potrzebę obecności przy nim ojca?

– Tu jest mój dom – odpowiada Peter. – Może mnie odwiedzisz?

– Jak znajdę czas.

Peter nigdy nie wspomina o Odo. Gdy Ben dowiedział się o szympanisie, wpadł w zimną wściekłość. Potem zaczął zachowywać się tak, jakby ojciec został gejem i lepiej było nie zadawać pytań, bo wypłyną na wierzch niesmaczne szczegóły.

O dziwo, najśłodsza okazuje się wnuczka, Rachel. Komunikacja na odległość dobrze im wychodzi. Oddalenie ośmiela nastolatkę do zwierzeń. Dla niej Peter jest wesołym dziadkiem. Takim samym tonem, jakim papla o chłopakach, pyta o Odo i ich wspólne życie. Pragnie go odwiedzić i poznać niskiego włochatego chłopaka, ale ma szkołę i obóz, Portugalia leży tak daleko od Vancouver, poza tym, choć Rachel praktycznie o niej nie wspomina, jest jeszcze jej niechętna matka.

Pomijając Odo, Peter jest sam.

Zapisuje się do klubów książki i zaczyna prenumerować czasopisma. Siostrę prosi o przysłanie mu pudeł z używanymi książkami – same

barwne historie pełne akcji. Odo jest równie żarliwym czytelnikiem jak Peter. Nowy numer „National Geographic” wita gromkim pohukiwaniem i klepaniem rękami w ziemię. Powoli wertuje pismo, przyglądając się wszystkim zdjęciom. Szczególnie zajmują go rozkładówki i mapy.

Dość wcześnie Odo natrafia na jedną ze swych ulubionych książek: album z rodzinnymi fotografiami. Chcąc zrobić szympansowi przyjemność, Peter ogląda z nim zdjęcia ze swego dzieciństwa i młodości, opowiada mu historię rodziny Tovy w Kanadzie, mówi o jej dorastających i starzejących się członkach, o przyjaciółach, o szczególnych wydarzeniach utrwalonych na kliszy. Gdy Peter na zdjęciach osiąga pewien wiek, Odo rozpoznaje go z okrzykiem zdziwienia. Czarnym palcem stuka w zdjęcie i patrzy na żywego Petera. Gdy ten przewraca karty albumu, cofając się w czasie, i wskazuje na siebie w coraz młodszym wieku, coraz szczuplejszego, o ciemniejszych włosach, mniej pomarszczonej skórze, uchwyconego w kolorach, a na wcześniejszych fotografiach w czerni i bieli, Odo wpatruje się coraz intensywniej. I tak, krok po kroku, dochodzą do najstarszego zdjęcia Petera, zrobionego w Lizbonie przed wyjazdem rodziny do Kanady, gdy miał zaledwie dwa lata. Wydaje się, że to portret z innego stulecia. Odo przygląda się i mruga z niedowierzaniem.

Na tych początkowych stronach albumu znajdują się zdjęcia ludzi z portugalskiego okresu życia jego rodziców. Największe, na całą stronicę, to grupowa fotografia ludzi stojących sztywno przed pobieloną ścianą. Większości krewnych Peter nie rozpoznaje. Rodzice z pewnością mówili mu, kto jest kim, ale zapomniał. Ludzie ci są tak oddaleni w czasie i przestrzeni, że trudno mu uwierzyć, że naprawdę żyli. Odo podziela chyba jego niedowierzanie, ale pragnie wierzyć, bardziej niż Peter.

Tydzień później Odo znowu otwiera album. Peter spodziewa się, że szympans pozna lizbońskie zdjęcie, ale Odo patrzy na nie pustym wzrokiem. Dopiero powtarzając tę podróż w czasie, zdjęcie po zdjęciu, na nowo rozpoznaje Petera jako dziecko. Gdy odkładają album, znowu zapomina. Peter uświadamia sobie, że Odo jest stworzeniem chwili obecnej. Nie przejmuje się ani źródłem, ani deltą rzeki czasu.

Odwiedzanie własnej przeszłości jest dla Petera słodko-gorzkim zajęciem. Przy niektórych zdjęciach budzą się w nim obezwładniające wspomnienia. Pewnego wieczoru, na widok młodej Clary trzymającej maleńkiego Bena, zaczyna płakać. Ben jest mały, czerwony,

pomarszczony; Clara wygląda na wykończoną, ale szczęśliwą. Małeńka rączka ściska mały palec matki. Odo patrzy na Petera, spokojny, lecz zatroskany. Odkłada album i obejmuje Petera. Ten po chwili się otrząsa. Dla kogo te łzy? Po co? To nie ma sensu. Płacz zaburza tylko jasność widzenia. Ponownie otwiera album i twardo wpatruje się w zdjęcie Clary i Bena. Opiera się łatwej pokusie smutku. Zamiast tego koncentruje się na ważnym i prostym fakcie – swojej miłości do nich.

Peter zaczyna prowadzić dziennik. Zapisuje w nim swoje próby zrozumienia Odo, zwyczaje i dziwactwa szympansa, ogólną tajemnicę tego stworzenia. Notuje też nowe wyrażenia portugalskie, których się nauczył. Refleksje na temat życia na wsi, dawnego życia, próbuje wszystko podsumować.

Nabiera zwyczaju siedzenia na podłodze, plecami oparty o ścianę, na jednym z wełnianych koców, które kupuje. Na podłodze czyta, pisze, czesze i jest czesany, czasem drzemie, czasami po prostu siedzi beczynnienie. Siadanie i wstawanie jest trudne, ale przypomina sobie, że to dobre ćwiczenie dla człowieka w jego wieku. Odo prawie zawsze siedzi obok niego, lekko przytulony, zajmując się własnymi małpimi sprawami albo przeszkadzając Peterowi.

Odo wprowadza swoje porządki. Na kuchennym blacie rozkłada sztuce: noże z nożami, widelce z widelcami i tak dalej. Kubki i miski stawia do góry dnem na blacie pod ścianą. To samo, jeśli chodzi o inne przedmioty: ich miejsce jest nie na półkach ani w szufladach, ale pod ręką, w rzędzie u dołu ściany – jak w przypadku książek i czasopism – lub tu i tam na podłodze.

Peter odkłada rzeczy na miejsce – jest schludny – ale Odo natychmiast przywraca właściwy, małpi porządek. Peter rozważa tę sytuację. Buty stawia przy drzwiach, futerał na okulary chowa do szuflady, czasopisma przesuwa gdzie indziej. Nie odstępując go na krok, Odo bierze buty i zanosz z powrotem na tę samą kamienną płytę podłogową, gdzie położył je wcześniej, futerał też wędruje na odpowiednią płytę, czasopisma zaś na konkretne miejsce przy ścianie. Ach, więc to tak, myśli Peter. To nie jest bałagan, to porządek innego rodzaju. Cóż, podłoga wygląda interesująco. Peter rezygnuje ze schludności. To tylko część życia w okowach.

Regularnie musi odkładać rozmaite przedmioty do pomieszczenia na parterze. Pierwotnie przeznaczone dla zwierząt i narzędzi rolniczych, jest po sufit wyładowane gratami wielu pokoleń patologicznych

zbieraczy. Odo uwielbia tam chodzić. To skarbiec, który bez końca pobudza jego ciekawość.

A dalej wioska, gdzie wprost roi się od rzeczy fascynujących szympana. Na przykład brukowce. Donice z kwiatami. Liczne kamienne mury, na które łatwo się wdrapać. Drzewa. Łączone dachy, które Odo lubi najbardziej. Peter obawia się, że wieśniacy nie będą zachwyceni szympansem śmigającym po ich domach, ale większość z nich nawet tego nie zauważa, a ci, którzy widzą Odo, obserwują go z uśmiechem. Odo porusza się zręcznie i pewnie, nie gramoli się, nie strąca dachówek. Jego ulubionym miejscem jest dach starego kościoła, skąd rozciąga się wspaniały widok. Gdy tam siedzi, Peter czasem zachodzi do środka. To skromny dom boży, z nagimi ścianami, prostym ołtarzem, nieporadnie wykonanym krucyfiksem poczerniałym ze starości; po przeciwnej stronie, za ostatnią ławką, znajduje się półka z kwiatami w wazonach – kapliczka jakiegoś zakurzonego świętego. Instytucjonalna religia nie interesuje Petera. Podczas pierwszej wizyty zadowolili się dwuminutowym zwiedzaniem. W kościółku panuje jednak cisza, dzięki czemu można tam, podobnie jak w kawiarni, spokojnie posiedzieć. Najczęściej instaluje się na ławce pod oknem, skąd widzi rynnę, po której Odo zlezie z dachu. Nie chcąc kusić losu, nigdy nie wchodzi do kościoła razem z małpą.

Jednak w wiosce najbardziej interesują Odo ludzie. Wieśniacy nie mają się już na baczności. Szympana szczególnie upodobał sobie kobiety. Czy osoba pracująca dla Korpusu Pokoju, która przywiozła Odo z Afryki, była kobietą? Czy jakaś laborantka wywarła na nim pozytywne wrażenie w jego młodych latach? A może w grę wchodzi prosta biologia. Tak czy inaczej, Odo nieustannie lgnie do kobiet. W rezultacie wioskowe wdowy, które początkowo odsuwały się od szympana i były opryskliwe, teraz wprost rozplývają się na jego widok. Odo jest wobec nich przyjazny, robi miny i wydaje odgłosy, niosące wdowom otuchę i sprawiające, że jeszcze bardziej się otwierają. Niskie, przygarbione kobiety w czerni pasują do niskiego, przygarbionego zwierzaka o czarnej sierści. Z pewnej odległości bez trudu można by ich pomylić.

Kobiety – w zasadzie wszyscy wieśniacy – nawiązują ożywione rozmowy z Odo. Zwracają się do niego najprostszym, dziecinnym językiem, głośno, z przerysowaną mimiką i gestykulacją, jakby mieli do czynienia z wiejskim głupkiem. W końcu Odo nie *fala* po portugalsku.

Największą zwolenniczką Odo staje się dona Amélia. Wkrótce, gdy przychodzi sprzątać, nie muszą obaj opuszczać domu. Wprost

przeciwnie. Podczas cotygodniowych wizyt dony Amélie Odo z radością zostaje w domu, a Peter może iść załatwiać sprawunki. Kiedy kobieta się zjawia, szympanś nie odstępować jej na krok. Za każdym razem dona Amélia zabawia nieco dłużej, co nie znaczy, że Peter płaci jej więcej escudo. Ma teraz najczystszy, niemal pusty, dom w Tuizelo, z nieco dziwnym wystrojem, ponieważ dona Amélia szanuje ład Odo. Pracując, nieustannie papła do szympanśa miódopłynnym portugalskim.

Dona Amélia oznajmia Peterowi, że Odo jest *um verdadeiro presente para a aldeia*, prawdziwym darem dla wioski.

Peter czyni własne spostrzeżenia dotyczące wioski. Najzamożniejszym mieszkańcem, o największych przychodach jest sklepikarz, senhor Álvaro. W dalszej kolejności są wieśniacy, właściciele ziemi, którą uprawiają. Dalej pasterze z własnymi stadami. Na końcu pracownicy, którzy nie mają nic, może z wyjątkiem domów, a pracują dla wieśniaków, którzy mogą dać im pracę. Najemnicy są najbiedniejsi, a zarazem cieszą się największą wolnością. Na każdym szczeblu tej hierarchii młodzi i starzy członkowie rodzin pracują według swoich możliwości. Ksiądz, sympatyczny ojciec Eloi, stoi z boku, ponieważ nic nie posiada, ale kontaktuje się ze wszystkimi. Porusza się na wszystkich szczeblach hierarchii. W sumie mieszkańcy Tuizelo mają niewiele pieniędzy, choć nie od razu rzuca się to w oczy. Pod wieloma względami panuje tu autarkia – ludzie sami produkują jedzenie, zarówno pochodzenia zwierzęcego, jak roślinnego; sami wytwarzają i naprawiają odzież i meble. Wymiana dóbr i usług jest na porządku dziennym.

Peter zwraca uwagę na stary miejscowy obyczaj, jakiego nigdzie nie widział. Po raz pierwszy zauważa go podczas pogrzebu, gdy kondukt sunie przez wieś do kościoła: wielu żałobników idzie tyłem. Prawdopodobnie wyrażają w ten sposób swój żal. Ulicą, przez plac, po schodach – idą tyłem, z opuszczonymi poważnymi twarzami, pogrążeni w smutku. Raz po raz odwracają głowy, by odnaleźć właściwy kierunek, ale inni pomagają im, wyciągając do nich ręce. Zaintrygowany osobliwym obyczajem, Peter wypytuje, ale ani dona Amélia, ani nikt inny nie wie, skąd się wziął i co właściwie wyraża.

Ulubionym miejscem szympanśa jest kawiarnia. Wieśniacy przywykają do widoku Petera i Odo, siedzących na dworze, popijających *cafés com muito leite*.

W pewien deszczowy dzień Peter i Odo zatrzymują się przed kawiarnią, przemarznięci po długim spacerze. Stoliki i krzesła na

dworze ociekają wodą. Peter się waha. Senhor Álvaro stoi za barem. Na ich widok unosi rękę i daje znak, żeby weszli do środka.

Sadowią się w rogu. Kawiarnia ma typowy wystrój. Na ladzie piętrzą się spodki, każdy z łyżeczką i torebką cukru, gotowy, by postawić na nim kawę. Półki są pełne butelek wina i likierów. Przed barem stoją okrągłe stoliki z metalowymi krzesłami. Nad całością góruje telewizor, stale włączony, choć na szczęście gra bardzo cicho.

Ku zdziwieniu Petera Odo ignoruje telewizor. Tylko przez chwilę patrzy na drobne figurki biegnące za małą białą piłką, albo, chętniej, na pary wpatrujące się w siebie żarliwie – szympanś woli opery mydlane od sportu. Znacznie bardziej zajmuje go ciepłe pomieszczenie i żywi ludzie. Gdy klienci patrzą na Odo, a on na nich, telewizor schodzi na dalszy plan. Peter i senhor Álvaro spoglądają sobie w oczy. Uśmiechają się. Peter unosi dwa palce i składa swoje zwykłe zamówienie. Senhor Álvaro kiwa głową. Od tej pory są stałymi bywalcami kawiarni; nawet siadają zawsze w tym samym miejscu.

Peter i Odo chodzą na długie przechadzki. Szympanś już nigdy nie prosi, by go nieść, jak to zrobił raz w Oklahomie. Jego energia jest niespożyta. Regularnie wspina się na drzewa, a wtedy Peter może tylko cierpliwie czekać na dole. Ponieważ zachowują się cicho – chyba że natrafiają na polany miękkiego mchu, świetnie nadającego się do tarzania – widzą borsuki, wydry, łasice, jeże, żenety, dziki, króliki i zające, kuropatwy, sowy, kruki, ibisy, sójki, jaskółki, synogarlice i inne ptaki, nieśmiałego rysia i rzadkiego wilka iberyjskiego. Za każdym razem Peter ma wrażenie, że Odo popędzi za zwierzyną po leśnym poszyciu, ale szympanś tylko stoi nieruchomo i patrzy. Mimo leśnego bogactwa obaj wolą penetrować otwarty płaskowyż.

Pewnego popołudnia, wracając z wędrownki, nad strumieniem tuż za wsią spotykają dwa psy. W Tuizelo roi się od nieśmiałych kundli. Dwa psy piją wodę. Odo obserwuje je z żywym zainteresowaniem, bez cienia strachu. Psy nie sprawiają wrażenia chorych, choć można im policzyć zębra. Na widok szympanśa zastygają. Odo podchodzi do nich cicho, pohukując. Psy kulą się i jeżą sierść. Peter czuje się nieswojo, ale kundle nie są zbyt duże, a on zna siłę szympanśa. Mimo to gwałtowne starcie mogłoby być przykre. Zanim cokolwiek może się wydarzyć, psy biorą nogi za pas.

Kilka dni później, siedząc na podeście schodów, widzi za bramą dwa pyski. Te same dwa psy. Odo siedzi obok Petera, oparty o ścianę. On też dostrzega psy. Natychmiast schodzi na podwórze i otwiera bramę. Psy

się oddalają. Odo pohukuje i kuca. Kundle ostrożnie wsuwają się na podwórze. Odo jest zachwycony. Pośród pohukiwań i skomlenia odległość między szympansem a psami stopniowo się kurczy, aż wreszcie Odo może pogłaskać tego większego, czarnego kundla. Szympanś zaczyna go wyczesywać. Peter podejrzewa, że u psów spędzających całe życie pod gołym niebem znajdzie się sporo do wyczesywania. Czarny pies kuli się nerwowo, ale poddaje się zabiegowi; Odo delikatnie go iska, zaczynając od podstawy ogona.

Peter wchodzi do domu. Po kilku minutach, kiedy wygląda przez okno w kuchni, widzi, że pies leży na grzbiecie, odsłaniając brzuch. Odo lekko pochyła się nad nim, sierść ma nastroszoną, szczyrzy zęby, zakrzywione jak szpony palce trzyma nad psim brzuchem. Pies skomle, wpatrzony we włochatą rękę. Petera ogarnia niepokój. Odo wygląda przerażająco. Co się dzieje? Jeszcze przed chwilą szympanś przyjaźnie i cierpliwie uspokajał zalęknionego psa. Teraz nieszczęsny kundel przewrócił się na grzbiet i odsłonił miękkie podbrzusze, mówiąc tym samym, że jest tak śmiertelnie przerażony, iż nie zamierza się bronić. Peter przechodzi do okna w salonie. Co robić? Co robić? Już sobie wyobraża, jak Odo patroszy wyjącego psa. Pomijając, co czułby wtedy kundel, to co z wieśniakami? Od czasu do czasu wrzaski, rozbicie filiżanki i hasanie po dachach to jedno, ale patroszenie psa to zupełnie co innego. Może wiejskie czworonogi nie są rozpieszczane jak psy w Ameryce Północnej, jednak mają właścicieli, którzy rzucają im resztki i jako tako się o nie troszczą. Peter podchodzi do drugiego okna w salonie i widzi, że uniesione tylne łapy psa dygoczą, a zwierzę skręca się na ziemi w konwulsjach. Peter rzuca się do drzwi i z krzykiem wypada na półpiętro. Coś każe mu przyjrzeć się dokładniej. Obraz ulega zmianie. Wyciągnięta ręka Petera opada. Odo łaskocze psa. Wiejski kundel dygocze z radości, a szympanś wtóruje mu śmiechem.

Po tej przygodzie zaczyna przychodzić więcej psów. W końcu stado liczy około tuzina. Peter nigdy ich nie karmi, a mimo to każdego ranka zakradają się na podwórze i czekają cicho, żaden nie skamle ani nie wyje. Kiedy w oknie lub na podeście schodów ukazuje się Odo, psy, choć brzmi to dziwnie, zarazem uspokajają się i ogarnia je podniecenie. Czasem Odo do nich dołącza, ale mógłby tego nie robić. Dopóki poświęca im uwagę, tkwią tutaj; kiedy przestaje, natychmiast odchodzą, by nazajutrz wrócić z wyrazem nadziei na psych pyskach.

Między szympansem a psami zachodzą rozmaite interakcje. Niekiedy kundle wylegają się na ciepłych kamieniach podwórza, z zamkniętymi

oczami; widać tylko, jak oddychają, czasem posapują. Odo unosi rękę, klepie psa i odsłania w uśmiechu dolne zęby. Albo daje pokaz: paraduje na dwóch nogach, klepie i tupie w ziemię, sapie, huczy i chrząka. Klepięcie psa, uśmiech i pokaz oznaczają jedno: czas na zabawę! Polega ona na tym, że szympanś goni psy, psy gonią szympanśa albo, najczęściej, każdy goni każdego. W tej ostrej, radosnej gonitwie psy pędzą, skręcają, wywijają się, skaczą w górę, odskakują, podczas gdy Odo zrywa się do biegu lub robi uniki, rzuca się na psa lub staje, odbija się od ścian lub wspina się na nie; wszystkiemu towarzyszy ogłuszające szczekanie psów i wrzaski szympanśa. Jest wyjątkowo sprawny. Potrafi wywinąć się z każdej opresji, każdego psa zwalić z nóg. Obserwując go, Peter uświadamia sobie, jak bardzo Odo się kontroluje, gdy bawią się razem. Jeśliby Odo bawił się z nim tak jak z psami, Peter wylądowałby w szpitalu. Zabawa trwa dopóty, dopóki szympanś nie padnie bez tchu. Zadyszane i zaślinione psy robią to samo.

Peter zwraca uwagę, jaką pozycję przyjmują zwierzęta w czasie wypoczynku. Układ jest za każdym razem inny. Niemal zawsze jeden z psów śpi z łbem opartym o Odo, pozostałe leżą blisko, na kupie lub osobno. Niekiedy szympanś podnosi wzrok na Petera i ściąga wargi w lejek w bezgłośnym „huu”, jak przy pierwszym spotkaniu, by pozdrowić go, nie budząc psów.

Chociaż zabawa z psami jest rozrywką, czasami dosłownie włos się jeży. Agresja jest tuż-tuż, lada chwila łagodność może prysnąć. Psy zawsze uciekają od szympanśa z podkulonymi ogonami. Peter dziwi się, że wciąż wracają.

Pewnego dnia zwierzęta wylegują się beztrąsko w łagodnym portugalskim słońcu, gdy nagle wybucha wrzawa, wycie i ujadanie. Odo znajduje się w centrum całego zamętu. Szympanś daje pokaz, ale tym razem nie jest to wezwanie do zabawy. Obnażając zęby z przeraźliwym „uraaaa”, rzuca się na psa, który najwyraźniej coś przeskrobał, i spuszcza nieszczęśnikowi bezlitosny łomot. Na podwórzu niosą się echem solidne razy. Psisko wyje żałośnie. Błagania o litość są zagłuszane rykiem Odo i ujadaniem pozostałych psów, które patrzą z niepokojem, wyją, podrygują i kręcą się w kółko z podwiniętymi ogonami.

Peter patrzy na to wszystko z podestu schodów i nie może się ruszyć. Co by się stało, gdyby pewnego dnia Odo uznał, że to Peter coś przeskrobał?

W końcu jest po wszystkim. Po ostatnim silnym klepięciu Odo odrzuca psa, odwraca się do niego plecami i odchodzi. Kundel leży

i wyraźnie drży. Pozostałe psy milkną, choć nadal patrzą szeroko otwartymi oczami, ze zjeżoną sierścią. Oddech Odo zwalnia, dygot poturbowanego psa stopniowo się uspokaja. Peter sądzi, że sprawa jest zakończona, że każde zwierzę odejdzie teraz lizać autentyczne i wyobrażone rany. Dzieje się jednak coś dziwnego. Pies, który zawinił, podnosi się, pokonując ból. Z brzuchem przy ziemi podpełza do szympansa i zaczyna cicho skomleć. Nie przestaje, aż w końcu Odo, nie odwracając głowy, wyciąga rękę i dotyka psa. Gdy cofa rękę, kundel podejmuje skowyt. Odo znów kładzie rękę na psim ciele. Po chwili szympanś przysuwa się do psa i zaczyna go iskać. Kundel przekręca się na bok i skomle ciszej. Dłonie szympanśa wędrują po jego ciele. Gdy jeden bok jest już wyczesany, Odo podnosi psa i łagodnie go odwraca, by zająć się drugą stroną. Po zakończeniu operacji kładzie się tuż obok niego i obaj zasypiają.

Nazajutrz ten sam pies, kulejąc, wyraźnie zmaltretowany, przywleka się na podwórze. Jeszcze dziwniejsze jest to, że gdy Odo dołącza do sfory, zachowuje się tak, jakby poprzedniego dnia nie stało się nic niestosownego. Przez kolejne dziesięć dni wszyscy bawią się i odpoczywają pospołu.

Peter pojmuję, że każdy konflikt między Odo a psami kończy się w ten sposób; wszystkie napięcia zostają ujawnione i rozładowane, nie pozostają żadne urazy. Zwierzęta żyją w swoistej amnezji emocjonalnej, skoncentrowane na chwili obecnej. Wzburzenie i zamęt są jak chmury burzowe: wybuchają gwałtownie, ale szybko się wyczerpują, ustępując miejsca błękitnemu niebu, stale błękitnemu niebu.

Psy się kulą, a jednak codziennie wracają. Czy z nim jest inaczej? Peter nie boi się już Odo. Jednocześnie musi przyznać, że obecność szympanśa wypełnia całą jego przestrzeń. Nie sposób go ignorować. Na jego widok wciąż zdarza się, że serce Peterowi przyspiesza. Ale to nie lęk, już tak tego nie nazywa. Raczej dojmująca świadomość, która wcale nie każe mu uciekać przed szympansem, ale przeciwnie, każe mu zwracać się do niego, ponieważ Odo nieustannie zwraca się do Petera. W końcu, tak mu się przynajmniej wydaje, szympanś wchodzi do pokoju właśnie dlatego, że Peter tam jest. Obojętnie, co akurat robi, nie absorbuje go to w takim stopniu jak interakcje z Odo. Szympanśie spojrzenie zawsze go zagarnia. Nieustannie towarzyszy mu uczucie pełnego zachwyty.

Czy właśnie nie odpowiedział sobie na pytanie, dlaczego psy codziennie wracają? Czy coś innego w równym stopniu je pochłania?

Nie, nic. Dlatego też każdego ranka wracają tutaj. Peter każdego ranka cieszy się, że budzi się niedaleko Odo.

Psy mają pchły, które przekazują Odo. Gęstym grzebieniem Peter wyczesuje je i ich jajeczka. Gdy pchły oblażą Petera, szympans doczeka się wreszcie swojej upragnionej kolejki w iskaniu.

Kilka tygodni później wracają z przechadzki po gładzowisku. Pogoda jest piękna, wiosenna roślinność dyskretnie się zieleni, ale Peter jest zmęczony, chce odpocząć. Kawa nie byłaby od rzeczy. Idą do kawiarni. Peter siada znużony. Gdy pojawia się kawa, ujmuje filiżankę w dłonie. Odo siedzi cicho.

Peter patrzy na zewnątrz – i czuje, jakby pękła przed nim szyba z matowego szkła i przejrzał na oczy. Nie może uwierzyć. Na placu stoi Ben, jego syn Ben, który właśnie wysiadł z samochodu.

Petera zalewają emocje. Zdumienie, niepokój – czy coś się stało? – ale przede wszystkim czysta ojcowska radość. Jego syn przyjechał! Nie widział Bena od blisko dwóch lat.

Zrywa się z krzesła, wybiega z kawiarni i woła:

– Ben!

Ben odwraca się i widzi ojca.

– Niespodzianka! – mówi, obejmując Petera. On też wyraźnie się cieszy. – Dostałem dwa tygodnie wolnego, więc postanowiłem sprawdzić, co knujesz na tym odludziu.

– Tak bardzo za tobą tęskniłem! – wyznaje z uśmiechem Peter.

Syn jest taki młody, tryska energią.

– Jezu Chryste! – Ben cofa się przerażony.

Peter się odwraca. Odo sunie do nich, podpierając się rękami, a na jego twarzy maluje się zaciekawienie. Ben wygląda, jakby chciał czmychnąć.

– W porządku. On nie zrobi ci krzywdy. Chce się tylko przywitać. Odo, to jest mój syn, Ben.

Szympanś podchodzi, obwąchuje Bena, poklepuje go po nodze. Ben wyraźnie ma się na baczności.

– Witaj w Tuizelo – mówi Peter.

– One mogą odgryźć człowiekowi twarz – mówi Ben. – Czytałem o tym.

– Ten na pewno nie – odpowiada Peter.

W ciągu następnego dziesięciu dni żyje razem z synem. Spacerują, rozmawiają. W zawołany sposób naprawiają relacje, odkupując dotychczasową rozłąkę pełną troski bliskością. Bena wciąż niepokoi

Odo, boi się, że szympans go zaatakuję. Raz widzi, jak ojciec mocuje się z Odo; turlają się niczym w cyrku. Peter ma nadzieję, że syn dołączy, ale ten trzyma się z boku, wyraźnie spięty.

Pewnego ranka, gdy sprzątaję po śniadaniu, Odo wchodzi do kuchni z książką.

– Co tam masz? – pyta Peter.

Szympanś wręcza mu książkę. Stare portugalskie wydanie powieści Agathy Christie w twardej oprawie; barwna okładka i sfatygowane, pożółkłe kartki. Tytuł brzmi *Encontro com a morte*.

– Czy to znaczy *Spotkanie ze zmarłym*? – pyta Ben.

– Albo *Rendez-vous ze śmiercią*? Nie jestem pewien – odpowiada Peter. Na stronie redakcyjnej sprawdza angielski tytuł. – Aha, *Appointment with Death*. Może powinniśmy poczytać, żeby podszlifować portugalski.

– Czemu nie – mówi Ben. – Zaczynaj.

Peter sięga po słownik, po czym cała trójka sadowi się na podłodze, ojciec i szympans swobodni, syn dość czujny. Peter czyta na głos pierwszy akapit, ćwicząc nie tylko rozumienie, ale i wymowę.

Compreendes que ela tem de ser morta, não compreendes?

A pergunta flutuou no ar tranquilo da noite, parecendo pairar por um momento até se afastar na escuridão, na direção do Mar Morto.

Hercule Poirot deteve-se um minuto com a mão no fecho da janela. Franziiu o sobrolho e fechou-a num gesto decidido, impedindo assim a entrada do nocivo ar noturno. Hercule Poirot crescera a acreditar que o melhor era deixar o ar exterior lá fora, e que o ar noturno era especialmente perigoso para a saúde.

Odo jest urzeczony. Nie odrywa wzroku od ust Petera. Co tak bardzo podoba się szympansowi? Silny akcent? Nowe brzmienie przedłużonych samogłosek zamiast typowych monosylabowych wypowiedzi? Tak czy inaczej, gdy Peter czyta, Odo siedzi bez ruchu, wtulony w niego, słucha w skupieniu. Peter wyczuwa, że Ben też jest zaintrygowany, może również językiem portugalskim, ale najpewniej związkami ojca i szympansa.

Po przeczytaniu trzech stron Peter milknie.

– I jak? – pyta Ben.

– Rozumiem ogólny sens, ale jak przez mgłę. Gdzie znalazłeś tę książkę? – pyta szympansa.

Odo pokazuje okno. Wyglądając, Peter widzi na podwórzu otwartą walizę. Domyśla się, skąd się wzięła: z graciarni w pomieszczeniu dla zwierząt. On i Ben idą na podwórze, Odo tuż za nimi. Szympanś ma szczególne zamiłowanie do walizek, które stamtąd wydobywa; fascynuje go ich zawartość, choć najczęściej jest to pościel i stare ubrania. Tym razem jednak w walizie znajduje się osobliwa zbieranina przedmiotów. Peter i Ben chowają z powrotem to, co Odo rozrzucił: kawałek czerwonego materiału, parę starych monet, nóż i widelec, kilka narzędzi, drewnianą zabawkę, lusterko kieszonkowe, dwie kostki do gry, świeczkę, trzy karty do gry, czarną sukienkę, flet oraz muszlę ostrygi. Jest też koperta, zamknięta, lecz nie zaklejona. Chyba pusta, ale Peter sprawdza. Ze zdziwieniem wyjmuje kosmyk szorstkich czarnych włosów. Dotyka ich, są sztywne i suche. Mógłby przysiąc, że to sierść Odo.

– W co ty się bawisz? – pyta szympansa.

Już ma zamknąć walizę, gdy Ben mówi:

– Czekał, nie zauważyłeś tego.

Syn wręcza mu kartkę. Widnieje na niej zaledwie kilkanaście słów napisanych odręcznie czarnym atramentem:

Rafael Miguel Santos Castro, 83 anos, da aldeia de Tuizelo, as Altas Montanhas de Portugal

Peter wpatruje się w kartkę. Pamięć ożywa, fakty z wolna powracają, tworzą się połączenia, aż w jego umyśle rozbłyskuje wspomnienie: Rafael Miguel Santos Castro, brat dziadka Batisty? W prawym górnym rogu widnieje data: *1 Janeiro, 1939*. To by się zgadzało z datą jego śmierci w wieku osiemdziesięciu trzech lat. Jest jeszcze nagłówek: *Departamento de Patologia, Hospital São Francisco, Bragança*. Peter czuje dreszcz. Po Clarze nie chce mieć już nic wspólnego z patologią. A jednak czyta kolejne dwie linijki pod danymi osobowymi Rafaela Castro:

Encontrei nele, com meus próprios olhos, um chimpanzé e um pequeno filhote de urso.

Nie ulega wątpliwości: „W jego ciele znalazłem i ujrzałem na własne oczy szympansa i małego niedźwiadka”. Pod spodem widnieje na wpół czytelny podpis oraz pieczętka z wyraźnym nazwiskiem patologa: doktor Eusebio Lozora.

– Co to takiego? – pyta Ben.

– Tu jest napisane... – Peter urywa w pół zdania, znowu otwiera kopertę i dotyka czarnych włosów. Potem patrzy na zawartość walizy. Jaką historię próbuje mu ona opowiedzieć? Co w tym domu robi sprawozdanie z sekcji zwłok stryjecznego dziadka, Rafaela, o ile tym właśnie jest? Wcześniej nie wypytywał o ten dom. Odkrycie jego odległych związków z tą wioską da asumpt do plotek i zamieszania, co wcale nie jest mu w smak. Nie podoba mu się rola rdzennego mieszkańca powracającego w rodzinne strony. Peter, jak Odo, cieszy się życiem, chwilą obecną, a taka chwila nie ma dawnego adresu. Teraz jednak zaczyna się zastanawiać. Czy to może być właśnie ten dom? Czy dlatego był taki zaniedbany i nikt w nim nie mieszkał?

– No więc? – ponagla go syn.

– Przepraszam. To jest najwyraźniej sprawozdanie z sekcji zwłok. Ten patolog twierdzi... jak mam to ująć? ...że w ciele człowieka znalazł szympansa i małego niedźwiadka. Tak tu jest napisane. Spójrz, to samo słowo: *um chimpanzé*.

– Co takiego? – Ben zerka na Odo z niedowierzaniem.

– Najwyraźniej jest to jakaś metafora, portugalski idiom, którego nie rozumiem.

– Najwyraźniej.

– Dziwne jest też nazwisko zmarłego. Może dona Amélia potrafi nam to wyjaśnić. Chodź, weźmy tę walizę na górę.

– Daj mi ją. Nie nadwerężaj się.

Cała trójka rusza do dony Amélii. Peter zabiera album rodzinny, który Odo z radością niesie. Zastają donę Amélie w domu. Z uprzejmym spokojem wita obu panów, uśmiecha się do szympansa.

– *Minha casa... a casa de quem?* – pyta Peter.

– *Batista Reinaldo Santos Castro* – odpowiada kobieta. – *Mas ele morreu há muito tempo. E a sua família...* – dona Amélia robi posuwisty ruch dłonią, któremu towarzyszy szybkie dmuchnięcie – *mudou-se para longe. As pessoas vão-se embora e nunca mais voltam.*

Batista Santos Castro – a zatem to prawda. Nieoczekiwanie, mimo woli, przypadkowy nabywca trafił do domu, w którym się urodził.

– Co ona powiedziała? – dopytuje się Ben.

– Że człowiek, który mieszkał w tym domu, zmarł dawno temu, a jego rodzina... nie rozumiem dokładnie słów, ale jej gest nie pozostawiał wątpliwości... jego rodzina wyjechała, opuściła wioskę na zawsze, coś w tym rodzaju. Ludzie wyjeżdżają i nie wracają. – Peter ponownie zwraca się do dony Amélii: – *E seu irmão?* – „A jego brat?”.

– *O seu irmão?* – Dona Amélia się ożywia. – *O seu irmão Rafael Miguel era o pai do anjo na igreja. O papá! O papá!* – „Jego brat jest ojcem anioła w kościele. Tata! Tata!”.

Anioła w kościele? Peter nie ma pojęcia, o czym mówi wieśniaczka, ale teraz interesują go jedynie koligacje rodzinne. Z rąk Odo bierze album rodzinny i otwiera, gotów porzucić anonimowość.

– *Batista Santos Castro, sim?* – mówi, wskazując mężczyznę na fotografii grupowej, na samym początku albumu.

Dona Amélia jest zdumiona, że cudzoziemiec posiada zdjęcie Batisty.

– *Sim!* – potwierdza, otwierając szeroko oczy. Potem chwyta fotografię i pożera ją wzrokiem. – *Rafael!* – woła, pokazując na innego mężczyznę. – *E sua esposa, Maria* – dorzuca i nagle brak jej tchu. – *É ele! A criança dourada! Outra foto dele!* – „To on! Złote dziecko! Jeszcze jedno jego zdjęcie!”.

Kobieta wskazuje na małe dziecko, sepiową plamkę wyglądającą zza pleców matki. Peter jeszcze nigdy nie widział dony Amélii tak podekscytowanej.

– *Batista meu... avó* – wyznaje. Wskazuje na Bena, ale nie wie, jak jest po portugalsku „pradziadek”.

– *A criança dourada!* – praktycznie krzyczy dona Amélia.

Nic ją nie obchodzi, że Batista był jego dziadkiem i pradiadkiem Bena. Chwyta Petera za rękaw i ciągnie za sobą. Zmierzają do kościoła. „Anioł w kościele”, powiedziała. Po drodze podniecenie dony Amélii staje się zaraźliwe. Inni mieszkańcy wioski, głównie kobiety, dołączają do nich. Do kościoła dociera tłumek rozmawiający szybko po portugalsku. Wrzawa podoba się Odo, więc pohukuje radośnie.

– Co się dzieje? – pyta Ben.

– Nie wiem – przyznaje Peter.

Wchodzą do kościoła i skręcają w lewo, z dala od ołtarza. Dona Amélia każe im się zatrzymać przy kapliczce w głębi kościoła, na ścianie północnej. Przed półką, na której stoją wazon z kwiatami, znajduje się długa trzy poziomowa skrzynka na kwiaty wypełniona piaskiem. Tkwią w nim cienkie świece, niektóre się palą, większość już nie. Całość nie jest zbyt schludna, a to z powodu mnóstwa kawałków papieru, zaścielających półkę i posadzkę – niektóre są zrolowane, inne starannie złożone. Dotychczas Peter, będąc tutaj, nigdy nie podszedł dość blisko, by przyrzeć się karteczkom. Nad półką, w połowie jej długości, widnieje na ścianie czarno-biała portretowa fotografia chłopca. Ładnego małego chłopca, patrzącego poważnie prosto w obiektyw. Niezwykła jasna

barwa oczu kontrastuje ze światłocieniem starego zdjęcia i zlewa się z białą ścianą w tle. Mały chłopiec sprzed lat.

Dona Amélia otwiera album.

– *É ele! É ele!* – powtarza, pokazując na chłopca na ścianie i w albumie.

Peter przygląda się, porównuje oczy z oczami, podbródek z podbródkiem, wyraz twarzy z wyrazem twarzy. Kobieta ma rację; to ten sam chłopiec.

– *Sim* – przytakuje zadziwiony.

Zgromadzeni wieśniacy wydają pomruk zdumienia. Album wędruje z rąk do rąk, każdy chce się naocznie przekonać. Dona Amélia promienieje, nie spuszczając przy tym wzroku z albumu.

Po kilku minutach znowu bierze go i oznajmia:

– *Pronto, já chega! Tenho que ir buscar o Padre Eloi.* – „Dosyć, wystarczy. Muszę pójść po ojca Eloi”.

Dona Amélia wychodzi z kościoła.

Peter przeciska się przez tłum do zdjęcia na ścianie. Złote Dziecko. Coś ożywa w jego pamięci. Historia opowiadana przez rodziców. Próbuje ją sobie przypomnieć, ale dawne słowa są jak ostatnie jesienne liście rozwiane przez wiatr. Nie ma czego się chwycić, to tylko mgliste wspomnienie wspomnienia.

Gdzie jest Odo? – zastanawia się nagle Peter. Widzi, że Ben stoi obok wieśniaków, a szympanś zawędrował na drugi koniec kościoła. Peter i Ben przeciskają się przez tłum i idą w stronę Odo. Szympanś patrzy w górę i charczy. Peter podąża za jego wzrokiem. Odo wpatruje się w drewniany krucyfiks nad ołtarzem. Najwyraźniej chciałby się wdrapać na ołtarz – dokładnie takiej sceny w kościele obawiał się Peter. Na szczęście w tej właśnie chwili dona Amélia wraca z ojcem Eloi i spieszy w ich stronę. Podniecenie kobiety odciąga uwagę szympanśa od krucyfiks.

Ksiądz zaprasza ich do zakrystii. Na okrągłym stole kładzie grubą teczkę i gestem wskazuje im, by usiedli. Dotychczas relacje Petera z kapłanem ograniczały się do uprzejmości; nigdy nie czuł, by ksiądz próbował włączyć go do swojej trzódki. Peter siada, Ben również. Odo sadowi się na parapecie okna, skąd ich obserwuje. Ponieważ pada na niego słońce, Peter nie potrafi dostrzec wyrazu twarzy szympanśa.

Ojciec Eloi otwiera teczkę i rozkłada na stole rozmaite papiery – napisane odręcznie i na maszynie dokumenty, sporo listów.

– Bragança, Lizbona, Rzym – mówi, pokazując na nagłówki.

Cierpliwie wyjaśnia, Peter często korzysta z pomocy słownika. Donę Amélie ogarnia czasem wzruszenie, łzy napływają jej do oczu, uśmiecha się i śmieje. Książę jest bardziej opanowany, ale mówi żarliwie. Ben siedzi nieruchomo jak posąg.

Po wyjściu z kościoła udają się prosto do kawiarni.

– Kurczę, sądziłem, że w portugalskiej wiosce wieje nudą – mówi Ben, popijając espresso. – O co chodziło?

– Cóż, na początek odnalazłem dom rodzinny. – Peter wyraźnie jest wytrącony z równowagi.

– Poważnie? Gdzie on jest?

– Tak się składa, że to dom, w którym zamieszkałem.

– Naprawdę?

– Musieli mnie umieścić w pustym domu, a ten był opuszczony, odkąd nasza rodzina wyjechała. Nigdy go nie sprzedali.

– Przecież są inne puste domy. Co za niesamowity zbieg okoliczności.

– Posłuchaj: ojciec Eloi i dona Amélia opowiedzieli mi pewną historię.

– Coś o chłopcu sprzed wielu lat, tyle zrozumiałem.

– Tak, wszystko zdarzyło się w tysiąc dziewięćset czwartym roku. Chłopiec miał pięć lat, był bratankiem dziadka Batisty, twojego pradziadka Batisty. Mój stryjeczny dziadek, Rafael, zabrał chłopca na farmę przyjaciela, któremu pomagał. Chłopca znaleziono martwego na poboczu drogi, daleko od pola, gdzie pracował jego ojciec. Wieśniacy twierdzili, że rany na ciele chłopca dokładnie odpowiadały ranom ukrzyżowanego Chrystusa: złamane przeguby, złamane kostki u stóp, głęboka rana w boku, siniaki i zadrapania. Rozeszła się legenda o tym, że anioł porwał go z pola, aby zanieść do Boga, ale niechcący upuścił chłopca, co tłumaczy obrażenia.

– Mówisz, że znaleźli go na poboczu?

– Tak.

– Wygląda na to, że przejechał go samochód.

– Faktycznie, dwa dni później do Tuizelo zajechał automobil, pierwszy w całym regionie.

– No proszę.

– Zdaniem niektórych wieśniaków istniał związek między automobilem a śmiercią chłopca. Historia szybko nabrała rozgłosu, została udokumentowana. Brakowało jednak dowodów. I w jaki sposób chłopiec, który jeszcze przed chwilą był z ojcem, nagle znalazł się pod kołami samochodu wiele kilometrów dalej?

– Musi istnieć jakieś wytłumaczenie.

– Cóż, oni dostrzegli w tym akt Boga. Niezależnie od tego, czy Bóg działał sam, czy za pośrednictwem tego nowego wynalazku, stał za całym zdarzeniem. To nie koniec historii. *O que é dourado deve ser substituído pelo que é dourado.*

– Co to znaczy?

– To miejscowe powiedzenie. „Złocone powinno być zastąpione złotym”. Wieśniacy mówią, że Bogu zrobiło się przykro, gdy anioł upuścił chłopca, dlatego obdarzył to dziecko niezwykłymi mocami. Kilka bezpłodnych kobiet modliło się do niego i wkrótce później zaszły w ciążę. Dona Amélia przysięga, że i ona tego dostąpiła. W tych stronach żyje legenda chłopca. Co więcej, w Rzymie toczy się proces beatyfikacyjny. Mówią, że chłopiec ma sporą szansę zostać błogosławionym z powodu licznych przypadków uzdrowień bezpłodności.

– Coś podobnego. Mamy stryjka świętego, a ty żyjesz z małpą. Ciekawa sytuacja rodzinna.

– Nie świętego, tylko błogosławionego, dwa szczeble niżej.

– Przepraszam, błogosławieni zawsze miesza mi się ze świętymi.

– Śmierć tego małego chłopca wywróciła wioskę do góry nogami. Bieda jest tu lokalną rośliną. Wszyscy ją uprawiają, wszyscy jedzą. Kiedy pojawił się ten mały, stał się żywym bogactwem. Wszyscy go kochali. Nazywali go Złotym Dzieckiem. Ojciec Eloi powiedział mi, że kiedy umarł, dni poszarzały, z wioski uszły wszelkie kolory.

– Pewnie, śmierć takiego małego dziecka musiała być niewiarygodnie przygnębiająca.

– Jednocześnie mówią o nim tak, jakby wciąż żył. Nadal ich uszczęśliwia. Widziałeś donę Amélie, a przecież ona nigdy w życiu go nie spotkała.

– Jak dokładnie ten mały jest z nami spokrewniony?

– Chłopiec był kuzynem mojej matki, czyli moim kuzynem w drugiej linii albo coś w tym rodzaju. Tak czy owak, należy do rodziny. Rafael i jego żona Maria bardzo późno doczekali się dziecka, co znaczy, że moja matka była starsza od kuzyna. Kiedy przyszedł na świat, musiała być nastolatką, tak jak mój tata. Czyli oboje moi rodzice go znali. Stąd takie poruszenie dony Amélie. Mgliście pamiętam, że jak byłem mały, rodzice opowiadali mi o śmierci dziecka w rodzinie. Zaczynali tę opowieść, ale nigdy nie kończyli, jak nie kończy się strasznej historii wojennej. Zawsze urywali w pewnym miejscu. Wydaje mi się, że opuścili wioskę, zanim pamięć o chłopcu ożyła. Chyba nigdy o tym nie słyszeli.

– Albo nie chcieli w to wierzyć.

– Możliwe. Podobnie jak matka chłopca. Wygląda na to, że ojciec i matka małego stali po przeciwnych stronach: on wierzył w nadprzyrodzone moce syna, ona nie.

– Smutna historia – mówi Ben. – O co chodziło z szympansem w ciele?

– Nie wiem. O tym nie wspomnieli.

Odo, z filiżanką kawy w rękach, siedzi obok na krześle i patrzy w okno.

– No, a twój szympanś popija cappuccino jak prawdziwy Europejczyk.

Po powrocie do domu Peter chodzi po pokojach, ciekaw, czy będą budziły w nim teraz inne odczucia. Czy ściany zaczną emanować wspomnieniami? Usłyszy tupot stópki na podłodze? Czy ukąż się młodzi rodzice trzymający w objęciach dziecko, którego przyszłość jest owiana tajemnicą?

Nie. To nie jest dom. Domem jest jego historia z Odo.

Wieczorem, w trakcie prostej kolacji, on i Ben raz jeszcze przeglądają album ze zdjęciami i próbują zrozumieć dziwny raport z autopsji Rafaela Miguela Santosa Castro, sporządzony przez doktora Lozorę. Ben ze zdziwieniem potrząsa głową.

Następnego dnia po południu przechodzą przez brukowany plac i idą do małego kościoła. Dzień jest łagodny jak pieśczoła. Ojciec i syn podchodzą do oświetlonej świecami kapliczki i zdjęcia jasnookiego chłopca. Ben mruczy coś o pokrewieństwie z „arystokracją religijną”. Potem ruszają ku frontowi kościoła, by usiąść w ławce.

– Tato! – mówi nagle zaskoczony Ben i pokazuje na krucyfiks.

– Co?

– Tamten krzyż... wygląda jak szympanś! Nie żartuję. Spójrz na twarz, ręce, nogi.

Peter patrzy uważnie na krucyfiks.

– Masz rację – potwierdza. – Faktycznie przypomina szympanśa.

– To szaleństwo. O co chodzi z tymi małpami? – Ben rozgląda się nerwowo. – Tak przy okazji, gdzie jest twoja?

– Tam – mówi Peter. – Przestań się o niego martwić.

Kiedy wychodzą z kościoła, Peter zwraca się do syna:

– Zadałeś mi pytanie, Ben. Sam nie wiem, o co chodzi z tymi małpami. Wiem tylko, że Odo wypełnia moje życie. Dostarcza mi radości.

Szympanś uśmlecha się szeroko, unosi ręce i klaszcze kilkakrotnie, jakby chciał zwrócić ich uwagę. Ojciec i syn patrzą urzeczeni.

– Ładny mi stan łaski – mówi w końcu Ben.

Idą do domu, ale Odo natychmiast chce ruszać na spacer. Ben postanawia im nie towarzyszyć.

– Poszwendam się po wsi, odświeżę więzy z przodkami – mówi, a Peter dopiero po chwili pojmuje, że w głosie syna nie ma ironii.

Chętnie dołączyłby do Bena, ale jest lojalny wobec Odo, dlatego macha synowi na pożegnanie, chwyta plecak i wychodzi z domu za szympansem.

Odo rusza w stronę głazowiska. Przez sawannę jak zwykle idą w milczeniu. Peter snuje się w tyle, niezbyt zwracając uwagę na otoczenie. Odo raptownie się zatrzymuje. Podnosząc się na nogi, wężsy, wpatrzony w gładz tuż przed nim. Na gładzie stoi ptak, który bacznie ich obserwuje. Odo jeży sierść, zaczyna kołysać się na boki. Gdy opada na czworaki, zaczyna podrygiwać, ogromnie pobudzony, choć dziwnie cichy. Po chwili zrywa się, pędzi do gładzu i w mgnieniu oka wskakuje na jego szczyt. Ptak odfrunął już wcześniej. Peter nie może wyjść ze zdumienia. Czemu ptak tak bardzo poruszył szympansa?

Myśli o tym, by pozwolić Odo bawić się na gładzie. Niczego bardziej nie pragnie, jak położyć się i uciąć sobie drzemkę. Odo odwraca się jednak i macha do niego z góry. Najwyraźniej Peter ma wejść za nim. Podchodzi do gładzu. U podnóża zbiera się w sobie przed wspinaczką, bierze kilka głębokich wdechów. Gdy czuje się gotowy, podnosi wzrok.

Ze zdziwieniem widzi Odo, który zwisa nad nim głową w dół. Szympanś intensywnie wpatruje się w niego rdzawobrunatnymi oczami, jednocześnie przyzywając go ruchem ręki; długie ciemne palce kurczą się i prostują rytmicznie, a Peter nie może oderwać od nich wzroku. Złożonymi w lejek wargami szympans wydaje ciche, lecz nagłące „hu, hu, hu”. Odo jeszcze nigdy tego nie robił, ani na gładzowisku, ani w żadnym innym miejscu. Peter jest zszokowany faktem, że mała człekokształtna wzywa go tak władczo, a tym samym tak jednoznacznie uznaje jego istnienie. Czuje, jakby właśnie narodził się z niebytu. Jest odrębną jednostką, niepowtarzalną istotą, której właśnie kazano się wspinać. W przyplýwie energii łapie za najniższy występ gładzu. Chociaż otworów i wybrzuszeń nie brakuje, ściana gładzu jest całkiem pionowa, więc Peter z wysiłkiem podciąga swoje zmęczone ciało. W miarę jak on się wspina, szympans się cofa. Gdy docierają na szczyt, Peter siada

ociężale, zadyszany i zlany potem. Nie czuje się najlepiej. Serce wali mu jak oszalale.

Człowiek i szympanś siedzą ramię w ramię, ich ciała się stykają. Peter patrzy w dół, na trasę, którą przemierzył. To urwista ściana. Przenosi wzrok tam, gdzie spogląda szympanś. Widok jest taki sam jak zawsze, choć nie staje się przez to uboższy: rozległa połać sawanny, złocistożółta trawa aż po horyzont, usiana ciemnymi głazami, panorama surowego piękna, dopełniona niebem w pełnym rozkwicie późnego popołudnia. Ilość powietrza nad nimi jest wprost niepojęta. Słońce igra z białymi obłokami. Wszystko jaśnieje nieopisanie cudownym światłem.

Peter odwraca się do Odo. Przypuszcza, że szympanś będzie patrzył w górę i w dal, ale nie. Odo patrzy w dół, na coś nieopodal. Mimo gorączkowej ekscytacji jest dziwnie opanowany, żadnych pohukiwań ani szalonych gestów, tylko kiwanie głową. Odo wychyla się, by spojrzeć na podstawę głazu. Peter nie widzi, na co patrzy szympanś. Prawie o to nie dba, musi odpocząć. Mimo to kładzie się na brzuchu i podpełza, mocno przytrzymując się dłońmi. Gdyby spadł z takiej wysokości, porządnie by się potłukł. W końcu wygląda sponad krawędzi głazu, by sprawdzić, co przykuło uwagę Odo.

To, co widzi, nie wydobrywa krzyku z jego ust, bo Peter nie śmie pisnąć. Nie odrywa wzroku, oddycha powoli. Dopiero teraz pojmuje strategię nawigacyjną Odo na głazowisku, dlaczego szympanś wędruje od głazu do głazu w linii prostej, zamiast włóczyć się na otwartej przestrzeni, dlaczego wspina się i obserwuje, dlaczego każe niezdarnemu człowiekowi trzymać się blisko.

Odo szukał i Odo znalazł.

Peter patrzy na nosorożca iberyjskiego stojącego pod głazem. Ma wrażenie, że widzi z góry galeon – masywne, obłe cielsko, dwa rogi sterczące jak maszty, ogon powiewający niczym bandera. Zwierzę nie wie, że jest obserwowane.

Peter i Odo patrzą na siebie. Nawzajem komunikują swoje zdumienie: on oniemiałym uśmiechem, Odo ściąganiem warg w lejek i odsłanianiem dolnych zębów w uśmiechu.

Nosorożec majta ogonem i od czasu do czasu kręci łbem.

Peter próbuje oszacować jego rozmiary. Zwierzę ma około trzech metrów długości. Solidnie zbudowane, grubokościste stworzenie. Duża głowa, z długim, pochyłym czołem. Rogi tak charakterystyczne jak płetwa rekina. Wilgotne oczy, zadziwiająco delikatne, o długich rzęsach.

Nosorożec czochra się o głaz. Pochyla łeb, wacha trawę, ale jej nie je. Strzyże uszami. W końcu stęka i oddala się. Ziemia drży. Mimo swego ciężaru zwierzę porusza się zwinnie, kierując się do następnego głazu, potem kolejnego, aż znika.

Peter i Odo długo się nie ruszają, nie ze strachu przed nosorożcem, ale ponieważ nie chcą stracić nic z tego, co właśnie ujrzeli, a ruch mógłby ich rozproszyć. Niebo płonie błękitem, czerwienią i pomarańczem. Peter cicho płacze.

Wreszcie cofa się znad krawędzi głazu, wpełza z powrotem na szczyt. Z trudem siada. Serce nie przestaje mu łomotać. Siedzi z zamkniętymi oczami, opuszczoną głową, próbując wyrównać oddech. W życiu nie czuł tak potwornej zgagi. Jęczy.

Jak przez mgłę rejestruje ze zdziwieniem, że Odo odwraca się i obejmuje go; długa ręka oplata się wokół pleców Petera, podpira go, druga wokół zgiętych kolan, na których Peter trzyma ręce. To silny, pełny uścisk. Dodaje otuchy Peterowi, pozwala mu się rozluźnić. Ciało szympansa jest ciepłe. Peter kładzie drżącą dłoń na włochatej ręce Odo. Na twarzy czuje jego oddech. Unosi głowę, otwiera oczy i zerka z ukosa na swego przyjaciela. Odo patrzy wprost na niego. Puf, puf, puf, delikatnie owiewa szympansi oddech twarz Petera. Peter wierci się trochę, ale nie po to, by się odsunąć; to mimowolny ruch.

Zastyga, jego serce nieruchomieje. Przez kilka minut Odo nie robi nic, w końcu odsuwa się i delikatnie kładzie go na głazie. Szympanś patrzy na ciało Petera i pokasłuje żałośnie. Przez pół godziny trwa u jego boku.

Szympanś wstaje i zeskakuje z głazu, prawie nie równoważąc spadku rękami i nogami. Wychodzi na otwartą przestrzeń. Przystaje i ogląda się na głaz.

Następnie odwraca się i biegnie w stronę nosorożca iberyjskiego.

¹ Ewangelia według św. Marka 14, 51.

² Ewangelia według św. Mateusza 14, 27–29.

³ Ewangelia według św. Mateusza 13, 34.

⁴ Agatha Christie, *Rendez-vous ze śmiercią*, przełożył Jan Dehnel.